

Nowy bestseller „New York Timesa”

*Urocze
błyskotliwe,
i niebiańsko
uwodzicielskie.
„Romantic Times”*

LOLOISA JAMES

Siedem minut w niebie


AMBER

Romans historyczny

LOISA
JAMES

Siedem minut w niebie

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskorn



Korekta
Hanna Lachowska
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Oleksandr Kolesnyk/Shutterstock

Tytuł oryginału
Seven Minutes in Heaven

Copyright © 2017 by Eloisa James, Inc.
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6731-9

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

I

Środa, 15 kwietnia 1801
Agencja Pierwszorzędnych Guwernantek pani Snowe
Cavendish Square 14, Londyn

Nic nie potrafi tak zepsuć przyjęcia jak eksperci. Dama, która wysłuchiwała czternastu wykładów o chińskiej porcelanie, będzie przez cały wieczór głądzić o Ming i Tsing. Baron, który opublikował w zoologicznym piśmie artykuł o sępach, z pewnością będzie wszystkich raczył opowieściami o nieeleganckich zwyczajach padlinożerców.

Dla odmiany doświadczenia zawodowe Eugenii Snowe niewątpliwie wywołałyby salwy śmiechu całego towarzystwa, gdyby tylko mogła się nimi podzielić. Na przykład świetnie wiedziała, jak to się stało, że najlepsza peruka hrabiny Ardmore wylądowała na głowie przerażonego prosiaka, który przebiegł przez werandę właśnie w chwili, gdy pastor raczył się tam herbatą. Wiedziała, który z potomków księcia Fletcher podwędził złotą wykałaczkę i emaliowany nocnik. Co więcej, wiedziała też, co winowajca zrobił ze swoim łupem.

Nie tylko musiała zachowywać takie smakowite szczegóły dla siebie; nie mogła się z nich śmiać nawet wtedy, gdy za jej klientami zamknęły się drzwi. Jako właścicielka najbardziej renomowanej agencji guwernantek na całych Wyspach Brytyjskich musiała obowiązkowo zachowywać godność i powagę.

Żadnego śmiechu! Nawet gdy pokojówka wprowadziła do gabinetu chłopca odzianego w brokatową zasłonę upiętą na wzór rzymskiej togi; z tym godnym senatora strojem nieco kłóciła się jaskrawoniebieska barwa ramion i twarzy.

Za chłopcem wsunęła się jego matka, lady Pibble. Eugenia niezbyt często

widywała niebieskie dzieci, ale doskonale знаła zdesperowaną minę kobiet, kiepsko przygotowanych do udomawiania gatunku dzikich stworzeń potocznie określanych jako ośmioletni chłopcy.

– Lady Pibble i Marmaduke, lord Pibble – zaanonsowała pokojówka.

– Witaj, Winnie – powiedziała Eugenia ze szczerą radością i wyszła zza biurka, by powitać gościa. Jej szkolna przyjaciółka Winifreda była urocza, a do tego słodka i delikatna jak suflet.

Niestety, te cechy niezbyt się przydawały przy wychowywaniu dzieci. W dodatku natura przewrotnie dała Winnie potomka, który był jej przeciwieństwem: Marmaduke był ze wszech miar dzieckiem z piekła rodem; Eugenia dobrze się na tym znała.

– Już nie mogę! – jęknęła Winifreda na powitanie, powlokła się w stronę sofy i opadła na nią bezwładnie. – Ja chyba zwariuję, Eugenio. Naprawdę zwariuję! Jeśli nie dasz mi guwernantki, zostawię go u ciebie. Mówię serio! – Jej głos, przechodzący w falset, sprawił, że groźba zabrzmiała bardzo poważnie.

Marmaduke wyraźnie się nie przejął perspektywą pozostania w agencji guwernantek.

– Dzień dobry, pani Snowe – powiedział pogodnie i nawet się w miarę zgrabnie uklonił, zważywszy, że w jednej ręce dzierżył garść strzał, a w drugiej wyjątkowo tłustą żabę. – Jestem starożytnym Piktem i przemytnikiem – oświadczył.

– Dzień dobry, Marmaduke. Nie wiedziałam, że przemytnicy byli tacy kolorowi.

– Przemytnicy nie, tylko Piktowie. To tacy celtyccy wojownicy, którzy malowali się przed bitwą. Tata mi opowiadał – wyjaśnił Marmaduke, pokazując jej żabę. – Zacząłem też malować Freda, ale mu się nie spodobało.

– Fred wyraźnie przytył, od kiedy go ostatnio widziałam – zauważyła Eugenia.

– Miała pani rację z tymi robalami z kapusty. – Chłopiec wyszczerzył żęby. – Uwielbia je.

– Ten zapach wosku... to pewnie farba, którą się pomalowałeś. A rzeczny muł? Czy to Freda tak czuć?

Marmaduke solidnie pociągnął nosem i skinął głową.

– Fred śmierdzi.

– Nie mów „śmierdzi”, kochanie – upomniała go matka spomiędzy poduszek kanapy. Oczy miała zasłonięte chusteczką. – Możesz powiedzieć, że coś brzydko pachnie, ale tylko w ostateczności.

– Pachnie jak zgniłe jajko – rozwinął temat Marmaduke. – Ale lady Hubert cuchnęła gorzej, jak wyszłaz rzeki.

Winnie wydała zduszony jęk, jaki zwykle wymyka się kobietom przy skurczach porodowych.

– Udało mi się prawie zapomnieć o tej rzece, Eugenio. Nie wyjdę stąd, dopóki nie dasz mi guwernantki.

– Nie mogę – odpowiedziała cierpliwie Eugenia. – Winnie, tłumaczyłam ci już, że...

Winnie usiadła, mnąc w dłoniach chusteczkę, i wymierzyła palec w swego syna.

– Powiedz jej! – zażądała łamiącym się głosem. – Powtórz, co powiedziałeś do lady Hubert! Doprawdy nie przyprowadziłabym go tutaj, gdyby chodziło tylko o tę farbę. Jestem uodporniona na brud.

Marmaduke wreszcie się trochę stropił. Przesząpił z nogi na nogę, a potem stanął na jednej, przypominając niebieską czaplę.

– Lady Hubert kazała mi zawsze mówić prawdę, no to jej powiedziałem.

– To brzmi złowieszczo – odparła Eugenia, zagryzając wargi, by ukryć uśmiech. – Gdzie odbyła się ta rozmowa?

– Zrobiliśmy sobie piknik nad Tamizą, na końcu naszego trawnika – wyjaśniła Winnie. – Czy już wspominałam, że lady Hubert jest matką chrzestną Marmaduke’a i nie ma własnych dzieci? Mieliśmy nadzieję... ale nic z tego. Nie po tym, co się dzisiaj stało.

– Zrobiła mi kazanie jak w kościele, tylko że ona jest kobietą – odezwał się Marmaduke, wyraźnie chcąc to już mieć za sobą. – Że przez oszukaństwa i hipogryfię nie można żyć w świętości.

– Hipokryzję – poprawiła go Eugenia. – I co dalej?

– Zrobiłem to, co chciała.

– Co takiego?

– Najpierw zabawiałem ją tańcem Piktów. To były prawdziwe dzikusy. Strasznie wyli. Chcesz posłuchać, jak? – Posłał Eugenii spojrzenie pełne nadziei.

Pokręciła głową.

– Wyobrażę to sobie. Czy twój taniec jej się spodobał?

– Nie za bardzo – przyznał Marmaduke. – Ale się za dużo nie czepiała. Spytała tylko, co myślę o książce o historii Kościoła, którą dała mi na urodziny, i czy już ją przeczytałem.

– Ojej – mruknęła Eugenia.

– Byłem szczery, tak jak chciała. Powiedziałem jej, że mi się nie podobała, bo była nudna i długa na trzysta stron. Mama się zdenerwowała, ale zaraz się uspokoiła i potem lady Hubert zapytała mnie, co myślę o jej nowej sukni. Ja na to, że lepiej by wyglądała, gdyby się nie obżerała jak krowa. Ojciec zawsze tak o niej mówił.

– Niegrzecznie jest powtarzać prywatne uwagi taty – odpowiedziała Eugenia. Lata praktyki przekonały ją, że dzieci najlepiej się uczą, kiedy słyszą proste stwierdzenia.

Marmaduke się skrzywił.

– Byłem szczery. A poza tym, jak skończyłem taniec wojowników, ona powiedziała, że mój ojciec umarł, bo pewnie potrzebował wreszcie odpocząć.

Teraz z kolei Eugenia się skrzywiła.

– To było bardzo niegrzeczne, a poza tym to nieprawda, Marmaduke. Twój ojciec był bohaterem wojennym i zrobiłby wszystko, żeby zostać z tobą i z twoją mamą.

Rzuciła okiem w stronę Winnie, która leżała na plecach, zasłaniając oczy ramieniem. Jej mąż był kapitanem okrętu i służył pod admirałem Nelsonem. Stracił życie podczas oblężenia Malty.

Marmaduke wzruszył ramieniem.

– Czy wrzuciłeś, wepchnąłeś albo w inny sposób sprawiłeś, że lady Hubert znalazła się w Tamizie? – spytała Eugenia, czując, jak ogarnia ją niechęć do tej damy.

– Nie! Sama wpadła.

– Kiedy chrząszcz jelonek, którego mój syn nosił przy sobie, przeniósł się na jej rękę i dostał do rękawa – wyjaśniła Winnie.

– Nie przypuszczałem, że ona potrafi tak skakać – dodał Marmaduke z miną naukowca. – Jest przecież taka gruba i w ogóle. Ale skoczyła. Prosto do wody.

– Na główkę – dodała Winnie głosem bez wyrazu.

– Szkoda, że tego nie widziałam – przyznała Eugenia, pociągając taśmę dzwonka, by przywołać pokojówkę.

– Fajnie było – zwierzył się Marmaduke. – Bo pod suknią miała pełno różowych koronek. I jeszcze musiałem lecieć po lokajów, a potem po stajennych, bo brzeg był okropnie błotnisty i śliski. Majordomo mówił potem, że wyciągali ją jak krowę z bagna.

– To niezmiernie wulgarny opis – stwierdziła jego matka znużonym głosem pastora, wygłaszającego po łacinie kazanie do rozbrykanych dzieciaków.

W drzwiach stanęła pokojówka.

– Ruby – poleciła Eugenia. – Zabierz lorda Pibble do ogrodu i wylej na niego parę wiader wody.

– Pani Snowe! – wykrzyknął Marmaduke, otwierając szeroko oczy i cofając się o krok.

– Nie tylko Fred brzydko pachnie. Z czym pomieszałeś воск, żeby uzyskać ten kolor?

– Z proszkiem indygo, z pudełka z farbami.

– Pachnie bardzo mocno, to znaczy brzydko. Indygo zejdzie od wody, ale nie jestem pewna co do wosku – dodała Eugenia, zwracając się do Ruby.

– Nie chcę! – zawył Marmaduke. – Mama powiedziała, że mogę tak zostać do wieczora.

– Fredowi jest zdecydowanie za sucho – stwierdziła stanowczo Eugenia. – On też potrzebuje kąpieli.

Po czterech latach na tej posiadzie Ruby mistrzowsko radziła sobie z nieposłusznymi dziećmi. Wzięła Marmaduke'a za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Winnie usiadła, żeby popatrzeć.

– Ze mną by tak nie wyszedł. Z nianią też nie. Możesz mi wypożyczyć swoją pokojówkę?

Eugenia usiadła obok przyjaciółki.

– Marmaduke powinien pójść do szkoły, moja miła.

– To jeszcze dziecko. – Oczy Winnie znowu napełniły się łzami. – Wystarczy mu guwernantka, Eugenio. Dlaczego nie chcesz mi jej dać?

– Bo Marmaduke powinien przebywać z innymi chłopcami. Ojciec zapisał go do Eton, prawda?

– Nie mogę go tam puścić.

– Musisz.

– Nic nie rozumiesz – zapłakała Winnie. – Po Johnie pozostał mi tylko Marmaduke. Nie masz pojęcia jak ciężko jest być samotną wdową!

Na moment zapadła cisza.

– Nie tak chciałam powiedzieć – poprawiła się pośpiesznie Winnie. – Oczywiście, że wiesz, bo sama jesteś wdową.

– Ale ty jesteś w innej sytuacji – stwierdziła Eugenia. – U mnie to trwa już siedem lat.

– Właśnie o to mi chodziło – przyznała Winnie, wycierając nos. – Po prostu chcę, żeby mój syn był ze mną w domu, tam gdzie jest jego miejsce.

– Jego miejsce jest wśród innych chłopców. Przychodzisz do mnie co tydzień, już trzeci raz, prawda?

Winnie skinęła głową.

– Po tym, co zrobił kotu... na szczęście futerko mu już odrasta. I po tej sprawie ze stronami tytułowymi kościelnych śpiewników. Pastor bardzo chłodno mnie wczoraj przywitał. A mój wuj Teodor wciąż jest przekonany, że trzymamy w domu oswojoną małpkę. Nie miałam odwagi powiedzieć mu, co się stało z jego gorsetem.

Eugenia otoczyła Winnie ramieniem.

– Eton – powiedziała twardo. – Napisz do nich list z informacją, że Marmaduke zacznie naukę w jesiennym semestrze. Przyślę ci prywatnego wychowawcę, młodego człowieka, który będzie zabierał twojego syna na ryby po lekcjach.

– Ojciec chciał go nauczyć wędkowania po powrocie z Malty... – zająknęła się Winnie i znowu załżała łzami.

– Tak mi przykro – szepnęła Eugenia, opierając jej głowę na swoim ramieniu. Kiedy sześć lat temu otwierała swoją agencję, nie miała pojęcia, że będzie świadkiem tylu osobistych tragedii. Mogłaby napisać książkę o dramatach, jakie kryją się za elegancką fasadą arystokratycznych rodów.

Choć wdowieństwo było zawsze takie samo, niezależnie od pochodzenia i pozycji społecznej.

Na jej biurku piętrzyły się listy, w salonie pewnie czekało kilka matek poumawianych na spotkanie. Eugenia kołysała Winnie w ramionach, patrząc, jak Marmaduke biega po ogrodzie.

– Chyba powinnam zabrać go do domu – powiedziała żałośnie Winnie i usiadła wyprostowana. – Niania nie będzie zadowolona z tego, co przytrafiło się zasłonom z dziecinnego pokoju.

– Myślę, że należy wam się przedtem herbata i ciasto – odparła Eugenia. – Ośmiolatki są ciągle głodne.

– W żadnym razie! Za nic nie posadzę go na jednym z tych ślicznych foteli. Miała rację.

– W takim razie chodźcie do altanki, gdzie zwykle pijam herbatę – zaproponowała Eugenia. – Posiedzicie sobie na powietrzu, a poza tym Fred nie będzie tam nikomu przeszkadzał.

– Dobrze, ale pod warunkiem że pójdiesz razemz nami.

– Niestety nie mogę. Mam kilka spotkań dziś po południu.

Winnie otworzyła szerzej oczy.

– Och, nie! Tak mi przykro! – Skoczyła na równe nogi i złapała torebkę. – Kochana, jesteś dla mnie taką pociechą! Przyślij mi nauczycielkę! – wykrzyknęła, wybiegając z gabinetu.

Eugenia powinna usiąść za biurkiem, ale zamiast tego stanęła przy oknie i patrzyła, jak Winnie goni swego synka, w dalszym ciągu trochę niebieskiego na twarzy, wokół fontanny, w której Fred właśnie brał kąpiel.

Nawet przez grubą szybę słyszała piski Marmaduke'a i śmiech Winnie.

Pomyślała, że łatwiej byłoby znosić wdowieństwo, gdyby po mężu zostało jej dziecko, będące jakby jego częścią.

Z tyłu otworzyły się drzwi.

- Proszę pani, czy mogę już wprowadzić panią Seaton-Rollsby?
- Tak – odpowiedziała, odwracając się od okna. – Jak najbardziej.

2

Nieco później, tego samego dnia

Theodore Edward Braxton Reeve dla bliskich przyjaciół Ward wspinał się po schodach prowadzących do Agencji Snowe i zastanawiał się, ilu guwernantkom zalazł w dzieciństwie za skórę.

Doskonale pamiętał babsztyle, które z kwaśną miną wmaszerowywały do jego domu. Pamiętał też, jak wyglądały ich plecy, kiedy opuszczały posadę.

Gdyby nie to, że jego ojciec i macocha bawili właśnie w Szwecji, pewnie by do nich zaszedł, żeby przeprosić za to, co było. Wyczyny jego młodych podopiecznych znacznie przerosły jego własne. Przekonał się też, jaki to koszmar znaleźć się nagle po drugiej stronie.

Szczerze mówiąc, Lizzie i Otis – o których istnieniu dowiedział się ledwie kilka tygodni temu – byli szatańskimi bachorami. Diabelskim pomiotem, który niesie ze sobą same kłopoty.

Ich guwernantka, ta z Agencji Snowe, wytrzymała z nimi zaledwie czterdzieści osiem godzin, co stanowiło swego rodzaju rekord.

Agencja wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewał – poczynając od krzepkiego lokaja przy drzwiach, a kończąc na pustej poczekalni. Spodziewał się, że spotka w niej grupkę kobiet, czekających na swoje przydziały, i planował wybrać tę, która będzie najbardziej przypominała kaprala z królewskiej piechoty morskiej.

Poczekalnia wyglądała jak salon jakiejś wykwintnej damy. Elegancja była z każdego szczegółu, poczynając od sznurów przytrzymujących pasiaste jedwabne zasłony, a kończąc na połączonych krzesłach. Szczerze mówiąc, wystrój

dorównywał pokojom w różnych rezydencjach jego ojca.

A lord Gryffyn był przecież hrabią.

No cóż, Snowe pewnie musiał zadawać szyku, żeby ludzie godzili się na te astronomiczne ceny, jakich żądał za swoje usługi.

Ward był gotów zapłacić każdą cenę za usługi elitarniej guwernantki, bo musiał zrobić wrażenie na Izbie Lordów i oszołomić ją poziomem ojcowskiej troski, by przyznano mu opiekę nad dziećmi. Poza tym trzeba było uporządkować wiedzę Otisa, który jesienią miał rozpocząć naukę w Eton.

Z bocznych drzwi wyszła młoda pokojówka.

– Chciałbym zobaczyć się z panem Snowe'em – poinformował ją Ward.

Po kilku minutach nieco chaotycznej rozmowy okazało się, że pan Snowe zmarł dawno temu, a agencję prowadzi pani Snowe, z którą należy umawiać się z wyprzedzeniem.

– I to kilkutygodniowym – powiedziała wprost pokojówka. – Może się pan umówić na dalszy termin, a my pana poinformujemy, jeśli coś się zwolni wcześniej.

– Nic z tego – odparł Ward, uśmiechając się, bo w głosie dziewczyny brzmiał szczerzy szacunek za każdym razem, gdy wspominała o swojej pani. – Właśnie wyrzuciłem z posady jedną z waszych guwernantek. Potrzebna mi nowa, ale mam parę uwag.

Pokojówka otworzyła usta ze zdziwienia, a jej głos przybrał piskliwy ton, gdy spytała:

– Wyrzucił pan naszą guwernantkę? Guwernantkę z Agencji Snowe?

Ward zakołysał się na piętach i czekał. W końcu przestała histeryzować i pobiegła, żeby poinformować kogoś tam o jego zbrodni na pannie Lumley.

Szczerze mówiąc, pomijając fakt, że panna Lumley ciągle popłakiwała jak przerdzewiały kran, i tak była lepsza od wielu guwernantek, które pamiętał z dzieciństwa.

Mimo to nie nadawała się do zadania, które przed nią stało. Jego niedawno osierocone, przyrodnie rodzeństwo było, łagodnie mówiąc, pyskate i udziwnione.

Trzeba było dla nich znaleźć naprawdę wyjątkową osobę. Kogoś

niezwykłego.

Przez następne trzy godziny Eugenia na krok nie odeszła od biurka, ale mimo to stos korespondencji niewiele się zmniejszył.

Zdławiła cichy jęk, kiedy jej asystentka Susan stanęła w drzwiach, niosąc kolejny plik listów.

– Przyszły niedawno. Poza tym pan Reeve chce się z tobą widzieć.

Z pióra Eugenii spadła kropla atramentu i trafiła w sam środek odpowiedzi skierowanej do zdesperowanej damy, którą los pobłogosławił parką bliźniąt.

– Niech to szlag, to już trzeci list, który dziś spaskudziłam! Czy możesz powtórzyć to, co powiedziałaś?

– Przyszedł pan Reeve – obwieściła Susan. – Jak pewnie pamiętasz, tydzień temu posłałyśmy do niego Penelope Lumley. To była awaryjna sytuacja.

– Oczywiście, że pamiętam. To ten wykładowca z Oksfordu z dwójką osieroconego przyrodniego rodzeństwa, które chce sam wychowywać – odparła Eugenia.

– Pewnie też są z nieprawego łoża, tak samo jak on. – Susan oparła się o biurko, żeby chwilę poplotkować. – Ale to nie wszystko. Zeszłej jesieni jego narzeczona porzuciła go przed ołtarzem. Pewnie dotarło do niej w końcu, jak ten związek wpłynie na jej reputację.

– Jego ojciec to hrabia Gryffyn – odparła Eugenia. Nie musiała dodawać, że Reeve jest bogaty do obrzydliwości, ale miało to spore znaczenie. Agencja guwernantek to nie organizacja charytatywna.

– Jest tak arogancki, jakby sam był hrabią. Na wszystkich patrzy z góry, jakby uważał, że to naturalne.

Eugenia wzruszyła ramionami. Niestety, połączenie penisa z przywilejami wywierało fatalny wpływ na małych chłopców, ale nic się na to nie dało poradzić.

Bez odpowiedniej guwernantki nie mieli szans na normalność. Eugenia sama wyrosła w domu, który był dumny ze swej ekscentryczności, więc była gorącą zwolenniczką poprawności i konwenansu w życiu.

Zdecydowanie ułatwiały życie nie tylko jej podopiecznym, ale i wszystkim naokoło.

– Do tego jest nieprzytomnie przystojny, co też pewnie ma jakieś znaczenie – dodała Susan. – Podejrzewam, że zawsze dostaje to, czego chce. Od wszystkich z wyjątkiem tej damy, która go rzuciła – dodała z satysfakcją.

Bogaty, uprzywilejowany i przystojny, a do tego kawał drania: z punktu widzenia Eugeniei była to recepta na katastrofę rodzinną. Zgniotła poplamiony list i wyrzuciła go do kosza.

– Nie mogę uwierzyć, że skarżył się na Penelope.

Niektóre z pracownic Eugeniei były mocnymi, nawet nieco przerażającymi kobietami, które bez trudu radziły sobie z dziećmi zepsutymi jak ryba po tygodniu na słońcu. Można było na nie liczyć.

Inne promieniowały ciepłem i serdecznością, której tak potrzebowały sieroty. Penelope Lumley była słodka jak cukiereczek i równie mało ekscytująca. Ale Eugenia uznała, że pogrążone w żałobie dzieci potrzebują miłości, nie podnieć, a oczy Penelopy zachodziły łzami na samą myśl o dwójce maluchów porzuconych na progu brata, którego nawet nie znały.

– Powiedział Ruby, że zwolnił ją z posady – wyjaśniła Susan. – Dosłownie w ten sposób. A Penelope przysłała liścik, w którym to potwierdza. Cały zalany łzami.

– Czy napisała, co się konkretnie zdarzyło?

– Przekreśliła kilka linijek, a potem rozmazała je łzami. Trudno coś odczytać, poza wzmianką o szarańczy. Może chodziło jej o coś w rodzaju plagi biblijnej.

Nic dziwnego, że panna Lumley odwoływała się do Biblii. Agencja pani Snowe specjalizowała się z wynajdowaniem guwernantek z rodzin pastorów, ponieważ damy te często miały doskonałe wykształcenie i maniery, a brakowało im jedynie posagu.

– Biblia chyba nie wspomina o pojedynczych owadach – stwierdziła Eugenia.

– Nie mam pojęcia – odparła Susan z przekornym uśmiechem. – Nauki ojca jakoś mi wyleciały z głowy.

Eugenia pochyliła się i wymierzyła jej kuksańca.

– Właśnie dlatego nigdy nie posyłam cię do pracy w charakterze guwernantki.

Gdyby ktoś próbował ciebie wyrzucić z posady, to ty nasłababyś na niego szarańczę. Pewnie będę musiała się z nim zobaczyć, ale nie dam mu kolejnej guwernantki.

– Podejrzewam, że Penelope nie wytrzymała nerwowo – stwierdziła Susan, wstając i wygładzając suknię. – Jest naprawdę wrażliwa, czasem aż za bardzo.

– Ale to nie powód, by ją odsyłać – odparła twardo Eugenia. – Jest świetną guwernantką, w sam raz dla tych dzieci.

Pan Reeve powinien podziękować swej szczęśliwej gwiazdzie, że w ogóle mu posłała jakąś guwernantkę – nieważne jak bardzo wrażliwą. Jego odwiedziny oznaczały jednak, że nie doceniał wartości guwernantek z Agencji Snowe.

Matka, do której właśnie pisała – podobnie jak nieszczęsna Winnie – należała do licznej grupy klientek błagających o pomoc. Pan Reeve został potraktowany na specjalnych prawach ze względu na sieroctwo dzieci.

Agencja Snowe's Registry była najbardziej elitarną ze wszystkich biur tego rodzaju. Wiedzano, że tamtejsze opiekunki zajmą się dzieckiem aż do zamążpójścia lub do osiągnięcia dojrzałości. Eugenia czuła się zobowiązana wobec „swoich” dzieci. Zdarzało się, że rodzina bankrutowała, ale guwernantka zostawała na swoim miejscu do końca; jej pensję wypłacała agencja.

Ale tym razem guwernantka po prostu nie spodobała się rodzinie. Co należało zrobić w takiej sytuacji? Eugenia nie mogła marnować czasu i zmuszać swoich pracowników do dodatkowych podróży po całej Anglii, bo jakiś kłopotliwy klient uznał, że jego podopieczni zasługują na kogoś lepszego niż Penelope Lumley.

– Zaproś go do środka – powiedziała, wstając zza biurka. Podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na Cavendish Square.

Co roku zaklinała się, że zacznie częściej bywać na świeżym powietrzu i zażywać więcej ruchu. Ale w Agencji Snowe dzień pędził za dniem, jak na karuzeli. Mieszkała zaledwie kilka kroków od biura, co oznaczało, że często pracowała do późna w noc, a po powrocie do domu od razu padała na łóżko.

Susan wyszła, a w chwilę później drzwi otworzyły się znowu.

– Pan Reeve – zaanonsowała Ruby.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o gęstych włosach barwy brandy i nieco ciemniejszych, ciemnomiedzianych brwiach.

Był szczupły, ale surdut tak opinał jego ramiona, że na pewno kryły się pod nim mięśnie. W dodatku ktoś mu kiedyś złamał nos.

W niczym nie przypominał klientów, którzy zwykle pojawiali się w eleganckim salonie pani Snowe. Emanowała z niego zupełnie inna energia niż z matek, które zazwyczaj ją odwiedzały.

Eugenia nagle uświadomiła sobie, że gapi się na niego, a jej myśli wędrują w kierunku, którego od wielu lat nie obierały.

Od śmierci Andrew.

Co ją obchodzi kształtne uda tego człowieka!

Nie wolno jej o tym myśleć. Na litość boską, przecież to klient! Ale jak on...

Nieważne.

Wcale jej to nie interesowało.

3

Ward wszedł do gabinetu pani Snowe i zatrzymał się w pół kroku.

Nigdy w życiu nie widział guwernantki z taką burzą miedzianych drobnych loczków na głowie, uroczo zaokrągloną figurą i wargami o kilka tonów ciemniejszymi niż włosy. Wargi te były pełne i kuszące, pomimo że aktualnie zaciśnięte w cienką kreskę.

Ward nigdy nie zwracał szczególnie uwagi na suknie, ale pamiętał, że jego guwernantki ubierały się na szaro i czarno jak smętne wrony.

Pani Snowe miała na sobie jasnożółtą kreację, która podkreślała jej piersi. Tak fantastyczne, że aż trudno było uwierzyć.

Delikatny podbródek, prosty nos... w końcu spotkali się wzrokiem.

Spoglądała tak samo jak jego dawne guwernantki.

Była zła jak osa, pewnie dlatego, że zwolnił pannę Lumley. Pod opanowaną fasadą dosłownie kipiała z gniewu.

Pani Snowe niewątpliwie była kiedyś guwernantką. Przyjrzała mu się dokładnie i dopatrzyła się licznych wad.

Ukrył uśmiech. Guwernantki, które w dzieciństwie odchodziły z domu jedna po drugiej, z jego powodu oczywiście, również nie były zainteresowane jego problemami. Fakt, że istnieje typ kobiet, które z bezwzględną szczerością oceniają mężczyzn, był zaskakująco pocieszający.

Eugenia wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu. Wprawdzie pan Reeve okazał się kompletnym głupcem, zwalniając jedną z jej guwernantek, ale nie miał nic wspólnego z nieoczekiwaną falą pożądania, jaką w niej obudził.

Chciała ruszyć ku niemu, ale zanim zdążyła zrobić pierwszy krok, sam

podszedł do niej sprężystym krokiem.

– Witam, pani Snowe. – Wyciągnął rękę niespiesznie, z pewnością siebie, którą doskonale znała.

Trudno, żeby było inaczej. Doskonale pamiętała ją z dzieciństwa. Krótko mówiąc, pan Reeve, podobnie jak jej ojciec, uważał się za najbardziej inteligentną osobę w tym gabinecie.

Dotknęła jego palców, planując, że natychmiast cofnie rękę i złoży elegancki dyg. Arystokratyczne pochodzenie właścicielki w dużej mierze stanowiło o popularności agencji pani Snowe. Nie sposób było o tym zapomnieć...

Zamknął jej dłoń w mocnym uścisku i potrząsnął.

...chyba że ktoś nie miał o niczym pojęcia.

Skinął jej głową z uprzejmością zarezerwowaną dla służby wyższego rzędu. Jak dla gospodyni domowej. Albo – na przykład – dla guwernantki.

Nie wpadło jej do głowy, że może nie wiedzieć o jej pochodzeniu. Wprawdzie nie znali się osobiście, ale ich ojcowie przyjaźnili się ze sobą. Chociaż teraz jej się przypomniało, że wiele lat spędził za granicą... może na studiach?

– Miło pana poznać – odparła, cofając rękę. Słyszac jej akcent, nawet najbardziej tępi tatusiowie orientowali się w końcu, że należy do śmietanki towarzyskiej.

Do pana Reeve'a wyraźnie to nie dotarło. Rozejrzał się po gabinecie z leniwym zainteresowaniem.

– Mnie również, dziękuję – odpowiedział i pochylił się, by obejrzeć z bliska niewielką statuetkę z brązu, która wyszła spod ręki Celliniego.

– Chciałbym od razu przejść do rzeczy, pani Snowe.

Wyprostował się i odwrócił, a czysta męska siła zawarta w tym ruchu przeszła ją jak błyskawica. – Byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli pominąć formalności.

Bez dwóch zdań, stał przed nią jeden z tych nielicznych klientów, którzy nie mieli pojęcia, kim była.

W ogóle.

Co za fascynujące uczucie.

Jej status społeczny przyciągał klientów: była córką arystokraty i wdową po

arystokracie. Olbrzymi spadek, jakim dysponowała, też miał pewne znaczenie, ale głównie chodziło o ród. Tylko i wyłącznie dlatego uznano ją za ekscentryczkę, kiedy zaczęła prowadzić swoją agencję, zamiast wykluczyć ją z tego powodu z towarzystwa.

Choć szczerze mówiąc, kilka osób uważało, że hańbi swoje nazwisko. Jednak i oni musieli pogodzić się z tym faktem, bo jej ojciec był markizem, a zmarły mąż synem wicehrabiego.

Za to pan Reeve uznał ją chyba za zwykłą guwernantkę.

Eugenia z niesmakiem zauważyła, że ten człowiek ją drażni. Co za absurd. Przecież to tylko kolejny klient, którego należy ułagodzić albo unicestwić, w zależności od sytuacji. Raczej unicestwić, zważywszy na to, że zrezygnował z usług Penelope.

Będzie grzeczna lub stanowcza jak zwykle. Nie był przecież pierwszym rodzicem, któremu odmówiła guwernantki, i na pewno nie ostatnim.

Usiadła i skinęła głową.

– Może pan spocznie?

Opadł na krzesło naprzeciwko niej.

– Domyślam się, że już pani wie o zwolnieniu panny Lumley. Potrzebuję kogoś innego.

– Czy mógłby mi pan zdradzić powody swojego niezadowolenia?

– Nie ma sensu wdawać się w szczegóły – odpowiedział, postukując palcami o krzesło. – To miła kobieta, ale się nie nadaje.

– Panna Lumley to nie szklanka mleka, które można odesłać do kuchni, bo skwaśniało – zauważyła Eugenia.

– „Skwaśniało” pasuje do niej jak ulał. Przede wszystkim, nie winię pani za nic. Jej zresztą także nie. Winę za kwaśny charakter panny Lumley ponoszą wyłącznie jej rodzice.

Od kiedy to wykładowcy z Oksfordu mieli gardłowe głosy, które budziły w kobietach różne myśli? Oczywiście nie w Eugeniu, była daleka od tego. Jednak nie zmieniało to faktu, że wszyscy jej nauczyciele mówili gładko i potoczyście, a Reeve gardłowo.

– Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej o brakach, jakie pan dostrzegł w

pracy panny Lumley?

– Brak jej siły woli, żeby poradzić sobie z moim rodzeństwem. – Na jego twarzy pojawił się cień zniecierpliwienia. – Pogodziłbym się z tym, gdyby Lizzie i Otis ją lubili, ale tak nie było. Na pewno ma pani jakąś inną guwernantkę, prawda? Mówiono mi, że pracują u pani najlepsze.

– Owszem – odparła. – Ale zasadniczo nie zmieniam pracownic na posadach. Ponieważ nie odpowiadała panu panna Lumley, sugeruję, żeby poszukał pan guwernantki gdzie indziej. Mogę pana skierować do kilku innych renomowanych agencji.

Zwykły klient po takim oświadczeniu wpadłby w panikę, ale Eugenia właśnie zrozumiała, że pan Reeve nie ma w repertuarze tego uczucia.

– Wolałbym, żeby pani dała mi kogoś nowego. – Jego wargi wygięły się w uśmiechu, od którego...

Eugenia przez sekundę walczyła z prostym faktem, że od tego uśmiechu jej serce zabiło szybciej.

– Proszę mi wybaczyć, panie Reeve, ale chyba nie rozumie pan, na jakich zasadach działa Agencja Snowe. – Wiedziała, że brzmi jak pompatyczna idiotka, ale co miała zrobić? Chyba nic nie wiedział ani o niej, ani o jej firmie.

– Obawiam się, że ma pani rację.

Błysk humoru w jego oczach był wyjątkowo irytujący, ale nie raz w życiu spotykała mężczyzn, którzy jej nie doceniali.

– Moje guwernantki są doskonale wyszkolone i bardzo poszukiwane – wyjaśniła. – Są nieodzowne w szanowanych domach.

Bywało tak, że rodzice, którym odmówiła guwernantki, ukrywali swoje dzieci na wsi i udawali, że nie istnieją. Zrobiła krótką przerwę, żeby podkreślić swoją decyzję.

– Nie mogę panu zaproponować innej guwernantki.

Pan Reeve nawet nie mrugnął okiem.

– Na pewno ma pani kogoś innego. Nie mieliśmy się okazji poznać osobiście, zanim przysłała nam pani Działdziej... to znaczy, pannę Lumley, ale...

Eugenia przerwała mu w pół słowa.

– Działdziej?!

– Dzieci jakoś jej nie polubiły – powiedział przepraszająco.

– „Dziamdzia” to bardzo pogardliwe przezwisko.

– Jestem prawie pewny, że nie zwracały się tak do niej bezpośrednio. Chyba myślał, że to wystarczy, bo dodał: – Jak już mówiłem, nie poznaliśmy się osobiście, zanim panna Lumley pojawiała się u nas w domu. Przyjechałem do Londynu, by się upewnić, że następna guwernantka będzie się lepiej nadawała na tę posadę. Szczerze mówiąc, potrzebuję połączenia tresera lwów z magiem.

– Po pierwsze, to niemożliwe. Po drugie, zdaje się, że pan chciałby zatrudnić kolejną guwernantkę z mojej agencji. Obawiam się jednak, że musi pan poszukać treserki lwów u kogoś innego.

W odpowiedzi posłał jej kolejny łobuzerski uśmiech – jeden z tych, które sprawiają, że kobieta zrobi wszystko.

– Czy mógłbym najpierw opowiedzieć pani trochę o tych dzieciach?

Eugenia była pełna podziwu dla tej kobiety, która porzuciła go przed ołtarzem. Musiała być cnotliwa i zimna jak lód, żeby wytrzymać do ślubu, nie ulegając temu uśmiechowi. Ewidentnie tak było, bo go zostawiła.

Taki człowiek nigdy nie zostawiłby w spokoju kobiety, z którą choć raz się kochał. Była o tym przekonana.

Westchnęła w duchu. Co w nią dziś, do licha, wstąpiło? To pewnie efekt nieruszania się z biura przez kilka ostatnich tygodni. Powinna się przewietrzyć.

– Lizzie ma dziewięć lat – opowiadał pan Reeve. – Stale dramatyzuje i zdradza nienaturalne zainteresowanie śmiercią.

– Jak to się objawia? – spytała Eugenia.

– Na przykład nosi czarną woalkę.

Eugenia przez długie lata wysłuchiwała opowieści o dziwactwach dzieci, ale to było coś nowego.

– Wiem, że takie welony noszą tylko wdowy w żałobie – kontynuował – ale większość dziewięciolatek nie doprowadza swoich guwernantek do omdlenia, robiąc sekcję królika na stole w pokoju dzieciennym.

– Czy to znaczy, że pokroiła go na kawałki?

– Właśnie. Choć obawiam się, że panna Lumley bardziej zaniepokoiła się próbą wywołania ducha królika – dodał pan Reeve, jakby to ostatnie nie było

niczym dziwnym.

– Oczywiście – stwierdziła Eugenia. – Rozumiem, że próba się nie powiodła? Błysk uśmiechu pana Reeve sprawił, że w jej brzuchu zapłonął żar.

– Nie odnotowano zjawy królika, jeśli o to pani pyta. Otis, brat Lizzie, ma osiem lat i zachowuje się o wiele normalniej. Jesienią pójdzie do Eton, ale ponieważ żadne z dzieci nie pobierało do tej pory edukacji, musi najpierw nadrobić braki.

Eugenia bujała myślami wśród króliczych duchów, ale jego słowa przywróciły ją do rzeczywistości.

– Nie pobierało edukacji?

Jak to, czy te dzieci wychowywały się wśród wilków? W liście Reeve napisał, że potrzebuje guwernantki, a nie cudotwórcy.

– Formalnej edukacji – poprawił. – Oboje potrafią czytać. Otis jest chyba niezły z matematyki. Kilka dni temu zorganizował w stajni zakłady, prawidłowo obliczając stawki.

– O co były?

– O to, który koń wyprodukuje najwięcej kup. Zbierał półpensówki od wszystkich stajennych.

Prawdziwy dżentelmen nigdy nie wspominał o odchodach w obecności damy, ale naturalnie pan Reeve nie uważał jej za damę.

– Trwało to do chwili, gdy odkryli, że Otis fundował wybranemu przez siebie wierzchowcowi porcję marchwi w środku nocy. Pieniądze zostały zwrócone – dokończył pan Reeve.

– Mój wuj należy do policji rzecznej. Mogę go poprosić, żeby przemówił Otisowi do rozsądku. Czy pański brat został poinformowany, że dżentelmen nie może przyjmować pieniędzy od stajennych, choćby zakłady były najbardziej pasjonujące na świecie?

– Słuszna uwaga – zgodził się pan Reeve. – Może powinienem wyjaśnić, że nasza matka przez ostatnich dziesięć lat należała do wędrownej trupy teatralnej.

Na litość boską...

Eugenia wiedziała, podobnie jak cała śmietanka towarzyska, że pan Reeve był synem hrabiego z nieprawego łoża. Ale informacja o tym, że jego matka została

aktorką, nie była publicznie znana.

Kiedy wyjdzie to na światło dzienne, pan Reeve zostanie usunięty z towarzystwa i nikt go nie będzie nigdzie zapraszał. Zresztą raczej mu na tym nie zależało. Pewnie dlatego nigdy się nie spotkali, a do niego nie dotarły plotki o owdowiałej arystokratce, która otworzyła agencję.

Pewnie był tak arogancki, że nie dbał o to, co o nim myślą w towarzystwie.

Nie. Arogancja oznacza, że ktoś przesadnie ocenia swoją wartość. A Eugenia była przekonana, że Reeve po prostu uczciwie porównuje się z innymi.

– Czy guwernantki z Agencji Snowe pracują wyłącznie dla bogatych, utytułowanych rodzin? – zapytał. W jego męskim głosie zabrzmiała nuta, od której nerwy Eugenii zapłonęły pierwotną reakcją... poczuła się jak królik przydybany przez lisa.

Tylko że ona nie była królikiem.

Rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Oczywiście, że nie. Moje guwernantki pracują w niejednym nietypowym domu. Na przykład trzy z nich wychowują pięcioro dzieci księcia Clarence w Bushy Park.

W jego oczach błysnęło rozbawienie i niebezpieczeństwo minęło.

– Jestem o wiele przyzwoitszym człowiekiem od Clarence'a. W moim domu nie ma odpowiednika jego uroczej Dorothei.

Serce zabiło jej szybciej na tę swobodną, prowokacyjną wzmiankę o kochance księcia krwi.

– Spodziewa się pan współczucia z powodu tego niedostatku? – To była kiepska riposta, ale tylko na taką było ją stać.

Ward nie powinien się droczyć z ogólnie szanowaną, byłą guwernantką, ale pani Snowe nie sposób było się oprzeć. Jej policzki, różowe jak płatki peonii, były najpiękniejszą rzeczą, jaką widział od wielu tygodni.

Poza tym była wdową. Nigdy nie flirtował z mężatkami ani ze swoimi pracownikami, ale ona przecież nie należała do służby, nawet jeśli jej słono płacił za łzawe usługi Dziamdzi.

– Pewnie nie powinienem wspominać o swojej samotności – mruknął przepraszająco. Pachniała słodko i ulotnie... chyba jeżynami. Leśnymi owocami

o słodkim zapachu, ale kwaśnym smaku, gdy się je rozgryzło.

– Dżentelmeni nie roztkliwiają się nad brakiem towarzystwa. A nadto nie wspominają o odchodach w obecności dam.

Wybuchnął śmiechem. Faktycznie, była kwaśna i słodka zarazem.

– Niech zgadnę. Myśli pani, że przydałaby mi się porządna guwernantka.

– Dla pana jest już za późno – odparowała gładko. – A co więcej, obawiam się, że dla pańskiego rodzeństwa również. Jak pana brat da sobie radę w Eton, jeśli wcześniej niczego się nie uczył?

– Otis nauczył się wszystkiego błyskawicznie – wyjaśnił. – Oboje są nieprzeciętnie inteligentni. – Po przerwie dodał niechętnie. – Choć w zasadzie nie znam żadnych dzieci w ich wieku.

Uśmiechnęła się do niego, chyba po raz pierwszy.

Cała jej twarz zmieniła się od tego uśmiechu.

Całe jego ciało, włącznie z najbardziej intymnymi częściami, zapłonęło żarem. Pani Snowe miała oczy, nos, podbródek... tak samo jak każda inna kobieta. Ale kiedy się uśmiechała, jej twarz była najpiękniejsza na świecie.

Może wcale nie była taka jak inne.

Czerwone wargi. Cera jak z porcelany. Włosy koloru płonących jesiennych liści. Właśnie coś mówiła. Powinien jej słuchać, ale zamiast tego...

Co on właściwie, do diabła, wyprawiał?

Płonął z namiętności do guwernantki... a raczej byłej guwernantki. Chyba zwariował. Przynajmniej była wdową; gdyby pożądał mężatki, spaliłby się ze wstydu przed samym sobą.

W towarzystwie Mii nigdy nie ogarniało go takie szaleństwo...

Na tę myśl westchnął z ulgą.

To wszystko wina jego byłej narzeczonej. Czuł się odrzucony. Ta niezwykle fala pożądania była reakcją na tamto nieoczekiwane, przykre zdarzenie.

Pewnie dlatego tak mocno biło mu serce, którego uderzenia rozprzestrzeniały się po całym ciele, docierając aż do...

Logiczna reakcja.

Mniej więcej.

Lubił się kochać, więc tych kilka miesięcy abstynencji w okresie

narzeczeństwa wpłynęło na jego reakcje. Powinien wziąć sobie kochankę.

Albo umówić się z jakąś wesołą, miłą trzpiotką. Taką, która zrobiłaby to wyłącznie dla pieniędzy i byłaby zaskoczona przyjemnością, jaką by jej dał.

Z trudem skupił się na chwili obecnej.

– Panna Lumley jest w stanie nauczyć oboje wszystkiego, co powinni wiedzieć – mówiła pani Snowe. – Świetnie uczy łaciny, historii oraz etykiety, jak również niezwykle ważnych umiejętności praktycznych, jak prowadzenie domu, gra w tenisa i pieczenie ciast.

– Pieczenie ciast! – wykrzyknął. – Dlaczego, u licha, uczyć dzieci akurat tego?

Obserwowała, jak na twarzy pana Warda pojawia się urażony grymas. Susan miała rację. Rzeczywiście trochę przypominał hrabiego.

– Zapewniam panią – oświadczył – że moje rodzeństwo nie potrzebuje umiejętności kucharskich. Jako dziecko miałem liczne guwernantki, ale żadna z nich nie zapuszczała się do kuchni.

– Wszystkie dzieci wychowywane przez moje guwernantki uczą się piec ciasta – wyjaśniła. – Wymaga to koncentracji, precyzji oraz grozi poważnymi urazami. Dzieci to uwielbiają.

– Uczy pani małych arystokratów gotowania dla przyjemności?

– Owszem, ponieważ pewnego dnia będą zarządzać własnymi posiadłościami. Uśmiechnął się przekornie.

– Noże. Ogień. Podejrzewam, że to by mi się spodobało.

– Podejrzewam, że był pan wyjątkowo psotny – stwierdziła, nie mogąc się powstrzymać.

– Zwykle mówiono, że jestem nieznośny – przytaknął. Ten błysk w jego oczach powinien być karalny. Przeszywał ją dreszczem od głów do stóp.

Oczywiście, od czasu do czasu spotykała różnych mężczyzn. Czasem coś w układzie ich ramion i refleksy słońca na włosach przypomniały jej emocje, jakie przeżywała, gdy po raz pierwszy zobaczyła swojego męża.

Tym razem nie było żadnych lśniących loków. Pan Reeve wyraźnie nie dbał o swoje brązowe kędziory. Pewnie nie miał nawet lokaja.

Z całą pewnością nie, skonstatowała, spoglądając na jego fular zawiązany na

zwykły dziecienny supeł, a nie w węzeł godny dżentelmena.

– Ciasta pani Snowe to coś w rodzaju znaku rozpoznawczego – dodała pośpiesznie. – Mogą się przydać, gdy Lizzie i Otis będą chcieli się dogadać z kolegami w szkole.

Pan Reeve wzruszył ramionami.

– Oni nie mają pojęcia o manierach i są bardzo zdziwieni, kiedy ktoś nie chce przebywać w ich towarzystwie. Obawiam się, że umiejętność upieczenia biszkoptu nie zadziała jak magiczny talizman.

– Więzi społeczne to rezultat wspólnych doświadczeń – wyjaśniła. – W normalnych układach żadne z tych dzieci nie będzie musiało nigdy więcej w życiu brać do ręki kuchennych przyborów, choć być może dzięki swoim umiejętnościom zyskają szacunek służby. Chcę przez to powiedzieć, panie Reeve, że powinien pan z powrotem przyjąć pannę Lumley, jeśli zgodzi się do was wrócić.

Wyglądał, jakby zaraz miał się jej sprzeciwić.

– Na moje guwernantki czeka w tej chwili dwadzieścia rodzin – dodała. – I chyba oboje zdajemy sobie sprawę, że jest pan w awaryjnej sytuacji.

– Panna Lumley się nie nadaje.

– Wymieniam guwernantki jedynie w skrajnych przypadkach – odparła i widząc, że uniósł brew, dodała: – Na przykład, kiedy jedna z nich w czasie wolnym wysłuchała niezwykle porywającego kazania i następnie ślubowała zrezygnować z tańców i posługiwania się językiem francuskim, przeniosłam ją do rodziny kwaków.

– Taka akurat by mi nie przeszkadzała – stwierdził pan Reeve. – Lizzie i Otisowi przydałaby się powtórka z dziesięciu przykazań, szczególnie tego, które nakazuje by szanować brata swego, szczególnie starszego.

– I które do tego nie istnieje – uzupełniła Eugenia. – Ale mnie chodzi o to, że nikt nie odsyła guwernantki z mojej agencji tylko dlatego, że mu się nie spodobała. Kwestia gustu nie wchodzi tu w grę.

– Zalewa się łzami jak zepsuta fontanna – odparł chłodno pan Reeve.

Eugenia zmrużyła oczy.

– Takich porównań nie należy stosować do moich guwernantek. W żadnym

wypadku.

– Moje rodzeństwo niedawno straciło matkę. – Posłał jej proszące spojrzenie, które nie oszukało jej nawet przez moment. Susan miała rację. Ten człowiek był przyzwyczajony, że zawsze dostaje to, czego chce, i nie miał żadnych skrupułów co do sposobu, w jaki to uzyskiwał.

– Łkająca ciągle guwernantka, która mdleje przy najmniejszym stresie, to łagodnie mówiąc, kłopotliwa osoba.

Eugenia poczuła się nieco nieswojo.

– Wiem, że panna Lumley ma słabe nerwy, ale nie spodziewałam się, że przejawia się to nieustannym płaczem.

– Proszę uwierzyć mi na słowo. To nie jest dobry przykład dla Lizzie. Moja siostra i tak za bardzo fascynuje się śmiercią.

– Nie może pan winić panny Lumley, że zemdląła na widok patroszonego królika. To raczej brudna robota.

Wzruszył ramionami.

– Wszyscy pozostali jakoś się utrzymali na nogach.

Mówił to wyzywająco, jakby spodziewał się, że Eugenia od razu potępi jego siostrę, ale ona nawet nie próbowała ukryć uśmiechu.

– Mam wrażenie, że Lizzie to niezwykła i bardzo interesująca osobka. Materiał na przyrodniczkę.

O mało nie przyznała się, że sama w dzieciństwie interesowała się matematyką, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Moja siostra opracowała niezwykle interesującą teorię dotyczącą formowania się kości i krwiobiegu. Jestem niemal pewny, że się myli, ale nie o to chodzi.

– Przykro mi, że nie mogę... – zaczęła Eugenia, ale jej przerwał.

Pan Reeve trafnie odgadł, że właśnie miała mu ostatecznie odmówić. Jego twarz zmieniła się całkowicie: gdzieś zniknęło poczucie humoru, a wargi zacisnęły się w cienką kreskę. Pochylił się i spojrzał jej w oczy.

– Te dzieci nie mają żadnej rodziny ze strony ojca, ale ich babka ze strony matki, księżna Gilner, ma szansę zostać ich opiekunką. I to spore, zważywszy na moje pochodzenie.

– Rozumiem – odpowiedziała. I rzeczywiście dobrze to rozumiała. Jej Wysokość była wielce nieprzyjemną starszą panią. Wszyscy w towarzystwie bali się jej ciętych komentarzy.

– Próbowła siłą zabrać woalkę Lizzie. Znalazłem siostrę dopiero po kilku godzinach, na strychu. Otis ma domowego zwierzaka, Jarvisa, do którego jest bardzo przywiązany. Babka zażądała, żeby się go pozbył.

Eugenia spochmurniała.

– Pies lub kot może się okazać świetnym towarzyszem dla dziecka w żałobie. Jeśli pan chce, mogę...

Znowu jej przerwał.

– Jarvis to szczur.

– Szczur – powtórzyła bezradnie. Panicznie bała się gryzoni, bo w dzieciństwie o mało co nie umarła na gorączkę po ugryzieniu szczura.

– Jeśli Jarvis wyląduje w stajni, Otis przeniesie się tam za nim – stwierdził pan Reeve. – Nie mam doświadczenia rodzicielskiego, ale dobrze wiem, że zrobiła błąd, wyrywając Lizzie tę woalkę.

Eugenia skinęła głową.

– Ich babka to prawdziwa wiedźma, pani Snowe. Już zdążyła wygłosić opinię, że dzieciom należy się porządne lanie, żeby doszły do siebie. Nieważne, czy mówiła serio. I bez tego jest nieodpowiednią opiekunką dla dzieci, które w ciągu kilku miesięcy straciły najpierw ojca, a potem matkę.

– Trudno temu zaprzeczyć – przytaknęła Eugenia i dodała: – Żadna z moich guwernantek nie stosuje kar cielesnych, bez wyjątków.

– Naprawdę potrzebuję guwernantki – naciskał, wpatrując się jej w oczy pełnym mocy spojrzeniem. – Obiecała mi to pani, kiedy podpisywaliśmy umowę na usługi panny Lumley. Kobieta, która bez przerwy zalewa się łzami, nie przekona Izby Lordów, że mój dom to odpowiednie miejsce dla Lizzie i Otisa. Poza tym potrzebuję guwernantki o mocnych nerwach, która będzie potrafiła postawić się księżnej, gdy przyjedzie z wizytą.

Miał rację.

– Uznałam, że Penelope Lumley nadaje się do tej pracy, bo to bardzo serdeczna osoba i idealny wzorzec dobrego wychowania – wyjaśniła Eugenia. –

Już rozumiem, dlaczego się nie sprawdziła. Znajdę kogoś na jej miejsce.

Zawahała się.

– Czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć o dzieciach? Mają osiem i dziewięć lat, prawda?

– Tak.

– Może mi pan powiedzieć coś więcej o tej woalce?

– Jest z czarnej koronki i opada Lizzie aż na ramiona. Zdejmuje ją tylko na posiłki i sekcje zwłok.

Eugenia poczuła ukłucie smutku, przypominając sobie, jak bardzo w dzieciństwie brakowało jej matki.

– Pewnie bardzo brakuje jej mamy – szepnęła.

– Na to wygląda – odparł pan Reeve.

Trochę dziwnie to zabrzmiało.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby znaleźć dla pana nową guwernantkę – zapewniła go i wyciągnęła rękę. – W ciągu trzech dni, nie dłużej.

Potrząsnął nią energicznie.

– Bardzo dziękuję, pani Snowe. Zjawię się w poniedziałek.

4

Wczesne popołudnie, dwa dni później

Eugenia przyglądała się projektowi reklamy usług agencji, który Susan położyła jej na biurku.

Na samej górze napisano ozdobnym, pełnym zawijasów pismem: „Agencja pani Snowe... dostawca usług dla dworu królewskiego”.

Poniżej artysta nakreślił jej profil, wśród innych licznych zawijasów.

Był nawet trochę podobny, choć jej pokojówka nie rozpoznałaby tego ciasnego koczka. Eugenia lekko dotknęła włosów, jakby chciała się upewnić, że jej loki nie zmieniły się w węzowe sploty, czyniąc z niej skrzyżowanie Meduzy i guwernantki.

Niechętnie godziła się na wykorzystywanie swego wizerunku, ale jej agencja zawdzięczała sukces temu, że prowadziła ją wdowa po prawdziwym lordzie.

Serce jej się ścisnęło nagle, bez żadnego uprzedzenia. Dlaczego akurat ona musiała zostać wdową? Nawet po siedmiu latach wydawało jej się to niemożliwe. Andrew na pewno zaraz wejdzie przez te drzwi...

– Alithea Midge zgodziła się towarzyszyć panu Reeve’owi w Oksfordzie, ale pod warunkiem, że będzie jej płacił dodatek za przenosiny do czasu rozpoczęcia jesienno semestru, kiedy jego brat wyjedzie do Eton.

– Świetnie – odparła Eugenia, wracając myślami do rzeczywistości.

– Wyślę wiadomość do pana Reeve’a z prośbą, by zjawił się u nas jak najwcześniej – dodała Susan. – Czy mam przekazać wiadomość przez posłańca?

– Przez posłańca. I obciąż kosztami jego rachunek – zdecydowała.

Ta niezwykła fascynacja panem Reeve’em na pewno była efektem

przemęczenia. Kiedy wszedł do pokoju i błysnął oczami, jej po prostu zakręciło się w głowie.

Nic dziwnego, że na myśl o ponownym spotkaniu zrobiło jej się trochę słabo. Oczywiście, będzie spokojna, chłodna i profesjonalna.

– Jasne – potwierdziła Susan. – A teraz czas na sherry.

Podeszła do szafki po przeciwnej stronie gabinetu. Od lat miały zwyczaj wypijać wspólnie po kieliszku wina na koniec dnia pracy.

Czasem trudno było odpowiednio dobrać guwernantkę i rodzinę, a jeszcze trudniej odpowiadać na błagalne listy guwernantek pisane w tydzień po objęciu posady, pełne próśb o poradę. Każda z nich potrafiła poradzić sobie z moczeniem się do łóżka, ale co zrobić na przykład z sikaniem po ścianach?

Agencja Snowe, czyli innymi słowy Susan z Eugenią, musiała udzielać wyważonych rad. W tym przypadku trzeba było aż dwóch kieliszków sherry, by zdecydować, którą ze ścian pokoju dziecinnego należy poświęcić na jakiś czas i jakiego przekupstwa użyć, by zwabić młodego człowieka na nocnik.

– Czasem się zastanawiam, jakie to dziwne, że jesteśmy tak dobrymi przyjaciółkami – powiedziała Susan, gdy usadowiły się obie przed otwartymi balkonowymi drzwiami wychodzącymi na ogród.

– Dla mnie to wcale nie jest dziwne – odparła Eugenia.

– Mój ojciec był dziedzicem, ale ty przecież jesteś z arystokracji.

Eugenia wzruszyła ramionami.

– Zapomniałaś, że był zwykłym lordem Strange, zanim został markizem Broadham. I to pierwsze nazwisko znacznie lepiej do niego pasowało^[1].

– Tak czy owak, naprawdę jesteśmy przyjaciółkami, więc możemy sobie mówić prawdę w oczy, jak to między bliskimi osobami. Najwyższy czas, żebyś poszukała sobie męża.

– Wiesz, co by się stało, gdybym drugi raz wyszła za mąż? – spytała Eugenia, pociągając solidny łyk sherry. Zapieкло ją gardło.

– Przychodziłabyś do pracy z uśmiechem i podkrążonymi oczami?

– Susan!

Niepokorna Susan wzruszyła ramionami.

– Gdy tylko odwrócę się od ołtarza, mój mąż zostanie właścicielem agencji. A

także spadku po matce, posagu, jaki dostałam od ojca, i majątku, jaki zapisał mi Andrew. Dostanie też dom, który Andrew dla nas kupił przed ślubem.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Kobieta nie ma prawa posiadać żadnego majątku. Do diabła, nie po to zbudowałam najlepszą agencję guwernantek w całej Anglii, żeby oddać ją jakiemuś facetowi, żeby się nią bawił wedle swego uznania albo sprzedał, gdy się znudzi.

Eugenia spostrzegła, że jej głos stał się wojowniczy i piskliwy.

Susan wychyliła kieliszek do końca i odstawiła go na bok.

– Jasne.

– Co jest takie jasne?

– Że nie chcesz po raz drugi wychodzić za mąż.

– Musisz przyznać, że mam dobre usprawiedliwienie.

– Naturalnie nie podoba mi się, że jakiś mężczyzna miałby zarządzać agencją. Ale czy koniecznie musisz być sama do końca życia? Samotna?

– Nie – odparła ostrożnie Eugenia.

– Musisz wziąć sobie kochanka – oświadczyła Susan. – Dyskretnie, żeby nie zaszkodzić reputacji firmy. Nie możesz tak żyć, Eugenio. Pracujesz dniem i nocą. Nikt tego nie wytrzyma.

– Zastanowię się nad tym – odpowiedziała, zaskakując samą siebie. Wiedziała w duchu, że coś musi się zmienić w jej życiu. Agencja i budowanie jej sukcesu były poważnym wyzwaniem.

Ale teraz jej firma była najlepsza w całym Londynie.

A ona potrzebowała nowych wyzwań.

Z drugiej strony, wiedziała, że w dalszym ciągu może bez trudu przebierać w kawalerach i wdowcach.

Więc co to za wyzwanie?

5

Wieczorem, tego samego dnia Fawkes House Wheatley koło Oksfordu

Ward odłożył pióro i ziewnął. Pracował cały dzień i połowę nocy nad przyłączeniem maszyny parowej do walca nawijającego bele papieru, dzięki któremu zrobił fortunę.

Gdzieś w głębi domu rozległo się skrzypienie, gdy budynek stygł po wyjątkowo ciepłym, wiosennym dniu.

Inne skrzypnięcie sprawiło, że podszedł do drzwi biblioteki.

– Wybierasz się do kuchni? – spytał chudego duszka w białym gieźle, który spływał ze schodów.

– Nie – odpowiedziała jego siostra Lizzie z cierpliwością osoby, która klaruje komuś oczywisty fakt. – To nie są przecież schody kuchenne, prawda?

Ward otworzył szerzej drzwi i zrobił jej przejście.

W dzieciństwie przez wiele bezsennych nocy wędrował po rezydencji ojca. Zdaje się, że jego rodzeństwo miało podobne nawyki. Szli do łóżka o zwykłej porze i mocno zasypiali – do czasu.

– Przyszłam, żeby z tobą porozmawiać – odpowiedziała spokojnie i weszła do biblioteki.

– Czy wolno mi wyznaczyć, jak się cieszę, że mogę cię oglądać bez woalki?

– Mama zawsze powtarzała, że nie należy kwestionować kreacji damy, szczególnie jeśli są oryginalne.

– Nie nosiłabyś jej, gdybyś nie chciała zwracać na siebie uwagi – mruknął, również sadowiąc się na kanapie.

– Noszę ją, bo nie widzę powodu, żeby pokazywać światu moją twarz. Zakonnice też tak uważają.

– Myślałem, że noszą welony dlatego, że są oblubienicami Chrystusa.

– Welon to pożyteczna rzecz – upierała się Lizzie. – Na przykład, gdybym chciała hodować pszczoły, prawda? Tak czy owak, chcę porozmawiać z tobą o jednej ważnej rzeczy.

– Słucham – odparł. Nie widział nigdzie Otisa, ale poprzedniego wieczoru chłopiec przesiedział kilka godzin w bibliotece w związku z pułapką na myszy, którą właśnie budował.

– Postanowiłam, że powinienes się ożenić – oświadczyła. Bez woalki wyglądała jak śliczne dziecko, które dorówna urodą swojej matce, gdy dorośnie. I być może nie wyrosnie na kompletną wariatkę, w odróżnieniu od lady Lisette.

– Wolałbym nie – sprzeciwił się jej. Postanowił być szczery wobec dzieci, a przynajmniej nie kłamać prosto w oczy. O ile pamiętał, lady Lisette posiadała niezwykle talent do naginania prawdy. Uznał, że warto, by Otis i Lizzie poznali też inne wzorce.

– Otis potrzebuje matki.

Chłopiec, młodszy od Lizzie zaledwie o rok, nie był jedyną osobą w tym domu, której obecność kobiety bardzo by się przydała. Może powinien w tym momencie wspomnieć o swojej macosze, ale obawiał się że Lizzie zrozumie to inaczej – że on zamierza pozbyć się ich obojga natychmiast, gdy rodzice wrócą ze Szwecji.

I zostawi je na progu rezydencji swojego ojca.

Nawet mu to w głowie nie powstało.

Choć prawdopodobnie jego ojciec i macocha byliby doskonałymi zastępczymi rodzicami, gdyby udało się wreszcie usunąć z drogi księżnę Gilner z jej prawnikami. Pod warunkiem że tyle by nie podróżowali. Niestety, ciągle byli w drodze.

– Moim zdaniem ludzie nie powinni zawierać małżeństw z rozsądku – zmienił temat.

– A jest jakiś nierozsądny powód?

– Miłość.

– Mogę to zrozumieć – odpowiedziała po chwili. – Można się przecież pomylić. Jeden ze stajennych powiedział Otisowi, że dostałeś od swojej narzeczonej niezłego kopa w jaja. To nie mogło być przyjemne.

– Nie całkiem tak było – mruknął i zaraz dodał: – Damy nie używają słowa „jaja”.

Wzruszyła ramionami.

– Uciekanie się do przemocy to dowód braku gustu. Dobrze, że się z nią nie ożeniłeś.

– Też tak uważam – potwierdził, zastawiając się, czy byłoby to bardzo niewychowawcze, gdyby wstał i golnął sobie brandy prosto z karafki.

– Ażeby ją pokręciło – zaklęła Lizzie i dodała: – Mogę ci pomóc.

– Żeby ją pokręciło?

– Nie, w znalezieniu żony.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – odparł z powagą. – Mam jednak nadzieję, że damy sobie radę sami. Naturalnie, z pomocą guwernantki.

– Żona przekonałaby Otisa, że nie umrzesz w samotności. No, wiesz, bo jesteś całkiem sam. Nie masz rodziny.

Znowu wrócili do tematu śmierci. Zawsze się na tym kończyło. Poprzedniego wieczoru wiedli długą dyskusję, czy dla tygrysów jest osobne niebo, gdzie na śniadanie serwuje się im gazele, czy też tygrysy muszą w niebie pościć.

Lizzie oświadczyła wtedy, że to nie byłoby żadne niebo, gdyby tygrysom zabroniono jedzenia. Temat był śliski, i Ward nie bardzo wiedział, co z nim zrobić. Co gorsza, miał poczucie, że chodzi jej nie tylko o tygrysy.

Ale tym razem miał lepsze argumenty.

– Nie jestem przecież sam – oświadczył. – Opowiadałem ci, że mam ojca i jego drugą żonę, a do tego jeszcze przyrodnie rodzeństwo? Poznacie ich, gdy tylko wrócą ze Szwecji. Naturalnie jest też babcia.

– Nie lubię jej – rzuciła chłodno.

– Moja rodzina wraca do Londynu za trzy miesiące.

Nie tęsknił za nimi zbyt wiele.

– Nie zapomniałaś przypadkiem, że wczoraj wprowadziliśmy zakaz mówienia o śmierci przez następny tydzień?

– To nie był żaden zakaz – odpowiedziała. – Tylko sugestia.

To było właśnie sedno całego problemu. Wszyscy w tej rodzinie mieli we krwi coś, co zmieniało zakazy i zasady w sugestie.

– Mam nadzieję, że jutro przywiozę wam nową guwernantkę.

– Działdzia miała dobre serce – odparła Lizzie, jakby rozmawiała o niedawno zmarłej znajomej. – Tylko skupiała się na drobiazgach, zamiast na ważnych sprawach.

Ward odniósł dziwne wrażenie, że świat stanął na głowie. Zanim poznał Lizzie, zawsze rozumiał, o co chodzi w poprawnie zbudowanych angielskich zdaniach.

– Jakich ważnych sprawach? – zapytał.

– Zdenerwowała się tymi zakładami Otisa, zamiast dostrzec w nich ducha przedsiębiorczości i oryginalność.

– Uważała, że to nieetyczne.

– To przecież drobiazg. Mogła na to spojrzeć z szerszej perspektywy. Zrozumiałaby, że Otis się boi i dlatego gromadzi pieniądze pod materacem.

Ward milczał.

Ponieważ rzadko docierały do niego podszepty własnego instynktu, uważał, że należy się nimi kierować zawsze, gdy się pojawiały. Pochylił się ku siostrze siedzącej na drugim końcu kanapy, przyciągnął ją do siebie i objął ramieniem. Zesztywniała na moment, ale po chwili jej kościste ciało przytuliło się do niego.

– Czy mogłabyś uprzejmie powiedzieć swojemu bratu, że jeśli chodzi o szerszą perspektywę, to dysponuję naprawdę olbrzymią fortuną. I że zmieniłem już swój testament tak, że wy dwoje wszystko po mnie odziedziczycie?

W pokoju zapanowała kompletna cisza, kiedy Lizzie zastanawiała się nad jego słowami.

Po chwili Ward spojrział na nią. Zasnęła. Ciemne rzęsy rzucały cień na bladą cerę. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, bo rzadko miał okazję widywać ją bez tego przeklętego welonu.

Zapowiadała się na wielką piękność. Teraz jednak była za chuda, a na jej buzi malowało się napięcie, nawet we śnie.

Taka matka jak ich może budzić tylko gniew. Każdy przyzna, że była okropna. Tylko że nie ma co z tym gniewem zrobić, skoro umarła. Ward wziął Lizzie na ręce i zaniósł ją na górę do łóżka.

6

Poniedziałek, 20 kwietnia
Agencja Snowe

Ward wszedł do gabinetu pani Snowe rozdrażniony jak głodny tygrys tropiący ofiarę w wysokich trawach. Gdyby miał ogon, smagałby się nim po bokach.

Czekała na niego obok foteli ustawionych tak samo jak poprzednim razem. Wpadające przez okno słońce opromieniało jej elegancką sylwetkę. Ogniste włosy upięła na czubku głowy w sposób, który kusił, by powyciągać te wszystkie szpilki i rzucić jej na ziemię.

Od razu poczuł się lepiej. Napięcie w okolicach kręgosłupa gdzieś się rozeszło. Nic dziwnego, że jej agencja była najlepsza: człowiek miał instynktowne poczucie, że ta kobieta, pełna stonowanej energii i przenikliwej inteligencji, potrafi rozwiązać każdy problem.

Podeszła ku niemu i wyciągnęła rękę do powitania.

– Dzień dobry, panie Reeve. Jak się pan miewa? Jak tam Lizzie i Otis?

– Jakoś przeżyliśmy tych kilka dni, pani Snowe. Czy mogę mieć nadzieję, że znalazła pani dla nas guwernantkę?

Kiwnęła głową.

– Myślę, że tak. Nazywa się Alithea Midge. Z trudem wyobrażam sobie ją płaczącą z jakiegokolwiek powodu. Co ważniejsze, posiada pełne kwalifikacje, by przygotować Otisa do szkoły na jesień.

Wzięła z biurka stos papierów i poprowadziła Warda ku fotelowi.

– Proszę spokojnie przeczytać umowę. Chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

Usiadł, ale nie wziął się do czytania.

– Czy różni się czymś od umowy dotyczącej usług panny Lumley?

– Tak. Wynagrodzenie panny Midge jest o wiele wyższe niż panny Lumley. Nie tylko ze względu na jej większe doświadczenie, ale na konieczność wyedukowania pańskiego brata do poziomu akceptowanego w Eton, i to do września.

– Brzmi uczciwie – stwierdził Ward, przeglądając kilka pierwszych stron.

– Zapewnia jej też więcej wolnego czasu niż zwykle przyznaje się go guwernantkom.

– Agencja nie pobiera wyższej opłaty? – spytał, spoglądając na ostatnią stronę.

Pani Snowe pokręciła głową.

– Moje honorarium zawsze jest takie samo, niezależnie od sytuacji. My nie tylko znajdujemy pracę guwernantkom, ale też udzielamy im wsparcia podczas ich pobytu u rodzin. Niektóre potrzebują więcej pomocy, inne mniej. Wszystko się w końcu wyrównuje.

– To brzmi logicznie.

– Ponieważ guwernantka musi poradzić sobie z pańską sytuacją domową oraz z dziećmi, dostosowałam jej pensję do tej trudnej sytuacji. Pana Lumley pobierała opłatę za opiekę nad dwójką kruchych, kochanych sierotek, które potrzebowały opieki. Bardzo dobrze się do tego nadawała.

Ward uśmiechnął się w duchu.

Pani Snowe potrafiła mówić wprost, ale jej oczy błyszczały z rozbawienia. Podejrzewał, że gdyby była obecna przy wywoływaniu króliczego ducha, zamiast zemdleć, wybuchnęłaby śmiechem.

– Lizzie i Otis nie są ani kruchymi dziećmi, ani kochanymi sierotkami – przytaknął. – Zgadzam się z pani oceną, że panna Midge zasługuje na specjalne uposażenie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Te dzieci mają szczęście, że trafił im się taki opiekun.

– Nie powiedziałbym, że mają szczęście. – W jego głosie zabrzmiała twarda nuta. – Ich teatralna trupa dotarła na mój próg w trzy miesiące od śmierci ich

matki. Dosłownie porzucili je na moim progu. Do tego czasu nie miałem pojęcia o ich istnieniu.

Nie dodał, że wątpi, czy ich matka darzyła je uczuciem, a nawet czy je dobrze traktowała.

Eugenia myślała, że jego oczy są brązowe... teraz jednak pociemniały i przypominały odcieniem palony bursztyn.

Co oczywiście nie miało nic do rzeczy.

– Czy mogę zapytać, w jaki sposób zmarła wasza matka?

– Dzieci powiedziały mi, że zachorowała na płuca i odeszła po dwóch dniach. Napisała do mnie list z poleceniem, żebym się nimi zajął, i razem z nim przesłała testament swego męża, w którym jest taki sam zapis. Poleciała też dyrektorowi teatru, żeby przywiózł mi dzieci, gdy tylko trupa znajdzie się w pobliżu Oksfordu.

Eugenia poczuła, jak budzi się w niej gniew. Nie mogła jednak winić pana Reeve za zachowanie jego matki

– A ojciec dzieci... – przerwała i dodała oględnie: – Rozumiem, że także zmarł. Czy pan go znał?

– Tak – odparł Reeve z kamienną twarzą.

– Lizzie i Otisowi niełatwo będzie wejść w towarzystwo z takim pochodzeniem.

To było niedopowiedzenie. Pan Reeve był bastardenem i zdaje się, że jego podopieczni mieli podobny problem. Na szczęście był obłędnie bogaty, a jego ojciec był hrabią, więc wszędzie go przyjmowano. Tyle że on nie miał ochoty bywać w towarzystwie.

Niestety, jego młodszy brat i siostra nie będą w tak dobrej sytuacji. Otisa czeka złe traktowanie w Eton, a Lizzie nie ma żadnych szans, by dobrze wyjść za mąż.

Pan Reeve odchrząknął.

– Być może pamięta pani, że wicehrabia Darcy zmarł ponad dwa lata temu. Był żonaty z moją matką – oświadczył ponuro.

Eugenia otworzyła usta ze zdziwienia.

Wicehrabia Darcy?

Nieżyjący wicehrabia narobił wielkiego zamieszania w towarzystwie, gdy w wieku piętnastu lat uciekł z domu w towarzystwie o wiele starszej od siebie kobiety, która była córką księcia. Para zniknęła bez śladu i słuch o niej zaginął do chwili, gdy rok temu rozeszły się wieści o śmierci wicehrabiego.

Towarzystwo obiegła następnie seria niesmacznych – a nawet obrzydliwych – plotek o kusicielce, która wywiodła go z rodzinnego domu. Matka oskarżała ją o śmierć Darcy’ego i bez oporów dzieliła się tą opinią z całą socjetą.

– Lord Darcy! Pańska matka – to znaczy matka tych dzieci...

Zacisnął szczęki.

– Była to lady Lisette Elys, córka czwartego księcia Gilner. W odróżnieniu ode mnie Lizzie i Otis są potomstwem z prawego łoża, choć był to związek zawarty w Gretna Green^[2], a zatem dość niecodzienny.

Jasne.

To zmieniało całą sytuację.

Ale czy na pewno? Lizzie i Otis byli dziećmi kobiety powszechnie uważanej – szczerze mówiąc – za kompletną wariatkę. Eugenia nie wiedziała, że lady Lisette spędziła dziesięć lat w wędrownej trupie teatralnej, ale pamiętała, z jakim oburzeniem omawiano uwiedzenie nieletniego chłopca przez tę damę.

Miała wtedy ponad trzydzieści lat, a lord Darcy prawie o połowę mniej. Londyn huczał od plotek przez długie miesiące.

– Przykro mi – odpowiedziała, o ułamek sekundy za późno.

– Naturalnie tożsamość naszej matki wyjdzie na jaw, gdy dzieci zostaną wprowadzone w towarzystwo. Nie mam żadnej nadziei, że uda się to ukryć.

– To bardzo dziwne, że nikt nie rozpoznał lady Lisette na scenie.

– Spytałem o to dzieci. Jak się okazało, ufarbowała włosy i zawsze miała na scenie makijaż.

Eugenia poczuła absurdalne pragnienie, by rozproszyć jego smutek, ale przed prawdą nie było ucieczki. Lady Lisette była wprawdzie fascynującą osobą, ale w ten niedobry sposób. Nikt nie chciałby mieć w rodzinie kogoś takiego.

– Po przyjeździe dzieci musiałem zrezygnować z wykładów w Oksfordzie – dodał tonem bez wyrazu. – Uniwersytet ma swój kodeks moralności. I tak przymykali oko na nielegalny związek moich rodziców. Jednak matka, opisana

w prasie jako najgorsza szumowina z rynsztoka, byłaby kroplą, która przepelnia czarę.

– Nie powiem o tym nikomu – obiecała.

– Dziękuję, pani Snowe. Kobieta, która ma tyle kontaktów, mogłaby rozpowszechnić tę plotkę bez potrzeby przesiadywania w sali balowej Almacka. Nigdy tam zresztą nie byłem.

Eugenia bywała tam dość często.

– Podejrzewam, że dobrze pani o tym wie, ale niczym nie różni się pani od prawdziwych, wysoko urodzonych dam, które poznałem. Nie mówię tego z wyższością – dodał, pograżając się coraz bardziej.

– Dziękuję za ten komplement – odparła, zapamiętując tę scenę, by powtórzyć ją swemu ojcu, markizowi. Będzie ryczał ze śmiechu na wieść, że jego córka nie różni się od prawdziwych dam.

Odchrząknęła.

– Pewnie pan już o tym wie, ale sekretne małżeństwo pana matki oznacza, że Otis prawomocnie dziedziczy tytuł i majątek swego ojca.

Aktualny – a raczej niedawny – wicehrabia był krępyim człowieczkiem o rzadkiej bródce, która upodabniała go do sympatycznego kozła.

Pan Reeve skinął głową.

– Sąd Kanclerski mianował mnie opiekunem po otwarciu testamentu zmarłego lorda Darcy’ego. Aktualny właściciel majątku zrzekł się do niego prawa, ale będzie zajmować posiadłość do chwili, gdy Otis osiągnie dojrzałość.

– Nie chce pan tam zamieszkać?

Pan Reeve pokręcił głową.

– Mam własną obszerną posiadłość i wiem, że on dobrze sobie radzi. Naturalnie moi ludzie będą mieli wszystko na oku, ale wygląda na to, że były wicehrabia naprawdę lubi tamtejszych mieszkańców i utrzymał dom i ziemię w dobrym stanie. Nie chciałbym za jednym zamachem zabierać mu tytułu, ziemi i zajęcia.

Eugenia skinęła głową.

– Niestety, babka dzieci ze strony matki, księżna Gilner, złożyła w Izbie

Lordów wniosek o prywatne postępowania, które ma na celu odebranie mi opieki nad dziećmi i majątkiem na jej rzecz.

– Z powodu pana nieprawego pochodzenia? – spytała. Jej Wysokość była nieugięta, jeśli chodziło o zasady przyzwoitości. Szczerze mówiąc, należała do małej grupki majątnych wdów, które uważały, że Eugenia nie powinna obracać się w towarzystwie, skoro zaczęła prowadzić firmę.

– Dokładnie tak. Pod koniec czerwca odbędzie się przesłuchanie w odpowiedzi na jej wniosek.

– Jej Wysokość to potężna kobieta – odrzekła ostrożnie Eugenia.

Wygiął wargi w smutnym uśmiechu.

– Zastanawiałem się już, czyby nie ożenić się z jakąś damą – wszystko jedno z kim, byle z damą – żeby zatrzeć kwestię mojego pochodzenia, ale nie jestem w stanie się do tego zmusić.

– To nie byłoby łatwe w sytuacji, kiedy miałby pan na to zaledwie tydzień albo dwa – odparła, nie pozwalając sobie na uśmiech.

Ta sytuacja nie była zabawna.

No, może trochę.

– Wątpię, żeby kwestia pana pochodzenia wystarczyła do obalenia testamentu lorda Darcy’ego – stwierdziła. – Rozumiem, że Sąd Kanclerski postępuje zgodnie z życzeniem rodziców, gdy tylko jest to możliwe.

– Owszem, ale w zeszłym roku wylądowałem w więzieniu. Uwięzienie było niezgodne z prawem, zaaranżowane przez wuja mojej narzeczonej, ale księżna chce je wykorzystać, żeby pozbawić mnie prawa do opieki.

– To straszne – odpowiedziała. Odeszła ją chęć do śmiechu.

– Księżę Pindar, mąż mojej byłej narzeczonej, będzie świadczył na moją korzyść.

Eugenia zmrużyła oczy.

– Wydaje mi się dziwne, że księżna Gilner w swej arogancji arbitra śmietanki towarzyskiej kompletnie ignoruje fakt, że jej jedyna córka uciekła z lordem Darcy, gdy miała zaledwie piętnaście lat.

– Pewnie mógłbym wykorzystać to przeciwko niej, ale wolałbym podważyć jej roszczenia inaczej – przedstawiając jego testament. Jeżeli będę w stanie

udowodnić, że potrafię wychować dzieci w sposób odpowiedni dla ich statusu społecznego, powinno się respektować życzenie ich ojca.

Eugenia miała wrażenie, że dobra guwernantka nie będzie wystarczającą przeciwwagą w wojnie z arogancką starszą panią, ale nie mogła nic na to poradzić.

– Rozumiem, że złożył pan w imieniu Otisa prośbę o przyjęcie do Eton?

– Zrobiłem coś lepszego – odparł pan Reeve z tym swoim szybkim, przelotnym uśmiechem. – Przekazałem bardzo dużą darowiznę, aby upamiętnić jego ojca. Darcy był ledwie dwa lata wyżej ode mnie.

Więc pan Reeve uczył się w Eton razem ze swoim przyszłym ojczymem. Świat jest naprawdę mały. I dziwny.

– Kiedy mój brat opanuje łacinę, bez trudu przejdzie Eton – dodał. – Prawdziwym problemem jest Lizzie. Też mógłbym ją posłać do szkoły, ale nie będzie pasować do innych dziewcząt.

Eugenia podejrzewała, że to bardzo złagodzona opinia.

– Skąd Lizzie ma ten welon?

Ward wziął głęboki oddech. Nienawidził mówić – a nawet myśleć – o matce, ale nie miał innego wyjścia.

– Był własnością lady Lisette. Częścią kostiumu uszytego do roli lady Makbet.

Oczy pani Snowe złagodniały ze współczucia.

– Biedna mała.

Ward nie był pewny, dlaczego Lizzie nosi ten welon. Nie chciała mu powiedzieć. Obawiał się jednak, że nie miało to nic wspólnego z tęsknotą za matką. Lizzie mówiła o niej wyłącznie jako o „lady Lisette”, co wyraźnie świadczyło o jej uczuciach.

Pani Snowe odchrząknęła.

– Rozumiem, że wasza matka nie grywała drugoplanowych ról.

– O ile wiem, lady Lisette grywała tylko heroiny. Takie jak Kleopatra. Mam szczęście, że Lizzie nie nosi pozłacanej egipskiej tiary, by uczcić pamięć matki.

– Panna Midge to elastyczna, twórcza osoba – stwierdziła pani Snowe, jakby sama siebie chciała o tym upewnić. – Wyślę ją do pana jutro. Przyjedzie późnym

popołudniem.

Z tymi słowy wstała i ruszyła ku drzwiom. Ward ruszył za nią, patrząc zafascynowany, jak kołysze biodrami.

Najchętniej by...

Nie.

Była szanowaną wdową. W głowie nie powstałaby jej myśl o romansie. To było widać na odległość.

Pani Snowe zatrzymała się przy drzwiach.

– Zapewniam, że panna Midge z przyjemnością pozna pana podopiecznych

– Czy będzie mdlała na widok wnętrzności? – spytał, choć podejrzewał, że Lizzie nie planuje przeprowadzania kolejnych sekcji zwłok.

– Spokoju Alithej Midge nie zburzyłyby nawet wydarzenia z Apokalipsy św. Jana – odparła pani Snowe. – Prawdopodobnie zaprosiłaby Czterech Jeźdźców na herbatę.

Z tymi słowy otworzyła drzwi, sugerując, że czas się pożegnać.

– Lizzie i Otis dadzą sobie radę – zapewniła, na moment przykrywając jego dłoń swoją. – Dzieci niezwykle elastycznie dostosowują się do niezwykłych warunków. Można wręcz powiedzieć, że nadmiar wygody w dzieciństwie to przepis na nudnych i nużących dorosłych.

– To dobrze wróży na przyszłość.

– Czy jeszcze coś pana trapi, panie Reeve?

Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć jej wszystko: że Lizzie wybucha gniewem, a nie rozpaczą, że Otis ani słowem nie wspomina o matce i ma obsesję pieniędzy, że Lizzie jest przekonana o swoich magicznych mocach, a Otis nie miał oporów przed kradzieżą pieniędzy, zamiast je zarobić – choć dżentelmen nie powinien parać się ani jednym, ani drugim.

Pokręcił głową.

– Nie. Dziękuję pani.

Może i pani Snowe była guwernantką, ale miała maniery damy. Może była córką pastora.

Na przykład potrafiła złożyć głęboki ukłon.

Co za biust.

Żaden mężczyzna nie byłby w stanie go zignorować.

Co jeszcze dziwniejsze, wyciągnęła dłoń nie do uścisku, ale do pocałunku, jakby właśnie rozstawali się na balu.

Ward pobierał nauki u najlepszych – gwarantowała to pozycja jego ojca – więc skłonił się nisko i ucałował jej dłoń.

Musnął wargami jej skórę i znowu pochwycił ten ulotny zapach. Słodkie leśne jeżyny, kobiece ciepło...

– Co pan powiedział, panie Reeve? – spytał nieco zakłopotany głos.

Czyżby odezwał się na głos?

Wyprostował się natychmiast, jak żołnierz na przeglądzie.

– Jestem niezwykle zobowiązany za pani wyrozumiałość i szczodrość – wygłosił, pewnie przesadnie.

Ale uśmiechnęła się znowu, więc chyba wszystko było w porządku.

To niesłychane, do jakiego bełkotu musi zmusić się mężczyzna, byle tylko zobaczyć znowu ten uśmiech.

7

Następnego dnia Fawkes HouseWheatley

Cyrus Gumwater, lokaj Warda, nie przypominał wyniosłego, pełnego godności pokojowca, jakiego można by się spodziewać w takiej rezydencji. Był wysoki i chudy, a czarne brwi, nadające mu dziki wygląd, rozprzestrzeniały się w górę i na boki, mniej więcej tak samo jak włosy.

– Przyjechała panna Midge – obwieścił.

– Proszę ją wprowadzić – odparł Ward, podnosząc wzrok znad schematu maszyny parowej.

Pani Snowe spełniła obietnicę i od razu przysłała nową guwernantkę. Miał wrażenie, że ta kobieta zawsze dotrzymuje słowa.

– Panna Midge odpoczywa po podróży.

Po tych słowach nastąpiła znacząca przerwa, więc Ward odłożył pióro.

– Spytała, gdzie jest kort tenisowy, a gdy odpowiedziałem, że niezbyt nadaje się do użytku, oświadczyła, że należy go naprawić jutro, a najpóźniej pojutrze.

– Pani Snowe wspominała mi o tenisie – przytaknął Ward.

To dziwne, jak często o niej myślał. Owszem, była urocza. Nawet piękna. I zmysłowa. Sama myśl o tym, jak jej suknia opinała krągłe biodra, sprawiała, że...

Słowo honoru, zachowywał się jak smarkacz. Powinien pojechać do Londynu i zrobić to co wszyscy: wybrać sobie tancerkę z opery, która mu się spodoba, i kupić jej dom w Knightsbridge.

Tylko nie może wybrać rudowłosej, bo to by było...

Nie.

Gumwater dalej marudził na temat kortu i w końcu Ward zaczął rozumieć prawdziwy sens jego narzekań. W odróżnieniu od panny Lumley, która absolutnie dostosowała się do zasad panujących w tym domostwie, panna Midge już na wstępie rzuciła im wyzwanie.

Stoczyła pierwszą potyczkę z Gumwaterem, który przegrał.

Co za dziwne imię. Alithea Midge.

Ciekawe, jak ma na imię pani Snowe. Pewnie jakoś dziwacznie. Z doświadczenia wiedział, że ludzie z pogranicza socjety mają zawsze wymyślne imiona.

Pewnie Georgette albo Marguerite. Albo Wilhelmina.

Rosamund. To by do niej pasowało, a szczególnie do tych włosów. Taka ekstrawagancja by do niej pasowała. Coś bardziej egzotycznego niż imiona nadawane prawdziwym arystokratkom.

Georgette Marguerite Wilhelmina Snowe – czy jak tam ją nazywano – była wysoka jak na kobietę. Przywodziła na myśl dziki kwiat o aksamitnych, lekko rozszczepionych płatkach i głębokim zapachu.

Drzwi otworzyły się i weszła wysoka, szczupła kobieta w granatowej sukni, z dyskretnym srebrnym krzyżykiem na szyi. Sprawiała wrażenie pozbawionej emocji i nieprawdopodobnie kompetentnej.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że pani Snowe miała rację. Panna Midge nie będzie przelewała łez.

Ward wstał. Jej uścisk dłoni był krótki i rzeczowy.

– Otrzymałam komplet informacji – oświadczyła, jakby meldowała się do służby na okręcie wojennym.

– Rozumiem. – Ward poczuł się nieswojo.

– Pokątne zakłady należy odwołać. Dżentelmeni nie czerpią zysków z półpensówek zbieranych wśród osób niższych stanem. To typowe. Oczywiście, wulgarne inklinacje należy wykorzenić jak mlecze z frontowego trawnika.

– Moja matka nosiła welon po śmierci ojca – kontynuowała. – Rozumiem osoby, które chcą zasłaniać twarz w okresie żałoby. Pozwolę więc nosić welon, ale nie w czasie ożywionej aktywności fizycznej.

Ward spróbował wyobrazić sobie siostrę biegnącą po tenisowym korcie, ale bez powodzenia.

– Jestem prawie pewny, że ani Lizzie, ani Otis nie potrafią grać w tenisa.

– Dołożę wszelkich starań – powiedziała, nieoczekiwanie ujmując ponownie jego dłoń, by nią potrząsnąć. – Podejrzewam, że potrafię czynić prawdziwe cuda, choć do tej pory nie zostałam do tego wezwana, więc nie mam pewności. Pan poddaje nas próbom, by uczynić nas silniejszymi.

Ward nie miał zdania na temat tej części doktryny, ale panna Midge wyraźnie nie oczekiwała akceptacji swoich przekonań. Rzucił więc Gumwaterowi spojrzenie, na które lokaj natychmiast postąpił krok do przodu.

– Chętnie spotkam się teraz z moimi podopiecznymi – oświadczyła panna Midge, Wyraźnie lubiła składać oświadczenia. – Panie Gumwater, będę wdzięczna, jeśli mi pan ich przedstawi.

Lokaj skłonił się Wardowi. Sztywność jego sylwetki sugerowała milczącą urazę.

– Gumwater, mogłabym ci polecić tonik do włosów – dobiegł z korytarza głos panny Midge, gdy wyszli z pokoju. – Dzięki niemu przestałbyś wyglądać jak Samson. Naturalnie przed spotkaniem z Dalilą.

Gdy drzwi się zamknęły, Ward lekko kopnął masywne drewniane biurko, które zajmowało większą część wolnej przestrzeni.

– Wyłaż stamtąd, Otis, i powiedz mi, co o niej myślisz.

Otis wypełzł z kryjówki i stanął na nogi.

– To wasza nowa guwernantka.

– Tak, słyszałem – odparł chłopiec ze spokojem. – Tylko Jarvis nic nie wie, bo spał.

Jarvis był tłustym szczurem o długich wąsikach i bystrych czarnych oczach. Panią Lumley odesłano między innymi dlatego, że uparcie domagała się, by zamieszkał w stajni.

Ward nie przepadał za szczurami, ale nie był głupi. Jarvis i Otis byli nierozłączni. Gdyby Jarvis wylądował w stajni, Otis poszedłby tam za nim.

– Chodź lepiej na górę, zapoznać się z panną Midge – powiedział tylko. – Myśli, że jesteś w pokoju dzieciennym.

Otis nigdy ani jednym słowem nie wspomniał o śmierci matki. Czy to normalne? Ward nie miał pojęcia, jak to powinno być.

Chyba nie był obecny przy jej śmierci. A może cały czas mieszkali razem w teatralnym wozie? Nawet tego nie wiedział. I nie wiedział, czy powinien o to pytać.

Czy lepiej zagłębić się w te straszne chwile, czy pozwolić, by wspomnienia przyćmił czas?

To było pytanie dla osoby, która się zna na takich rzeczach.

8

*Środa, 22 kwietnia 1801
Fawkes HouseWheatley*

Droga Pani Snowe,

Ucieszy się Pani na wieść, że panna Midge już do nas dotarła. Ewidentnie wiąże z moim rodzeństwem wielkie ambicje. Pierwsza potyczka odbyła się wieczorem, kiedy okazało się, że nie nauczono ich modlić się przed snem. Panna Midge zwyciężyła i nasze domostwo nabrało nieco świętości.

Otis pokazał mi zaprojektowaną przez siebie łapkę na myszy, więc jeśli nie uda mu się osiągnąć zawrotnych wysokości, na które chce go wprowadzić panna Midge, będzie mógł zarobić na życie jako szczurołap. O ile się nie mylę, jest na nich wielki popyt w Londynie.

Od chwili przyjazdu ani Lizzie, ani Otis ani razu nie wspomnieli o matce. Czy uważa Pani, że to normalne? Jak Pani wie, lady Lisette słynęła z niekonwencjonalnych opinii i zachowań. Musowała jak szampan i nie doprowadziło to do niczego dobrego. Zwykły jeź byłby lepszą matką.

Najposłuszniejszy sługa Pani

Edward Reeve

PS Uznałem, że ma Pani na imię Georgette albo Rosamund.

Klienci Eugenii czasem pisywali do niej liściki, powiadamiając ją na przykład, gdy syn wygrał turniej tenisowy, albo córka pokonała swoich zalotników w strzelaniu z łuku. Ale ten list był zupełnie inny.

Zastanawiała się właśnie, co odpisać, gdy do pokoju weszła Susan.

– Robię listę rodzin oczekujących na guwernantki. Brakuje nam dwudziestu trzech. Może w przyszłym tygodniu zrobimy następne szkolenie?

– Nie ma innego wyjścia. Chodź, napijmy się sherry i kończmy pracę na dziś. Robi się późno.

Eugenia podeszła do kryształowej karafki, która niegdyś należała do matki Andrewe'a. Nalała dwa kieliszki i podała jeden Susan, razem z listem pana Reeve'a.

– Spójrz na to.

– Ale bezczelny! – wykrzyknęła Susan w chwilę później.

– Dlaczego? – Eugenia opadła na najbliższy fotel i pociągnęła solidny łyk złocistego wina.

– Jesteś porządną wdową.

– Przecież on tylko pyta o radę.

Susan prychnęła i oddała jej list.

– Słowo daję, Eugenio, czasami mi się wydaje, że jesteś stara jak matka Ziemia, a kiedy indziej znowu, że naiwna jak mniszka.

– Pan Reeve chyba sobie nie wyobraża, że mogłabym z nim romansować.

Susan zawyła ze śmiechu.

– A co, może myślisz, że będzie się do ciebie formalnie zalecał? On akurat nie wie, że kobieta o najbardziej nieskazitelnej reputacji w całym Londynie zastanawiała się, czyby sobie przypadkiem trochę nie pogrzeńczyć.

– Pogrzeńczyć?

– Nawiązać uroczą, miłosną znajomość z wybranym przez siebie dżentelmenem – poprawiła się Susan.

– On nic nie wie o mojej reputacji – odparła Eugenia. – Szczerze mówiąc, nie ma zielonego pojęcia, kim jestem. Nigdy w życiu nie był u Almacka. Przypuszcza, że jestem byłą guwernantką, która prowadzi agencję dla swoich koleżanek.

Susan zaczęła chichotać jak oszalała.

– Ty? Guwernantką? Co za bzdura!

– Mogłabym nią zostać, gdyby życie ułożyło mi się inaczej – zaprotestowała

Eugenia.

Trudno było jej sobie wyobrazić, jak ten potężny, przystojny mężczyzna pisze do niej list. Wcale nie chciała, żeby mężczyźni pisywali do niej listy. Popatrzyła na kartkę.

– Słowo daję, nie widzę tu nic nieprzyzwoitego, może oprócz tej dziwnej wzmianki o moim imieniu.

– Możesz mi wierzyć: jeśli pan Reeve nie myśli o tobie jako o ślubnej wybrance, to ten list jest preludium do próby uwiedzenia.

Eugenia nie mogła powstrzymać uśmiechu, więc podniosła tylko szkło i przełknęła ostatnie kropelki sherry. Poczowała ich smak na języku – najpierw jabłkowy, a potem słonawy, jakby ktoś prysnął solą morską.

– Jak myślisz, czy powinnam go wziąć pod uwagę?

– Czemu nie? – Susan wstała, przyniosła karafkę i napełniła kieliszki: najpierw Eugenie, a potem własny. – Ja bym wzięła, gdyby ten typ mężczyzn mi się podobał.

– A co to za typ?

– Szeroka pierś... szczerze mówiąc, za szeroka. – Susan zadumała się. – Jeden z tych bojowych facetów. Pewnie by mnie wziął w ramiona i zaniósł do łóżka. I do tego te włosy. Przyzwoicie uczesani panowie bardziej mi się podobają.

– Naprawdę? Bo ja... – Eugenia zamilkła. Pociągnęła następny łyk wina.

– Te rozczochrane włosy – powtórzyła Susan, poruszając palcami u stóp. – I te oczy... jak gorąca czekolada. Niestety, pan Reeve jest bastardecem, a zatem nie nadaje się dla mnie na męża. Wyobrażasz sobie reakcję mojego ojca?

– Mój ojciec zawsze powtarza, że ważniejsze są osiągnięcia mężczyzny niż okoliczności jego urodzin.

– Pastorzy mają inne poglądy – odparowała natychmiast Susan. – Tym bardziej że ty nie szukasz męża, a do tego pan Reeve napisał do ciebie, a nie do mnie. – Odstawiła kieliszek z głośnym stuknięciem. – Poprosił o profesjonalną poradę w sprawie dwójki zgubionych, przeżywających żalobę podopiecznych, i nie możemy zignorować jego prośby.

– My?

A potem:

– To nie była żadna prośba. Sama nie wiem, co to było.

Susan zignorowała jej słowa.

– Sama mu podpiszę. A potem się zastanowimy, która z nas to podpisze.

Zerwała się z krzesła. Usiadła przy biurku Eugenii i zaczęła pisać. Skrzypieniu pióra towarzyszył jej głos, gdy czytała to, co napisała:

– *„Agencja Snowe, Cavendish Square, Londyn, 23 kwietnia 1801. Szanowny Panie Reeve! Dziękuję za Pański list. Panna Midge jest znakomitą trenerką tenisa, poza innymi umiejętnościami. Spodoba się Panu ta gra: była to jedna z ulubionych rozrywek Henryka Ósmego. Sugeruję, by nie nakłaniał Pan dzieci do zwierzeń na temat matki. Ja wciąż nie lubię mówić o moim mężu, choć zmarł wiele lat temu”*.

– Chyba tego nie napisałaś! – jęknęła Eugenia.

– Owszem, napisałam – odparła Susan i czytała dalej: – *„Wiem przecież, że lady Lisette była również i Pańską matką. Odczuł Pan jej stratę, ale niechętnie pan o tym rozmawia, prawda?”*

– To jest szokujący, niewłaściwy list – zauważyła Eugenia.

– Wcale nie jest niewłaściwy, tylko uroczy. Nie męczy cię czasami konwencjonalna rozmowa?

Eugenia spojrzała na nią znad kieliszka.

– Wyrosłam w domu, gdzie nie rozmawiało się na konwencjonalne tematy, bo były zbyt nudne. W związku z tym nigdy nie mam ich dość.

– Zważywszy, że twój ojciec urządzał co noc dekadenskie przyjęcia w swojej rezydencji, to dziwne, że w końcu wybrał szczęśliwe życie w domowym zaciszu u boku Harriet.

– Harriet nauczyła mnie, jaką radość daje uporządkowane życie – odparła spokojnie Eugenia. – Moje dzieciństwo upłynęło w chaotycznym świecie najbardziej zdemoralizowanych intelektualistów w całej Anglii.

Pokręciła głową w odpowiedzi na chmurną minę Susan.

– Ojciec nie pozwalał na żadne zdeprawowane zachowania w mojej obecności. Był szalenie opiekuńczy, ale dzieci nie są głupie. Instynktownie rozumieją klimat panujący w rodzinie.

– I ta cała dekadencja sprawiła, że cenisz sobie elegancką konwersację – podsumowała Susan.

– Jestem okropnie nudna, prawda?

– Nie. Wręcz przeciwnie. Jesteś damą, która widziała tyle niekonwencjonalnych zachowań, że nabrała odwagi, otworzyła własną firmę i odniosła nieopisany sukces.

Eugenia zaśmiała się, zaskoczona.

– Zrobiłam to tylko dlatego, że zmarł Andrew.

– „Jestem ciekawa, czy Lizzie kładzie się spać w tej walcie” – przeczytała na głos Susan, wracając do listu. – „Jak tam Otis?” – czytała dalej to, co właśnie napisała.

– „Spodziewam się, że panna Midge położyła kres jego bukmacherskim próbom, ale ktoś tak przedsiębiorczy jak on na pewno znalazł sposób, by obejść jej zakazy”.

– Nie wyślemy tego listu – stwierdziła Eugenia.

– Oczywiście, że nie – uspokoiła ją Susan. – Tak tylko żartujemy.

Znowu zanurzyła pióro w kałamarzu.

– Wiesz, lady Lisette naprawdę była wariatką – rzuciła Eugenia. – Gazety wcale nie przesadzały.

– Znałaś ją? – Susan ostrożnie postukała czubkiem pióra w krawędź kałamarza.

Eugenia skinęła głową.

– Widziałam ją tylko raz. Miałam może z dziesięć lat, kiedy przyjechała do nas na przyjęcie. Była piękna, w niepokojący sposób. Miała cudowne błękitne oczy, ale lśniło w nich coś mściwego. Nie minął dzień, a ojciec kazał zaprzęgać i odesłał ją powozem do Londynu. Powiedział, że ona należy do ludzi, którzy popijają spokojnie herbatkę, przysłuchując się odległym jękom dochodzącym z wieży.

Odwróciła się nagle.

– Nie zrobisz tego!

Susan uważnie posypywała list piaskiem, by wysechł.

– Oczywiście że zrobię. Pani Reeve to taki sam klient jak każdy inny. Napisał

list z prośbą o rozwiązanie trudnej sytuacji, w jakiej znajdują się jego sieroteni podopieczni. Ten biedak zasługuje na odpowiedź. Chyba że chcesz, żebym podała jego list.

To byłoby niekulturalne. Choć w sumie ten list też był trochę niekulturalny.

– Dobrze, już dobrze – odparła niechętnie. – Rzeczywiście trzeba było odpisać.

Susan ostatni raz poruszyła kartkę i zamknęła puzderko z piaskiem.

– Będę niecierpliwie oczekiwać jego odpowiedzi.

– Coś ty tam jeszcze dopisała? – spytała podejrzliwie Eugenia. – Końcówki już mi nie przeczytałaś.

– Dodałam tylko, że Agencja Snowe zawsze chętnie udziela wsparcia swoim guwernantkom w potrzebie.

9

29 kwietnia 1801
Fawkes House Wheatley

Droga Pani Snowe!

Pytała Pani o Otisa. Niestety donoszę z żalem, że przyniósł nam wstyd. To normalne, że ośmiolatki tracą zęby, prawda? Otis z wielką satysfakcją odchyła dolną wargę i pokazuje krwawe dziury w szczęce.

Kiedy tylko dzieci zjawiły się w moim domu, Lizzie powiedziała mi, że Otisowi należy płacić za każdy ząb, który mu wypadnie, a następnie palić te zęby, bo w przeciwnym wypadku Otis będzie miał kłopoty w życiu pośmiertnym. Wprawdzie wydało mi się to mało prawdopodobne, ale postanowiłem nie podważać autorytetu Lizzie w sprawach śmierci i jej konsekwencji.

Zatem Otis zaczął pobierać opłaty od mojego lokaja Gumwatera, który w ciągu dwóch tygodni wypłacił mu ekwiwalent za czternaście zębów. Tłumaczył się potem, że nigdy w życiu nie zaglądał małym dzieciom do buzi i nie zamierza tego robić ani teraz, ani w przyszłości.

Wielkie Zębate Oszustwo dobiegło niesławnego końca, kiedy Gumwater zakwestionował w końcu potężny trzonowy, który, jak się okazało, pochodził z pyska byka. Panna Midge słusznie się niepokoi tym nieetycznym występkiem, ale zapewniłem ją, że Otis w końcu nauczy się, jak zarabiać pieniądze w dozwolony prawem sposób. Ta odpowiedź również jej się nie spodobała, gdyż jest głęboko przekonana, że chłopiec powinien zdobywać umiejętności przydatne lordom, takie jak posługiwanie się chusteczką i składanie należytych ukłonów. Niestety, jego umiejętności w tej dziedzinie są raczej niezadowalające.

Nie mam oporów przed rozmową o mojej matce, choć niewiele o niej wiem. Kiedy osiągnąłem dojrzałość, zniknęła wraz z lordem Darcym, więc nawet gdybym chciał z nią nawiązać kontakt, i tak nic by z tego nie wyszło.

Rozumiem, że zgasły lord Snowe był wzorem przyzwoitości i zdrowego rozsądku, w odróżnieniu od zgniłków, jakie rodzi moje rodowe drzewo. Kim był z zawodu? Ponieważ jego odejście nastąpiło wkrótce po Waszym ślubie, więc wyobrażam sobie, że był w podeszłym wieku.

Pewnie chciała Pani zapytać, jak ja mam na imię. Brzmi ono Theodore. W dzieciństwie nazywano mnie Teddy, ale podczas nauki w Eton zrozumiałem, że to zdrobnienie nie sugeruje twardości, jaką musi mieć w sobie dziecko z nieprawego łóża, żeby dać sobie radę w tym świecie. Przyjaciele mówią do mnie Ward.

Pani uniżony sługa

Edward Braxton Reeve

PS Rozumiem, że Pani milczenie oznacza, że nie nazywa się Pani ani Georgette ani Rosamund. To może Wilhelmina? Albo Josephine?

W żadnym wypadku nie należało odpowiadać na ten list. Eugenia nigdy w życiu nie zrobiła czegoś równie skandalicznego, jak ta wymiana korespondencji.

4 maja 1801

Szanowny Panie Reeve!

Agencja Snowe organizuje doroczne przyjęcie tuż przed rozpoczęciem sesji parlamentarnych. Szczytowym punktem wieczoru jest chwila, kiedy każda z moich pracownic staje na stole i wygłasza argumenty przemawiające za przyznaniem jej wychowankowi tytułu Najbardziej Nieznośnego Bachora. Przyznajemy również tytuł Największej Metamorfozy, ale ten konkurs budzi znacznie mniejsze emocje. Rozważam, czy w przyszłym roku w ogóle będę organizować ten pierwszy, bo panna Midge i tak go wygra.

Pana list bardzo mnie rozbawił, nie tylko ze względu na przemyślność Otisa

(choć zgadzam się z panną Midge, że dżentelmeni nie powinni uciekać się do oszustw), ale również z powodu Pana przypuszczeń, że pan Snowe był w podeszłym wieku. Mój mąż był ledwie rok starszy ode mnie. Utonął podczas wypadku na łodzi, co było wielkim ciosem dla wszystkich, którzy goznali.

Doszłam do wniosku, że popełniłam błąd, doradzając, żeby nie rozmawiał Pan z rodzeństwem o stracie matki. Po przeczytaniu Pańskiego listu zorientowałam się poniewczasie, że nikt przy mnie nie wspomina Andrew. Była to tak wielka tragedia, że wszyscy unikali wzmianek o nim w mojej obecności.

*Proszę przekazać pannie Midge serdecznie pozdrowienia ode mnie
Pani Snowe*

13 maja 1801

Droga Pani Snowe!

Znowu zapomniała Pani ujawnić swoje imię. Może to Petunia? Albo Claudette?

Mieliśmy kilka emocjonujących dni, miła Pani, i uważam, że powinna nas Pani odwiedzić, choćby dla podtrzymania reputacji Pani agencji. Spędziłem dwa lata w obu Amerykach, i zapewniam Panią, że od dnia, w którym wydarzyła się pewna Sytuacja, panna Midge nabrała wyraźnego podobieństwa do chorego na wściekliznę szopa, którego widziałem podczas jednej z moich podróży.

W dalszym ciągu zgadzam się z Panią co do jeźdźców Apokalipsy, ale tylko dlatego, że te wydarzenia zostały przepowiedziane w Biblii. Pomimo całego swego doświadczenia panna Midge wciąż nie może się pogodzić z brakiem moralnego kręgosłupa, jaki cechuje moje rodzeństwo.

Aby rozchmurzyć tę szacowną damę, zabrałem ich na ryby nad jezioro, które leży na skraju pałacowego trawnika. Niestety, wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Okazuje się, że wprawdzie moją siostrę fascynują nieżywe stworzenia, ale łagodnie mówiąc, nie obejmuje ona momentu ich śmierci.

Jeden z moich lokajów dostarczy Pani ten list powozem, i to dość wygodnym. Proszę przyjąć moje zaproszenie i przyjechać z nim do Fawkes House, jako mój wielce szanowany gość. Nie muszę chyba dodawać, że dzięki temu

skorzystalibyśmy z Pani doświadczenia.

Zmieniając temat – przykro mi z powodu tragicznej śmierci pana Snowe’a. Dlaczego nie wyszła Pani ponownie za mąż? Może się Pani wydawać, że to nazbyt osobiste pytanie, więc od razu odwołam się do moich doświadczeń: straciłem ochotę do małżeństwa, od kiedy moja narzeczona poślubiła księcia.

Chętnie opowiedziałbym Pani o tym szczegółowo nad szklaneczką brandy – takiej, jaką wczoraj wieczorem wlałem pannie Midge do gardła. Czy udało mi się pobudzić Pani ciekawość?

Nigdy nie uciekam się do błagania, ale teraz Panią błagam o przyjazd. Podobnie jak panna Midge.

Serdeczności

Ward Reeve

– Nie pojedę do Oksfordu – powiedziała Eugenia do Susan – bo to byłoby jak przyzwolenie na schadzkę.

Przez całe dorosłe życie zachowywała się odwrotnie niż jej beztroski ojciec, i w głębi ducha sama była wstrząśnięta swoimi myślami.

Nie bójmy się tego słowa. Były po prostu grzeszne.

– Trudno mi ocenić, jak bardzo paląca jest prośba pana Reeve, bo jak dotąd nie dałaś mi do przeczytania jego listu – zauważyła Susan przekornie.

A kiedy Eugenia zrobiła srogą minę, dodała:

– Wyglądałaś może przez okno? Stoi tam elegancki podróżny powóz barwy bakłazana i czeka na odpowiedź. Jestem pewna, że wyszedł z warsztatu panów Brundela & Fibbsa. Pan Reeve musi być obłędnie bogaty.

– Mam gdzieś elegancję – odparła Eugenia. – Wywołałabym skandal, gdybym do niego pojechała.

– Choć robię to z wielką niechęcią, muszę ci przypomnieć o twoim wieku i stanie cywilnym – odparła Susan. – Nie masz szans na skandal. Możesz spokojnie podróżować bez przyzwoitki, ponieważ jesteś wdową i skończyłaś dwadzieścia lat.

– Cicho bądź – rzuciła z urazą. – Nie mam pojęcia, dlaczego panna Midge ma

z nimi takie problemy.

– Mogę tak poustawiać spotkania, żebyś mogła wziąć dwa dni wolnego. Albo, jeszcze lepiej, ze dwa tygodnie – stwierdziła Susan, nie przyjmując odmowy do wiadomości. – Przez miesiąc praktycznie nie wychodziłaś z biura.

– Napiszę do pana Reeve’a notkę z informacją, że nie odwiedzam podopiecznych – odpowiedziała Eugenia. – Zaniesiesz ją do powozu i odeślesz go z powrotem, dobrze?

Susan wyszła, a Eugenia zasiadła za biurkiem, by napisać surową, krótką ripostę, ale zamiast tego tylko gapiła się w przestrzeń.

Prawdę mówiąc, pan Reeve był męski i niezmiernie kuszący. A ona przez wiele lat przebywała głównie wśród kobiet. Owszem, od czasu do czasu widywała ojców swoich podopiecznych, ale poza tym spotykała się z mężczyznami wyłącznie na balach, choć i wtedy tańczyła nie więcej niż jeden albo dwa tańce, bo otaczały ją młode matki, prosząc o porady.

Za to dorastała w męskim świecie. Przez długie lata mieszkała tylko z ojcem i z jego licznymi, inteligentnymi, wygadanyymi znajomymi.

W duchu przyznawała, że uwielbia zapach mężczyzn. Lubiła dym z cygar, niewybredne żarty i gardłowy śmiech. A nawet ich głupie nawyki.

List brzmiał, jakby napisał go średniowieczny rycerz z wyżyn swego zamczyska. Fawkes House był lennem Warda Reeve’a i gdyby tam się dostała...

Mogłaby nigdy nie wrócić.

Choć to było śmieszne, zadygotała na samą myśl o takim niebezpieczeństwie... i o czymś jeszcze. O czymś o wiele przyjemniejszym.

14 maja 1801

Szanowny Panie Reeve!

Nie, nie zamierzam składać Panu wizyty. Byłoby to niesłychanie niewłaściwe.

Nie wiem, co Pan sobie wyobraża, ale jestem damą i nauczono mnie unikać niewłaściwych kontaktów i korespondencji z mężczyznami. Nie należę do wesołych wdówek.

Powiem Panu tylko tyle, że nie wyszłam ponownie za mąż tylko dlatego, że

moje pierwsze małżeństwo było bardzo szczęśliwe i że do tej pory nie spotkałam nikogo, kto byłby równie atrakcyjny jak mój nieżyjący mąż.

Pewnie domyśla się Pan, że wiem, kim jest Pana była narzeczona. Słyszałam liczne opowieści o tym, jak bardzo księżna Pindar kocha swego męża i że zakochała się w nim jako piętnastolatka, o ile sobie przypominam.

Szczerze mówiąc, uważam, że się Panu udało. Nie potrafię sobie wyobrazić większej samotności niż związek z kobietą, która kocha innego. Albo, tak jak w moim przypadku, z mężczyzną, który kocha inną.

Moja sekretarka prześle pannie Midge nowy modlitewnik. Czy mogę zasugerować, że jeśli osobiste rzeczy panny Midge albo jej osoba były zamieszane w tę Sytuację, mógłby Pan dać jej dzień wolny i powóz do Oksfordu? Zgodnie z umową ma wolne co drugą niedzielę, ale taki wyjątek może bardzo poprawić domową atmosferę.

Ta wymiana korespondencji była z lekka niepokojąca. Eugenia przeczytała swój list, godząc się z niezwykłą sytuacją, że niemal nieznamy mężczyzna kompletnie pochłaniał jej uwagę. A raczej jego siła, władczość, umięśnione nogi – o których jakoś nie mogła zapomnieć – mocno zarysowana szczęka i piękne zęby.

Zupełnie jakby był koniem, którego chciała sobie kupić!

Dobrze pamiętała fascynację ciałem Andrew, które zawsze było na jej rozkazy. I ten zachwycony wyraz jego twarzy, kiedy do niej podchodził. Jakby nic na świecie nie mogło go zaspokoić – tylko ona.

Do diabła.

Damy nie przeklinają, skarciła się w duchu.

Do diabła, do licha, do ciężkiej cholery...

Nie wiedzieć jakim sposobem, pióro na powrót znalazło się w jej dłoni.

Wcale nie mam na imię Henrietta ani też Julietta, choć ma Pan rację, że jest ono dość ekstrawaganckie. Nazywam się Eugenia, ale zwracają się tak do mnie tylko członkowie najbliższej rodziny i mam nadzieję, że będzie Pan to

respektował.

Pozdrawiam serdecznie

Pani Snowe

21 maja 1801

Fawkes House Wheatley

Droga Pani Snowe!

Nie wiem, kto był bardziej rozczarowany – panna Midge czy ja – gdy mój powóz powrócił pusty. Żałuję, że nie mogę donieść o poprawie mojej sytuacji domowej ani o tym, że pannie Midge w końcu udało się przemienić moje rodzeństwo w szanowanych członków arystokratycznej społeczności.

Niestety, stało się inaczej.

Tym razem Lizzie sprawiła więcej problemów niż Otis. Wczoraj przekonała jednego z bardziej naiwnych stajennych, że rzuci na niego zaklęcie niewidzialności. W związku z tym młody człowiek wkroczył do pralni w chwili, gdy pokojówka właśnie brała kąpiel.

Niestety, okazało się, że jest nie tylko widzialny, ale i dotykalny, gdy zdzieliła go w twarz tarą. Lekarz powiada, że gdy ustąpi opuchlizna, będzie normalnie widział na oko.

Pannę Midge bardzo zaniepokoiło to rzucanie uroków. Zdaje się, że nasza guwernantka jest córką pastora, który w żadnym razie nie zaakceptowałby takich machinacji. Ja ze swej strony byłem pod wrażeniem zaklęcia, jakie wyrecytowała moja siostra, aby osiągnąć niewidzialność, gdyż była to odmiana łacińskich czasowników „kochać, mówić i słuchać” w czasie zaprzeszytym trybu łączącego. Kto by pomyślał, że czas zaprzeszytym może mieć taką moc?

Umiejętności te zawdzięcza ojcu. Zdaje się, że lord Darcy uczył dzieci łaciny od chwili, gdy ukończyły szósty rok życia, aż do swej przedwczesnej śmierci. Pani Midge potwierdza, że oboje potrafią całymi godzinami gawędzić w tym języku, którego ja nigdy nie opanowałem, mimo uczęszczania do szkół. Otis i Lizzie chętnie opowiadają o ojcu, ale w ogóle nie wspominają o matce.

W nadziei, że dzień upływa Pani lepiej niż mnie –

Pani oddany słuĝa
Ward

10

Sobota, 23 maja 1801

Fawkes House

Oczy rzeźnika wychodziły z orbit jak u pekińczyka w zbyt ciasnej obroży, choć to on trzymał Otisa za kark, a nie odwrotnie.

– Na czym polega problem? – spytał Ward, przenosząc wzrok ze zbuntowanej twarzyczki swego brata na pannę Midge. W dali słychać było krzyk Lizzie, która protestowała przeciwko odesłaniu jej do pokoju dziecinnego na czas tej rozmowy.

Ledwie skończyła się sprawa z modlitewnikiem, a już nadciągnęła kolejna katastrofa.

– Ten tu chłopak! – ryknął pan Biddle i potrząsnął drobnym ciałkiem Otisa.

Ward przysunął się bliżej, gotów rozprawić się z rzeźnikiem.

– Pan się chyba zapomniał. Nie powinien pan tak ostro traktować mojego brata – powiedział spokojnie. Od czasu pobytu w więzieniu nienawidził przemocy fizycznej i psychicznej.

– Wcale nie – odparł rzeźnik, wysuwając podbródek, ale puścił kołnierz chłopca.

Ward przyciągnął malca do siebie i odsunął się o krok.

– Co się stało?

– Przyłapałem go na kradzieży – zagrzemiał pan Biddle. Jego wąsy falowały jak ogon rozdrażnionej wiewiórki.

Otis, bardziej zniesmaczony niż przestraszony, podniósł wzrok na Warda.

– Nic mu nie ukradłem.

– Zabrał mój łańcuch! Mój łańcuch wójta, oznakę mego urzędu! Przyłapałem go na gorącym uczynku!

Jasna cholera.

Podkradanie drewna ze stajni to drobiazg, ale kradzież cennych rzeczy mieszkańcom wioski to poważna sprawa. Panna Midge też była podobnego zdania. Spochmurniała i spoglądała na Otisa jak purytanin na rozpustnika, który nie okazuje skruchy.

– Czy pani była świadkiem tego wykroczenia, panno Midge? – zapytał.

– Przykro mi, ale właśnie weszliśmy z panną Lizzie do pasmanterii.

Spojrzała wprost na swego podopiecznego.

– Otis, wytłumacz się.

– Co tu tłumaczyć? – warknął rzeźnik. – Chłopak chciał ukraść mój złoty łańcuch. Złapałem go. Jest takim samym złodziejem jak... – Pochwycił spojrzenie Warda i urwał w pół zdania.

Otis podskoczył w ramionach Warda.

– Nie jestem żadnym złodziejem! – wykrzyknął. – On powiedział, że jestem bękartem, ale to nieprawda! Moi rodzice wzięli ślub. A poza tym jestem szlachcicem, bo mój ojciec był lordem! – Wtulił twarz w żebra starszego brata.

Pan Biddle prychnął pogardliwie.

– Otis mówi prawdę – oświadczył Ward. – Jest piątym lordem Darcy i właścicielem pokaźnego majątku w Devon.

– Niech sobie będzie nawet królem całej Anglii! Wiem co to za ziółko i skąd się wziął. My tu we wsi wiemy swoje. Bóg jeden wie, co chciał zrobić z moim łańcuchem.

– Chciałem go tylko powiesić na krzaku róż – zapłakał Otis.

Że co?

– Po co to zrobiłeś, do ciężkiej cholery?

– Lizzie powiedziała, że da mi za to szylinga. Miałem jej do tego przynieść cztery róże – odpowiedział chłopiec żalnym głosem. – Potem miałem go odłożyć na miejsce. Zawsze wisi na gwoździu w sklepie. A krzak róż był na sklepowym podwórku.

Panna Midge zmrużyła oczy, domyślając się, że Lizzie znowu wymyśliła

jakieś magiczne sztuczki. Ward westchnął i odwrócił się w stronę rzeźnika.

– Panie Biddle, wygląda na to, że łańcuch pozostał na pana terenie. Mój lokaj wypłaci panu gwineę jako rekompensatę za kłopot, a ja postaram się, żeby moje rodzeństwo trzymało się z dala od pańskiego krzaka róż i łańcucha.

– Żądam, żeby rozprawił się pan z tym złodziejem! – wykrzyknął rzeźnik.

Otis przysunął się bliżej do Warda.

– My tu we wsi chcemy spać spokojnie. Dlaczego powiesił ten łańcuch na krzaku? Muszę uspokoić żonę, że to nie były żadne magiczne sztuczki.

– Rozmawiamy o ośmioletnim chłopcu – odparł Ward, tłumiąc gniew. – Proponuję, żeby pan wrócił do sklepu, panie Biddle, i uporządkował książkę zamówień. Proszę już nie brać pod uwagę mojego domostwa – ani teraz, ani w przyszłości.

Biddle otworzył usta tak szeroko, że Ward dostrzegł jego tłusty język. Dopiero teraz do niego dotarło, że właśnie obraził właściciela największego majątku z tej strony Oksfordu, który zatrudniał dwa razy tyle służby, co wszystkie inne posiadłości w okolicy.

– Do widzenia, panie Biddle – pożegnał go Ward. Gumwater ujął rzeźnika pod ramię i sprawnie odwrócił go w stronę frontowych drzwi.

Ward wziął braciszka na ręce i zaniósł go do biblioteki. Panna Midge ruszyła za nimi. Usiadł przed pustym kominkiem, z chłopcem na kolanach.

– Cholera jasna, straszny z ciebie łobuziak, Otisie.

Jego brat się rozpłakał.

– Nienawidzę pana Biddle’a! Nienawidzę go!

Panna Midge siedziała naprzeciw nich, z rękami złożonymi na podolku. Jej nogi elegancko stykały się piętami.

– Powiedz nam, co się stało – poprosił Ward.

– Wcale nie chciałem ukraść tego durnego łańcucha – zirytował się jego brat, pociągając nosem. – Przygarnąłem go tylko na chwilę.

– Przygarnąłeś?

– Złodzieje nie mogą... – wtrąciła panna Midge.

– Powiesiłem go między niebem a ziemią. – Otis otarł oczy rękawem.

– Nie rozumiem – odparł Ward, z istic heraklejską cierpliwością.

– Powiesiłem go na krzaku róży u pana Biddle’a. Na jego krzaku, między niebem a ziemią.

– Obawiam się, że to brzmi jak kolejne magiczne zaklęcie w wykonaniu panny Lizzie – podsumowała panna Midge pełnym napięcia głosem.

Ward upadł na duchu. Od chwili przyjazdu guwernantka nie okazywała ani odrobiny poczucia humoru, co oznaczało, że traktuje wyskoki Lizzie całkiem na serio.

– Musimy z nią porozmawiać – zdecydował.

Panna Midge skinęła głową i podniosła się z miejsca.

Otis wtulił się w jego ramię i wymruczał coś niezrozumiałego.

– Co takiego? Ward, uświadamiając sobie nagle, jakie to ważne, powiedział po prostu: – Otis, jesteś moim bratem. Jesteśmy na siebie skazani, żeby nie wiem co się działo. Na zawsze.

Malec nie odpowiedział, ale Ward dodał:

– Lizzie też. Nieznośne z was łobuzy, ale moje własne.

Sam był zaskoczony tymi słowami.

Wyglądało na to, że jednak nie odda swojego rodzeństwa ojcu na wychowanie.

II

23 maja 1801
Fawkes House

Droga Pani Snowe!

Panna Midge dołącza swój list do mojego, więc będę pisał krótko. Otisa przyłapano, jak pożyczył sobie łańcuch będący oznaką urzędu wójta naszej wsi. Namówiła go do tego siostra. Nie chodziło o zysk; Lizzie zamierzała wykorzystać zawartą w łańcuchu moc, by przekształcić kilka róż w talizman, który pozwoli odnaleźć prawdziwą miłość.

Może się to Pani wydać dziwne, albo nawet nieprawdopodobne, tak samo jak mnie. Moja siostra wykazuje się niezwykłą wyobraźnią. Niestety, jej zdolności twórcze są równie wielkie co niechęć do magii, jaką żywi panna Midge. Choć wszystkie te czary są tylko zabawą, uważa ona, że umacniają Lizzie w pogaństwie i niweczą wartości chrześcijańskie. Jestem pewny, że w swym liście rozwinie ten temat.

Cel tych zabiegów magicznych nie jest dokładnie znany. Dość powiedzieć, że Otis miał powiesić łańcuch na krzaku róż, żeby słońce napełniło go swym blaskiem, a następnie przynieść swojej siostrze cztery róże.

Potrzebujemy Pani pomocy.

Ward

– Czego on ode mnie oczekuje, do licha? – spytała Eugenia, spoglądając na list. – Że przeniosę się wstecz w czasie i powstrzymam tego dzieciaka przed

kradzieżą łańcucha?

– Być może kradzieże lorda Darcy’ego zaczęły się od mniej wartościowych przedmiotów – stwierdziła Susan.

– Nie mam pojęcia, co mu odpisać.

– To oczywiste. Musisz sama pojechać do Oksfordu – odparła energicznie Susan. – Zastąpię cię na spotkaniach przez trzy dni. I błagam cię: pojedź stamtąd do ojca i porządnie odpocznij na wsi.

– Nie mogę pojechać do Oksfordu – wydusiła z trudem Eugenia. – Po prostu nie mogę, Susan. Pan Reeve jest zbyt... Nie. Nie jestem jeszcze gotowa.

Na myśl o tym, że znalazłaby się w domu Warda – niestety, nie potrafiła teraz nazywać go inaczej, tylko używała imienia, którym podpisywał swoje listy – robiło jej się słabo. Kręciło jej się w głowie. I oblewało ją gorąco.

– W takim razie musimy polegać na pannie Midge – odrzekła Susan ze współczuciem. – Odpiszę panu Reeve’owi, że jesteśmy tylko pośredniczkami, i nie mamy osobistego doświadczenia w zakresie złodziejskich tendencji u dzieci.

– Dziękuję ci bardzo.

– Jutro nie masz żadnych spotkań. Ani mi się waż przychodzić do pracy – dodała Susan, grożąc jej palcem.

12

*Wtorek, 26 maja 1801
Cavendish Square 18
Rezydencja pani Eugenii Snowe*

Eugenia obudziła się z myślą, że łatwiej byłoby jej pogodzić się ze śmiercią Andrew, gdyby miała złe wspomnienia z czasów małżeńskich. Jej pozostały jednak tylko miłe, budzące smutek chwile, jak perły nanizane na sznurek. Ale perły, których się nie nosi, tracą kolor i blask. Może to było sedno problemu.

Ubrała się i przeszła przez ulicę po parku. Ruszyła brukowaną ścieżką, może nieco zbyt błotnistą na spacer, ale powietrze kusiło świeżością i czystością. Rozejrzała się wokół podejrzliwie, by sprawdzić, czy nikt nie widzi, a potem zeszła ze ścieżki i przykucnęła, by nazrywać fiołków.

Chwileczkę.

Wcale nie była sama.

Zamarła. W jej polu widzenia pojawiła się para solidnych wysokich butów. Ich właściciel mógł do woli zaglądać w jej dekolt, nie wspominając już o tym, że był świadkiem zabronionego w parku zrywania kwiatków.

Ciemny, szorstki głos napłynął jak zapach brandy w małym pokoiku.

– Pozwoli pani, że pomogę jej wstać? – Duża, silna ręka była kwintesencją wszystkiego, co lubiła u mężczyzn.

Była bez rękawiczki.

Jasne. Ward Reeve pewnie nigdy ich nie zakładał.

Oparła więc swoją urękawiczoną dłoń na jego dłoni i pozwoliła, by postawił ją na nogi.

– Panie Reeve, co za niespodzianka.

Jego uśmiech spodobał jej się już przy pierwszym spotkaniu. Ale teraz, po wymianie korespondencji, był inny: głębszy, cieplejszy... bardziej intymny.

Miejski galant uniósłby jej dłonie do ust, odsunął się o krok i skłonił, być może z ozdobnym gestem. Ward nie zrobił tego, tylko po prostu przytrzymał jej dłoń, mówiąc:

– Nie przyszła pani do mnie, więc ja przyszedłem do pani.

Eugenia poczuła, że się czerwieni. Najdelikatniej, jak potrafiła, wysunęła dłoń z jego palców.

– Nie wiem, co panu doradzić, panie Reeve.

– Czy mogę pozbiierać pani fiołki? – Nie czekając na odpowiedź, pochylił się i jednym ruchem zebrał z trawnika większość kwiatków. Jego uda naprężyły się pod dopasowanymi spodniami. Włosy zalśniły złotawo w blasku słońca.

Wyprostował się i podał jej fiołki:

– Uważam, że mam niezwykle szczęście, ponieważ Agencja Snowe nie tylko znajduje guwernantki dla rodzin, lecz także wspiera je przez cały okres zatrudnienia.

– Tak, ale...

Ward ujął ją pod rękę i poprowadził na ścieżkę.

– Pani asystentka, panna Lloyd-Fantil, uprzejmie wskazała mi pani dom, a lokaj skierował mnie tutaj. Czy mogę panią zaprosić na herbatę do Guntera, pani Snowe?

Na litość boską, czy jego narzeczona zwariowała, że wołała innego? Eugenia z trudem się hamowała, by nie przytakiwać każdemu jego słowu.

Pewnie przez ten jego głos. I oczy.

Miała wrażenie, że gdyby zniknął w dzień ślubu, po prostu by na niego czekała.

Do końca swoich dni.

Tak jak na Andrew, pomyślała z niepokojem. Czekam na człowieka, który nigdy nie wróci.

Hm... Odsunęła od siebie tę myśl i skupiła się na słowach Warda.

– Skoro pani nie może mi pomóc radą, to proszę przynajmniej wybrać wraz ze

mną jakiś cudowny eliksir, który zmusi moje rodzeństwo do posłuszeństwa.

– Ja...

– Panna Lloyd-Fantil zapewniła mnie, że nie ma dziś pani żadnych spotkań.

Jego przekonywający, głęboki głos pieścił skórę Eugenie jak jedwab. Ward przysunął się do niej i poczuła zapach skóry i mydła.

I mężczyzny. A konkretnie męskiego potu.

Jak się okazało, wcale nie była przyzwoitą kobietą. Co za rozczarowanie.

Wyglądało na to, że całe to jej konwencjonalne zachowanie było jedynie fasadą, bo w jego obecności miękły jej nogi, a skóra piekła jak oparzona.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała. – Chodźmy na herbatę.

Gdyby ją pocałował, dygotałaby jak królik zaskoczony w warzywniku. Choć Ward nie zdradzał ochoty, by ją całować.

Prosił ją po prostu o pomoc, a ona wpatrywała się w jego wargi. Bezwstydnica!

– Poproszę, żeby przygotowali dla mnie kosz na drogę do domu – powiedział, biorąc ją pod ramię.

– Tylko niech pan nie bierze lodów – doradziła. – Roztopią się. Gunter zawsze obiecuje, że wytrzymają, jeśli zostaną dobrze zapakowane, ale to nieprawda.

Zmrużył kąciaki oczu w niesłychanie pociągający sposób. Pewnie dlatego nikt nie czepiał się, że mężczyźni też mają kurze łapki.

– Widzi pani? Jest pani prawdziwą skarbnicą dobrych rad. Kiedyś przywiozę Otisa i Lizzie do Londynu i wtedy zabierzemy ich na lody.

My?

Obrócił ją w stronę, z której przyszła, zanim zdążyła obmyślić odpowiedź.

– Mój powóz jest tuż przy wejściu.

Rzeczywiście na ulicy czekał powóz, tak luksusowy, jakby zaraz miał z niego wysiąść książę krwi, pełen galanterii i pierwszorzędnej brandy.

– Panna Lloyd-Fantil wspominała, że ma pan wspaniały powóz – odezwała się Eugenia, żeby przerwać panujące między milczenie, które stawało się coraz bardziej magnetyczne.

– Zamówiono go dla księcia Clarence – powiedział, potwierdzając jej

przypuszczenia, że pojazd był godny osoby królewskiego rodu. – Ale w końcu nie było go na niego stać. A mnie na szczęście tak.

– Jak to miło – odparła chłodno. Według niektórych rachunków była najbogatszą kobietą w całym Londynie, ale nigdy nie ujawniała tego faktu.

Pan Reeve pochylił się i dotknął jej kolana, co było niezmiernie nieprzyzwoite.

– Chciałem tylko, żeby pani wiedziała, że jestem wypłacalny – oświadczył.

– W... w mojej... to w ogóle nie ma nic do rzeczy – wykrztusiła.

Wyprostował się z uśmiechem.

– Cieszę się, że pani tak mówi.

– Nasza rozmowa o problemach z pana rodzeństwem nie ma żadnego związku z pana finansami.

– Nie, ale chciałem to zaznaczyć.

– I udało się panu – odparła. A może on proponował... Przecież chyba nie proponował jej zapłaty? Zrobiło jej się gorąco. Owszem, czasem składano jej nieprzyzwoite propozycje, ale przecież nie *carte blanche*.

– Jak widać, honoraria Agencji Snowe mnie nie zrujniają – odparował, ale gdy spostrzegł wyraz jej twarzy, się zaniepokoił: – Co ja takiego powiedziałem?

Przełknęła ślinę.

– Nic takiego – wykrztusiła. Oczywiście, nawet mu taka myśl w głowie nie powstała. Co za bzdura.

Dla odmiany jego twarz rozjaśnił szatański uśmieszek, gdy znowu pochylił się ku niej.

– Jak mi się wydaje, pani spodziewała się, że złożę szanowanej wdowie propozycję w rodzaju tych, jakie się kieruje do dam z półświatka.

Odchrząknęła.

– Oczywiście, że nie.

W jego oczach lśniło uczucie, które potrafiła odczytać bez trudu, choć nie widziała go od lat. Pożądanie.

Pragnienie.

Kiedy wychodziła za Andrew, był nieledwie chłopcem. Spoglądał na nią z radosnym zadowoleniem. Ward był mężczyzną, więc w jego spojrzeniu płonęło

coś dzikszego i bardziej grzesznego.

Surowy głos w jej duszy wykrzykiwał frazesy o obowiązku, moralności, agencji, etyce i reputacji. Ale był naprawdę cichy i bardzo odległy.

Przez siedem lat niezwykle troskliwie dbała o swoją reputację. Teraz oddała się szaleństwu. Przemożnemu szaleństwu.

Ogarnął ją dziwny spokój, jakby znalazła się w oku cyklonu: byli tylko we dwoje, oddzieleni od świata ściankami luksusowego powozu. W ciszy słychać było tylko ich głosy, turkot kół po bruku i lekkie skrzypienie uprzęży, gdy doskonale dobrana para koni zatrzymała się przed herbaciarnią Guntera.

Ponieważ nie była to godzina spotkań towarzyskich, w sali było prawie pusto. Gdy weszli, wszystkie damy odwróciły się w stronę Warda, jak słonecznikio poranku.

Na przykład taka lady Hyacinth Buckwald: jej wzrok przesunął się po jego ciele jak po greckiej rzeźbie: od głów do stóp i z powrotem, robiąc przystanek pośrodku.

– Pani Snowe! – Dama uniosła dłoń i zakrzywiła palce dwa albo trzy razy w powitalnym geście, jakim księżniczka mogłaby zaszczyścić kominiarczyka. – Jestem zdziwiona, że panią tu widzę. Ciągle pani przebywa w tym swoim domku jak zamurowana. Chętnie przedstawiłabym panią mojej najstarszej córce, ale właśnie poszła do gotowalni.

– A co słychać u młodszych dzieci?

– Zapewniam panią, że znaleźliśmy dla nich niezwykle renomowaną guwernantkę – odparła lady Hyacinth, pochmurniejac.

Ward rozmawiał z szefem sali, panem Sweeneyem, ale po chwili podszedł do nich i stanął z tyłu za Eugenią.

– Pan Reeve we własnej osobie!- wykrzyknęła lady Hyacinth. – Nie widziałam pana od lat.

– Było mi niezwykle miło spotkać się z panią ponownie, lady Hyacinth – powiedziała Eugenia, pochyliła głowę w ukłonie i pozwoliła, by pan Sweeney poprowadził ją do stolika na końcu sali, nieco osłoniętego przed ciekawskim wzrokiem utytułowanych gości.

Z tyłu rozległ się cichy pomruk, gdy Ward ruszył jej śladem. To było

niesamowite, że tak wyraźnie wyczuwała jego obecność. Jej chód nabrał zalotności, gdy niemal niedostrzegalnie kołysała biodrami.

Nie czuła się ani jak guwernantka, ani jak właścicielka renomowanej Agencji Snowe.

Czuła się jak kobieta.

Ward patrzył, jak kelnerzy zastawiali stół przysmakami, a potem zamówił koszyk łakoci dla swego rodzeństwa.– Tylko bez lodów – dodał.

Szef sali skłonił się i obiecał przygotować kosz na czas.

– Poproszę jeszcze mały kosz piknikowy na podróż – dodał Ward.

– Oczywiście, proszę pana. Co zapakować?

– Pieczoną wołowinę i butelkę czerwonego wina.

Eugenia wybuchnęła śmiechem.

– Jest pan uosobieniem męskości.

– To prawda – odrzekł Ward.

Na jej twarz wypłynął rumieniec.

– Chodziło mi o to, że damy zwykle wolą białe wino i kurczaka.

– My, mężczyźni, musimy zachowywać witalność. Ale dzisiaj złożę zamówienie jak kobieta. Poproszę zatem białe wino i kurczaka. A do tego lody, bo jestem pewny, że będą się twardo trzymać przez całą podróż do Oksfordu. Przecież to tylko sześć godzin.

Tłumiąc śmiech, patrzyła za panem Sweeneyem, który ruszył z zamówieniem do kuchni.

– Rozpaczą napełnia mnie myśl o pani rozczarowaniu w tej mierze – stwierdził Ward, lustrując ją ognistym spojrzeniem. – Chodzi o twardość – wyjaśnił.

– Nie było żadnego rozczarowania – odparowała i z bezczelnym uśmieszkiem dorzuciła: – Mój mąż miał osiemnaście lat, gdy wzięliśmy ślub.

Ward uniósł brwi.

– Na wypadek gdyby miała pani jakieś wątpliwości, wielu mężczyzn zachowuje do późnego wieku możliwości, jakimi wykazywali się w wieku osiemnastu lat.

Rzuciła spod rzęs spojrzenie na jego ciało. Osiemnastolatkowie byli... raczej

chudzi. Ward był dobrze umięśniony. Cień zarostu na jego szczęce był wyraźnie ciemniejszy pod koniec dnia.

– Czyżby już robił pan plany na starość? – spytała.

Jego spojrzenie było tak intensywne, że aż irytujące.

– Oczywiście. Szczególnie jeśli chodzi o tę część mojego życia.

Eugenia zachichotała gardłowo, co ją bardzo zdziwiło. Nie należała do kobiet, które chichoczą. W żadnymrazie.

Jak się właśnie okazało, z wyjątkiem sytuacji, gdy mężczyzna o oczach pełnych pożądania chlubi się łózkowymi talentami, którymi zamierza wykazywać się za sześćdziesiąt lat.

13

Kim była ta kobieta przy wejściu? – spytał Ward. – Ta wiedźma, która sugerowała, że nie powinni pani wypuszczać z agencji, i twierdziła, że mnie zna, chociaż nigdy w życiu się nie spotkaliśmy?

– Lady Hyacinth Buckwald – odparła Eugenia. Zauważywszy, że nic mu to nie powiedziało, spytała: – Nie słyszał pan o niej?

Wzruszył ramionami:

– Nie bywam, a moja rodzina wie, że nie znoszę plotek. Więc nie słyszałem.

– Ale ona o panu słyszała – zauważyła Eugenia z przekąsem. – A przynajmniej o pana fortunie. Ta nieszczęsna kobieta musi wydać za mąż cztery córki. Zdaje mi się, że Petunia jest druga według starszeństwa. – Wydęła wargi. – To nieskazitelnie czysty ród. Petunia może być odpowiedzią na pana modlitwy.

– Nie – odparł Ward bez wahania.

– Lady Hyacinth mnie nie znosi, ponieważ odebrałam jej guwernantkę, po tym gdy Boris – jej mąż – ganiał nieszczęsną dziewczynę po sali balowej, i to o ósmej rano!

– Dlaczego akurat godzina tak cię oburza?

– Jego zachowanie byłoby niewybaczalne o każdej porze, ale ta godzina jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Można się spodziewać, że dżentelmen o tej porze powinien... powinien robić to, co normalnie robią dżentelmeni.

– Biedaczysko był pewnie w rozpaczliwej potrzebie – stwierdził Ward. – Jednak, pomijając problemy Borisa, muszę panią zapewnić, że dżentelmeni mają tendencję do uganiania się za kobietami o ósmej rano.

– Niech i tak będzie, ale nie za guwernantkami!

Jeszcze chwilę temu jej oczy błyskały roziskrzonym, wyrafinowanym pożądaniem, a teraz spoglądała surowo jak klientka Almacka.

Zupełnie jakby na świecie były dwie Eugenie. Jedna prawdziwa, a druga... nie do końca nierealna. Perfekcyjna dama i prawdziwa Eugenia.

Eugenia dama prawdopodobnie pojawiła się dzięki silnej woli, bo przecież nie urodziła się arystokratką. Jednak jej maniery naprawdę robiły wrażenie. Miał ochotę bićbrawo.

Naprawdę ją lubił i podziwiał. Po śmierci męża nie tylko zaczęła prowadzić aktywne życie, ale pewnie zbiła też niezłą fortunę na Agencji Snowe.

Była fascynująca.

Do diabła, gdyby nie musiał ożenić się z arystokratką ze względu na rodzeństwo, poważnie zastanawiałby się nad ubieganiem o jej rękę.

Tak czy owak, musi ją mieć. Ta prosta prawda pulsowała w każdym jego członku. Eugenia będzie jego, i już. Będzie się z nią kochał, aż wypali się ten żar pomiędzy nimi. Miejmy nadzieję, że po nocy albo dwóch.

Nie powstrzymywało ich nic, tylko ta cieniutka warstwa ogłady, której ona się desperacko trzymała.

Z tą myślą posłał jej leniwy uśmiech, tak sugestywny, że zamarła z widelcem w połowie drogi do ust.

Zamrugła oczyma i uważnie odłożyła na talerz nietknięty kęs ciasta.

– Zdaje mi się, że pan w ogóle nie słucha mojej krytyki dżentelmenów, którzy uważają guwernantkę za łatwy kęsek tylko dlatego, że mieszka w tym samym domu co oni.

– Nie – przyznał uczciwie.

Eugenia знаła ten rodzaj uśmiechu. Czy istniała na świecie dorosła kobieta, która nie widziała go na twarzy choćby jednego mężczyzny? Albo wielu mężczyzn?

Ward, zdaje się, uznał ją za swoją własność.

Problem w tym, że była ogólnie szanowaną wdową.

– O czym pan myśli? – spytała czujnie.

Wpatrywał się w nią, ożywiony i zadowolony. Z wyrazem oczekiwania

znanym większości zamężnych kobiet.

No, może nie wszystkim. Jednym z wyjątków była pewnie lady Hyacinth.

– Właśnie sobie uświadomiłem, jak bardzo panią lubię.

– Jeśli rozmyśla pan o ganianiu ze mną po stali balowej o ósmej rano, albo o jakiegokolwiek innej porze, to niech pan sobie lepiej da spokój – odparowała, starając się zignorować miłe ciepło w dole brzucha. – Jestem ogólnie szanowaną wdową – wyjaśniła. – Od mojej reputacji zależy powodzenie Agencji Snowe. W związku z tym nie mogę sobie pozwolić na nic niestosownego, niezależnie od pory dnia.

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

– „W związku z tym?” Czasami w pani obecności zdaje mi się, że rozmawiam ze słownikiem.

– Mojej składni nie można nic zarzucić – sprzeciwiła się nieco sztywno.

Ward skinął głową.

– Nic zgoła. – W jego oczach tańczyło rozbawienie.

– Jest coś o wiele ważniejszego od składni, panie Reeve. Jeśli wydaje się panu, że doszedł pan do jakichkolwiek wniosków, proszę je natychmiast odrzucić. Mówię serio.

Ward pochylił się ku niej, spoglądając jej znacząco w oczy.

– Przestań się do mnie zwracać „panie Reeve”, bo dopuszczę się jakiegoś skandalu.

Eugenia nie mogła się powstrzymać: kąciki jej ust zadrgały w uśmiechu.

– No właśnie – powiedział, prostując się na krześle. – Ten uśmiech oznacza, że będziesz mnie odtąd nazywać Wardem. A ja ciebie Eugenią, i umowa stoi. Zauważyłem, że nawet nie spróbowałaś bitej śmietany z truskawkami.

– I tak już zjadłam dziś więcej słodczy niż normalnie przez cały miesiąc – zaprotestowała. Po jej stronie stołu stały trzy nietknięte desery. Po jego – pięć pustych naczyń.

Prychnął.

– Kęs albo dwa każdego z tych przysmaków? *Pâtissier* pana Guntera zaleje się łzami, jeśli wrócą nietknięte do kuchni. – Sięgnął przez stół i nabrał pełną łyżeczkę puszystej śmietanki.

– Nie mogę nic więcej próbować, bo nie będę się mogła opanować – zaprotestowała. – Strasznie lubię słodyczne i nie mam żadnej samokontroli.

Ale łyżeczka już wędrowała ku jej wargom.

– Tylko troszeczkę – kusił.

Smak był tak wyrafinowany, że na moment zamknęła oczy z czystej przyjemności.

– Kochasz słodyczne, prawda?

Otworzyła oczy i położyła dłoń na sercu.

– To chyba najlepszy deser, jaki kiedykolwiek jadłam. – Wyjęła mu łyżeczkę z dłoni i nabrała następną porcję.

– A więc to dlatego wszystkie dzieci uczą się piec ciasta – powiedział, obserwując ją uważnie. – Kochasz słodyczne. Jesteś epikurejką.

– Raczej obzartuchem – sprostowała szczerze. – Ale uważam, że każdy powinien umieć robić coś, co daje ludziom tyle radości.

Ward z dziwną miną obserwował ją przy jedzeniu.

– Opisz mi ten smak – poprosił.

Zjadła następny kęs i znowu zamknęła oczy.

– Śmietanka jest gładka jak aksamit i odrobinę doprawiona likierem. A truskawki kwaskowate, a nie słodkie.

Ward wydał odgłos, który podejrzenie przypominał jęk. Otworzyła oczy i powiedziała:

– Zabroniłam kucharzowi robić desery. Nie mogę sobie pobłażać, bo nie zmieszczę się w drzwiach. Żadnych ciast, chyba że mam gości na kolacji.

Szczerze mówiąc, nigdy nie miewała gości.

– Gdyby to był mój kucharz – dodała, zaskakując siebie samą – to poprosiłabym go, żeby najpierw zamarynował truskawki w likierze. Wtedy byłyby jeszcze bardziej kwaśne i ich smak świetnie komponowałby się z bitą śmietaną.

– Wyobrażam sobie, że twój nieżyjący mąż karmił cię słodyczami przy każdej okazji.

Pokręciła głową, przelżykając ostatni kęs.

– Andrew był ascetą. Ale mnie to w nim pociągało.

Ward skinął głową.

– Dla odmiany mój ojciec spędził większość życia na przyjemnościach – opowiadała dalej, nieco skrepowana własną nielojalnością.

– Twój ojciec musi być szczęśliwym człowiekiem.

– Jest najszczęśliwszy, gdy pracuje nad wynalazkami. Pewnie podobnie jak ty – dodała, zastanawiając, czyby nie spróbować kawałka czekoladowego ciasta.

Tylko po to, żeby mieć porównanie z deserem.

– Oczywiście, że powinnaś go spróbować – zachęcił ją Ward, zaglądając jej w oczy. – Jedno z najlepszych ciast, jakie jadłem w życiu.

– Nawet nie próbuj mnie karmić – ostrzegła go pośpiesznie. – Całe szczęście, że zasłania nas paproć, i na szczęście nikt tego nie widział.

– To nie kwestia szczęścia – odparł Ward. – Tylko dziesięciofuntowego banknotu, który wsunąłem panu Sweeneyowi do kieszeni.

– To szczodry napiwek – stwierdziła Eugenia. Bardzo nieswojo czułaby się ze świadomością, że lady Hyacinth obserwuje każdy jej ruch i do tego pewnie jeszcze podsłuchuje.

– Wiem, że reputacja jest dla ciebie ważna, Eugenio. Nigdy nie zrobiłbym niczego, co podkopałoby źródło twoich dochodów.

Eugenia pośpiesznie podniosła wzrok. Wardowi chodziło nie tylko o spotkanie przy herbacie. W jego oczach płonął taki żar, że zupełnie straciła ochotę na czekoladowe ciasto, które przedtem miała na oku.

– Nie powiedziałaś nawet, po co przyjechałeś do Londynu – odpowiedziała i pośpiesznie upiła łyk herbaty. Płyn wystygł, za długo stał i nabrał charakterystycznej goryczy.

Ward uniósł dłoń: w sekundę później pojawił się z ukłonem kelner, a po chwili śpieszył do kuchni z imbrykiem, który należało na nowo napełnić. Ward należał do ludzi, wokół których skaczą wszyscy kelnerzy. Trochę to było irytujące.

– Przyjechałem, bo jak wiesz, potrzebuję rady – wyjaśnił.

– Jak Lizzie i Otisowi układało się życie z panną Midge od czasu twojego ostatniego listu?

– Na tym właśnie polega problem.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, rozległ się przenikliwy głos.

– Pani Snowe, panie Reeve. Jestem pewna, że mi wybaczycie – chciałam wam przedstawić moją kochaną Petunię.

Ward podniósł wzrok. Obok lady Hyacinth stała jej młodsza wersja: takie same brązowe włosy, chuda sylwetka, długi podbródek. Niewątpliwie córka lady Hyacinth nie miała łatwego życia.

Tym bardziej że upływało ono ze świadomością, iż odziedziczyła podbródek swojej mamusi.

– Jestem pewna, że nie będziecie mieli nic przeciwko naszemu towarzystwu – wygłosiła lady Hyacinth, za jednym zamachem łamiąc co najmniej dziesięć zasad dobrego wychowania.

Zanim przyniesiono herbatę, Ward został usadzony przy stoliku ramię w ramię z córką na wydaniu.

– Domyślam się, że rozmawiacie o guwernantkach – stwierdziła starsza dama. – Choć nie mam pojęcia dlaczego. Pani Snowe jest ekspertem w tej mierze. – Poklepała rękę Eugonii: – Niektórzy nie tolerują kobiet zajmujących się interesami, ale ja zawsze pani bronię, pani Snowe, bo źródłem pani dokonań jest z pewnością rozpacz spowodowana brakiem własnym dzieci.

Ku podziwowi Warda uśmiech Eugonii nie zbladł ani na moment.

– Szczerze mówiąc, rzeczywiście prosiłem panią Snowe o znalezienie dla mnie guwernantki – oznajmił. – Od niedawna jestem opiekunem dwójki dzieci.

– Ale chyba nie pana własnych? – spytała lady Hyacinth. – To by całkowicie zniweczyło pańskie szanse na małżeństwo, choć ma pan hrabiego w rodzinie. Nawet maszyna do produkcji papieru nie zaradzi wszystkiemu. Sam pan to wie.

Uśmiech Eugonii zniknął dopiero po tym groteskowym, aroganckim stwierdzeniu.

– Nie, to nie moje dzieci. Ich rodzice nie żyją – wyjaśnił Ward. Nie miał zamiaru ujawniać dalszych szczegółów, choć wkrótce miał je poznać cały Londyn, gdy petycja księżnej Gilner wejdzie pod obrady Izby Lordów.

– Pani Snowe była tak miła, że... – tu pochwycił lekki grymas z naprzeciwka i gładko zmienił sens zdania – ... obiecała zapewnić mi guwernantkę, choć zdaje się, stale ich brakuje.

– Wiedziałałam, że to sam na sam nie może mieć niegodnego podtekstu – oświadczyła lady Hyacinth. – Dlatego uznałam, że to świetny moment, by przedstawić moją kochaną Petunię. Panie Reeve, jak się czuje pański drogi ojciec lord Gryffyn?

– Chyba dobrze – odparł Ward. – Jeszcze przez kilka miesięcy będzie przebywał wraz z moją macochą w Szwecji, pełniąc misję dyplomatyczną.

– No cóż, muszę eskortować córkę na następne spotkanie – zauważyła lady Hyacinth z wyraźną niechęcią. – Matka takiego diamentu czystej wody nie ma czasu na bez troskie herbatki.

Wszyscy wstali. Natychmiast pojawił się pan Sweeney.

– Proszę przynieść moją francuską etolę ze srebrnego lisa z główką. Powierzyłam ją przy wejściu jednemu z pańskich lokajów i chcę wierzyć, że zostanie mi zwrócona nietknięta. Żebyście nie zwichrzyli ani jednego włoska!

– Natychmiast, milady – odparł i posłał po nią kelnera.

– Cóż to było za urocze spotkanko – powiedziała, posyłając szeroki uśmiech Wardowi, który pochylił się i ucałował jej dłoń.

Pan Sweeney zarzucił jej futro na szyję z taką energią, że lisią głowa podskoczyła, jakby zwierzę chciało się wyrwać na wolność.

Lady Hyacinth udrapowała stolę tak, że zawisła nad jej lewą pierś.

– Pani Snowe, cieszę się, że choć pije pani herbatę sam na sam z dżentelmenem, powód po temu jest jak najbardziej moralny, choć niestety merkantylny. Miło mi, że miałam dzięki temu okazję lepiej panią poznać, i obiecuję, że będę bronić pani reputacji, gdy pojawią się wątpliwości. A pojawią się one z pewnością.

Jej ukłon był tak energiczny, że biust podskoczył do góry, opadł, odbił się i wreszcie się uspokoił. Następnie odmaszerowała z lisią głową podskakującą na jej pierś. Za nią dreptała córka, czerwona ze wstydu jak piwonia.

14

Eugenia opadła na krzesło, popatrzyła na Warda i wybuchnęła śmiechem. Ewidentnie był człowiekiem, który ruszyłby do walki z legionem wojska, mając jedną rękę związaną na plecach, ale w konfrontacji z natrętną matką rozpaczliwie potrzebował wsparcia.

– Jeśli pozwolisz, by przeszkodziła nam inna kobieta w tym typie, moja noga nigdy więcej nie postanie na progu tego przybytku – ostrzegł Ward szefa sali.

– Strasznie mi przykro, sir – odparł pan Sweeney głosem dźwięczącym szczerością. – Jeśli inna klientka w tym typie zadomowi się w naszym przybytku, odejdę stąd pana śladem.

– I bardzo dobrze. A teraz poprosimy jeszcze po herbacie i parę ciastek. Jak tam nasze kosze?

– Przyniesiemy je, gdy tylko pan sobie zażyczy – zapewnił go pan Sweeney i zniknął.

– Lady Hyacinth jest koszmarna. Drugiej takiej nie ma na całym świecie – skomentowała Eugenia, gdy zostali sami.

Kelner postawił na stole paterę z ciasteczkami i zamruczał, że to prezent od firmy.

– Czują się winni – stwierdził Ward. – Sweeney sam dopuścił do tej katastrofy, zupełnie jakby machał do ludzi na pokładzie tonącej łodzi.

Eugenia wzięła głęboki oddech. Za nic nie będzie teraz myśleć o Andrew.

Ani o tonących łodziach.

Nie dziś.

– Co ja takiego powiedziałem? – zapytał. – Do diabła! Napisałaś mi przecież,

że twój mąż zmarł w wypadku na łodzi, prawda?

Jego błękitne oczy spoglądały przenikliwie.

– Naprawdę mi przykro. Zjedz kawałek ciastka.

Nabrał odrobinę na widelec i przysunął jej do warg. Nie powinna. I tak za dużo już zjadła.

– A teraz opisz mi, jak smakuje.

– Czekolada to wszystko, czego pragnie kobieta – zauważyła, zniżając głos. Ugryzła kęs i dodała marzycielsko: – Jest słodka, gorzka, dekadenska, nieznośnie smakowita... Czysta rozkosz.

Uśmiechnęła się na widok jego oszołomionej miny i przesunęła czubkiem języka po wargach.

– Spróbuj jeszcze. – Jego głos zabrzmiał chrapliwie, gdy ponownie uniósł widelec.

Eugenia zamknęła oczy, by delektować się smakiem.

– Jest tak bogaty, jakby wszystko co dobre połączyło się razem. Smakuje jak szczęście – dodała, otwierając oczy.

– Jesteś najbardziej zmysłową kobietą, jaką widziałem w życiu – zamruczał.

Zamrugła oczami i oprzytomniała.

– Ja? – Była tak zaskoczona, że jej głos przeszedł w pisk. – Skądże znowu! Jestem niezwykle przyzwoita. Po prostu lubię czekoladę. Jak każdy.

– Wcale nie każdy. – Sięgnął przez stół i splótł jej palce ze swoimi. Nigdy nie wydawał jej się tak potężny jak teraz, przy tym małym, eleganckim stoliku, jakby stworzonym do intymnych rozmów.

– Jesteśmy więc w punkcie wyjścia – mruknął gardłowo. Nakreślił kciukiem kółko we wnętrzu jej dłoni. Załaskotało, ale nie cofnęła jej. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował wierzch, ledwie muskając wargami. Potem odwrócił i pocałował wewnątrz. Słodka fala ciepła podniosła się stamtąd ku sercu.

– Proszę, powiedz mi, po czym poznać najlepszą czekoladę.

– Jest taka sama jak najlepsze lody – odparła, zabierając dłoń. Ponieważ herbaciarnia powoli napełniała się gośćmi, było całkiem możliwe, że pojawią się w niej również i jej klientki.

– Bardzo dużo wiesz o tych przysmakach... o wiele więcej niż ja – powiedział

mrocznym, nieznośnie zmysłowym głosem.

– Najlepsze lody są słodkie i tak zimne, że w ustach wydają się gorące. Tak słodkie, że smakują gorzko, i tak gładkie, że same spływają do gardła.

– I twarde – dodał. – Proszę nie zapominać o twardości.

– Ooo, tak – odpowiedziała. – Tak twarde, że aż... nieprzyzwoite.

Ward pochylił się ku niej.

– Co byś zrobiła z tym czekoladowym ciastem, Eugenio?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Czy gdyby upiekł je twój kucharz, czułabyś się zaspokojona?

– To nie kwestia zaspokojenia – odparła. – Było znakomite. Ale...

– Więc co kazałabyś mu zrobić?

– Przydałaby się mu nuta kardamonu – odparła natychmiast. – I odrobina goździków. I można by poprawić sprężystość ciasta. Na przykład ubijać je pół godziny dłużej albo dodać jeszcze jedno żółtko. Albo wstawić do piekarnika wodę, żeby parowała w trakcie pieczenia.

Ward poprawił się na krześle i uśmiechnął do niej.

– Jesteś mistrzynią cukiernictwa. Podejrzewam, że w którymś momencie odrzucisz tę maskę przyzwoitości...

– Panie Reeve! – wykrzyknęła. – Nie jestem żadną hipokrytką!

– ...i zakłamania – ciągnął, nie przerywając – która nie pozwala ci robić tego, czego rzeczywiście pragniesz. Może nawet kiedyś otworzysz cukiernię. Taką jak ta.

Eugenia prychnęła.

– Co za bzdura! Ledwo potrafię upiec biszkopt, naprawdę.

– Jestem pewien, że odniesiesz sukces we wszystkim, do czego się zabierzesz, Eugenio.

Wyglądało, jakby mówił to szczerze.

Uśmiechnęła się, starając się zignorować oszalały rytm serca, i wstała.

– Chyba wystarczy tych słodkości, prawda, panie Reeve?

– Mam nadzieję, że niczym nie uraziłem dam na tej sali – odpowiedział, wstając. – Najlepiej byłoby, gdybyśmy usiedli i porozmawiali o czymś bardziej

przyziemnym, jak na przykład moje rodzeństwo.

Z trudem zapanowała nad sobą, by nie spojrzeć na jego spodnie. Zamiast tego popatrzyli sobie nawzajem w oczy, nie kryjąc pożądania.

Ale wzmianka o rodzeństwie zrobiła swoje. Eugenia zasłoniła usta dłońmi.

– Ojej – szepnęła. – Zupełnie zapomnieliśmy porozmawiać o dzieciach.

– Nadrobimy to w powozie – zapewnił ją Ward i skinął głową w stronę pana Sweeneya, który po chwili przyniósł pelisę Eugonii.

Ward wziął ją z jego rąk i przytrzymał, pomagając jej się ubrać. Mocne dłonie dotknęły jej ramion i pozostały tam na chwilę. Od tej pieszczoty ugięły się pod nią nogi.

Czuła się zupełnie inaczej. Jakby stała się wolna, jakby opadły kajdany. Śmiesznie to brzmiało, ale nie miało się z prawdą.

Gdy zbliżali się do drzwi, wyszukując drogę między zatłoczonymi już stolikami, usłyszała za sobą warknięcie. Spojrzała na Warda przez ramię.

– Właśnie weszła księżna Gilner – mruknął. – Moja babka.

Oj.

Rzeczywiście, drogę do wyjścia zastąpiła Eugonii starsza kobieta o twardym wzroku i zachowaniu osoby, która niegdyś musiała być uważana za wielką piękność.

– Dzień dobry, pani Snowe – powitała ją księżna.

– Dobry wieczór, Wasza Wysokość – odezwała się Eugenia z ukłonem.

Fioletowy turban damy był ozdobiony piórem tak długim, że musnęło ramię Eugonii, gdy księżna odwróciła się w stronę Warda.

– Panie Reeve.

– Witam serdecznie – odezwał się Ward z ukłonem.

Dłonie damy opierały się o ozdobną mosiężną gałkę laski.

– Jestem za stara, by wdawać się w uprzejmości, panie Reeve. Guwernantka z Agencji Snowe nie wystarczy, by pańskie domostwo stało się odpowiednie dla dzieci szlacheckiego rodu, gdyż jest pan nie tylko nieżonaty, ale również z nieprawego łoża. Radzę, żeby pan nie podważał mojej petycji złożonej w Izbie Lordów. Tym bardziej że w tym gremium nie ma i nigdy nie będzie dla panamiejsca.

– Mój ojciec wychował mnie w podobnych warunkach, jakie zamierzam zapewnić Lizzie i Otisowi – odparł Ward. – Zakładam, że opieka, jaką sprawował, była twoim zdaniem odpowiednia, babciu, bo sama zostawiłaś mnie na jego progu.

Eugenia miała nieodparte wrażenie, że Ward po raz pierwszy w życiu zwrócił się w ten sposób do księżnej.

Odziane w rękawiczki dłonie Jej Wysokości zacisnęły się na lasce i była to jedyna widoczna oznaka jej irytacji.

– Przykro mi, że muszę panu powiedzieć prawdę prosto w oczy, panie Reeve, ale jest pan bękartem mojej córki i po prostu spodziewałam się, że ojciec umieści pana gdzieś na wsi.

Było oczywiste, co chce przez to powiedzieć. Ward był dla niej nieledwie śmieciem, a ślubne dzieci przedstawiały zupełnie inną wartość.

– Gdyby żyła ich druga babka, błagałaby mnie, żebym się nimi zajęła.

Eugenia pomyślała, że lady Darcy zapewne przewraca się w głowie na samą myśl, że jej wnuki mogłyby wychowywać się w rodzinie kobiety, która uwiodła jej piętnastoletniego syna.

– Jest pan nieodpowiedni, panie Reeve – podsumowała dama i przeniosła spojrzenie na Eugenię. – To bardzo dziwne, że przyszła tu pani na herbatę z jednym ze swoich klientów, pani Snowe. W pani sytuacji reputacja ma niezwykle duże znaczenie. A pani ją naraża, podejmując takie wybory.

Księżna Gilner była jedną z tych arystokratycznych despotek, które uważały, że Eugenia nieodwracalnie straciła swój status, i traktowała ją na równi z kupcami. Większość z ich ukrywała jednak swe zdanie, ponieważ one same lub ich synowe doskonale zdawały sobie sprawę, co się stanie, gdy urażą właścicielkę Agencji Snowe.

Księżna była ewidentnie niezdolna do takiej dyplomacji.

Eugenię mało obchodziła opinia tej damy.

– Rozumiem, że pani nie życzy sobie, by jej wnukami opiekowała się jedna z moich guwernantek – odparowała z uśmiechem słodkim jak ulepek. – Jeśli pani petycja przeciwko panu Reeve zostanie rozpatrzona pozytywnie, z przyjemnością skieruję panią do innej agencji. Nie sposób określić tych agencji

jako mniej renomowane, ale jestem pewna, że wcześniej czy później uda im się znaleźć dla pani guwernantkę, która będzie możliwa do zaakceptowania.

Powieki księżnej zadrgały.

Eugenia zwróciła się do Warda i złożyła niesłychanie elegancki ukłon.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować w tej mierze, panie Reeve, ale widzę jasno, że Jej Wysokość nie odczuwa potrzeby, by jej wnuki pozostawały pod opieką jednej z moich guwernantek. To wielka szkoda, bo jak się zdaje, wczesny okres ich życia obfitował w niedostatki różnej natury.

W herbaciarni zrobiło się tłoczno od stałych bywalców, którzy przyszli na lunch, a teraz bez wyjątku przysłuchiwali się chciwie rozmowie.

Ward zrozumiał intencję Eugenie i oświadczył głosem pełnym patosu:

– Pani Snowe, proszę panią gorąco, by w wyniku nieopatrznej uwagi rzuconej przez księżnę nie cofała pani obietnicy, że przyśle mi pani odpowiednią guwernantkę.

Odwrócił się do księżnej wdowy.

– O ile rozumiem, guwernantka od pani Snowe jest niezbędna dla zapewnienia przyszłości moim osieroconym podopiecznym.

Jego głos stał się zimny, zdecydowany i nieubłagany.

– Jestem przekonany, że ich zgasły ojciec, który wyraźnie przekazał dzieci pod moją opiekę, chciałby, żeby wychowywano je z najwyższą troską.

Księżna zmarszczyła nos, jakby gdzieś blisko pękło zgniłe jajo.

– Rozumiem, że chce pani wynegocjować lepsze warunki, pani Snowe. Choć prowadzenie takich rozmów publicznie urąga dobremu smakowi, oferuję pani dwa razy wyższe honorarium niż pan Reeve.

– Skądże znowu – skorygowała ją Eugenia. – Cały Londyn wie, że posyłam moje guwernantki jedynie do najlepszych domów, Wasza Wysokość. Z pewnością rozważę pani prośbę, jeśli wygra pani sprawę.

Z tymi słowy wyszła, a Ward ruszył jej śladem.

15

Gdy usieli w powozie, Eugenia opadła na poduszki, czując się jak żołnierz, który przebiegł „ścieżkę zdrowia” w karnej kompanii.

– Całkowicie rozumiem, dlaczego chcesz, by dzieci zostały pod twoją opieką – powiedziała do Warda.

– Moja matka była mimo wszystko bardziej normalna niż ta wariatka, i Bogu za to dziękuję – odparł Ward. – Choć na zdrowy rozum to wydaje się niemożliwe.

Eugenia odpowiedziała współczującym uśmiechem. Niewiele więcej można było na ten temat dodać. Odsunęła aksamitną zasłonę zamocowaną u dołu i góry okna. Wygląda na to, że Jego Książęca Wysokość nie życzył sobie, by przechodnie zaglądali do środka, by ujrzeć go tam w towarzystwie pani Jordan.

– Stangret pomylił kierunki! – wykrzyknęła. – Czy polecieś mu podjechać pod mój dom?

Ward, usadowiony wygodnie naprzeciwko, wpatrywał się w nią płonąłym wzrokiem.

– Nie.

Oszłołomił ją głęboki pomruk jego głosu i niewypowiedziane obietnice, które się za nim kryły, ale była twarda. – Nie mogę z tobą spędzić całego dnia.

Sama myśl o tym sprawiła, że w brzuchu zaczęła jej pulsować fala ciepła.

Znowu odsunęła zasłonę.

– Przecież to Chiswick House!

– Mamy zatem doskonałe tempo.

Wszelkie pożądanie opuściło ją błyskawicznie. Usiadła wyprostowana,

czując, jak przenika ją strach.

– Co to ma znaczyć?

Uśmiechnął się do niej.

– Jedziemy w kierunku szlaku pocztowego na Oksford.

Jego słowa przez chwilę wirowały w jej głowie, zanim dotarł do niej ich sens.

– Co takiego? Ja nie... Co ty wyprawiasz, panie Reeve?

– Porywam cię.

Gapiała się na niego, próbując z twarzy odczytać jego myśli.

– To jakiś żart?

– Skądże znowu.

– Czy w którymś momencie dałam może przez pomyłkę do zrozumienia, że planuję pojechać do ciebie do domu? – spytała, podnosząc głos do wtóru fali gniewu, która ją ogarnęła.

– Nie, skądże. Ale ja...

Przerwała mu:

– Popełniłeś poważny błąd, panie Reeve! – wykrzyknęła, tak wściekła, że z trudem mogła mówić. – Proszę natychmiast zawrócić, bo po raz drugi wylądujesz w więzieniu!

Pochylił się ku niej.

– Eugenio, wysłuchaj mnie, proszę. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Jestem zrozpaczony. Dziś rano miałem długą rozmowę z panną Lloyd-Fantil i oboje uznaliśmy, że jesteś moją nadzieją, a nawet jedyną nadzieją, żeby te dzieci zostały przy mnie.

Przez cały ranek i popołudnie jego głos brzmiał lekko, nawet gdy przepelięniało go pożądanie lub radość – ale teraz zaczął mówić z powagą.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Jeśli tak bardzo potrzebowałeś mojej pomocy, dlaczego marnowaliśmy czas w herbaciarni? Dlaczego nie powiedziałeś mi wszystkiego wprost?

– Panna Lloyd-Fantil doradziła mi, żebym cię zabrał do Guntera na czas pakowania twojego kufra.

– Przez Clothilde? – spytała Eugenia, jakby się spodziewała, że jej pokojówka zmaterializuje się w powozie.

– Pojedzie za nami osobnym powozem, razem z Ruby, pokojówką z Agencji Snowe.

Eugenia patrzyła na niego oszołomiona.

– Ruby też pojedzie?

– Panna Lloyd-Fantil powiedziała mi, że Ruby łatwo się adaptuje i jest przyzwyczajona do nieznośnych dzieci. Uważała, że dziewczyna może nam pomóc. Może powinienem ci powiedzieć, że panna Midge odeszła przedwczoraj.

Oczy Eugonii zrobiły się okrągłe.

– Z własnej woli – dodał. – Uznała mój dom za bezbożną dziczą, a moje rodzeństwo, w szczególności siostrę, za pogan w mowie i czynie.

Eugonii zaparło dech w piersi. Była tak wstrząśnięta, że zapomniała o oburzeniu.

– Przykro mi... Nie, nie jest mi przykro. To okropna sytuacja! Zapewniam cię, że moje guwernantki nie odchodzą z domów bez poważnej przyczyny i wymówienia z wyprzedzeniem!

– Kiedy dowiedziała się o wywoływaniu ducha królika, poinformowała mnie, że zabawy Lizzie są bezbożne i ocierają się o „czarną sztukę”, jak się wyraziła, albo nawet bluźnierstwo – wyjaśnił Ward. – Ma też poważne zastrzeżenia do Otisa, który upiera się, że jego oswojony szczur ma duszę. Na przykład zaczęła mieć kłopoty z wieczornymi modlitwami, bo Otis nie chciał przestać się modlić, by Jarvis poszedł razem z nim do nieba.

Eugenia prowadziła swoją agencję od lat, ale nigdy jeszcze nie zetknęła się z taką sytuacją.

– Zalecam wszystkim guwernantkom, by nie wdawały się w kwestie doktryny – odpowiedziała, starając się ukryć fakt, że nie ma zielonego pojęcia, co zrobić.

– Pytanie, czy szczury mają duszę, to kwestia teologiczna, której nie powinniśmy roztrząsać z powodu braku odpowiednich kwalifikacji.

Z trudem mogła uwierzyć, że Alitheia Midge odeszła z posady.

– Odeszła bez ostrzeżenia? Bez sześciotygodniowego wypowiedzenia?

– Żeby jej oddać sprawiedliwość, muszę przyznać, że moje rodzeństwo okazało się dramatycznie oporne w kwestii religii, a ona ma bardzo zdecydowane poglądy w tej mierze. Wczoraj Lizzie nie chciała pomodlić się za

wieczną duszą swojej matki i powiedziała pannie Midge, że nawet jeśli lady Lisette wylądowała w niebie, to z pewnością wolałaby się przenieść w to drugie miejsce.

– Dobry Boże – westchnęła Eugenia.

– Następnie Lizzie wyznała, że celowo wrzuciła do jeziora modlitewnik swojej guwernantki, by panna Midge przestała czytać na głos modlitwy za umarłych.

– Tak mi strasznie przykro – powiedziała Eugenia bezradnie. – Dwukrotnie umieszczałam ją na posadzie w różnych domach, i choć nie jest najśłodsza z moich pracowników, pomyślałam, że przynajmniej nie będzie płakać ani mdleć.

– Nasza następna guwernantka nie może ani płakać, ani mdleć, ani się modlić – stwierdził sucho Ward.

– Jednak to nie usprawiedliwia tej niespodziewanej wyprawy do Oksfordu – odparła Eugenia. – Powinam być w agencji i pomagać Susan przy wyborze waszej trzeciej guwernantki.

Ward założył ramiona na piersi.

– To jeszcze nie koniec. Kiedy panna Midge uznała, że jej dusza jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zwierzyła się ze wszystkiego naszemu pastrowi, panu Howsonowi.

– Jak rozumiem, nie bywasz zbyt często na porannych nabożeństwach i nie podlizujesz się miejscowemu duchowieństwu? – spytała, rzucając mu pełne nadziei spojrzenie.

Zrobił sardoniczną minę.

– Jestem bękartem, Eugenio. Kościół anglikański odmawia bękartom nawet chrztu, więc raczej nie byłbym mile widziany w parafii.

– To okropne. Bardzo mi przykro, że jesteś odsunięty od religii.

– Mam to gdzieś. Ale ponieważ te plotki nie mogą dotrzeć do uszu księżnej Gilner, koniecznie muszę ułagodzić Howsona, zanim jego oburzenie rozprzestrzeni się poza wioskę. Panna Midge ewidentnie znalazła w nim pokrewną duszę. Jutro rano zabieram Lizzie na rozmowę do niego.

Eugenia analizowała sytuację w myślach. Ward miał rację. Plotki o pogaństwie szerzącym się w Fawkes House kompletnie zniszczyłyby linię

obrony przeciw księżnej.

– Czy mógłbyś przekonać Lizzie o powadze sytuacji i nakłonić, by nie dywagowała na temat pośmiertnego miejsca pobytu jej matki?

– Zastanawialiśmy się, czy byłoby możliwe, by Lizzie nie dyskutowała z ludźmi i pozwoliła im zakładać, że nasza matka siedzi na puszystej chmurce, śpiewając hymny. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że krótka poranna wizyta w kościele rozwiąże problem, szczególnie jeśli będzie wiązać się z obietnicą dużej darowizny. Tylko że na probostwo nieoczekiwanie przyjechał biskup.

– To wielki pech – stwierdziła Eugenia.

– Boję się czekać z odwiedzinami do jego wyjazdu, ponieważ pastor Howson ma bardzo zdecydowane poglądy w kwestii magii – a konkretnie, wierzy w nią.

– Na litość boską – mruknęła Eugenia. Szok, jaki przeżyła, ustąpił miejsca desperacji. – Nie mogę uwierzyć, że panna Midge potraktowała tę dziecinadę poważnie.

– Ja też nie sędzę – przytaknął Ward. – Raczej chodziło jej o wykorzenienie obojętności wobec wiary anglikańskiej. Pani asystentka, panna Lloyd-Fantil, zgodziła się ze mną, że obecność poważnej dyrektorki Agencji Snowe byłaby wielką pomocą w konfrontacji z biskupem.

– Rozumiem. – Eugenia skinęła głową. – To jednak nie tłumaczy, dlaczego mnie po prostu nie poprosiłeś. Nie wyobrażasz sobie chyba, że w takiej sytuacji bym ci odmówiła. – Choć się starała, w jej głosie zabrzmiał cień urażonego uczucia.

Ward ujął w dłonie jej zaciśnięte ręce.

– Nie wątpię, że ze mną pojedziesz – zaczął, a potem uśmiechnął się zawadiacko i dodał: – Ale zawsze chciałem porwać kobietę.

Roześmiała się, zaskoczona.

– Naprawdę?

Skinął głową z powagą.

– Naprawdę. Pomknąć prosto w noc...

– Popołudnie – poprawiła.

– W popołudnie... z piękną, inteligentną kobietą, butelką białego wina i pieczonym kurczakiem na zimno.

Eugenia pokręciła głową, mając wrażenie, że z każdą godziną robi się dziwniej i dziwniej^[3].

– Porwania jako modny sposób spędzania wolnego czasu?

– Do tej pory tego nie próbowałem. Ale jeśli sobie życzysz, chętnie zacznę je regularnie uprawiać.

– Pomyśl tylko, co by było, gdybyś zamiast mnie porwał pannę Petunię. – Eugenia wybuchnęła śmiechem i jej niepokój gdzieś zniknął. – Każda porwana kobieta ma prawo domagać się małżeństwa. Oddałeś swoją przyszłość w mojej ręce.

– Chętnie pobędę w twoich rękach – powiedział, a w jego oczach błysnął zmysłowy głód.

Eugenii zakręciło się w głowie, jakby w jej żyłach popłynął nagle szampan zamiast krwi. Wysunęła dłonie z jego rąk i odsunęła się nieco, bo w przeciwnym razie po prostu by go pocałowała.

– Szczęśliwy z pana porywacz, panie Ward. Chwilowo nie zamierzam wychodzić za mąż.

– Ja też nie chcę się żenić.

W powozie zapanowała idealna harmonia. Eugenii zabiło serce, gdy uświadomiła sobie, że właśnie coś między sobą ustalili.

Już miała wpaść w panikę, niepewna, czy naprawdę ma ochotę na przelotny związek – ale znowu spojrzała na Warda. Był prawdziwym dżentelmenem. Jeśli ona zmieni zdanie, on na pewno się z tym pogodzi.

– Panna Lloyd-Fantil zapewniła mnie, że jako wdowa możesz podróżować bez przyzwoitki. Ale jeśli masz choćby najmniejsze wątpliwości, możemy się zatrzymać i przysiądzie się do nas twoja pokojówka.

– Nie ma takiej potrzeby – rzekła.

Warda ogarnęła radość.

Eugenia była jego, a wkrótce będzie ją miał w najbardziej dosłownym sensie tego słowa, niezależnie, czy teraz by się na to zgodziła, czy nie.

Była najbardziej zmysłową kobietą, jaką znał, i wcale nie ze względu na delikatną linię policzków ani krągłe biodra, ale na kipiące w niej życie... szczególnie w chwilach, kiedy zrzucała maskę wyniosłej damy.

Pożądał jej jak młody, niedoświadczony chłopak. Czuł twardość swej męskości, żar płonący w dole brzucha i pulsowanie jąder jak sygnał alarmowy. Niewiele to miało wspólnego z jej urodą: oczarowała go pewność siebie i inteligencja tej kobiety.

– Mam wrażenie, że właśnie podjęłaś decyzję – powiedział, biorąc byka za rogi.

– O czym? – Przychyliła głowę, a na kołnierzu pelisy opadła lśniąca kaskada rudych włosów.

– O nas?

– „O nas”? Nie ma żadnego „my”.

Tyle że w rzeczywistości rozumieli się bez słów. Prawdziwa rozmowa toczyła się między wierszami.

Dam ci szczęście bez granic, obiecywało jego milczenie.

Uniosła brew.

Ale czy warto dla tego tracić reputację?

– Ale niedługo będzie – odpowiedział na głos. – Należysz do mnie, Eugenio Snowe.

– Nie należę do żadnego mężczyzny – odparła, kręcąc głową.

– Należałaś do męża – odparł z całkowitą pewnością. Wiedział bez cienia wątpliwości, że oddała temu człowiekowi serce i duszę.

Cholerny Snowe.

Zaczął go nie lubić, choć facet nie żył już od wielu lat.

– Należałam do niego, a on do mnie – dodała z przekornym uśmiechem.

– Zupełnie jak w bajce – zawtórował, nie próbując nawet ukryć gardłowego pomruku w swoim głosie.

– Chyba chciałaś mnie poczęstować szklaneczką wina, które kryje się w tym wspaniałym koszu – zasugerowała.

Pochylił się i otworzył koszyk.

– Opowiedz mi o nim. – Wyciągnął wino. – Czy był też taki ładny jak ty?

– O wiele przystojniejszy – odpowiedziała rozmarzonym głosem. – Był piękny jak Adonis. Wszystkie debiutantki marzyły, by na nie spojrzeć.

– Ale on wybrał ciebie?

– Właśnie – przyznała po prostu. – Przetkańczyliśmy całą noc.

– To naprawdę brzmi jak bajka. – Podał jej szklanę.

Pociągnęła łyk.

– W bajkach królewicz nie umiera, ratując życie księżniczki.

Ward zakrztusił się winem.

– Ten wypadek na łodzi?

– Tonęłam, a on mnie uratował – wyjaśniła, unosząc szklanę w toaście za swego byłego męża.

Powóz wypełnił kwietny aromat wina. Ward obserwował, jak szyja Eugenii porusza się, gdy przełykała napój.

– Opowiesz mi, jak to się stało?

Wzruszyła ramieniem.

– Żaglówka się przewróciła, a ja nie umiałam pływać. To było takie bezsensowne! Łąd był w zasięgu wzroku, ale jak się okazało, przy samym brzegu też można utonąć.

Jedyna odpowiedź, jaka przyszła mu na myśl, była niecenzuralna, więc milczał.

– Po tych wszystkich latach wybaczyłam sobie, że przeżyłam, ale wtedy było to nie do zniesienia. Widziałam, jak poszedł pod wodę... by nigdy więcej się nie wynurzyć.

– Gdyby mógł wybierać, zdecydowałby tak samo – odparł, starając się, by brzmiało to rzeczowo.

Odpowiedziała żalonym uśmiechem.

– Ciągłe to sobie powtarzam.

Powóz się zakołysał, a ona niecierpliwie pokręciła głową.

– Czemu rozmawiamy na taki okropny temat?

– Bo to jedna z figur pewnego wyjątkowego tańca – odpowiedział i podniósł się, by przesiąść się obok niej. Tak blisko, że ich nogi stykały się ze sobą.

– Tańca? – spytała.

– Owszem, tańca. – Jego wargi musnęły konchę jej ucha. Znowu pachniała leśnymi jeżynami... aromatem, który nie był słodki ani duszący, ale mocniejszy i dziksz niż kwiatowy.

Odsunęła się. Chłód w jej spojrzeniu mówił, że nie chce ani pocałunku, ani dotyku uda.

Ale on już uczył się odczytywać jej emocje. Rozumieć myśli.

Kiedy pani Eugenia Snowe czuła się zagrożona, otaczała się aurą arystokratycznej damy jak kolczugą.

– W tej figurze naszego tańca oddaję ci siebie – improwizował. – W prezencie, choć przyznam, że diamenty pięknie by się tu prezentowały.

Gdy pokryty odciskami palec dotknął podstawy jej szyi, oblała ją fala gorąca, jakby Ward promieniował ciepłem. Szyja... takie niepozorne miejsce. Ale kiedy jego palce powoli, bardzo powoli przesunęły się pod uchem, a płonący wzrok padł na jej twarz, ten dotyk odezwał się echem w najbardziej wrażliwych miejscach jej ciała.

Położył dłoń z tyłu jej szyi, niemo pytając o pozwolenie. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek ogarnęło ją takie pożądanie, jak płynny ogień ogarniający całą skórę. Pewnie się myliła, pewnie czuła to samo z Andrew...

To była zwykła fizyczna reakcja, poprzedzająca stosunek.

– Kochałam mojego męża – usłyszała własny głos.

Pieszczota palców ustała. Skinął głową, spoglądając na nią z szacunkiem.

– Jestem pewny, że był porządnym człowiekiem, Eugenio.

– Był wspaniałym człowiekiem – poprawiła stanowczo. – Chciał zmienić Izbę Lordów. Był... tak wiele mógłby zrobić.

– Jego śmierć była tragedią – zamruczał Ward.

Słodki głód pulsował w niej z wielką siłą. Aż trudno uwierzyć, że czekała aż tyle lat, żeby znowu go poczuć.

– Mogę cię pocałować? – spytał Ward.

– Tak. – Jej głowa ustawiła się pod idealnym kątem do pocałunku. Wszystko było jasne, nie tylko dla niego, ale i dla niej samej. Postanowiła zrobić ten... ten...

Ten krok, który oddali ją od Andrew. Krok odsuwający ją od śmierci, w stronę życia. Tylko jeden mały krok, który jednak odmieni wszystko.

Wiedziała, że teraz przestanie kryć się w swoim biurze. Zacznie chodzić na bale i do teatru – przecież kiedyś uwielbiała sztuki teatralne – i może kiedyś

spotka mężczyznę obdarzonego takim samym wdziękiem i radością życia jak Andrew.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw odda się przyjemnościom, nauczy się żyć w świecie, a nie w klasztorze, jakim była agencja pani Snowe.

Wargi Warda musnęły jej usta i całe ciało zadygotało, jakby budziło się z siedmioletniego snu. Uniosła ramiona i objęła go za szyję.

Nie była już przecież mężatką. Ani dziewicą. Ani młodą dziewczyną. Może jednak powinna wyznaczyć granice na przyszłość. Nie chciała go przecież zranić, bo wiedziała, że choć Edward Reeve jest jednym z najsilniejszych i najtwardszych mężczyzn, jakich poznała w życiu, to może zostać zraniony.

Odsunęła się nieco, zanim zdążył pogłębić pocałunek, i ujęła w dłonie jego mocną twarz.

– Ward – szepnęła.

Te inteligentne oczy, nieopanowane i pełne pożądania.

– Eugenio – odpowiedział. W jej głosie pulsowała namiętność, ale on był spokojny.

Wzięła głęboki oddech. Prowadząc swoją agencję, nauczyła się, że należy jasno stawiać sprawy.

– Może do końca życia pozostanę zakochana w Andrew. Nie jestem gotowa na małżeństwo i nie chciałabym, żebyś brał to pod uwagę.

– Rozumiem – rzekł Ward. Położył dłoń na jej dłoni, spoczywającej na siedzeniu między nimi. – Rozmawiamy jedynie o miłych gestach, jakimi darzą się przyjaciele.

Jej wzrok przemknął po ich nieokrytych rękawiczkami dłoniach. Przy jej szczupłych palcach dłoni Warda wydawała się olbrzymia.

– Przyjaciele – powtórzyła, rozbawiona takim ujęciem sprawy.

– Między dobrymi przyjaciółmi może istnieć intymność, której nie okazuje się ani publicznie, ani w towarzystwie.

Jej dłoń drgnęła pod jego dotykiem jak pisklę czyżyka, uratowane, gdy wypadło z gniazda. Pochylił się ku niej powoli, dając jej czas, by mogła się uchylić, gdybychciała.

Nie chciała. Szczerze mówiąc, wstrzymała oddech, gdy poczuła jego usta na

swoich wargach, a potem rozchyliła je w westchnieniu. Przez sekundę oddychali sobą nawzajem, a potem jego dłoń mocniej objęła jej palce, druga przyciągnęła ją do siebie, a do ust wsunął się język.

16

Eugenia Snowe nie była szalona. Zawsze jasno określała granice, i zamiast się buntować, chętnie respektowała społeczne zasady, które jej ojciec wolał ignorować.

Ale teraz, w półmroku powozu, sam na sam z mężczyzną, który ją porwał, ogarnęło ją szalone zapamiętanie, wypełniając ją aż po koniuszki palców.

Pragnęła Warda Reeve'a całą duszą, każdym nerwem. Pragnęła jego mocnego ciała, głodu, który płonął w jego oczach i tego niesfornego kosmyka włosów, który opadł mu na czoło.

A on całował ją ogarnięty pierwotnym głodem, który przywrócił jej ciało do życia. Miała ochotę śmiać się z radości.

To było coś nowego: nie pamiętała, by pocałunki Andrew budziły w niej taką wesołość. Przytuliła się do Warda bliżej, objęła go za szyję i nagle zrozumiała, dlaczego tak się czuje: to nie była miłość. To była dobra zabawa.

Ten zachwyty i radość szły do głowy jak wino. Rozchyliła wargi i zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem zmysłowego dotyku jego języka i mocnej dłoni, o którą opierała głowę.

Pożądanie było bardziej pierwotne niż niegdyś, a mimo to towarzyszyła mu ta nowa, nieznana, kipiąca radość.

W końcu nie mogła już dłużej wytrzymać i zaśmiała się na głos. Ward mruknął coś niezrozumiale.

Przechyliła głowę tak, by polizać pulsującą na szyi żyłę. Jej ręce przeniosły się na potężne ramiona.

– Czy ty mnie polizaaś? – mruknął, zaskoczony.

– Mmm – odpowiedziała i zrobiła to jeszcze raz. – Zdaje mi się, że w niektórych rejonach świata ludzie tak się witają. Chyba w Chinach, prawda?

Ciepły język musnął jej ucho.

– W odległych krajach ludzie witają się... czymś takim? – Poczowała, jak między nogami przepłynęła fala ciepła.

– Może nie na co dzień – szepnęła.

Powóz zakołysał się, popychając Warda w jej stronę. Przesunął palcem po jej włosach i lekko odchylił głowę.

– A w innych krajach ludzie na powitanie się całują... Chyba w Rosji.

Musnęła jego wargi swoimi.

– W ten sposób?

Pokręcił głową.

– Głębiej, dziewczko...

– Nie jestem, dzie.... – Zanim zdążyła skończyć, zgniótł jej wargi swoimi. Czyste, męskie pożądanie skradło jej słowa, darząc ją w zamian czymś zupełnie innym.

Całowali się aż do zawrotu głowy, jakby zdrowy rozsądek już przegrał batalię z tęsknotą.

– Ward. – To było westchnienie, śpiewna nuta, modlitwa.

Zamruczał coś gardłowo i musnął wargami jej policzek. Pod tym lekkim dotykiem jej twarz wydała się nowa i nieznana, jakby stworzył ją na nowo... tylko przez to, że poznawał i zapamiętywał jej płaszczyzny i zagłębienia.

Eugenia odsunęła się. Gdyby nie to, pewnie opadłaby na poduszki i oddała jego wargom swoje piersi. Spojrzała na jego mocne szczęki i brwi, które idealnie harmonizowały z wysokimi kośćmi policzkowymi.

Krótko mówiąc, był porażająco piękny. Prawdziwie męską urodą.

– Rzeczy uznawane za przyzwoite w Chinach albo Rosji niekoniecznie są przyzwoite w powozie zmierzającym do Oxfordshire – wykrztusiła, uświadamiając sobie nagle, że chyba właśnie mu obiecała coś nieprzyzwoitego później... kiedy wysiądą z powozu.

Jego bezczelny uśmiezek potwierdził, że się nie myliła.

– Zaczekaj – powiedziała pośpiesznie.

– Będę na ciebie czekał całe życie, Eugenio.

Wzniosła oczy do nieba.

– Niezależnie od tego, co zajdzie między nami, oszczędź mi, proszę, powodzi gładkiego pustostłowa.

– Obawiam się, że to nie był pusty komplement.

Położyła mu dłoń na piersi i lekko odepchnęła od siebie. Włosy opadły jej na ramiona, a wargi nabrzmiały jak po ugryzieniu pszczoły. Zaczęła upinać włosy i wtykać w kok szpilki na chybił trafił.

Nie odważyła się spojrzeć mu w twarz, wiedząc, że jeśli zobaczy na niej ten głód i żar, to ulegnie. Znowu.

Kiedy mniej więcej uporządkowała włosy, a rytm serca wrócił do normy, wciąż nie patrząc mu w oczy, mruknęła:

– Zanim dojedziemy do Fawkes House, powiedz mi, proszę, parę słów o dzieciach. Czy bardzo przeżyły odejście panny Midge?

Głos Warda był głębszy i bardziej szorstki niż zwykle, ale szczery.

– Otis chyba nawet tego nie zauważył. Prawie cały zeszły tydzień pracował nad swoją łapką na myszy.

– W waszym domu są myszy?

– Pewnie tak. Jest dość stary.

– Gdyby były, na pewno byś o tym wiedział. Myszy nie są ciche – odparła. – Gadają ze sobą i biegają po ścianach, dręczą służbę w kuchni i zjadają świece.

– Myszy zjadają świece?

Skinęła głową.

– Podobnie jak szczury.

– Jedyne szczur w domu to Jarvis, towarzysz Otisa.

Eugenia zadygotała.

– Nienawidzę szczurów.

– Przyznaję, że trudno to sobie wyobrazić, ale nawet ja sam bardzo polubiłem Jarvisa.

– Niemożliwe!

– Owszem, możliwe – odpowiedział, uśmiechając się kątem ust.

Eugenia znowu bezwiednie zadygotała.

– Rozumiem, że damy niechętnie akceptują takie stworzenia, ale ty jesteś szczególnie uprzedzona.

– Wyrosłam w domu pełnym szczurów.

Ta wiadomość nim wstrząsnęła. Wyobrażał sobie Eugenię jako małą dziewczynkę o rudych lokach, skórze gładkiej jak porcelana i kilku piegach na nosku. I to dziecko... wyrosło wśród szczurów?

Ciągle zapominał, że ona nie była szlachcianką. Ale przedtem zakładał, że jej rodzina miała jakieś powiązania z ludźmi z towarzystwa. Może ojciec był pastorem albo kimś w tym rodzaju.

Ale plaga szczurów w domu oznaczała, że Eugenia pochodziła z warstwy o wiele niższej niż szlachta.

Nagle uświadomił sobie, że zmarszczył groźnie twarz.

– Nie podoba mi się myśl, że wyrosłaś w takich warunkach.

Może cierpiała głód? Ta myśl zapiekła go w brzuchu jak kwas.

– Sama niechętnie o tym myślę. – Jej intonacja była godna wielkiej damy, ale to była przecież część maski, część roli, jaką postanowiła odgrywać. – Miałam osiem lat, kiedy mnie pogryzły.

Kwas rozprzestrzenił się w żyłach.

– Dostałaś szczurzej gorączki?

Skinęła głową.

– Często bywa śmiertelna... – Teraz zaczął ją lepiej rozumieć. Pewnie w dzieciństwie cała jej energia, niesamowita inteligencja i czysta radość życia koncentrowały się na ucieczce od takiego życia. Nic dziwnego, że tak bardzo pragnęła żyć jak dama.

– O mało nie umarłam – zwierzyła mu się. – Moja macocha, którą zresztą uwielbiam, powiedziała mi później, że tamtej nocy nauczyła się modlić.

Ward przeczesał palcami włosy. Naturalnie, wiedział, że w wielu angielskich domach panowała plaga szczurów. To było normalne.

Ujrzał w myślach drobny, ozdobiony wąsikami pyszczek najlepszego przyjaciela Otisa. Eugenię czeka spotkanie ze szczurem, czy tego chce, czy nie.

– Jak daleko jest twój dom? – spytała.

– Około czterech godzin. Zaraz zatrzymamy się w oberży, żeby zmienić

konie.

– Nie będziesz miał nic przeciwko, żebym się zdrzemnęła, kiedy znowu ruszymy? Strasznie mi się chce spać od tego wina.

Wyraźnie nie miała ochoty na dalsze pieszczoty, ale zmusił się, by nie protestować. Nie chciał, by ich pierwszy raz wydarzył się w powozie.

– Doskonale – powiedział, pochylając głowę. – Jeśli nie masz nic przeciwko, ja też się prześpię.

Powinien panować nad pożądaniem. Przecież nie może rzucić się na swego gościa od razu, gdy tylko przejdzie przez próg jego domu.

Właściwie powinien się do niej zalecać... dawać kwiaty i tak dalej. Do diabła, nie będzie jej przecież traktował jak kurtyzany, jak wesołej wdówki.

Była cnotliwa, jak prawdziwa dama, założyłby się o to. Ale bez wątpienia go pragnęła.

To mu wystarczy do szczęścia.

17

W niespełna dwie godziny później, powóz zajechał na dziedziniec Pod Święconym Serem, gospody oddalonej o dziesięć mil od majątku Warda. Dotknął ramienia Eugonii, by ją obudzić. Kiedy usiadła, mrugając oczami, zaróżowiona od snu, z trudem stłumił jęk.

Szpilki znowu powypadały jej z włosów, a suknia zsunęła się tak, że jeszcze chwila, a jej piersi mogłyby ujrzeć światło dzienne. Właśnie tak będzie wyglądała, kiedy pierwszy raz będą się kochać.

– Och – powiedziała sennie. – Jesteśmy już na miejscu? – Przełożyła gęste włosy na ramię i zaczęła je skręcać. Pewnie tak samo jak kobiety przędące len.

– Jesteśmy już blisko, ale trzeba jeszcze raz zmienić konie – wyjaśnił. – Pomyślałem, że może chciałabyś coś zjeść. I tak zdążymy do domu na kolację. A dzięki postojowi damy szansę drugiemu powozowi, by nas dogonił.

– Gdzie jesteśmy?

– W zajeździe Pod Święconym Serem.

Jej dłonie uniosły się i trzepotały wokół głowy, upinając włosy tak solidnie, jakby to były dachówki. Była o wiele swobodniejsza, nawet trochę w dezabilu, co bardzo mu się podobało. Bardzo a bardzo.

Gdy tylko posadzono ich w zacisznym prywatnym saloniku, pojawił się właściciel w towarzystwie posługacza niosącego paterę z owocami i deskę serów.

– Dobry wieczór państwu.

Eugenia, która jeszcze przed chwilą uśmiechała się do Warda tak kusząco, że miał ochotę złapać ją i posadzić sobie na kolanach, w okamgnieniu zmieniła się

w idealne uosobienie damy.

Karczmarz zareagował na jej elegancję tak, jakby była prawdziwą księżną, zaczął się kłaniać, krygować i ogólnie rzecz biorąc, robić z siebie napuszonego idiotę.

Wuj Eugenii pracował dla londyńskiej komendy policji, co oznaczało, że na pewno nie urodziła się w rodzinie szlacheckiej, a już na pewno nie wśród arystokratów. A jednak bez większego trudu odnalazłaby się wśród gości eleganckich kolacji, jakie wydawał jego ojciec.

– Guwernantki uczą swoich podopiecznych czegoś więcej niż tylko pisania i arytmetyki, prawda? – zapytał po odejściu karczmarza, wtórując własnym przemyśleniom. – Przecież dzieci przychodzą na ten świat jako małe dzikusy. Sam taki byłem.

– Jeśli pozostawić je samym sobie, to na pewno nimi pozostają – zgodziła się. – Ale wydaje mi się, że Lizzie i Otis są klasą sami dla siebie. – Puściła do niego oczko. – Być może to cecha rodzinna.

– Oprócz innych licznych moich zbrodni w nocy nie chciałem sypiać we własnym łóżku, podobnie jak moje rodzeństwo. Podobno bez przerwy opowiadałem jakieś zmyślane historie i wszystkich tym zanudzałem. Poza tym ssałem kciuk, a przynajmniej tak utrzymuje moja macocha, bo sam tego nie pamiętam.

Roześmiała się.

– To nic niezwykłego.

Spotkali się wzrokiem i zakręciło mu się od tego w głowie. Była taka piękna, że jej uroda szła do głowy jak wino. Najchętniej pocałowałby ją jeszcze raz.

Postanowił zmienić temat.

– Często widzisz się z rodziną?

Jego głos podświadomie nabrał twardości. Gdyby kiedykolwiek spotkał jej ojca, na pewno porozmawiałby z nim o tych szcurach. Co za człowiek wychowuje córkę w takich warunkach?

– Nie tak często, jakbym chciała – odpowiedziała z ciepłym uśmiechem. – Ale szczerze mówiąc, ta nieplanowana podróż sprawiła, że postanowiłam, wracając, odwiedzić ojca i zostać u niego na tydzień, by odpocząć od pracy w agencji.

Może nawet zostaną dłużej.

Zaczęła się bawić nożem.

– Wiesz, dziś rano przyszło mi do głowy coś dziwnego.

– Co takiego?

– Że mogłabym przekazać zarządzanie agencją pannie Lloyd-Fantil, która na razie pracuje jako moja asystentka.

Ward podniósł wzrok znad jabłka, które właśnie obierał:

– Powierzyłabyś jej zarządzanie agencją?

– Potrzebne mi nowe wyzwania – powiedziała z takim spokojem jak dama, która chce nauczyć się nowych kroków tanecznych.

– Potrafię być niezłym wyzwaniem – stwierdził.

Uśmiech, który zakwitł na jej twarzy, sprawił, że pożądanie wezbrało w nim jak powódź. Pragnął jej dziko, do obłędu. Na samą myśl o pójściu z nią do łóżka jądra nabrzmiwały boleśnie.

Do diabła z łóżkiem. Wystarczyłaby ściana. Albo stół.

Nie.

– Z tego, co widzę, nie byłbyś dla mnie wyzwaniem – zauważyła z przekornym błyskiem w oku.

Miała rację.

– Jestem do twoich usług – zgodził się. Pochylił się i pocałował ją w usta. Od tego lekkiego dotyku w jego ciele zapłonął ogień.

– Opowiedz mi coś więcej o swoim dzieciństwie – poprosił. Jeden ruch nadgarstka i skórka z obieranego jabłka upadła na stół.

– Moja matka umarła, kiedy byłam mała. W ogóle jej nie pamiętam.

– Przykro mi – odparł, podając jej owoc. – Ja też nie znałem mojej matki. Księżna Gilner oddała mnie ojcu, kiedy byłem niemowlęciem.

Wzięła jabłko.

– Nie wiedzieć czemu, zaczyna mi się wydawać, że ta gospoda to rajski ogród, a ty odgrywasz rolę węża.

– Co za absurd – odpowiedział. Miał poczucie, że nic, co robiłby z tą kobietą, nie byłoby grzechem.

– Babka pozbyła się ciebie, bo byłeś nieślubnym dzieckiem? Znam kurtyzany,

które nigdy nie zrobiłyby czegoś takiego, chyba że w obliczu skrajnej biedy.

– Znałaś osobiście jakieś kurtyzany? W sensie kobiet z półświatka?

– W dzieciństwie – rzekła spokojnie. – Mój ojciec był bardzo szczodry dla osób odrzucanych przez konwencjonalne towarzystwo.

Nie tylko szczury, ale i dziwki? Naprawdę nic dziwnego, że tak jej zależało na odgrywaniu prawdziwej damy.

– Można powiedzieć, że księżna Gilner uratowała mi w ten sposób życie. Matka była naprawdę zaburzona. – Odchrząknął. – Czy kurtyzany były stałym elementem domostwa twego ojca, tak jak te szczury?

– Mam nadzieję, że to nie było porównanie – rzuciła zdecydowanym, mocnym głosem. – Wychowano mnie tak, że nikogo nie poniżam, ani ze względu na zawód, ani na sytuację rodzinną.

Ward uśmiechnął się szeroko.

– Co racja, to racja.

– Prawdę mówiąc, moja ciotka prowadzi Dom Magdalenek dla kobiet, które pragną uciec od życia wśród ludzi.

– To niezwykle akt dobroczynności.

– No cóż, ona... – Eugenia przerwała w pół słowa. – Tak, to dobra kobieta. Nauczyła mnie, co się naprawdę liczy w życiu.

Wstała od stołu.

– Pewnie już zmienili te konie.

Chyba nie sugerowała, że ciotka nauczyła ją sztuczek znanych adeptkom tej szczególnej profesji. Jednak fala gorąca przepłynęła przez całe jego ciało na samą myśl o tym, że elegancka Eugenia może się okazać odważną towarzyszką łoża.

Odsunął krzesło, gotów, by pomóc jej wstać.

– Czego mianowicie cię nauczyła?

Odwróciła się i popatrzyła na niego przez ramię. Na widok jej zmysłowych, kształtnych rysów i różowych jak peonia warg zaparło mu dech w piersiach.

– Na przykład różnicy pomiędzy płciami.

– Jakich mianowicie?

– Łóżkowych.

Jednym krokiem znalazł się przy niej tak blisko, że przycisnął ją do ściany, choć ich ciała nie zetknęły się ze sobą. Oparł rękę ponad jej głową.

– Czy to znaczy, że Snowe nic cię o tym nie nauczył?

Eugenia spuściła oczy, aż ciemne rzęsy rzuciły cień na jej policzki, a potem spojrzała mu prosto w oczy. Jej źrenice były zielone jak wiosenne liście.

– Oczywiście, że tak.

Zazdrość ścisnęła mu żołądek, aż poczuł kwaśny smak w ustach.

– Od ilu lat jesteś wierna jego pamięci?

– Owdowiałam siedem lat temu – oznajmiła, unosząc podbródek i prostując się na całą wysokość.

– Ależ on miał szczęście – zauważył Ward. Pocałować ją czy nie? Dosłownie umierał z pożądania. – Chyba jednak nie zdążył nauczyć cię wszystkiego. Poza tym skąd wiesz, że był dobry, skoro nie spałaś z nikim innym?

Wybuchnęła śmiechem.

– Mój drogi, jeśli nie znasz odpowiedzi na to pytanie, to nic ci nie pomoże, żebym nie wiem, co ci powiedziała. Za to chętnie porozmawiam z twoją przyszłą żoną i dam jej parę wskazówek.

– Moja żona nie będzie potrzebowała wskazówek – odpowiedział, zbliżając się jeszcze bardziej. Znowu otoczył go jej słodki, jeżynowy zapach.

– Ale tobie przydałoby się parę dobrych rad – stwierdziła pogodnie.

– Rozumiem, że twój mąż ich nie potrzebował.

– Z nim poznałam co to niebo. – W jej głosie brzmiała niepodważalna prawda.

Jasna cholera.

Podła, zazdrosna część Wardowej duszyczki miała nadzieję, że tamten był nieco mniej utalentowany.

– To straszne, że od tylu lat nie byłaś z żadnym mężczyzną.

– Taki jest los kobiet – odparła. – Albo ponownie wychodzimy za mąż, albo musimy odpierać niemile widziane zaloty.

– Siedem lat bez chwili rozkoszy – zadumał się.

Spuściła wzrok, a policzki jej poróżwiały.

Jądra Warda stwardniały, a całe ciało przeniknęło drżenie. Do diabła, ależ

była urocza.

Radziła sobie sama.

– To znaczy, bez dotyku mężczyzny – sprecyzował.

– Nasza rozmowa z nieprzyzwoitej staje się obsceniczna – stwierdziła.

Pokręcił głową.

– Nie zauważyłaś, Eugenio, że prawie wszystkie nasze rozmowy zaczynają się nieprzyzwoicie?

– To źle świadczy o mnie i o tobie – rzuciła. – A teraz pozwól mi przejść, żebyśmy mogli ruszyć w dalszą drogę.

– Wolałbym porozmawiać o tych niebiańskich doświadczeniach.

Pchnęła go lekko.

– W żadnym wypadku!

Musnął wargami śliczne zakole jej ucha.

– Dlaczego nie chcesz, żebym ci pokazał moją wersję nieba? Twój mąż nie chciałby, żebyś cierpiała samotność przez resztę życia.

– Nie – przyznała, rzucając mu bystre spojrzenie. – Ale nie chciałby też, żebym nawiązywała podejrzane romanse. Noszę teraz jego nazwisko. To było dla niego bardzo ważne.

– Nie myślałem o podejrzanym romansie – sprostował. – Jeśli mężczyzna chce dać kobiecie rozkosz, by zadośćuczynić jej za długie lata wdowieństwa, to inna sprawa. Nie trzeba do tego żadnych tak zwanych romansów.

– Pastorowi by się to nie spodobało.

– A czy musi się dowiadywać o takim drobiazgu?

– Drobiazgu? – zachichotała złośliwie.

Pochylił się, wdychając znowu jej ulotny zapach.

– Diablica.

O rozmiar swojego narządu akurat nie musiał się martwić.

– A jeśli ofiaruję ci minutę za każdy rok, który upłynął od śmierci twego męża?

Wybuchnęła śmiechem i otarła się o niego, przechodząc.

– Tylko siedem minut? Mówisz jak typowy mężczyzna.

Patrzył za nią, jak wychodziła, uśmiechając się mimo woli.

Damy – to znaczy prawdziwe damy, utytułowane, szlachetnie urodzone i tak dalej – były po prostu nudne. Po dwudziestce wszystkie traciły poczucie humoru i radość życia. Za to Eugenia była pełna radości, sardoniczna, odważna i inteligentna – a przy tym obłądnie zmysłowa.

Ruszył za nią kocim krokiem, cały przeniknięty pożądaniem i podziwem.

Jeśli zechce dać mu te siedem minut, żadnej z nich nie zmarnuje. Wystarczy, że zwabi ją do swej sypialni, a te siedem minut zmieni się w siedem dni.

Eugenia była przy samych drzwiach, gdy chwycił ją za nadgarstek i odwrócił ku sobie.

Wydała lekki okrzyk, przechyliła głowę i spojrzała na niego spod pięknych, podwiniętych rzęs.

– Panie Reeve – powiedziała. – Czy jest jeszcze coś, w czym mogłabym panu pomóc?

– Tak – wykrztusił, przyciągając ją do siebie.

Zamknęła oczy, gdy ich ciała wtuliły się w siebie. Pasowały idealnie.

– Daj mi siedem minut – szepnął.

Rozchyliła wargi, ich języki się zetknęły, a pożądanie pomknęło jak iskra wzdłuż jego kręgosłupa. Smakowała jak szarlotka. Jak Eugenia.

– Siedem minut – wychrypiał, kiedy już odzyskał głos. – Proszę cię.

Jej szeroki, olśniewający uśmiech sprawił, że jego tętno przyspieszyło jeszcze bardziej.

– Siedem minut? Ja zasługuję na więcej, Ward.

Pochyliła się ku niemu i położyła mu palec na wargach, by nie pomnożył swojej propozycji przez dziesięć.

– Nie.

Odmowa uderzyła mu do głowy jak pocałunek. W jego krwi pulsowało jedno słowo, jak litania: „Moja. Moja. Moja”.

Odwróciła głowę ruchem, od którego jej włosy zalśniły w gasnącym świetle dnia jak płomyki ognia i wyszła, poruszając biodrami w sposób, który powaliłby na kolana każdego mężczyznę.

18

Prywatny podjazd wiodący do Fawkes House był długi na milę. Gdyby luksusowy powóz podróżny nie przekonał Eugenii, to na pewno zrobiłaby to posiadłość: Ward był rzeczywiście bogaty jak Krezus.

Prawie tak samo jak ona.

Ciekawa sytuacja. Była przyzwyczajona do zalotników, którzy mieli na oku jej fortunę. Ale naturalnie Ward się do niej nie zalecał. Był po prostu klientem.

Niezależnie od tego, kiedy weszli do holu, miała wrażenie, że porwie ją na ręce i zanieśie od razu na górę.

Ale tuż za nimi szły Ruby z Clothilde; drugi powóz dogonił ich i przez ostatnich kilka mil jechał tuż za nimi, w związku z czym w holu nie doszło do gorszących scen.

Ward przedstawił jej swego majordoma Gumwatera, mężczyznę o niesamowitych brwiach, które wędrowały w górę i w dół jak kosmate gąsienice. Gumwater natychmiast polecił jednemu z lokajów zaprowadzić Clothilde do sypialni Eugenii i zanieść tam jej kufer.

– Chciałbym zapoznać cię z dziećmi – oznajmił Ward. – Może pójdziemy razem z Ruby do pokoju dzieciennego?

Pokój był przestronny i ładny. Nieco wcześniej padało, więc na szybach dużych okien zostały krople deszczu, które błyszcząły w ciepłym świetle licznych lamp.

Uwagę Eugenii przykuła natychmiast mała dziewczynka stojąca pod ścianą na odwróconym do góry dnem nocniku. Na twarzy miała pogniecioną czarną woalkę, a jedną rękę uniosła do góry jak wytrawny recytator. Publiczność

stanowił mały, siedzący po turecku chłopiec, odwrócony do nich plecami.

Gdy weszli, Lizzie przerwała w pół zdania, a Otis odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje, a potem grzecznie wstał.

– Złaż z nocnika, Lizzie – polecił Ward. – Mam cichą nadzieję, że był pusty, zanim przerobiłaś go na scenę...

– Oczywiście, że tak! – wykrzyknęła, zeskakując na podłogę.

– Chciałbym was przedstawić pani Snowe – powiedział Ward. – Była tak miła, że zgodziła się zostać z nami przez parę dni, do przyjazdu nowej guwernantki.

Eugenia uśmiechnęła się do dzieci.

– Miło was poznać, panno Darcy i lordzie Darcy.

Otis uklonił się i mruknął coś pod nosem. Lizzie wprawdzie nie dygnęła, ale oświadczyła zza welonu, że jest jej niezmiernie miło. Ewidentnie należało nad nimi popracować, zanim przestawi je się londyńskiej socjocie.

– A to jest Ruby, która na razie będzie waszą pokojówką – dodał Ward.

Ruby podeszła do dzieci energicznie i życzliwie. To właśnie połączenie tych cech sprawiło, że idealnie sprawdzała się jako gospodyni Agencji Snowe.

– Czy panienka czasem zdejmuje ten welon?

– Rzadko – odparła Lizzie.

– Myślę, że to nic nie szkodzi, jeśli panienka myje buzię i uszy – odparła Ruby. – Ale chętnie bym go wyprała w nocy, jak panienka będzie spała, jeśli panienka nie ma nic przeciwko.

Lizzie wyraźnie nie miała nic przeciwko temu.

– A ty, paniczku Darcy, co tam trzymasz? – spytała Ruby.

– Mojego szczura Jarvisa – odparł Otis, z powrotem siadając na podłodze. Słyszając to, Eugenia odsunęła się o krok i instynktownie złapała Warda za ramię.

Pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Wszystko będzie dobrze. Jarvis jest bardzo dobrze wychowany.

– Jarvis, tak? – powtórzyła Ruby. – Co on ma na sobie?

– Płaszcz, w którym chodzi do opery – wyjaśnił Otis. – Dziś spędzamy wieczór w teatrze.

Eugenia powtórzyła sobie w duchu, że nie jest tchórzem, i zmusiła się, by

podejść o krok, żeby zobaczyć, jak wygląda operowy płaszcz dla szczura. Maleńkie ubranko zrobiono ze ścinka czerwonego aksamitu i umocowano na szyi niedużego, szczupłego szczura o złotawym futerku i lśniących, czarnych oczach.

Jarvis siedział na kolanie Otisa, wyraźnie nie mając zamiaru skoczyć na Eugenię i przebiec jej po nodze, więc przysunęła się jeszcze bliżej.

– Nie przeszkadza mu to ubranko? – spytała.

Otis miał kanciaste kolana i zwichrzone włosy, jak wszyscy chłopcy w jego wieku. Miał też niepokojąco szczere spojrzenie, które widziała już u innego mężczyzny w tej rodzinie – u jego brata.

– Jarvis jest bardzo ugodowy – wyjaśnił Otis. – Ma cztery albo nawet pięć ubrań na różne okazje.

– Ale czerwony aksamit lubi najbardziej – uzupełniła Lizzie. – A spodni w ogóle nie chce nosić.

To brzmiało sensownie.

– Jaką sztukę graliście? – spytała Eugenia dziewczynkę.

Lizzie była bardzo szczupła – o wiele za chuda jak na dziewczynkę w tym wieku. Ale głos, który dobiegł zza welonu, był tak dojrzały, jakby miała dwa razy więcej lat.

– Scenkę ze *Światowych sposobów* Congreve’a. To jedna z ulubionych scen taty.

– Nauczyłam się jej na pamięć, kiedy byłam mniej więcej w waszym wieku! – wykrzyknęła Eugenia.

Lizzie pisnęła cicho i odrzuciła welon, odsłaniając bladą buzię o wielkich brązowych oczach. Wymierzyła w Eugenię palec:

– „Mości Petulant, toż z ciebie istny mowy skróćiciel!”^[4]

– „Witwoud” – odparła Eugenia. – „A ty psujem jesteś sensu”.

– Nie mam pojęcia, dlaczego obie nauczyłyście się akurat tej sztuki – stwierdził Ward z lekką urazą w głosie. – O ile sobie dobrze przypominam, jest bardzo nieodpowiednia.

– Moja ulubiona to *Możność chęciom niedostała* Etherege’a – stwierdziła Lizzie, ignorując go. – Zna to pani?

– Sir Olivera Cockwooda^[5]? – wykrzyknęła Eugenia. – Od zawsze!

– Olivera *Cockwooda*? – powtórzył Ward, ściągając brwi.

Lizzie z powrotem wskoczyła na nocnik i wyrzuciła ramiona do góry:

– „Mąż zazdrosny – brońcież mnie odeń nieba! Tysiąc utrapień stąd się wszczyna dla biednej kobiety – utrata czci, spokoju i...” Zrobiła dramatyczną przerwę.

Eugenia wyczuła, że Ward nie jest zachwycony tym występem – był wściekły – ale podrzuciła brakujące słowo:

– ...i jej rozkoszy.

– „Albo, co równie jest okropne, utrata życia w mieście”^[6] – dokończyła Lizzie. – Wysłali ją na wieś, zupełnie tak samo jak mnie i Otisa.

– Świetnie deklamujesz – pochwaliła ją Eugenia. – Ale ten cytat pochodzi z *Żony wiejskiej*, a nie z *Możność chęciom nie dostała*, prawda?

– Mylą mi się – przyznała Lizzie, schodząc z nocnika. – Między innymi dlatego tata uważał, że jestem okropną aktorką. Znała pani mojego ojca?

– Przykro mi, ale nie – odpowiedziała Eugenia.

– Też był beznadziejny na scenie, więc zajmował się kurtyną.

– Będę musiała was poprosić o pomoc w przygotowaniach do spania – wtrąciła Ruby. – Czy Jarvis sypia w domu?

– Tak! Otis przytulił szczura do piersi

Ruby nawet nie mrugnęła okiem.

– A ma jakieś swoje pudełeczko? Moim zdaniem, zwierzęta nie powinny spać w tym samym łóżku co ludzie.

– Ale on śpi ze mną. – Głos Otisa stał się piskliwy.

– Mam pudełeczko, w którym trzymam wstążki, które doskonale by pasowało – powiedziała Eugenia. – Jest wyłożone miękkim zielonym aksamitem i wydaje mi się, że spodobałoby się tak kulturalnemu szczurowi, jakim jest Jarvis.

– I byłoby dla niego bezpieczniejsze – dodała Ruby. – Co by się stało, gdybyś któreś nocy go przygniótł?

– Nigdy bym tego nie zrobił – zapewnił ją Otis.

– Nie wiem na pewno, czy moja pokojówka zapakowała to pudełko, ale szybko się tego dowiemy, jeśli pan Reeve pokaże mi, gdzie jest moja sypialnia.

– Dobrze – zgodził się chłopiec. – Pójdziemy z wami razem z Jarvisem i zobaczymy, czy mu się spodoba.

– Poza pokojem dziecinnym Jarvis może poruszać się tylko w płóciennym torbie – zapewnił ją Ward.

– Od święta ma inną – uzupełnił Otis, pakując szczura do aksamitnej torby ozdobionej wstążkami i frędzlami.

Ruby została, by przypilnować Lizzie przy kąpieli.

– Jarvis ma wspaniałą garderobę – stwierdziła Eugenia.

– Mama uszyła mu te ubranka, zanim umarła – odpowiedział.

Zaskoczona Eugenia popatrzyła na Warda, ale nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Trudno było jej sobie wyobrazić lady Lisette z igłą, ale wyraźnie miała też matczyne cechy, których Eugenia by się po niej nie spodziewała.

– Chce pani dać chłopcu pudełko do wstążek? – szepnęła Clothilde z dezaprobatą. – Przecież dostała je pani od ojca, prawda?

– To tylko stare pudełko po cygarach – odparła Eugenia, wyciągnęła z niego wstążki i podała Otisowi. Chłopiec uważnie obejrzał wyściółkę z zielonego aksamitu i stwierdził, że pewnie spodoba się Jarvisowi.

Kiedy Otis i Jarvis zostali przekazani pod troskliwą opiekę Ruby, Ward z powrotem poprowadził Eugenię do skrzydła dla gości. Jej umysł pracował w szalonym tempie.

– Lizzie jest niesamowita! – wykrzyknęła.

– Bo potrafi zapamiętać, i to dość niedokładnie, pieprzne dialogi ze sztuk? – spytał z przekąsem.

Eugenia spojrzała na niego spod oka.

– Nie gniewasz się chyba na nią za to, że nauczyła się na pamięć sztuki teatralnej albo kilku sztuk we fragmentach?

– Byłem zdziwiony, że ją za to chwalisz.

– Och, daj spokój – odparła lekko. – W jej wieku też mnie fascynowały takie starocie.

Ward spojrzał na nią z góry i pokręcił głową.

– Wybacz, ale wcale mnie to nie uspokaja. Ona ma być damą, Eugenio. Prawdziwą damą.

– Obiecuję ci, że kolejna nasza guwernantka jej w tym pomoże.

– Wyobraź sobie, jak Lizzie cytuje w sali balowej postać imieniem Oliver Cockwood. Może rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby ich wychowaniem zajęła się moja babka. – W jego głosie zabrzmiało szczere przekonanie.

Eugenia pokręciła głową.

– Księżna złamie jej charakter, a ty go ukształtujesz.

Zatrzymali się przy drzwiach jej sypialni.

– Teraz, gdy Lizzie wie, że też pasjonujesz się teatrem, będzie cię dręczył przy każdej okazji – ostrzegł.

– Czy chciałbyś, żebym zaczęła jej podsuwać nieco bardziej cenzuralne sztuki?

– Byłbym ci bardzo wdzięczny.

– W takim razie zajmiemy się Szekspirem – obiecała. Ale potem nie mogła się powstrzymać. – Mogę z nią na przykład przerobić *Wiele hałasu o nic*.

– Doskonale – przytaknął Ward ze skwapliwością człowieka, który nie ma zielonego pojęcia o twórczości największego angielskiego dramaturga.

– Benedyk to jedna z moich ulubionych postaci – oświadczyła Eugenia i z uśmiechem zacytowała – „Ja chcę żyć w twoim sercu, umrzeć na twoim łonie, być pogrzebanym w twoich oczach”^[7].

– „Żyć w twoim... umrzeć na twoim łonie?” Zaraz. O co mu chodziło z tym umieraniem?

– A jak myślisz? – Śmiała się jeszcze długo po tym, gdy zamknęła drzwi, i to tak serdecznie, że musiała się oprzeć o ścianę.

19

Sypialnia Eugeniej sąsiadowała z łazienką, w której stała ogromna miedziana wanna, sprytnie podłączona do rury wyprowadzającej wodę na zewnątrz domu. Zrobiło się chłodno, więc Clothilde przygotowała wieczorową suknię z różowego aksamitu.

Tkanina podkreślała krągłości jej ciała i nadawała cerze kremowy odcień, więc Eugenia lekkim krokiem zbiegła po schodach, wiedząc, że jest pociągająca i uwodzicielska. Ku jej rozczarowaniu salon był pusty.

– Pan Reeve musiał na chwilę wyjść – powiadomił ją Gumwater. – Czy mogę pani zaproponować kieliszek sherry?

Wyszedł i po chwili pojawił się znowu z kryształową karafką i dwoma kieliszkami na tacy. Bez słowa napełnił jej kieliszek i znowu zniknął. Nieco zirytowana Eugenia wstała, wzięła kieliszek i zaczęła przyglądać się nielicznym meblom.

W końcu drzwi otworzyły się i stanął w nich Ward. Mimo nudnego oczekiwania nie mogła powstrzymać uśmiechu. Był piekielnie przystojny, gdy włosy opadały mu na czoło.

– Przepraszam cię bardzo – powiedział. – Mieliśmy mały kryzys na górze.

– Co się stało? Pomóc wam jakoś?

– Dziękuję, ale daliśmy sobie radę razem z Ruby.

Podszedł do tacy i wziął drugi kieliszek z entuzjazmem człowieka, który wita dawno niewidzianego przyjaciela.

– Jarvis nie był specjalnie szczęśliwy, kiedy okazało się, że Ruby uważa, że szczury należy kąpać co wieczór, więc udał się za kratę kominka i odmówił

wyjścia, dopóki nie zwabiliśmy go serem. Kiedy się już pojawił, pomogłem Otisowi wynegocjować, że kąpiele Jarvisa będą się odbywać raz na tydzień.

Gdyby Eugenia nie była damą, podeszłaby do Warda i przesunęła dłońmi po jego ramionach. Albo nawet niżej. Miał na sobie jedwabne spodnie, które zostawiały wyobraźni niewielkie pole do popisu. Przechyliła kieliszek, żeby Ward nie domyślił się, co przykuwa jej wzrok.

– Zastanawiałam się nad naszym jutrzejszym spotkaniem z pastorem – skłamała. – Możesz mi o nim coś więcej powiedzieć?

– Bardzo niewiele. Nazywa się Howson. Gumwater twierdzi, że biskup przyjechał, żeby ułagodzić skargi wiernych, bo pastor oskarżył jakąś starszą panią, że prowadzi burdel, podczas gdy ona opiekuje się sierotami i otrzymuje na to pieniądze od naszego hrabstwa.

– W najlepszym wypadku jest popędliwy, a w najgorszym irracjonalny, i to w niebezpieczny sposób. – Eugenia odstawiła kieliszek. – Niepokoi cię to spotkanie?

Ward wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że jest kompletnie stuknięty, ale jestem pewny, że we dwójkę wybijemy mu głupoty z głowy. W przenośni, naturalnie. Kolacja chyba już czeka. Pozwolisz? – Podał jej ramię.

Zaprowadził ją do niewielkiego saloniku, który sprawiał wrażenie opuszczenia, podobnie jak duży salon. Stał w nim stół, kredens i kilka krzeseł, ale nic nie zdobiło ścian ani podłogi.

Kiedy weszli, Gumwater ustawiał półmiski na kredensie.

– Wszystko wedle życzenia – zaraportował. – Wrócę do...

– Dziękuję – odpowiedział Ward. – Zadzwoń, jeśli będziemy czegoś potrzebowali.

Majordomo wyszedł, posyłając Eugenii kose spojrzenie, które sugerowało, że jest łatwą damą i on o tym wie.

Nie była taka.

Ale zamierzała się nią stać.

Pani Snowe prowadząca Agencję Snowe była kobietą o niezachwianej moralności. Ale Eugenia właśnie odkrywała, z każdą sekundą przekonując się o

tym coraz dobitniej, że Eugenia Snowe z domu Strange była zupełnie inna. Właśnie zasiadała do kolacji sam na sam z mężczyzną, z którym zamierzała nawiązać romans.

– O czym myślisz, Eugenio?

– Zastanawiałam się, czy należę do kobiet, które lubią rozwiązłość – przyznała. – Może zaskoczę sama siebie i zostanę prawdziwą rozpustnicą.

Ward zrobił tak oburzoną minę, że nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem na jej widok.

– Jaką znowu rozwiązłość? – zirytował się. – Przecież tylko się całowaliśmy. A ty i Lizzie przerzucałyście się nieprzyzwoitymi tekstami, ale to się raczej nie liczy.

– Wedle wszystkich ludowych ballad, które poruszają ten temat, wdowa niechybnie zmierza do złego, gdy usłyszy po północy głos zegara kościelnego.

Z drugiej strony stołu dobiegł ją wybuch serdecznego śmiechu.

– Co ma z tym wspólnego zegar kościelny?

Eugenia rzuciła mu chytre spojrzenie.

– Kiedy mężczyzna sprawi, że wdowa nie zaśnie aż do północy, na pewno nie będzie już więcej chciała sypiać samotnie.

– Nie chciałbym, żebyś była samotna.

W jego oczach malowało się tak przemożne pragnienie, że spuściła wzrok, wpatrując się w talerz zupy. Była bladozielona i pachniała młodym zielonym groszkiem i delikatnymi ziołami. Spróbowała i aż jęknęła z zachwyty.

– Jest doskonała.

Podsunał jej swój talerz.

– Zjedz też moją. Jest nietknięta.

– Nie żartuj – zaprotestowała.

– Bardzo cię proszę. Chętnie oddam swój posiłek, byle tylko móc patrzeć, jak jesz.

Nabrała kolejną łyżkę i, ponieważ ją obserwował, bardzo powoli wysuwała ją z ust.

– Bywasz także przewrotna – zamruczał. – Nie wiem, czy przeżyję drugie danie.

– Nie przesadzaj – prychnęła, a potem zmieniła temat: – Jak długo Otis i Lizzie powinni nosić żałobę, jeśli wolno spytać?

– Myślę, że mogą zrezygnować z czerni po pół roku, ale jeśli uważasz, że powinni nosić ją przez cały rok, to chętnie pójde za twoją radą.

– Zważywszy na welon Lizzie, uważam, że masz rację. Dobrze byłoby, gdyby jak najszybciej przestali nosić te zewnętrzne objawy żałoby.

Nabrała zupy, spoglądając na Warda spod rzęs. Miał na sobie doskonale skrojony frak z granatowego kaszmiru.

– Ty zrezygnowałaś z żałoby? – spytała.

Potrząsnął głową.

– Prawie nie znałem lady Lisette; byłbym hipokrytą, udając rozpacz po jej śmierci. Jak długo nosiłaś żałobę?

– Och, ja byłem wielką tradycjonalistką – powiedziała, nabierając kolejną łyżkę zupy. – Przez rok byłem w ciężkiej żałobie. Potem w lekkiej.

– W lekkiej żałobie można nosić tylko szare rzeczy, prawda? I fioletowe.

– Owszem, szare – zgodziła się. – Kto by zgadł, że na świecie jest aż tyle odcieni szarości?

– Pięć? Dziesięć?

Uśmiechnęła się do niego znad kieliszka z winem.

– Co najmniej czterdzieści. Nie, pewnie z pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt odcieni szarości.

– Mam szary fular – odparł. – Mój pokojowiec przez krótki czas był zafascynowany francuską modą i przez to w mojej szafie zagościły kanarkowożółte, szare i brunatnofioletowe fulary. Niestety, nie życzyłem sobie zostać dandysem wedle jego gustu.

– Mogę sobie wyobrazić ciebie w szarym fularze. Ale nie w żałobie – dodała szybko. – Po prostu szary jest *au courant*.

– A jak długo ty ubierałaś się na szaro? Przez dwa lata? Dłużej?

Spuściła wzrok pod jego spojrzeniem.

– Trudno mi było udawać radość. W końcu kolor to sposób wyrażania uczuć. Pewnego rodzaju stwierdzenie.

Wzięła ostatnią łyżkę zupy.

– O której mamy być jutro u pastora?

– O dziewiątej.

– Czy powinniśmy obmyślić jakiś plan?

Ward zdjął pokrywkę z salaterki pełnej aromatycznego gulaszu z jagnięciny.

– Już mam plan. Jeśli Howson będzie próbował rozdmuchać tę dziecinadę mojej siostry, pozbawię go stanowiska.

– W jaki sposób?

– W tym kraju liczą się tylko dwie rzeczy: pieniądze i urodzenie. Mam jedno i drugie, nawet jako bastard, a moje rodzeństwo jest w jeszcze lepszej sytuacji niż ja.

– Czy chodzi ci o majątek lorda Darcy’ego? – spytała.

Popatrzył na nią, a potem na półmisek z gulaszem.

– Owszem, a do tego zapisałem Lizzie w posagu trzydzieści tysięcy funtów. W ten sposób jej posag przeważa wszelkie wątpliwości co do jej rodziców albo mojej opieki nad nią.

Eugenia poczuła, jak ściska jej się serce. Ten człowiek był taki dobry. Dla nieznanego wcześniej rodzeństwa zrezygnował ze swojej niezależności, wolności, stanowiska w Oksfordzie, a do tego zapisał im sporą fortunę.

Ojciec zawsze jej tłumaczył, że tytuły i urodzenie nie mają znaczenia i liczy się tylko to, co człowiek zrobił ze swoim życiem. Obserwując Warda spod rzęs, nie miała wątpliwości, że ojciec by go zaakceptował.

Później pod drzwiami jej sypialni ujął jej dłoń i uniósł do ust. Przez niepokojącą chwilę myślała, że odejdzie bez pocałunku. Ale w ostatniej chwili pochylił się i pocałował ją chciwie. Każda pieszczota jego języka jasno dawała do zrozumienia, że zamierza ją wziąć.

Był zmysłowy, zaborczy, ale też opanowany.

– Eugenio – powiedział szorstkim głosem. – Czas iść do łóżka.

– Dobrze – szepnęła. Odwróciła się, by otworzyć drzwi i poprowadzić go do środka, ale zatrzymał ją i pocałował w szyję.

– Każde do swojego – powiedział. Odsunął się i dodał: – Nie zamierzam cię uwodzić, zanim odpoczniesz po podróży. To by było nieeleganckie.

Otworzyła usta, by zaprotestować.

– Jutro zamierzam cię porwać i zanieść do mojej sypialni.
To była solenna obietnica.

Środa, 27 maja 1801

Następnego dnia rano w bibliotece zebrali się wszyscy uczestnicy wyprawy do parafialnego kościoła pod wezwaniem Marii Dziewicy. Ward już tam czekał, gdy Gumwater wprowadził jego siostrę w czarnej sukience, którą rozjaśniał jedynie śnieżnobiały kołnierzyk.

– Prześlicznie wyglądasz – oznajmił. – Zważywszy na sytuację, cieszę się, że postanowiłaś nie wkładać dzisiaj woalki, Lizzie.

– Chciałam ją włożyć – wyjaśniła Lizzie, siadając na sofie. – Ale Ruby nie spała prawie całą noc, żeby mi uszyć tę nową sukienkę, więc pomyślałam, że byłabym niewdzięczna, wkładając ten welon. Zasłania kołnierzyk.

Żałobna odzież obojga dzieci rzeczywiście była mizernej jakości, ale Ward uznał po prostu, że kupi im nowe rzeczy po sześciu miesiącach. Zakonotował sobie w myśli, żeby podwyższyć Ruby pensję.

A potem uświadomił sobie, że Ruby przyjechała przecież z Eugenią, więc pewnie dostaje pensję z Agencji Snowe.

Kiedy w drzwiach stanęła Eugenia, zaparło mu dech z wrażenia. Miała na sobie ciemnośliwkową suknię, a jej cera przez kontrast wydawała się świecić jak perła. Naprawdę. Spojrzał na jej pełne, różane usta i zapragnął pocałunku zamiast ukłonu.

Mimo tego skłonił się tylko. Ucałował jej dłoń i zapytał zdawkowo, czy dobrze jej się spało... choć cały czas marzył o tym, by pójść z nią z powrotem do łóżka.

Eugenia Snowe zdecydowanie nie była kobietą, którą bierze się na ręce i

niesie do sypialni. Dopiero kiedy dobrze jej się przyjrzał, spostrzegł, że wyglądała godnie i poważnie, jak księżna. Koronka przy nadgarstkach i staniku była dziełem sztuki i dopełniała wizerunku zmysłowej, inteligentnej i niezwykle kosztownej damy.

Lizzie zeskoczyła z sofy i z serdecznym uśmiechem dygnęła przed Eugenią. Wardowi nagle przyszło do głowy, że żaden dżentelmen nie pozwoliłby swojej młodszej siostrze przebywać w bliskości kobiety, z którą zamierzał się przespać tej nocy.

No cóż, teraz było już za późno.

Eugenia pochyliła się, pocałowała Lizzie w policzek, a potem zaczęła ją uczyć godnego damy zachowania.

– Udawaj teraz, że witasz się z biskupem – poprosiła.

– A kto to jest biskup?

– Ważna osoba w kościele. Byłaś kiedyś na mszy w Boże Narodzenie?

– Jeszcze nigdy nie byłam w kościele – odpowiedziała Lizzie. – To też bardzo zaniepokoiło pannę Midge.

Eugenia była wyraźnie zdumiona, ale szybko doszła do siebie.

– Pan Reeve obawia się, że pastor będzie mu niechętny, ale jest w błędzie. Udawaj teraz, że pan Reeve jest królem i złóż przed nim ukłon. Nie, nie podskakuj jak pajac na sprężynce, Lizzie. Lekko pochyl głowę, bardzo delikatnie ujmij fałdy sukni w palce, wysuń prawą nogę w przód i przenieś na nią ciężar ciała.

Musiały to powtórzyć cztery albo pięć razy, ale Lizzie była świetną naśladowczynią. W końcu usiadły na sofie. Ward stał oparty o półkę nad kominkiem i patrzył. Lizzie nie należała do zamkniętych w sobie dzieci, ale tego ranka gadała bez przestanku.

– Nie lubię jej, bo zemdląła – tłumaczyła Eugonii.

– Pannie Lumley rzeczywiście brak siły ducha, by poradzić sobie z pokrojonym królikiem – przytaknęła Eugenia. – Obawiam się, że przeżyła szok.

– Nie rozumiem dlaczego – odparła Lizzie. – Wszyscy mamy wewnętrznosci. A krowie flaki są takie długie, że sięgnęłyby do końca podjazdu.

– Damy nie używają słowa „flaki” – poprawiła ją Eugenia.

– Czemu nie? – zdziwiła się Lizzie.

Ward miał nieprzeparte wrażenie, że wejście Gumwatera uratowało Eugenię przed tym trudnym pytaniem, na które nie była przygotowana. Choć trudno powiedzieć czemu, skoro przedtem pracowała jako guwernantka.

Dziwne, ale im lepiej ją poznawał, tym trudniej było mu się pogodzić z faktem, że kiedyś była guwernantką i pracowała w różnych posiadłościach, zamiast być panią na włościach.

W powozie Lizzie zabawiała Eugenię, pokazując jej różne widoki – zrujnowany dom, w którym podobno straszył duch zakonnicy, wielki dąb, gdzie mieszkała cała sowa rodzina, a potem, gdy dotarli do wioski Wheatley, sklep rzeźnicki pana Biddle’a.

Gdy dojechali do kościoła, Ward wysiadł i odwrócił się, by pomóc Eugenii. Gdy stanęła na ziemi, wyciągnęła rękę i Lizzie skoczyła ku niej, jakby była opilką żelaza, a Eugenia magnesem.

– Jestem gotowa! – wykrzyknęła wesoło Lizzie i obie ruszyły przed siebie, nie oglądając się na Warda.

Czy tak wygląda życie rodzinne?

Szedł ich śladem, zastanawiając się nad odpowiedzią na to pytanie.

21

Kościół i Dom Parafialny św. Maryi Dziewicy Wheatley

Nie wierzę w czary – mruknął do swego służącego wielebny Hirshfield Chatterley-Blackman, biskup Oksfordu. – Nigdy w nie nie wierzyłem. Całe to zawracanie głowy z rozbieraniem się do naga na wrzosowisku, i to w deszcz. Wszystkie kobiety, które znam, mają zawsze na sobie co najmniej dziesięć sztuk odzieży.

Rowland klęczał u stóp Hirshfielda i zapinał getry. Zakasłał, zgadzając się w ten sposób ze zdaniem biskupa.

– Anglia jest pełna ładnych, spokojnych parafii, których pastory od czas do czasu, owszem, przelecą jakąś parafiankę albo wylądują w rowie po pijaku, ale nie, mnie musi się trafić ktoś taki jak Howson. Ten człowiek jest głuchy na głos rozsądku. Kompletnie. Ta sprawa jest równie chora jak tamta sprzed paru miesięcy, kiedy to jakoby odkrył dom publiczny w swojej parafii.

Rowland mruknął coś pod nosem i wstał. Zaskrzypiało mu w stawach.

– Pewnie myśli, że ta mała gania po nocach w poszukiwaniu żabiego oka, łapek jeża^[8] i reszty towaru, który jakoby wkłada się do kotła czarownic – narzekał biskup, którego przyjaciele nazywali po prostu Chattym. – Ona ma przecież tylko dziewięć lat!

Rowland wymamrotał kilka słów, wśród których tylko jedno brzmiało wyraźnie: „earl”.

– Masz cholernie dużo racji – odparł Chatty, wyjmując mu z ręki haczyk.

– Daj spokój, już wystarczy. Może i Reeve jest z nieprawego łoża, ale jego

ojcem jest arystokrata i to wszystko zmienia. I właśnie tego Howson nie jest w stanie pojąć. Nie należy się mieszać w sprawy arystokracji.

Z ponurą miną kroczył ścieżką prowadzącą z wikarówki na tyły kościoła. Wszedł do zakrystii i ruszył ku bocznym drzwiom prowadzącym do nawy. Przy drzwiach czekał już wyraźnie podenerwowany Howson.

– Czy wszyscy już się zebrali? – spytał go Chatty urażonym tonem.

– Tak, księżę biskupie – odparł pastor, kiwając głową jak szalony. Gwałtownie otworzył drzwi i zaanonsował: – Jego Eminencja Hirshfield Chatterley-Blackman, ksiądz biskup Oksfordu.

Chatty pomaszerował w stronę wykładanego aksamitem fotela, nie rozglądając się na boki. Nagle uświadomił sobie, że zapomniał piersiówki, a z doświadczenia wiedział, że tylko brandy pozwalała mu wytrzymać przesłuchania tego rodzaju.

Zanim się usadowił na poduszkach, Howson jednym susem znalazł się przed nim, zasłaniając mu widok na kościelne ławy.

Chudy pastor o tłustych włosach i skórze był pełen zapału. Zaczął wykrzykiwać coś o grzechu i sugerować, że dziewczynka jest opętana. Pretensjonalny dureń. Jakby diabeł nie miał nic lepszego do roboty niż wskakiwać w dziewięciolatkę.

Gdyby był na jego miejscu, opętałby młodą, ponętą damę o potężnych udach.

– Proszę się odsunąć, pastorze – powiedział, przerywając te brednie. – Najpierw chcę porozmawiać z bratem dziewczynki, ale od razu mówię, że w Oksfordzie nie istnieje coś takiego jak czarna magia. W pozostałej części Anglii też nie.

– W tej głowie – odparł pan Howson, podnosząc głos – jest kompendium wiedzy o takich strasznych sprawach. Na to nie ma lekarstwa!

Dekapitacja z pewnością wyleczyłaby Howsona i rozwiązała parę innych problemów, pomyślał Chatty. W końcu pastor odsunął się, pozwalając mu spojrzeć na zgromadzone przed nim towarzystwo. Załamał się. Pastor przeszedł sam siebie.

Ten mężczyzna krzyżujący ramiona na piersi, przypominający zarazem

głodnego wilka i księcia to pewnie syn earla Gryffyna. Mała wiedźma wyglądała jak aniołek. A obok...

– Rety kasza! – wykrzyknął. – Eugenio Strange, czy to naprawdę ty?

22

W chwili gdy wzrok Eugenie padł na wspaniale odzianego biskupa, który sadowił swoją odwrotną stronę na czerwonej aksamitnej poduszce, na jej twarzy pojawił się tak szeroki uśmiech, że Ward popatrzył na nią ze zdumieniem nad głową Lizzie.

W odpowiedzi pokręciła głową i niecierpliwie czekała, aż pastor skończy wykrzykiwać, że jest sługą najwyższej prawdy i bożym młotem na czarownice.

Pan Howson był zasuszonym człowieczkiem, który uważał, że higiena osobista – choć wedle powiedzonka jest też oznaką czystości ducha – jest stratą czasu. Kiedy rozwodził się nad dziełami szatana, uścisnęła dłoń Lizzie, ale w niebieskich oczętach małej nie było cienia strachu.

Malowało się w nich zupełnie co innego. Umiłowanie dramatycznych sytuacji.

Eugenia pochyliła się ku niej.

– Lizzie, biskup to mój bardzo dobry przyjaciel. Wykaraskamy się z tego w okamgnieniu.

– Bez żadnej rozmowy z pastorem?

– Nie będzie potrzebna – uspokoiła ją Eugenia.

– To nie fair – syknęła Lizzie. – Każdy powinien mieć prawo do konfrontacji z oskarżycielem.

– No cóż, jeśli sobie tego życzysz... – przyznała zdumiona Eugenia.

– Oczywiście, że tak! Wczoraj w nocy nauczyłam się mojej mowy na pamięć.

– Na twarzy Lizzie z powrotem pojawił się wyraz tragicznej niewinności.

– Nie jesteś w teatrze, psotnico – szepnęła Eugenia.

Lizzie rzuciła jej niepokojąco dorosłe spojrzenie.

– Ten pastor posłałby mnie do klasztoru. Dokładnie tak jak Hamlet. Właśnie taki wyraz twarzy miała matka, grając Ofelię.

W tym momencie pastor przesunął się, dzięki czemu biskup – a raczej Chatty, jak na niego mówiono w rodzinie Eugenie – mógł ją rozpoznać. W chwilę później tonęła w pachnących kadzidłem objęciach najdawniejszego przyjaciela swego ojca.

– Co ty tu robisz, do licha? – dopytywał się Chatty. – Wiem, że nie wyszłaś drugi raz za mąż, bo czułbym się bardzo urażony, gdybym to nie ja odprawił ceremonię. Bardzo a bardzo. Ale od śmierci nieszczęsnego Andrew upłynęło już z dziesięć lat, prawda? Pewnie już czas pomyśleć o drugim małżeństwie, co?

Obrócił się jak fryga, aż rozwiały się poły jego sutanny, nie puszczając ramienia Eugenie, i zmierzył wzrokiem Warda i dzieci.

– Nie, nie – sprostowała pośpiesznie. – Pan Reeve jest klientem Agencji Snowe, i to wszystko. Czy mogę ci przedstawić pana Edwarda Reeve’a i jego przyrodną siostrę, pannę Lizzie Darcy?

– Z tych Darcych z Northampshire? – spytał biskup.

– Nie, wasza ekscelencjo – odparł Ward z ukłonem. – Ojcem mojej przyrodniej siostry był lord Darcy z Darcy Manor.

Chatty otworzył usta ze zdziwienia.

– Słucham?

– Młodszy brat Lizzie odziedziczył po nim tytuł – dodał Ward.

– Jeśli dobrze rozumiem – eksplodował pastor z miną, jakby właśnie nałykał się terpentyny – to dziecko jest potomkiem notorycznego...

– Panie Howson – przerwała mu Eugenia. – Jestem pewna, że nie chce pan powiedzieć nic obraźliwego w obecności dziecka, które jest w żałobie po niedawnej śmierci matki.

– Umarła, tak? – zaciekawiał się Chatty. – Lady Lisette naturalnie kompletnie stuknięta, ale jaką ona miała niesłychaną urodę. – Drgnął lekko i spojrzał na Lizzie znad wielkiego brzucha. – Wybacz mi, dziecko.

Lizzie wyprostowała się i odparła z typowym dla niej niewinnym patosem:

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że od obłądu do geniuszu jest tylko jeden

piruet.

– Milordzie, uznałem, że najlepiej będzie, gdy przyprowadzę Lizzie, żebyś z nią porozmawiał – wtrącił się Ward. – Byłbym niepokieszony, gdyby nie stłumiono w zarodku absurdalnych plotek, jakie zaczęły krążyć po wsi.

Chatty odwrócił się do pastora.

– Howson, prawda jest taka, że zbyt długo pozwoliłem ci na te bzdury. Wstyd mi za siebie. Ta dziewczynka nie potrzebuje duchowego przewodnictwa.

Spojrzał z góry w podejrzenie niewinne oczy Lizzie.

– Widać, że jest niewinna jak jagniątko – oświadczył z wielkim przekonaniem.

– Musimy omówić te wydarzenia – wypluł z siebie pastor.

Chatty zmrużył oczy.

– Opluć mnie, Howson! Opluć! Wiesz, jak ślina niszczy jedwab? Gorsza jest tylko krew. Oskarżenie tej starszej pani o to, że prowadzi dom publiczny, było wystarczająco kłopotliwe, tym bardziej że opiekowała się przecież niewinnymi sierotami.

Howson spojrzał na niego z desperacją.

– Dobrze wiem, jak cuchnie zło!

– Nie masz o tym pojęcia – parsknął Chatty. – Dość tego. Masz wielkie szczęście, że pan Reeve jest taki wyrozumiały.

Ward dalej stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i Eugenia wcale nie uważała, że wygląda na wyrozumiałego. Pastor chyba też tak uważał, bo starał się stać jak najdalej od niego.

– Pojedziesz do Afryki – stwierdził Chatty. – Albo gdzieś jeszcze dalej. Geografia nigdy nie była moją mocną stroną.

– Na antypody – zaproponował Ward.

– Świetnie, to powinno wystarczyć – zgodził się Chatty. – Howson, uporządkuj swoje sprawy, bo odpływasz pierwszym statkiem. Ale przedtem przeproś tę młodą damę. Jeśli kiedykolwiek uda ci się wrócić do Anglii, pamiętaj, żeby nie mieszać się w sprawy arystokracji. Ta dziewczynka jest córką zmarłego lorda Darcy’ego. Jej brat jest lordem.

– To nie ma nic do rzeczy!

Purpurat podszedł do pastora i ujął go pod ramię.

– Bądź tak miły i zajmij się pakowaniem swoich książek, pastorze – oświadczył i wypchnął protestującego duchownego za drzwi.

– Eugenia, Eugenia, Eugenia – mrucał Chatty, obejmując Eugenię serdecznie po raz drugi. Pachniał pieczoną wołowiną, kadzidłem i porto.

– Nie daliście mi wygłosić mowy – zabrzmiał urażony głosik zza pleców Eugeniei.

Lizzie stukała w podłogę obcasikiem z lodowatą miną księżnej, której kazano czekać.

– Możesz ją wygłosić w domu – odparł Ward, spoglądając najpierw na nią, a potem na Eugenię.

Poczuła, jak się czerwieni. Miejmy nadzieję, że nikt inny w tym towarzystwie nie domyślał się, co znaczy ten wzrok. Rzuciła kątem oka spojrzenie na Chatty'ego i spostrzegła, że zmrużył oczy.

– Panno Darcy – skarciła małą pośpiesznie. – Nie wolno narzekać, będąc w towarzystwie biskupa.

– Czemu nie? – zirytowała się Lizzie. – Przegonił tego pastora, zanim zdążyłam wygłosić moją mowę. Mam prawo się bronić, bo pastor oskarżał mnie o rzeczy niepuszczalne. O bardzo różne niepuszczalne rzeczy.

– Niepuszczalne? – powtórzył Ward.

– Rozumiem, że chodziło ci o rzeczy niedopuszczalne – poprawiła ją Eugenia.

– Choć jestem duma z twojego słownictwa, pamiętaj, że na wszystko jest właściwy czas i miejsce.

Lizzie zmrużyła oczy.

– To właśnie było właściwe miejsce i czas – stwierdziła całkiem sensownie.

– Ma rację – przerwał Chatty. – Niech to licha, ależ ona mi ciebie przypomina, Eugenio. Pamiętasz, jak kazałaś się zamknąć w koszu i wnieść do salonu? Miałś wtedy siedem lat.

Eugenia otworzyła usta, by mu przerwać, ale Otis był szybszy.

– Dlaczego pani Snowe siedziała w koszu?

– Bo nauczyła się na pamięć monologu z *Otella* i chciała go wygłosić przed całym towarzystwem – wyjaśnił biskup. – O ile pamiętam, ojciec kazał jej

obietcać, że nie będzie więcej recytować Szekspira, ale ominęła zakaz, każąc się dostarczyć jako prezent urodzinowy dla niego.

– Ja znam na pamięć całego *Otella* – pochwaliła się Lizzie. – Suflerowałam matce, kiedy grała Desdemonę.

– Lady Lisette grała niewinną Desdemonę – mruknął Chatty. – Świat się przewraca do góry nogami.

Eugenia skarciła go spojrzeniem. Reputacja reputacją, ale lady Lisette była matką tej małej.

– Doskonale, wygłoś zatem swą mowę – oświadczył Chatty. – Jeśli choć trochę jesteś podobna do Eugonii, nie dasz nam spokoju, póki nie postawisz na swoim.

– Co robiła pani Snowe, jeśli nie mogła postawić na swoim? – spytała Lizzie, otwierając szeroko oczy.

– Nie jestem dobrym wzorem zachowania – pośpieszyła wyjaśnić Eugenia.

– Och, była koszmarna. Naprawdę koszmarna. Na przykład wrzeszczała wniebogłosy – wyjaśnił biskup. – Ojciec kompletnie ją rozpuścił.

Eugenia trzepnęła go po ramieniu.

– Cicho, ty potworze.

– Ja nie jestem rozpuszczona – wtrąciła Lizzie. – Jakoś wytrzymam, jeśli nikt nie posłucha mojej mowy.

– Doskonale – ucieszył się Chatty, pochylając się ku niej. – Osobiście nie znoszę *Otella*. Mniejsza o to. Czy będziesz tak miła i odprowadzisz starego człowieka do parafii?

– Z przyjemnością – odpowiedziała Lizzie tonem godnym królowej. Wyszli razem z biskupem. Jej wysoki głosik ucichł, gdy zamknęli za sobą drzwi.

– Byłaś rozpuszczona, tak? – stwierdził Ward z rozbawieniem.

Jeszcze kilka minut temu przypominał średniowiecznego berserka, brakowało mu tylko topora na ramieniu. Teraz znowu wcielił się w typowego angielskiego dżentelmena, może tylko przystojniejszego od reszty.

– Wiesz, lepiej chodźmy już za nimi – zmieniła temat, biorąc z ławki torebkę i szal.

Ward wziął ten szal i udrapował go jej na ramionach.

– Jak bardzo byłaś rozpuszczona? – dopytywał się uparcie.

– Koszmarnie – przyznała, gdy prowadził ją nawą. – Byłam źrenicą oka dla mojego ojca i spędzałam z nim mnóstwo czasu. Albo bawiłam się sama. Stąd moje upodobanie do sztuk.

– To dlatego zostałam guwernantką? – Otworzył przed nią drzwi.

– Nigdy nie byłam guwernantką. Prowadzę agencję pracy, a to zupełnie inna sprawa.

Weszli w mroczny korytarz prowadzący do parafii. Oświetlały go tylko nieliczne promienie słońca przenikające przez wąskie okienka, którym od dawna należało się porządne mycie.

Ward rozejrzał się bacznie, sprawdzając, czy są sami, zatrzymał się i objął Eugenię w talii.

– Powinienem się domyślić, że byłaś zbyt rozpuszczona, aby pracować jako guwernantka.

– Zdaje się, że już dawno ustaliliśmy, że to ty byłeś nieznośnym dzieckiem. Ja byłam w miarę grzeczna.

– Pod warunkiem że ci się nikt nie sprzeciwił, wedle tego, co mówi twój przyjaciel biskup. – Ward przyciągnął ją do siebie i pochylił głowę. – Nie pójdę dalej, póki nie poczuję, jak smakujesz.

W ciemnym korytarzu jej oczy błyszczały, a skóra lśniła jak porcelana.

– Niech pan lepiej uważa, panie Reeve. Obudził pan ciekawość Chatty’ego, a jeśli ten zdradzi się choć słowem przed moim ojcem, znajdziesz się przed ołtarzem szybciej, niż ci się wydaje. I nie chodzi mi tu o składanie pogańskiej ofiary.

– Jesteś wdową – powiedział, nieledwie muskając jej wargi swoimi. – Twój ojciec nie musi bronić twojego honoru, tak jakbyś była dziewczycą.

Eugenia pokręciła głową.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć o ojcach i córkach.

– Zdążę, zanim Lizzie dorośnie – odparł.

Fakt, że Ward z taką łatwością wpuścił Lizzie i Otisa do swego życia, był dla niej niemal tak samo kuszący jak muskularna noga, która przygwoździła ją do ściany.

Albo jak ciepłe wargi, które pieściły jej usta głodnym pocałunkiem, który sprawiał, że fale ciepła rozchodziły się po całym jej ciele.

– Nie powinniśmy tego tutaj robić – szepnęła.

– Tu nikt nas nie zobaczy – mruknął łamiącym się głosem, od którego ugięły się jej kolana, bo wyraźnie pragnął jej tak bardzo jak ona jego. Jego dłoń wśliznęła się w dekolt i ujęła pierś, kiedy sycił się jej wargami.

– Teraz też jesteś taka rozpuszczona? Będziesz krzyczeć, jeśli nie dam ci tego, co chcesz? – Masował sutek szerokim kciukiem. Przymknęła oczy, czując, jak dygocą jej kolana.

– Lepiej nie krzyczeć w domu parafialnym... to byłby błąd – wykrztusiła z trudem. Oparła się bezsilnie o ścianę i instynktownie wygięła biodra, dotykając muskularnej krzywizny jego uda. Jęknęła, oderwała się od niego, przerywając pocałunek, i zatopiła dłonie w jego włosach.

– Zachowujesz się jak prawdziwa rozpustnica – mruknął. – Pozwoliłabyś mi na wszystko, prawda, Eugenio? Już nie jesteś wielką damą, co?

– Nie – szepnęła.

Rozchylił dekolt jej sukni. W półmroku zaśniła pierś.

– Poproś mnie o to, czego pragniesz.

– Pocałuj mnie – jęknęła, bezradna wobec fali pożądania tak potężnej, że przyprawiała ją o dreszcze.

Pochylił głowę i poczuła jego ciepły język na sutku. Zamknęła oczy i jęknęła urywanie.

– Cicho – nakazał. Skubnął ją zębami i jednocześnie zakrył dłonią usta, tłumiąc namiętny okrzyk.

– Pragniesz wszystkiego, co mogę ci dać, prawda? – warknął.

– Tak – odparła szeptem.

– Nawet tu, w kościele. Gdybym otoczył się w pasie twoimi nogami, mógłbym cię wziąć nawet tutaj, prawda?

Jego ognisty głos sprawił, że znowu zadygotała. Piersi miała ciężkie od tych nieustannych pieścizot.

– Mógłbym, prawda? – powtórzył. Jego głos parzył jej skórę. Znowu ją całował, mocno i twardo, pieszcząc ją ręką. Gdy się odsunął, starczyło jej

przytomności umysłu tylko na tyle, by powiedzieć prawdę.

– Tak – szepnęła bez tchu.

– Twoje słodkie, jędrne ciało przyjęłoby każdy centymetr mnie. – Pocałował płatek jej ucha i otarł się o jej dłoń swą męskością, naprężoną, gotową wydostać się ze spodni.

Oprzytomniała nieco.

Odzywał się w ten sposób do niej... do damy! Wprawdzie była ciekawa, jaki tam jest, ale mimo wszystko...

Usłyszała cichy szept tuż przy uchu.

– Tu, w tym korytarzu...

Wszystko w niej topniało, skóra śpiewała, piersi pulsowały...

Ale – nie.

Ward zaczął zachowywać się zupełnie jak niektórzy mężczyźni, gdy przychodzili do Agencji Snowe w przekonaniu, że mogą robić, co im się żywnie podoba.

Przywołała całą swą samokontrolę i odsunęła się od niego.

– Odpowiedź brzmi „nie”, panie Reeve.

Ten człowiek zdecydowanie zapędzał się za daleko i wyobrażał sobie, że ma wszystkich na swoje rozkazy.

Może rzeczywiście była na jego rozkazy, ale na pewno nie zamierzała ujawniać tej prawdy.

Otrzepała suknię.

– Pójdziemy do nich? – spytała i ruszyła między ławkami wstrząśnięta i triumfująca zarazem. Za nic nie pozwoli Wardowi zorientować się, jak silnie działa na nią jego urok, i to, że chce się z nią kochać.

Kochać do szaleństwa, niemoralnie, rozpustnie i rozwiążle aż do rana.

Nie należała do żadnego mężczyzny i nie zamierzała tego zmieniać, chyba że sama postanowi się komuś oddać.

23

Kiedy krew w żyłach Warda nieco ostygła, spostrzegł, że w dalszym ciągu się uśmiecha. Był oczarowany zmysłowością Eugenii, jej wdziękiem, jej śmiechem...

Nawet sposobem w jaki otuliła się swoją elegancką peleryną i go odesłała, z błyskiem w oku, który zdradzał, że nie robi tego na serio.

Nigdy w życiu nie spotkał kogoś takiego jak ona. Nawet teraz, gdy szła tanecznym krokiem tuż przed nim, doskonale wiedział, że każdy płynny ruch tych ślicznych bioder jest obliczony na to, by doprowadzić go do szaleństwa.

Gdy doszła do końca korytarza, obejrzała się na niego. Do diabła, była tak opanowana, jakby tych gorących pieścizot po prostu nie było. A przecież o mało nie szczytowała w jego ramionach.

Doskonale o tym wiedział.

Oddychała urywanie, napierała na niego, zaciskała palce na jego ramionach tylko dlatego, że całował jej pierś.

Po raz pierwszy w życiu potraktował kobietę w ten sposób, ale wszystkie inne od razu przyznawały, że zrobią wszystko, co on zechce. Wszystko i wszędzie.

Nic dziwnego, że zostawiał je bez wahania.

Ale Eugenia?

To ona go zostawiała.

Wszedł do salonu w parafii i poczekał, aż służąca naleje mu herbaty z cukrem i z mlekiem, czego nienawidził. Wystarczył łyk tego paskudnego dekoktu, a jego członek opadł bezwładnie, podczas gdy język aż skurczył się z odrazy.

Filizanka herbaty, pogawędka z biskupem i zaraz będzie można wezwać

powóz i wrócić do domu. Plany miał sprecyzowane: zaciągnie potem właścicielkę Agencji Snowe na górę, do swej sypialni, i weźmie ją opartą o filar łoża. Albo o ścianę.

Odwrócił się.

Po policzkach Lizzie spływały łzy.

– Co się stało? – warknął, odstawiając głośno filiżankę i pochylając się nad siostrą.

– Nic takiego – odparła Eugenia. – Lizzie demonstruje nam sztukę płaczu na zawołanie. Chciała ją zastosować dziś rano, ale zawiodła się, bo Chatty zbyt szybko pozbył się twojego pastora.

– Howson nie był żadnym „moim” pastorem – odparł Ward z urazą. Owszem, biskup był starszym człowiekiem, ale czy Eugenia musiała się tak wtulać w jego ramiona?

A co będzie, kiedy ona drugi raz wyjdzie za mąż? Kiedy on spotka ją z mężem na ulicy, a ona będzie patrzeć na tamtego z tą swoją słodką miną?

Zawróci i pójdzie swoją drogą.

– Lizzie, dlaczego nauczyłaś się płakać na zwołanie? Po co ci ta umiejętność? – zirytował się.

– Ta umiejętność może jej się niezwykle przydać po ślubie – odparł biskup, a raczej Chatty, jak go nazywała Eugenia. – Płacz daje kobietom niezwykłą władzę nad mężczyznami. Nie ma lepszego sposobu.

– Cicho bądź – wtrąciła się Eugenia. – Lizzie, damy nigdy nie wymuszają nic łzami. Są na to inne sposoby. Dużo szlachetniejsze.

Lizzie przestała płakać i spojrzała na biskupa z miną godną świętej.

– Błagam, niech Wasza Ekscelencja wybaczy mi to głupie rzucanie uroków.

Smarkata zdecydowanie przesadziła, pomyślał Ward.

– To haniebne przemienienie i jeśli ty mi go nie wybaczysz, niebiosa też mi go nie wybaczą w lepszym świecie^[9].

Przemienienie? Co ona chciała przez to powiedzieć?

Mało brakowało, a nie spostrzegłby, że Eugenia wzniosła oczy do góry.

– Przewinienie, a nie przemienienie – poprawiła dziewczynkę. – *Kobieta zabita dobrocią*. W dodatku cytaty niezwykle nieodpowiedni dla ciebie.

– Też byłam suflerką w tej sztuce – odpowiedziała Lizzie, opuszczając dłonie, które przedtem błagalnie spłotła. – Tata mówił, że znajomość dobrej literatury nigdy nie zaszkodzi.

Biskup uśmiechnął się do niej.

– Kiedyś wyrośnie z ciebie niezwykła kobieta.

– Czas się żegnać – stwierdziła stanowczo Eugenia.

Gdy obie podeszły ku drzwiom, Jego Eminencja Chattersley-Blackman popatrzył na Warda znad okularów.

– Rozumiem, że Eugenia wybiera się potem do majątku ojca?

– Zdaje się, że takie ma plany.

Naturalnie Ward nie zamierzał puścić jej od siebie zbyt szybko.

Powinni spędzić razem co najmniej tydzień. Nie, lepiej dwa.

– To niebezpieczna kobieta. Tyle w niej życia – zauważył biskup, mierząc go spokojnym spojrzeniem. – Jest pełna uroku i piękna, ale do tego jeszcze inteligencji i energii. Znam ją od dziecka. Lizzie bardzo ją przypomina.

– Pani Snowe jest rzeczywiście niezwykła – przyznał Ward. – Jeśli Wasza Ekszelencja pozwoli...

– Cała jej rodzina jest niezwykła – stwierdził Chattersley-Blackman. – Często widuję się z jej ciotką. Prowadzi Dom Magdalenek, jak być może jest panu wiadomo. Jej mąż pracuje w policji – kiedyś był członkiem rady miasta. Ale Dom Magdalenek to wyłącznie jej inicjatywa.

– Bardzo szlachetne zajęcie – przytaknął Ward. – Muszę się już pożegnać. Jestem szczerze wdzięczny za wyrozumiałość w kwestii tej dziecinady mojej siostry, milordzie.

Biskup zignorował jego słowa.

– Pewnie pan myśli, że niepokoję się o panią Snowe – powiedział, splatając dłonie na imponującym brzuszysku. – Prawdę mówiąc, martwię się raczej o pana, panie Reeve. Bez urazy, ale ona jest poza pana zasięgiem.

Ward skłonił się.

– Pani Snowe pojedzie stąd prosto do majątku swego ojca milordzie, ale jestem panu wdzięczny za troskę.

Kiedy wszyscy już się pożegnali, poprowadził Eugenię z Lizzie do powozu,

kręcąc w duchu głową ze zdziwienia.

Biskup wyraźnie uważał, że nieprawe pochodzenie sprawiało, że Ward był niemile widzianą partią dla porządnych kobiet, tak samo jak wykluczało go z kościoła.

Ward doskonale pamiętał scenę z dzieciństwa, kiedy służąca tłumaczyła mu, że według Biblii nikt z nieprawego łoża nie wejdzie do królestwa Pana. Miała wtedy ze sześć lat. Miała rację, ale dlaczego twierdziła też, że jeśli spróbuje tam wejść, to trafi go piorun?

Był na tyle mały, że potraktował poważnie jej ostrzeżenia. W kilka lat później odmówił wejścia do katedry św. Pawła na ślub własnego ojca, choć nigdy nie powiedział mu dlaczego. Macosze też nie.

W realnym świecie, w odróżnieniu od kościelnego, fakt, że jego rodzice pochodzili z arystokracji, a on posiadał ogromną fortunę, praktycznie zmywał kwestię jego pochodzenia.

Gdy wszedł do powozu, Eugenia z uwagą słuchała Lizzie, pochylona, opierając się dłońmi o kolana.

– Leonardo da Vinci narysował wszystkie mięśnie – mówiła Lizzie z zarumienioną z emocji buzią. – Tata kupił mi książkę.

– Chętnie ją obejrzę – odparła Eugenia.

Twarz dziewczynki posmutniała.

– Została na wozie. Nie mogliśmy nic ze sobą zabrać do brata.

Do diabła, dlaczego Ward dopiero teraz uświadomił sobie, że jego rodzeństwo praktycznie nic ze sobą nie przywiozło poza ubraniami, które mieli na sobie?

– Mówisz o podróży. Czy to znaczy, że przepłynęliście przez morze?

– To była raczej wycieczka – poprawiła się Lizzie, machając ręką. Wyraźnie w jej głowie wirowało tyle synonimów, że używała ich bez różnicy.

– Czy zostawiłaś tam jeszcze coś, czego ci brakuje? – spytała Eugenia.

– Książki – odpowiedziała Lizzie. – Wzięłam ze sobą welon mamy, a Otis Jarvisa. To było najważniejsze.

– Czy chciałabyś, żebym coś dla ciebie odzyskał, Lizzie? – zapytał Ward.

– Gromadzenie dóbr jest bez sensu. – Lizzie przybrała teatralny, tragiczny wyraz twarzy. – „Złota dziewczyna, kominiarz czarny, wszystko się w popiół

obróci marny”[\[10\]](#).

– *Cymbelin* – stwierdziła chłodno Eugenia. – Niedokładnie zacytowany, w dodatku nie pasuje do sytuacji.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Mama niezbyt radziła sobie z praktycznymi rzeczami takimi jak sprzątanie, więc trupa teatralna spaliła nasz wóz po jej śmierci, bo się bali, że to była zakaźna choroba.

Ward posadził sobie siostrę na kolanach i otoczył ją ramionami.

– Tak mi przykro, że nie wiedziałem o waszym istnieniu – powiedział, całując jej włosy. Od razu zabrałbym cię tu razem z Otisem, Lizzie. Słowo daję.

Podniósł wzrok na twarz Eugenii i spostrzegł, że uśmiecha się do niego.

24

Nie mielibyście nic przeciwko, gdybym zajrzała na moment do rzeźnika, zanim wrócimy do Fawkes House? – spytała Eugenia, starając się zignorować falę czułości, jaka ją ogarnęła na widok Lizzie wtulonej w ramiona brata jak pisklę w gnieździe. – Jadąc do kościoła, zauważyłam, że jatka jest tuż przy drodze.

Ward zmarszczył brwi.

– Rzeźnik i piekarz to filary każdej wioski – wyjaśniła. – Po tej historii z „pożyczonym” złotym łańcuchem pana Biddle’a koniecznie należy przekonać go, że Lizzie robiła to wszystko dla zabawy. Pochlebimy mu, jeśli będzie pierwszą osobą, która dowie się o dymisji pastora i jego wyjeździe na antypody.

– Nie widzę potrzeby – stwierdził Ward. – Poza tym mam ważne plany na dzisiejszy dzień.

– Najlepiej jest zdusić plotki w zarodku jedną uczciwą zagrywką – przekonywała.

Lizzie popatrzyła na nią:

– Pani Snowe, czy wyjedzie zaraz dzisiaj pani do swojego ojca?

– Szczerze mówiąc, pani Snowe uprzejmie zgodziła się zostać z nami do chwili przyjazdu guwernantki z jej agencji – wyjaśnił Ward.

Eugenia uniosła brew.

– Panie Reeve, czy to próba zaszantażowania mnie, żebym została dłużej?

– Tak jest – odparł natychmiast.

– Przecież powiedziałaś biskupowi, że pani Snowe zaraz wyjeżdża – zdziwiła się Lizzie, marszcząc brwi.

– Nie chciałem, żeby się martwił o jej reputację – wyjaśnił Ward.

– Nie martwiłby się – odpowiedziała.

– Dlaczego? – spytał Otis.

– Bo wdowy mogą robić, co chcą. Mama tak mówiła. Bardzo często.

Eugenia skrzywiła się. Bóg jeden wie, co wyprawiała lady Lisette pomiędzy śmiercią jej młodego męża a swoją. Można się spodziewać, że dzieci były świadkami wielu rzeczy, o których nie powinny wiedzieć.

Ward mocniej objął siostrę ramieniem.

– Nasza matka nie była wzorem przyzwoitego zachowania.

– To samo mówiła panna Midge – przytaknęła Lizzie. – Powiedziała też, że Otis jest o wiele lepszym rodzicem dla Jarvisa i że powinnam postępować tak jak on. To śmieszne, bo przecież nikt nie nosi dzieci w torbie!

Eugenia nie pochwalała swojej guwernantki, która odeszła z pracy bez ostrzeżenia, ale musiała się zgodzić z jej oceną. Pochyliła się nieco i skinęła Wardowi głową.

– Daj mi pięć minut, porozmawiam z rzeźnikiem i zaraz wrócę. – Wyskoczyła z powozu i zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążył pójść w jej ślady.

Jatka Biddle'a była przestronnym, czystym sklepem, jak przystało na rzeźnika, który był także sołtysem i posiadał złoty łańcuch na znak, że pełni ten urząd.

Tylko że nikogo w niej nie było.

Masztalerz Warda zastukał ostro w ladę i huknął:

– Klienci!

Na zapleczu ktoś się poruszył i po chwili w drzwiach stanął mężczyzna przypominający z wyglądu solidnie nadzianą kiełbasę. W dłoni dzierżył zakrwawiony rzeźnicki nóż.

Eugenia mimo woli cofnęła się o krok.

– Czym mogę służyć, milady? – powiedział, odkładając nóż na ladę i posyłając jej zębaty uśmiech. – Mam świeże kurczaki i właśnie rozbieram tuszę cielaka bardzo dobrej jakości.

– Nazywam się Snowe – odpowiedziała. – Chciałam chwilę z panem porozmawiać o tym, jak młody lord Darcy powiesił pański łańcuch na krzaku róż.

Rzeźnik opuścił tłustą dolną wargę.

– Nie widzę, o czym tu jeszcze rozmawiać. Mam z tego same kłopoty. – Wskazał głową na pusty haczyk na ścianie. – Teraz trzymam go w bezpiecznym miejscu.

– Taki człowiek jak pan, sołtys tej wioski, ma wielki wpływ na sąsiadów – odparła. – Chciałabym, żeby ludzie zrozumieli, że chłopiec nie zamierzał go ukraść.

Z zaplecza wyjrzała kobieta.

– Robbie, co tam... – Dostrzegła Eugenię i dygnęła.

– Witam, milady.

– Pani Biddle – powitała ją Eugenia. – Nazywam się Snowe i jestem właścicielką Agencji Guwernantek Snowe z Londynu. Pan Reeve zatrudnił mnie, żebym znalazła odpowiednią guwernantkę dla jego podopiecznych. Właśnie opowiadałam pani szanownemu małżonkowi, że panna Lizzie Darcy przekonała jedną z naszych młodych dojarek, że pokaże jej miłość jej życia, i potrzebowała do tego jednej z państwa róż.

Rzeźnik ryknął śmiechem.

– Wszyscy słyszeliśmy o tym chłopaku, który uwierzył w swoją niewidzialność.

Żona odwróciła się do niego.

– Panie Biddle, niech pan spokojnie skończy rozbierać to mięso, a ja przez ten czas porozmawiam z panią Snowe.

– Nie chciałem przestraszyć chłopaka – wyjaśnił rzeźnik ciężkim głosem. – Po prostu straciłem nad sobą panowanie.

– Jak każdy w takiej sytuacji – odparła ciepło Eugenia.

Rzeźnik wziął nóż i zniknął na zapleczu. Teraz już było wiadomo, kto rządzi tą wioską.

– Byliśmy dziś z panem Reeve'em na spotkaniu z biskupem – zwierzyła się Eugenia, przywołując najserdeczniejszy uśmiech ze swego arsenału. – Jego Ekscelencja uważa, że pan Howson będzie znakomitym misjonarzem. Szczerze mówiąc, biskup bezzwłocznie wysyła go z kraju.

– Wielkie nieba, jaka to wspaniała wiadomość – odparła pani Biddle. – Nigdy

za nim nie przepadałam. W ogóle nie jada mięsa, wie pani? Samą kapustę, w dzień i w nocy.

– To rzeczywiście dziwne – powiedziała Eugenia. – Panna Lizzie jest po prostu niemądra, pani Biddle. Uderzyła jej do głowy umiejętność wywierania wpływu na ludzi.

Żona rzeźnika zdobyła się na uśmiech.

– Dobrze ją tu znamy, i jej welon też, pani Snowe. Przykro mi, że pan Biddle tak się uniósł.

– Po dzisiejszym spotkaniu z panem Howsonem raczej winiłabym pastora – zwierzyła jej się Eugenia.

Pani Biddle rzuciła jej prośące spojrzenie.

– Czy może pani poprosić pana Reeve’a, by się od nas nie odwracał? Pan Biddle zawsze się tak gorączkuje. Bylibyśmy pani ogromnie wdzięczni.

Od drzwi rozległ się głęboki głos.

– Chętnie do was wrócę z zakupami, pani Biddle, jeśli mi pani obieca, że będzie trzymać męża w ryzach.

Eugenia odwróciła się jak fryga, wydając okrzyk zaskoczenia.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś!

– Dzień dobry, panie Reeve – powitała go żona rzeźnika i dygnęła. – Wioska będzie dużo szczęśliwsza bez tego pastora, a ja powiem wszystkim, że to dzięki panu.

– Pani Biddle – powiedział Ward, pochylając głowę. Ujął Eugenię pod ramię i mruknął jej do ucha: – Myślałem, że będziesz potrzebować wsparcia, ale wyraźnie cię nie doceniałem.

– Po raz kolejny – odpaliła z satysfakcją.

Kiedy wsiadali do powozu, Ward jeszcze się śmiał.

Wieczorem tego samego dnia

Ward miał dosyć tego wszystkiego.

Po powrocie ze wsi Otis postanowił zademonstrować nową wersję pułapki na myszy. Ward myślał, że zwabi w ten sposób Eugenię na górę, ale Lizzie przejęła inicjatywę i roześmiana Eugenia rzuciła mu tylko spojrzenie przez ramię, a potem zniknęła w pokoju dzieciennym i pojawiła się, dopiero gdy dzieci poszły spać, a Gumwater zawołał ich na wieczorny posiłek.

Kolacja była niezmiernie miła, ale gdyby Ward miał choć chwilę dłużej obserwować, jak Eugenia jęczy z zachwytu nad smakowitym czekoladowym tortem, pewnie spuściłby się w spodnie jak czternastolatek.

Pragnął jej, a ona jego. Pewnie powinien ją zmiękczyć czułymi komplementami, zwabić na górę i całować do utraty umysłu. Ale jakoś to do niego nie przemawiało. Nie pasowało do ich wspólnych rozmów i tej szorstkiej szczerości, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył w kontaktach z kobietą.

Postanowił wziąć byka za rogi.

– Eugenio, czy zamierzasz przespać się ze mną dziś w nocy?

Zaśmiała się na głos, a oczy jej zabłyśły. Jej śmiech był dla niego taką samą rozkoszą, jak dla niej czekoladowy deser. Napęłniał go radością i sprawiał, że czuł się jak uczeń, niedoświadczony i pełen zapału.

Odstawił kieliszek, wstał i podszedł do niej. Podniosła na niego rozbawiony, inteligentny wzrok.

– Rozważam to właśnie.

Przykucnął obok niej. Natychmiast spoważniała.

– Jak mam cię przekonać? Jestem zmęczony rozmową o rzeczach małej wagi.

– Czekoladowy deser, miły panie, nigdy nie jest małej wagi – rzuciła radośnie.

– Słucham?

– Tak – szepnęła. – Zgadza się, Ward.

Ujął w dłoń tył jej głowy i przyciągnął ją do siebie spokojnym gestem. Ale wiedział, że jeśli jej wkrótce nie posmakuje, nie weźmie, nie znajdzie się w niej, to chyba wybuchnie.

Rozchyliła dla niego wargi i wszystko stało się tak proste, że krew zaśpiewała mu z żyłach. Wziął Eugenię w ramiona, nie przerywając pocałunku, i wstał.

– Czy będę mógł nakarmić cię deserem nieco później, jeśli wcześniej zaspokoję inne twoje pragnienia?

– Chętnie, ale jeśli w dalszym ciągu proponujesz tylko siedem minut, to wolę najpierw skończyć deser – oświadczyła, rzucając mu przekorne spojrzenie spod rzęs.

Biła od niej pewność siebie, jakby szła przez życie, płonąć goręcej niż inni.

– Siedem godzin powinno wystarczyć – odparł chrapliwie.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Prawdę mówiąc, Eugenie zostało w pamięci niewiele wspomnień o przyjemnościach małżeńskich. Po śmierci Andrew wspomnienia były tak bolesne, że odsunęła je od siebie. Z czasem stały się zamglone i nostalgiczne.

Ale ta rozkosz, ten szaleńczy zachwyty, który Ward w niej budził?

Czegoś takiego nigdy się nie zapomina.

Dziś w nocy pójdzie do łóżka z tym krzepkim, wspaniałym mężczyzną tylko dlatego, że go pożąda. Że przy nim może się śmiać, a jej serce bije jak szalone.

Nie z obowiązku, ale dla przyjemności.

– Oprowadź mnie po swojej sypialni – powiedziała. Na litość boską, mówiła jak dama z półświatka – z tych bardziej wyrafinowanych. Jak królewska kurtyzana.

Ward ujął ją za rękę i poprowadził na ogromne schody prowadzące do pokojów. Jego sypialnia była też ogromna. Godna króla, który mógłby konwersować ze swoim dworem, leżąc na olbrzymim łożu przysłoniętym

fantazyjnymi zasłonami obszywanymi złotem. Stało na środku pomieszczenia i wyglądało jak spacerowa łódź gotowa do rejsu.

Eugenia aż przystanąła ze zdziwienia.

– Kupiłem je razem z domem – wyjaśnił Ward.

Odwróciła się, żeby mu podokuczać, ale on już zdjął surdut, rzucił go na krzesło i teraz wyciągał koszulę ze spodni.

Kogo obchodziły te ostentacyjnie bogate meble? Serce biło jej niecierpliwie. Bez surduta ramiona Warda wydawały się jeszcze szersze, niż myślała; pod cienkim płótnem koszuli prężyły się mięśnie.

Podeszła ku niemu, czując, że kręci jej się w głowie jak po butelce wina. Odwrócił się do kominka, by zapalić następną świecę, więc od tyłu objęła go za ramiona.

Ten lekki dotyk sprawił, że jej uda przeszły tęsknota. Poczula się bezwolna i odsłonięta, jakby miała na twarzy wypisane pożądanie.

– Uwielbiam twój zapach – szepnęła, całując go w szyję, równie mocną jak całe jego ciało... szyję mężczyzny, który nie marnował czasu, przesiadując całe dnie w herbaciarniach.

Obrócił się ku niej.

– Eugenio Snowe – odezwał się mrocznym, cichym głosem. – Czy mogę zdjąć z ciebie suknię?

– Możesz, ale najpierw zdejmij koszulę.

Po ślubie Andrew musiał ją długo namawiać, by się przed nim rozebrała. Nawet w trzy miesiące potem w dalszym ciągu przygotowywała się najpierw w swojej sypialni, a potem zapraszała go do siebie.

Te wspomnienia dotyczyły zupełnie innej kobiety.

Ward wpatrywał się w nią bez słowa i nagle zdarł z siebie koszulę. Widok zapał jej dech w piersiach. Pod złocistą skórą napinały się potężne mięśnie. Sutki były płaskie jak miedziaki, a niewielkie owłosienie na piersi schodziło w dół wspaniale wyrzeźbionego brzucha.

– Skąd je masz? – spytała, dotykając mięśni.

– Od jazdy konnej – odpowiedział chrapliwie. Zbliżył się jeszcze bardziej, ujął jej dłonie i oparł sobie na brzuchu, a potem sięgnął ku jej plecóm i zaczął ze

znawstwem rozpinąć jej suknię.

Rozpostarła palce, podziwiając kontrast między swoją białą jak porcelana skórą a jego ciałem. Przesunęła dłonie ku biodrom, nie wyczuwając pod skórą ani grama tłuszczu. To ciało było skoncentrowaną energią... nie tego spodziewałaby się po oksfordzkim profesorze.

W końcu suknia się rozluźniła. Rozchylił ją na boki. Eugenia położyła dłonie na piersiach i poruszyła się, pozwalając, by materiał odsłonił jej ciało.

Ward szepnął coś – nie wiadomo, czy przekleństwo, czy modlitwę. Pozwoliła, by suknia zsunęła się jeszcze bardziej, aż ledwie zakrywała jej sutki.

– Eugenio... – Jego głos był mroczny z pożądania.

– Tak? – Gorset spełniał swoje zadanie, przytrzymując piersi tak, by prezentowały się jak najpiękniej.

Odsunęła się jeszcze jeden krok, by poczuć ciepło bijące od kominka. Królewska kurtyzana rozbierałaby się widowiskowo. Więc przesunęła dłonie niżej, obnażając biust; szkarłatne wstążki przy gorsecie odcinały się od dolnej linii piersi.

– Nie masz koszulki?

– Koszulka odcinałaby się pod suknią – wyjaśniła. Obróciła się i spojrzała na niego przez ramię. – Widzisz przecież, jak opina mi biodra, prawda?

Jęknął tylko, co uznała za potwierdzenie.

– Jeśli ją puszczę, opadnie na podłogę – dodała, poruszając się tak, że rzeczywiście zsunęła się niżej.

Ward znowu jęknął.

– Ty pierwszy – szepnęła i skinęła głową.

Jednym szarpnięciem rozpiął klapę spodni i jego męskość wyrwała się na wolność. Długi, gruby penis ocierał się o jego podbrzusze, jakby był obdarzony własnym życiem.

– Nie masz gatek? – spytała, zadając identyczne pytanie jak on przedtem.

Pokręcił głową.

– Bo odcinałyby się pod tymi obcisłymi spodniami? – zażartowała.

– Kiedy siedziałem w więzieniu, załęgły mi się pchły w gaciach. Więc je zrzuciłem, a potem jakoś nie przyzwyczailem się ich nosić.

Duża ręka objęła jego męskość i zaczęła powoli przesuwać się po całej jej długości. Serce Eugeniego zabiło szybciej. Spojrzała niżej, na jego nogi... i zaschło jej w ustach. Pięknie uformowane męskie uda zawsze robiły na niej wrażenie.

A nogi Warda wyglądały jak wykute z ciepłego marmuru... jak u greckiego wojownika gotowego do rzutu oszczepem.

Zatrzymał się tuż przed nią i położył jej dłonie na pośladkach. Jakby wiedział, czym zawrócić jej w głowie, wsunął udo między jej nogi i przyciągnął ją do siebie, aż poczuła twardość jego mięśni.

Oddychała urywanie, zdziwiona swą nagłą reakcją.

– Czuję się tak...

Jego udo napierało na jedwabiste, delikatne, najbardziej intymne miejsce jej ciała.

– Zdejmij suknię, Eugenio – szepnął. Jego słowa dotarły do niej przez oślepiającą falę rozkoszy, jaką wyzwoliły jego dotyk, zapach i pieszczota języka na płatku ucha.

Nie zauważyła, że wciąż zaciska dłonie na tkaninie. Patrzyła na niego oszołomiona, kiedy rozchylił jej palce i suknia opadła na podłogę.

Jęknęła, gdy znowu wsunął udo między jej nogi, tym razem nieosłonięte jedwabiem.

– Podoba ci się to – mruknął.

Nie była w stanie odpowiedzieć, więc tylko skinęła głową, czując, jak krew huczy jej w żyłach.

Naparł jeszcze raz, mocniej.

– Chcesz jeszcze?

W odpowiedzi pochyliła się do przodu i liznęła miejsce między podstawą mocnej szyi a ramieniem.

– Do diabła – jęknął gardłowo. Wyprostował się i przycisnął ją do siebie. Rozwarł jej wargi swoimi i całował władczo, bez ostrzeżenia ani przeprosin.

Eugenia objęła go ramionami i odchyliła szyję, oddając mu się cała. Oczarował ją sposób, w jaki Ward wdarł się do jej ust, wypełniając je swoim językiem, aż nogi się pod nią ugięły i z trudem chwytła powietrze.

Oderwał się od niej wreszcie i spuścił wzrok. Przekleństwo wyrwało mu się z

ust.

Gorset ledwie sięgał jej do talii... Oprócz niego miała na sobie tylko kremowe jedwabne pończochy, podwiązki z czerwonymi wstążeczkami i swoje ulubione pantofelki na obcasie.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem: blada cera, krągłe ciało i rudy puszek okrywający jej intymność.

– Nie ma takich słów, które mogłyby cię opisać – powiedział urywanym, szorstkim głosem. – Jesteś tak cholernie piękna, Eugenio, jak Wenus i Diana w jednym. Twój widok powali na kolana każdego mężczyznę i każe mu cię błagać.

– O co? – spytała boleśnie słabym głosem.

– O to – szepnął, padając na kolana.

Zaskoczona, spuściła wzrok. Co on chciał zrobić? Andrew kiedyś... ale wiele miesięcy po ślubie, pod kołdrą i bardzo rzadko.

– Boże... – szepnęła, gdy Ward rozchylił jej nogi i przesunął ciepłym językiem po wrażliwej skórze wewnątrz uda.

Wstrzymała oddech.

Kiedy ją wreszcie tam dotknął, wydała urywany okrzyk. Kolana tak jej się trzęsły, że upadła na fotel. Ward mocniej zacisnął dłonie na jej nogach, przytrzymując je, gdy pieścił ją językiem i drażnił, a rozkosz przenikała całe jej ciało.

Przez umysł Eugeniei przemykały gorączkowe emocje, gdy wznosiła się i opadała na falach czystej rozkoszy, patrzyła na potężne męskie uda, dotykała owłosionej piersi, słuchała urywanego, mocnego oddechu.

Kolejna delikatna, finezyjna pieszczota językiem... Eugenia opadła na kolana.

– Też chcę cię dotknąć – szepnęła.

– Nie tutaj. – Pochylił się, wziął ją w ramiona i wstał jednym płynnym ruchem.

Całowała jego ramiona, zachwycona naprężonymi mięśniami, kiedy niósł ją przez pokój na to ogromne łóżce, jakby była lekka niby beza.

Serce jej huczało, ciało dygotało od zmysłowej przyjemności, a usta uśmiechały się radośnie. Nawet nie próbowała powstrzymać tego uśmiechu. Czy już zawsze będzie czuła tę kipiącą radość, kiedy gorący pot będzie jej spływał po

nogach?

Ward położył ją na łóżku i pochylił się nad nią, opierając ręce po obu stronach.

– Widzę, że jesteś pijaną miłośnicą.

– Nie wypiałam nawet kieliszka. – Uniosła się, całując jego podbródek.

– Tym się upiłaś – powiedział, ujął jej dłoń i położył ją na swej męskości, a potem przykrył swoją dłonią.

Eugenia czuła, jak jej oczy stają się coraz szersze. To było przecież tak dawno.... Zapomniała już, jaki gładki i jedwabisty jest mężczyzna... a przy tym twardy jak skała. I żywy, pulsujący w dłoni.

Ujęła go mocniej.

Ward mruknął gardłowo, ułożył się wygodniej i napał na jej rękę.

– Zapomniałam – szepnęła.

Odsunął się. Niechętnie opuściła rękę.

– Ani słowa o twoim mężu – zastrzegł. – Nie w sypialni, Eugenio.

– Nie chodziło mi o niego.

W jego oczach błysnęło zaskoczenie.

– Nie, nie spałam z nikim innym. – Ułożyła ręce za głową, jakby się chciała przeciągnąć. Jej piersi uniosły się, przykuwając uwagę Warda. O to jej chodziło.

– Przed chwilą pocałowałaś mnie tam i dopiero potem dotknęłaś piersi... – powiedziała zamyślona.

Mina Warda sprawiła, że znowu przeniknęła ją rozkosz. Ponieważ obejmował ją nogami, rozchyliła swoje, żeby otrzeć się o jego owłosione uda.

Pochylił się nad nią z uśmiechem.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Ale najpierw...

Przesunął dłonią po jej boku i władczo objął biodro.

– Kocham twoje kształty.

Potem ręka wsunęła się w ciepło i wilgoć między jej nogami.

Jęknęła i zadygotała, napierając na mocne, pokryte odciskami palce, które ją pieściły. Czuła, jak w całym ciele wybuchają fajerwerki gorąca, tak rozpalone, że powinno się je dostrzegać w powietrzu.

– Będziesz mi mówić, czego pragniesz, prawda? – polecił Ward głębokim,

piersiowym głosem.

– Tak – westchnęła urywanie.

Ręka znieruchomiała, głowa pochyliła się ku jej prawej piersi.

Zamarła i czekała...

– Eugenio.

– Proszę cię... – Dygotała na całym ciele. – Chciałabym... chciałabym cię dotknąć.

Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu.

– Dotykaj.

– Dlaczego jesteś o wiele większy niż inni? – Oparła mu ręce na ramionach.

– Chyba ci się to podoba.

– Nie o to chodzi. Nie tak wyobrażałam sobie mojego nauczyciela.

– W więzieniu nie miałem nic do roboty. Oczywiście, gdy tylko zamknęły się za mną drzwi, zacząłem planować ucieczkę, ale tkwiłem tam ładnych parę tygodni. Staralem się więc ciągle robić coś produktywnego. Okazało się, że lubię wysiłek fizyczny.

Manewrował przy tym palcami, aż błyskawica gorąca przeszła jej ciało z taką siłą, że na brwiach zaperlił się pot.

– Spodobało ci się, prawda? – zamruczał.

Nie była w stanie odpowiedzieć, bo właśnie w tej chwili opuścił się na nią i w końcu – nareszcie! – dotknął wargami piersi.

Andrew – nie, nie będzie teraz o nim myśleć!

Mężczyźni uwielbiali jej piersi.

Ward uwielbiał jej piersi.

Ważył je w dłoniach, pieszcząc wargami to jedną, to drugą, jakby były dwoma prezentami, którymi chciał się cieszyć jednocześnie. Muskał językiem krzywizny, chwycił sutki, aż jęczała i wiła się pod nim.

– Ward! – wykrzyknęła. Udało jej się podnieść kolano, ale drugie przygniótł swoim ciałem. A ona chciała...

Spojrzał na nią z góry, więc uśmiechnęła się pełna zachwytu. Od lat się tak świetnie nie bawiła.

– Jesteś pijana – powiedział z wielkim zadowoleniem i potarł jej nos swoim.

Potem wsunął język w jej usta.

Smakował nią samą... to było dziwnie podniecające.

– Chcesz więcej? – spytał, unosząc głowę. Zmysłowe spojrzenie jego oczu spod ciężkich powiek pobudziło ją tak, że zaczęła się niecierpliwie garnąć ku niemu.

– A ty chcesz? – rzuciła mu wyzwanie.

– Chcę dostać wszystko. Chcę, żeby nasze smaki zmieszały się ze sobą, chcę nas spróbować. – Przesunął biodra i szeroka główka jego członka otarła się o wilgotne wejście do jej wnętrza.

– Mów – polecił, władczo zaciskając jedną dłoń na jej piersi... Głos miał stłumiony, bo mocno ssał drugą.

– Och, proszę... chcę cię mieć w sobie! – wykrzyknęła z determinacją, dygocąc jak w gorączce.

– Już zaraz – odparł i sięgnął do nocnego stolika przy łóżku.

– Co to jest? – spytała, podnosząc się na łokciu.

– Prezerwatywa – wyjaśnił. – Kondom, żeby nie zająć w ciążę.

– Och, nie będziemy go potrzebować – odparła. – Dzieci nie robi się tak od razu – dodała. – Przecież byłam zameźna przez wiele miesięcy.

– Nie tego uczył mnie ojciec – stwierdził Ward, nie troszcząc się, by zamknąć szufladę. Wyjął z niej coś, co wyglądało jak pomarszczona osłonka na kiełbasę, ozdobiona na końcu bezsensowną tasiemką.

– Trzymasz je tutaj? W nocnym stoliku? – Eugenia z niesmakiem uświadomiła sobie, że pewnie jest ostatnia z grupki kilku albo nawet kilkunastu kobiet, które przebywały w tym łóżku i posłusznie wykonywały gardłowe polecenia Warda.

Zakładał to właśnie na siebie, ale spojrzał na nią z uśmiechem.

– Myślisz, że mam własny harem?

Ściągnęła brwi.

– Nie całkiem.

Przez moment obserwowała, co on robi.

– To chyba niewygodne.

– Bez tego mogłabyś począć dziecko.

Zsunął to coś i podniósł do góry.

– Chyba łatwo się domyślić, jak to działa.

Usiadła.

– Przez całe moje małżeństwo nie poczęłam dziecka. Choć pewnie jest takie ryzyko. Może powinniśmy się zastanowić...

Przerwała i wydała cichy okrzyk. Zaczęła się zsuwać z łóżka, ale Ward szybko złapał ją za przegub ręki i w sekundę później leżała pod nim na plecach, a on jedną dłonią przytrzymał jej ręce za głowę.

– Nie zmusisz mnie do niczego, jeśli zmienię zdanie.

Umysł może się zbuntował, ale ciało nie. Całe dygotało, pragnąc jego dotyku.

Zmusiła się, by nie wygiąć bioder i nie błagać, by w nią wszedł.

– Dlaczego? – Jego głos był mroczny i nieubłagany. Zaglądał jej w oczy tak głęboko, jakby chciał dotrzeć do dna jej duszy.

Może...

Nie.

Musiła zachować szacunek do samej siebie, a gdyby się zgodziła na tę rzecz w swoim ciele, poczułaby się brudna. Zbrukana.

– Rozumiem, że prowadzisz odmienne życie od mojego – odpowiedziała, starając się mówić w jak najbardziej obiektywny sposób. – W żadnym razie nie sugeruję, że posiadanie takich... takich przedmiotów jest oznaką moralnego upadku.

Przez chwilę spoglądał na nią, a potem odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem.

– Moralnego upadku?

Zmarszczyła brwi.

– Próbuję powiedzieć to oględnie.

– To spróbuj po prostu szczerze.

– Nie chcę, żeby to znalazło się we mnie.

Oboje spojrzeli na inkryminowany przedmiot.

– Nie lubisz ich?

– Szczerze mówiąc, pierwszy raz widzę coś takiego.

– Więc?

– Po prostu nie chcę.

– Dlaczego? Obiecuję, że będzie ci mimo to przyjemnie.

Zmienił pozycję. Otarł się o nią, a ona mimowolnie rozchyliła kolana i westchnęła. Ale odsunęła go od siebie.

– Nie dotykaj mnie tym!

Nigdy przedtem nie widziała w jego oczach takiej frustracji.

Stanął nad nią okrakiem na kolanach, tuż nad jej udami i powiedział poważnie:

– Eugenio, wyjaśnij mi, o co ci chodzi.

– Pewnie mam więcej skrupułów niż ktokolwiek inny – odparła ponuro.

– Za mało cię znam, żeby porównywać.

– Nie chcę mieć tego w sobie, jeśli było przedtem w innej kobiecie! – wybuchnęła. – Wiem, że przedtem to umyślisz, ale nic mnie to nie obchodzi. Przepraszam, jeżeli uważasz, że przesadzam.

Ward wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem bez słowa sięgnął do szuflady nocnego stolika, która wciąż była otwarta. Wyciągnął stamtąd garść kondomów i rzucił je na łóżko.

Upadły na jej pierś i brzuch, cienkie i śliskie, obszyte na górze różnobarwnymi tasiemkami.

– Nigdy w życiu nie użyłbym ich dwukrotnie – wyjaśnił. – Co ważniejsze, w tym łóżku, ani w żadnym innym moim łóżku, od dwóch lat nie było żadnej kobiety.

– Och – westchnęła Eugenia. – Jestem taka... tak się cieszę, że używasz ich tylko po jednym razie. Ale skąd ten celibat?

W myślach zaczęła przeglądać listę powodów, dla których zdrowy, młody mężczyzna mógł unikać płci przeciwnej, i żaden z nich dobrze nie wróżył. Ścisnęło ją w dołku.

Ward spojrział na nią i ryknął śmiechem.

– Nie, nie jestem chory. Zawsze jesteś taka nieufna?

Przechyliła głowę, czując, jak zadowolenie przepływa przez nią jak ciepły miód. Nie był chory.

– To z powodu prowadzenia agencji. Zapewniam cię, że wychowywanie

dzieci każdego wyleczy z optymizmu.

– Choć znam tylko Otisa i Lizzie, w dodatku od niedawna, rozumiem, co masz na myśli. Nie zapominaj jednak, że przez ponad rok byłem narzeczonym Mii, a przedtem zalecałem się do niej miesiącami. Zaręczyny przerwało moje uwięzienie, a wkrótce potem na progu mego domu pojawiło się moje rodzeństwo.

Eugenia pogładziła go po policzku.

– Miałeś ciężki rok.

– To mało powiedziane – odparł, kładąc się obok niej. Potem spojrział na nią z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Może już czas, żeby ktoś poprawił mi nastrój?– zapytał.

26

Ward nie mógł złapać tchu w płuca.

Obok niego Eugenia usiadła, rozrzucając na wszystkie strony kondomy, stanęła na czworakach i usiadła na nim okrakiem. Jej włosy opadły mu na twarz.

– Piekło i szatany – wychrypiał. – Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

– Racja – zgodziła się z wyraźnym zadowoleniem. Potem opuściła głowę i polizała jego sutek. Oparł się na łokciach, nie fatygując się, by opanować potok przekleństw, który dobywał się z jego ust.

Eugenia uniosła głowę z pogodnym uśmiechem i przesunęła się ku jego kolanom.

Kiedy dotknęła językiem jego członka, wydał jęk, który odezwał się echem w całym jego ciele.

Czuł się jak we śnie. Rubinowe usta, włosy okrywające jego uda jedwabistym dotykiem i przymknięte oczy Eugenie, wyraźnie zachwyconej tym, co robiła.

– Starczy – wychrypiał. Pragnął dojść w niej, wziąć w posiadanie to krągłe, zmysłowe ciało.

W chwilę później ułożył ją na plecach, aż zaśmiała się ze zdziwienia, a potem zaczął całować szaleńczo, wdzierając się między jej wargi. Złapał jeden z kondomów rozrzuconych na łóżku.

– Chwileczkę. Nie ten! – wykrzyknęła ze śmiechem.

Czy będzie się śmiać przez całą noc? Pewnie tak.

– Chcę taki z niebieską wstążeczką.

Ward kupował je w najlepszym magazynie na Bond Street. Były

niewiarygodnie drogie i gwarantowały zadowolenie damy, ale nie sądził, by w tym celu dobierano kolory tasiemek.

Pochylił się i polizał różowy sutek, darząc go ciepłem swoich ust. Przywarła do niego, a jej nogi zadygotały.

– Ward!

– Dam ci wszystko... – szepnął. Do diabła, tak bardzo pragnął okryć pocałunkami każdy centymetr tej cudownej skóry.

Rozchylił jedwabiste, lśniące ciało i zaczął się w nią wsuwać. Była taka ciasna... nigdy w życiu nie doświadczył czegoś takiego. Czuł się tak cudownie, że jego ramiona pokrył pot, gdy próbował nad sobą zapanować.

Eugenia poruszała się gorączkowo. Zamknęła oczy, próbując wziąć go w siebie. Przytrzymał ją za nogę i uniósł do góry, dzięki czemu posunął się odrobinę dalej. Jęk wyrwał mu się z ust.

– Spójrz na mnie – szepnął.

Tym razem ona jęknęła. Musiał zobaczyć jej oczy. Jeśli coś ją bolało...

Może był za duży. Albo ona za ciasna.

Albo może zwariował, bo za każdym razem, gdy spoglądał w dół, widok jego członka sprawiał, że dygotał i chciał wdrzeć się w nią do końca.

Szybko i brutalnie.

– Eugenio – wyszeptał gardłowo. – Otwórz oczy.

Jej mroczne z rozkoszy oczy otworzyły się w końcu, spoglądając nań z cieniem urazy.

– Wybacz – jęknęła i poruszyła się znowu – ale próbuję zrobić trochę miejsca w tej ciasnocie.

Ani śladu bólu. Może trochę niewygody. Ale przede wszystkim pożądanie.

Pochylił się, by ją pocałować. Zablokował biodra. Potem uniósł jej nogę nieco wyżej, aż zrozumiała i objęła go udami w talii.

– Ward! – sapnęła. Ale on chciał wytrzymać jeszcze dłużej, kochać się z nią powoli, żeby było jej dobrze. Wiedział, że gdy znajdzie się w środku, nic go już nie powstrzyma.

– Chcesz jeszcze? – zapytał gardłowo. – To powiedz, a ja ci to dam.

Jeszcze raz opuścił głowę i skubnął jej wargę.

– Musisz mi powiedzieć, czego pragniesz.

Znowu otworzyła oczy.

– Sama sobie to wezmę – odparła, zdyszana. Zanim zdążył ją powstrzymać, wygięła biodra do góry i wzięła go głębiej w siebie.

Czegoś takiego w życiu sobie nie wyobrażał. Było ostrzej, radośniej, piękniej niż kiedykolwiek. Wspaniale. Zastygł bez ruchu, zachwycony rumieńcem na jej policzkach i tym, jak przygryzała wargę.

– Jeszcze?

– Tak, ty diable. Pragnę cię. Chcę cię mieć całego. I to już.

W jej oczach nie było cierpienia, tylko głód i pożądanie.

Z głębokim jękiem wdarł się w najgorętsze, najciaśniejsze miejsce, jakiego zaznał w życiu.

Otworzyła oczy i wydała cichy okrzyk.

Znieruchomiał.

– Zrób tak jeszcze – polecił, zaciskając palce na jej ramionach.

Zrobiła. I to nie raz.

Nadał im ostre tempo, opierając się na przedramionach, spocony, walcząc o panowanie nad orgazmem, który w każdej chwili mógł nadejść, gdyby jego ciało wyrwało się spod kontroli.

Eugenia wiała się i dygotała, jęczała urywanie i raniła mu plecy paznokciami.

Czuł, jak kurczą się jego jądra, gotowe by ją napełnić.

W idealnym momencie niebotycznie zdziwionym głosem szepnęła:

– Już dużej nie wytrzymam, Ward.

– Na litość boską – jęknął. – Nie musisz.

Jęknęła chrapliwie i uczepliła się go ramionami, nogami, zaciskając się na nim całą sobą, ciepła i jędrna.

– Ward! – wykrzyknęła w konwulsjach, które ogarnęły oba ich ciała jak jedno.

Gwałtownie poruszając biodrami, Ward także zapomniał o całym świecie, gdy fala gorąca ruszyła od stóp w górę po kręgosłupie. Nie czuł nic poza niewiarygodną rozkoszą, która ogarnęła go bez reszty.

Spocona Eugenia opadła na ciało Warda, starając się odzyskać oddech.

– Jak cię nazywali w dzieciństwie? – spytał szorstkim, sytym głosem.

– Eugenia. A ciebie? – Uniosła się na łokciu, by na niego spojrzeć.

– Teddy. Nie miałaś żadnego przezwiska? Nikt cię nie nazywał aniołkiem ani kaczuszką?

– Nikt. Nie lubię takich porównań. Obawiam się, że jestem przeciwieństwem aniołka i zawsze tak było.

– Naprawdę? – Poruszył zabawnie brwiami w udawanym zdziwieniu. – Ty, Eugenia Snowe, która ratuje niegrzeczne dzieci w całej Anglii, nie masz w sobie nic anielskiego?

– Ratuję rodziców, nie dzieci. Jestem pewna, że sporo dzieciaków marzy gorąco, żeby moja agencja splajtowała i wszystkie guwernantki odeszły.

– Pewnie, że wolałyby robić babki z piasku niż piec ciasta. – Ward powoli przesunął dłoń po jej plecach, a potem zsunął ją niżej, na krągłe pośladki.

Eugenia z zadowoleniem przekonywała się, że przechwałki Warda nie były puste – zdaje się, że rzeczywiście dorównywał wigorem osiemnastolatkowi i był znowu gotowy.

Uniósł głowę i pocałował ją w usta.

– Jesteś najwspanialszą, najbardziej fascynującą kobietą, jaką poznałem w życiu.

Kolejny pocałunek, tym razem w nos.

– Zdecydowanie najpiękniejszą.

Po jednym pocałunku na każde oko.

– Jesteś najlepszą kochanką na świecie. Naprawdę.

– Dziękuję – odparła cicho, oddając pocałunek.

– Wieczór jeszcze się nie skończył – odpowiedział Ward i ułożył się wygodnie, splatając palce pod głową. Dzięki czemu wszystkie jego mięśnie znowu się napięły... Nie sposób było tego nie zauważyć.

– Powinam iść już do siebie – powiedziała, nawet nie próbując się ruszyć. – Boję się, że któreś z dzieci nie będzie mogło zasnąć i przyjdzie tutaj, szukając pociechy.

– Zamknąłem drzwi na klucz.

– No to co... a jeśli zapukają?

– A jeśli już zapukały? – Ułożył się na boku, podpierając głowę ręką.

– Ward! Przecież twoje rodzeństwo nie może się dowiedzieć, że jesteśmy kochankami!

– Nie zamierzam nikomu o tym mówić. Jeśli któreś zastuka do drzwi, pójde z nimi do biblioteki, a ty zostaniesz tutaj. Miło mi będzie na myśl, że śpisz w moim łóżku.

Uśmiechnęła się smutno. Do jej umysłu znowu zaczęły się zakradać racjonalne myśli. Jak długo trwają takie romanse? Pewnie jeden dzień, jeśli w domu są dzieci.

Odgadł jej myśli.

– Nie – odpowiedział. – Jeszcze nie. Wciąż pragnę ciebie, a ty mnie.

– Niewątpliwie. Ale...

Spoważniał i pochylił się nad nią.

– Eugenio Snowe.

– Tak? – Chyba była rzeczywiście zepsuta do szpiku kości, bo chciała tylko jednego: wtulić się w jego ramiona.

– Chcę, żebyś przespaała tę noc razem ze mną.

– Tak się nie godzi – odparła z niepokojem.

Uśmiechnął się lekko.

– Nic mnie to nie obchodzi. A ciebie?

Z trudem zebrała myśli. Nie wiedziała, że Ward ma takie długie rzęsy. Były jasnobrązowe, a ich złociste końcówki muskały jego policzki.

– Mnie, owszem. Już jako dziecko postanowiłam, że będę najporządniejsza ze wszystkich w moim otoczeniu.

Jego oczy złagodniały.

– Obawiam się, że będziesz musiała z tego zrezygnować, aniołku.

– Bo zacznę cię nazywać Teddy – zagroziła.

– Jeśli zostaniesz przez dwa tygodnie, a to przecież tylko czternaście dni, każdego z nich pozwolę ci odgrywać najporządniejszą ze wszystkich. Przez jakiś czas.

Eugenia roześmiała się.

– O czym ty mówisz?

– O przyzwoitości – odpowiedział, całując ją w policzek. – To przecież tylko gra, prawda?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Ulokował się między jej nogami, więc jęknęła cicho, instynktownie chwytając go za ramiona.

– Wyobraź sobie królewski nocnik.

Ale zanim zdążyła przywołać ten obraz, pocałował ją z taką namiętnością, że natychmiast wygięła biodra ku niemu i zanurzyła palce w jego włosach. Całowali się długo, nie wiedząc, czy z pożądania, czy z sytości.

– Pomyślałaś o tym nocniku? – spytał gardłowo.

– W żadnym razie – odparła bez tchu, przesuwając językiem po pełnej dolnej wardze.

– Każdy korzysta z nocnika.

Znowu leżał oparty na łokciu, a wolną ręką pieścił jej pierś. Mimo to starała się skupić na temacie.

– Czy rozmawiamy o schodkach do twojego powozu? – spytała.

– Przyzwoitość to jedynie pusta gra – odpowiedział. – Wszystkie te damy siedzące w salonach i udające, że się nie poca, nie sikają i nie puszczają bąków, po prostu grają.

Eugenia wzniosła oczy do sufitu.

– Do czego zmierzasz?

– Byłaś kiedyś zaproszona na kolację, gdzie nocnik stoi w kącie, ukryty za

parawanem?

– Niestety tak. – Eugenia przesunęła palcem wzdłuż jego brwi, rozkoszując się znużeniem i szczęściem przenikającym jej ciało i przyplływem energii, której źródłem był ewidentnie jego członek pulsujący między jej nogami.

– Kiedy miałem piętnaście lat, pierwszy raz pozwolono mi wziąć udział w dorosłej kolacji – powiedział. – Nigdy nie zapomnę, jak pewna dama – oszczędzę ci nazwiska – zniknęła za parawanem ani przedziwnych dźwięków, które wkrótce potem się rozległy.

Eugenia zaśmiała się i ukryła twarz w jego ramieniu.

– To brzmiało jak wodospad – opowiadał dalej. – A reszta gości siedziała spokojnie i konwersowała, udając, że nic nie słyszą. W tym momencie przestało mnie interesować życie towarzyskie – w każdym wydaniu.

– Dlatego nie chodziłeś na bale i inne uroczystości?

– Dokładnie tak – przytaknął, skubiąc jej dolną wargę. – Reasumując, nie zwracaj sobie głowy przyzwoitością, Eugenio. Zostań ze mną. Moje ciało jest na twoje usługi.

Roześmiała się, zaskoczona.

– Bierz mnie – rzekł, ścisząc głos. – Jestem twój. Nikt nie będzie nic wiedział. Wszyscy są przekonani, że odwiedziłaś mnie z dobrego serca, żeby uczyć moje rodzeństwo, dopóki nie przyjedzie guwernantka na stałe. Panna Lloyd-Fantil zapewniła mnie, że przyśle kogoś najszybciej jak się da, ale ostrzegła, że to może trochę potrwać.

– Och, Susan – mruknęła z lekką urazą. – Wydaje jej się, że...

– Lubię ją – przerwał jej Ward. – Daj mi te dwa tygodnie. – Pocałował ją w usta. – Potem będzie ta sprawa w Izbie Lordów. Pomóż mi poduczyć dzieci do tego czasu. Co będzie, jeśli zechcą je przesłuchać?

– To mało prawdopodobne – odpowiedziała. Potem zastanowiła się i dodała: – Choć dobrze byłoby przygotować je na to na wszelki wypadek.

– Moi prawnicy twierdzą, że mogą wezwać Otisa, żeby go zapytać, czego życzył sobie jego ojciec.

W myślach Eugeniei zapanował zamęt, bo Ward zsunął się niżej, żeby ucałować jej pierś.

W sumie dlaczego by nie zostać? Przecież nikt nie wiedział, że ona tu jest. I nikogo to nie obchodziło, dodała w duchu. Była przecież wdową.

Ward sprawiał swoimi pieszczotami, że wracała do życia.

– Zastanowię się nad tym – odparła przerywanym głosem. – Obiecuję...

Ward podejrzewał, że racjonalne argumenty nie mają znaczenia. Pierś Eugenii była obfita i pięknie zaokrąglona, a sutek mały i czerwony jak wiśnia.

Całował ją, aż poczuł, że drżą jej nogi, a dłonie wędrują coraz niżej w dół pleców.

Potem ułożył się przy niej, głodny jej ust. Smakowała kobietą, pożądaniem i wszystkimi rozkoszami życia. Otoczył ramieniem jej szczupłą talię i przyciągnął do siebie, zachwycony, jak dobrze ich ciała pasują do siebie.

Byli stworzeni dla siebie, jak Adam z Ewą.

Westchnął urywanie i przesunął dłońmi po jedwabistej skórze jej pleców, tyłeczka i głębiej.

– Pragnę cię – szepnął jej do ucha i wsunął dłoń między jej nogi.

Palce rozchyliły fałdy ciała, a Eugenia wydała zdławiony okrzyk.

Sięgnął po kondom – tym razem z różową tasiemką. Zanim go założył, już jęczała, otaczała go nogami, zagryzała białymi ząbkami pełną dolną wargę tak mocno, że został ślad.

– Najpierw chcę cię posmakować – powiedział.

– Nie – wykrztusiła. – Teraz, Ward. Teraz!

– Bo co?

Pokręciła głową, a mgła pożądania ustąpiła z jej oczu.

– Bo opuszczę kolano i trafię cię w pewne miejsce na środku ciała?

– Zostań dwa tygodnie. – To brzmiało jak rozkaz.

– Nie powinnam – wymamrotała, wyginając się ku niemu. Usiadł na piętach i masował ją dokładnie tak, jak tego potrzebowała.

– Powinnaś.

Otworzyła oczy.

– Czy ty próbujesz mnie szantażować? – spytała tonem pełnym urazy. Cała poróżowiała.

Ward nie mógł powstrzymać się śmiechu.

– Udałoby mi się to?

– Nie!

– Ja cię błagam. Rozumiesz? Błagam. – Rozsunął jej nogi i zbliżył twarz do najbliższej części jej ciała.

Kiedy ją polizał, wydała cichy okrzyk. Uświadomił sobie, że się uśmiecha, a potem kochał ją, aż dygotały jej nogi.

Potem podciągnął się i ulokował we właściwym miejscu. Potem zapomniał o wszystkim, poza tym, że nigdy w życiu nie kochał się z żadną kobietą w takim obłądnym, czujnym skupieniu, poruszając biodrami do wtóru bicia jej serca.

Resztką świadomości czuł, jak Eugenia porusza się pod nim i szepcze, przyciąga go do siebie, woła go po imieniu bez końca, a potem już tylko jęczy bez słów.

Była tak samo namiętna jak on. Szalona, drapała go w plecy i dygotała z rozkoszy. Zachwycał się każdą chwilą... Potem położył się na plecach, posadził ją na sobie i patrzył, jak się poruszała, odnajdywała własny rytm i uśmiechała się do niego.

A potem ujeżdżała go, aż jej ciało opadło w konwulsjach, a on w końcu utracił panowanie nad sobą, wydał piersiowy okrzyk i oddał jej całego siebie.

– Dwa tygodnie – wyszeptał bezsilnie.

Odwróciła się i spojrzała na niego, unosząc kąciki pięknych warg w uśmiechu. Chciała coś odpowiedzieć... potem odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

– Chyba jestem zbyt zmęczona, żeby sobie teraz pójść.

– Jesteś cudowna – szepnął, przesuwając kciukiem po jej dolnej wardze.

Uśmiechnęła się. Oczy miała pijane rozkoszą.

– Też cię lubię.

Zasnęli przytuleni do siebie jak szczenięta.

Albo jak kochankowie.

Czwartek, 28 maja 1801

Eugenia obudziła się w swojej własnej sypialni na dźwięk zasłon odsuwanych przez Clothilde. Usiadła, mrugając oczami.

Wcale nie czuła się jak upadła kobieta. Choć zdecydowanie zachowywała się w ten sposób, szczególnie gdy Ward odprowadzał ją do sypialni o świcie.

– Dzień dobry, madame – przywitała ją Clothilde.– Przyniosłam pani tacę ze śniadaniem. Czy wracamy dziś do Londynu?

– Obiecałam panu Reeve’owi, że zostanę przez dwa tygodnie, do przyjazdu nowej guwernantki.

Eugenia wstała z łóżka.

– Za dwa tygodnie w Izbie Lordów będzie rozważana petycja i dzieci muszą się dużo nauczyć, zanim będzie je można pokazać w towarzystwie.

– Ruby jest w szoku – odparła Clothilde, pociągając za dzwonek, by poprosić o kąpiel. – Były tu dwie nasze guwernantki, a te dzieciaki w dalszym ciągu nie myją się za uszami.

– Muszę ich nauczyć, jak się zwracać do osób z towarzystwa, kłaniać i dygać i jak się zachowywać wśród dorosłych. I nauczyć Lizzie, jak być sobą, a nie postacią ze sztuki.

– Ruby też mówi, że ta mała jest *trop dramatique* – przytaknęła Clothilde. – A jej brat ma oswojonego szczura. Szczura, madame!

– Widziałam go – odparła Eugenia, otrząsając się z niesmakiem. – Zważywszy na to, ile mamy do zrobienia, dwa tygodnie to naprawdę niewiele.

Tęskniła za nowymi wyzwaniem, i oto właśnie się pojawiły.

Dni będą tu pracowite, a noce... cudowne.

Nalała sobie filiżankę herbaty i usiadła na łóżku, bo taca stała na jedynym krześle.

– Zauważyłaś, że tu jest dziwnie mało mebli, Clothilde?

– W całym domu ich brakuje – odparła pokojówka. – Podobno pan Reeve kupił dom z tymi meblami, ale potem sam niczego nie dołożył. W sześciu sypialniach nie ma nawet stołka. A do tego, madame, wszystkie służące są na przychodne.

– Żadna tu nie mieszka?

– Ani jedna. Wszystkie codziennie przychodzą ze wsi. Pan Gumwater uważa, że kobiety w domu to tylko kłopot.

Zmarszczyła nos.

– Znam ludzi tego rodzaju.

– W kuchni też pracują mężczyźni?

Clothilde skinęła głową.

– Monsieur Marcel, szef, pochodzi z Langwedocji, mieszka niedaleko jednej z moich ciotek. Nie ma żadnych podkuchennych do pomocy. Ani jednej. Mimo to jego chleb jest *magnifique*. Tak samo dobry jak mojej matki.

Eugenię ogarnęła fala radości. Może zejdzie do kuchni i poprosi monsieur Marcela, żeby wypróbował parę jej pomysłów. Na przykład ciasto czekoladowe z dodatkiem imbiru. Albo tartę cytrynową z odrobiną skórki, która nada jej dodatkowy aromat.

– Zabiorę dziś dzieci do kuchni na pierwszą lekcję pieczenia ciasta. Czy monsieur Marcel nie będzie miał nic przeciwko ich obecności w kuchni?

– Skądże znowu – obruszyła się pokojówka. – To prawdziwy Francuz, na pewno kocha dzieci.

Nieważne, że sama Clothilde krzywiła się na widok wszystkich dzieci poniżej dziesięciu lat, tłumacząc, że strasznie wszystko brudzą.

Eugenia właśnie wyszła z kąpieli, kiedy lokaj przyniósł liścik od Warda.

Czy zgodzisz się, żeby Lizzie z Otisem byli na kolacji?

Odpisała pod spodem, złożyła kartkę i odesłała ją z powrotem.

Oczywiście. Musimy ich natychmiast zacząć uczyć manier i kulturalnej

konwersacji przy stole.

Odpisał zaraz.

Boję się tylko, że będziesz jęczeć nad czekoladowym sufletem, który zamówiłem na wieczór.

Zaczęła nową kartkę:

Całe szczęście, że w jadalni będą dzieci, bo nie rzucisz się na mnie przez stół.

Miała staranne pismo damy. Jego pośpiesznie pisane litery pochylały się na bok.

Myślę tylko o tym, jak się kąpiesz.

Wyobraziła sobie Warda w kąpieli: mocne, szczupłe nogi lśniące od wody, krople spływające po szerokich barach. Przełknęła ślinę, zawahała się i zignorowała tę prowokację.

Czy Otis zabierze Jarvisa na kolację?

Odpowiedział:

Czy to byłby problem?

W żadnym towarzystwie, arystokratycznym czy też innym, nie sadza się gryzoni przy stole.

Poza sypialnią Jarvis może przebywać tylko w torbie.

Mogłabym dzisiaj zacząć uczyć dzieci pieczenia ciast, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Skądże. Może, kiedy przyjdzie czas, Otis po prostu zaserwuje lordom upieczone przez siebie ciasto jako dowód, że jestem dobrym opiekunem.

Eugenia zastanawiała się nad odpowiedzią, ale w końcu zrezygnowała.

Miała wrażenie, że Wardowi nie podoba się pieczenie ciast, bo stale sobie z tego żartował. Był przeciwny z zasady, jakby uważał, że chce nauczyć jego rodzeństwo jakiejś poniżającej pracy.

Po krótkiej chwili zabrała Lizzie i Otisa i zeszła z nimi do kuchni. Niezależnie od tego, czy to się podobało ich starszemu bratu, czy nie, dzięki Agencji Snowe umiejętność upieczenia przyzwoitego biszkoptu była jak karta wstępu do socjety.

Monsieur Marcel miał żółte włosy i wspaniałe, zakręcone wąsy. Eugenia skinęła głową i przedstawiła się w jego ojczystym języku, na co odpowiedział

promiennym uśmiechem i finezyjnym ukłonem.

Ku jej zdumieniu Lizzie postąpiła o krok, ukłoniła się niezgrabnie i płynną francuszczyzną spytała kucharza, co gotuje.

– Zastanawiam się, co podać na wieczór – odparł.

– Zastanawia się pan? – powtórzył Otis jak echo, również po francusku. – To nad tym trzeba rozmyślać?

Eugenia stłumiła śmiech i tylko patrzyła, jak Lizzie i Otis przejęli inicjatywę, mniej lub bardziej dokładnie spełniając polecenia i zadając mnóstwo pytań.

– Skąd nauczyliście się tak pięknie mówić francusku? – spytała Otisa, gdy jego siostra obserwowała szefa kuchni, który ubijał białka z cukrem z fascynującą szybkością.

– Mieszkaliśmy w Anglii tylko cztery miesiące w roku. Zimy spędzaliśmy w Paryżu, ale poza tym podróżowaliśmy po całej Anglii wozami.

To wyjaśniało, dlaczego nikt nie rozpoznał lady Lisette i lorda Darcy’ego podczas przedstawień.

Gdy ciasto znalazło się w piecu, wszyscy usiedli przy kuchennym stole i monsieur Marcel zaczął opowiadać Eugenie, jak trudno jest prowadzić kuchnię, mając do pomocy tylko jednego kuchcika. – Nie mam nawet posługaczki! – wykrzyknął, kręcąc głową tak gwałtownie, że jego wąsy zadrżały.

– Biorąc pod uwagę te niezmiernie trudne okoliczności, wczoraj wieczorem zaserwował pan prawdziwe cuda – odpowiedziała ciepło Eugenia. – Zrobię co w mojej mocy, żeby przetłumaczyć panu Reeve’owi, że potrzebna jest panu odpowiednia pomoc.

– Nie chodzi o lorda – odparł. – To decyzja pana Gumwatera.

Spojrzał na Lizzie i nie rozwijał dalej tematu, ale wzruszył ramionami w wielce wymowny sposób.

– Czy pan wie, że pana głowa wygląda, jakby cała była w ślimakach? – przerwał Otis.

– Otis – skarciła go Eugenia. – Nie wolno robić takich osobistych uwag. Natychmiast przeproś monsieur Marcela.

– Przepraszam – powiedział chłopiec, spoglądając z nadzieją na kucharza.

– My, Francuzi, kochamy *les escargots* – odpowiedział monsieur Marcel. –

Miło mi, że wyglądam jak moje ulubione jedzenie.

Otis uśmiechnął się.

– Gdybym zapuścił włosy, mógłbym je woskować, żeby wyglądały jak szczurze ogony.

– Mówisz jak Francuz. – Monsieur zaśmiał się. – Zapewniam cię, że największe szczury na świecie lęgną się w moim ukochanym Montpellier!

Właśnie po to są te lekcje pieczenia ciast, pomyślała Eugenia. Chodzi o to, by młode angielskie damy i dżentelmeni przekonali się dowodnie, że ich domy prowadzą tacy sami ludzie jak oni.

– Monsieur, czy mogłabym pana namówić na eksperyment z ciastem? Ostrzegam jednak, że sama wymyśliłam tę wersję i nie próbowałam jej robić – wtrąciła.

– *Intéressant!* Bardzo chętnie, madame Snowe – ucieszył się kucharz. – Mój talent tu rdzewieje. Monsieur Reeve je wszystko, co przed nim postawię, i niezbyt interesuje się jedzeniem. – Mówiąc to, przewrócił oczami.

– Będę tu całe dwa tygodnie – odparła rozpromieniona i wstała od stołu. – Zajrzę do pana, gdy tylko pan Reeve zatrudni pomoc kuchenną. Nie chciałabym przysparzać panu pracy, kiedy ma pan za mało pomocników.

Monsieur – który wstał wtedy, gdy ona wstała – skłonił się zamasyście.

– Będę liczyć godziny, madame Snowe. Zwrócił się do dzieci: – Dziś wieczorem dostaniecie wasze ciasto na deser. Będzie wspaniałe.

– Następnym razem chciałabym upiec placek z pigwą – odparła Lizzie. – Nigdy nie rozumiałam, o co chodzi w tej sztuce, kiedy mówią, że „piekarz o pigwy woła”^[11].

– Cicho bądź – rzuciła Eugenia. – Po pierwsze, pigw jeszcze nie ma. A co ważniejsze, zamiast prosić o ciasta z *Romea i Julii*, podziękuj monsieur Marcelowi za lekcję.

– Jestem bardzo wdzięczna – zaczęła Lizzie i dygnęła jeszcze raz. Otis zgiął się w pasie, wyglądając jak żuraw ze zwichniętą nogą.

Pomimo świetnego francuskiego mieli jeszcze mnóstwo do nauczenia.

W pokoju dzieciennym Ruby przypilnowała, żeby umyli ręce i buzie.

Potem Eugenia znowu się nimi zajęła.

– Dzieciaki, teraz wyjdę i zaraz wrócę. A wy sobie wyobrazicie sobie, że jestem księżną Gilmore.

Lizzie zmarszczyła nosek.

– Nie lubię jej.

– Dama nigdy nie mówi źle o innych, chyba że w cztery oczy – skarciła ją Eugenia. – A teraz przywitaj się ze mną, jakbym była twoją czcigodną babcią, która przyszła zobaczyć, czy macie porządek w pokoju.

– To znaczy mam udawać, że ją lubię?

– Dokładnie o to mi chodzi.

– Pani chce, żebyśmy kłamali! – krzyknęła Lizzie.

– Chcę, żebyście to odegrali – poprawiła ją Eugenia. – W odpowiednim momencie i w odpowiedni sposób.

Eugenia nie widziała się z Wardem przez cały dzień, więc pod wieczór pożądanie tliło się w niej jak przysypany popiołem żar. Na samą myśl o łóżku uginały się pod nią kolana.

Ponieważ kolacja miała być w towarzystwie dzieci, wybrała suknię, która nie tyle odsłaniała jej wdzięki, co je sugerowała. Była ciemnobłękitna, uszyta z jedwabiu tak ciężkiego, że opadał sztywno jak kolumna.

– Diamenty we włosach? – spytała Clothilde.

Eugenia doskonale wiedziała, że pokojówka domyśla się tej *affaire*, choć nie skomentowała tego ani jednym słowem. Widać było, że ją aprobejuje – w końcu była Francuzką – ale nawet po tylu latach współpracy zachowywała pewien dystans.

– Chyba wolę srebrną siatkę – odpowiedziała. – Oczywiście, jeśli ją zabrałaś.

– Naturalnie, madame – odpowiedziała Clothilde wyraźnie urażona, że podejrzewają ją o tak poważne niedociągnięcie.

– I pantofelki na srebrnym obcasie – dodała Eugenia.

– Błękitne byłyby lepsze – stwierdziła pokojówka. – Moim zdaniem srebro może sprawiać wrażenie, że pani jest kosztowną kobietą.

– Bo jestem. Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– Panowie lubią udawać sami przed sobą, że utrzymanie żony nie obciąża domu dodatkowymi kosztami. Przez to mogą marudzić przez długie lata po

ślubie i narzekać, że wszystko miało być inaczej.

– Ale ja nie zamierzam wychodzić za pana Reeve’a. W związku z tym włożę srebrne pantofelki i będę sprawiać wrażenie kobiety luksusowej jak sama królowa.

– Dobrze, madame – zgodziła się Clothilde.

– Nie czekaj na mnie w nocy – dodała Eugenia, wkładając jedwabny szal pasujący do sukni.

– Życzę miłego wieczoru, madame.

To prozaiczne stwierdzenie wypowiedziane przez Clothilde z francuskim akcentem stało się co najmniej dwuznaczne.

– Jestem przekonana, że tak będzie – odpowiedziała Eugenia i uśmiechnęła się szerzej, gdy spotkały się wzrokiem w lustrze.

29

Po drodze na kolację Eugenia spotkała Gumwatera, który poinformował ją, że podadzą kolację w małym pokoju przy sali balowej. Ponieważ nie zaofiarował, że ją tam zaprowadzi, przeszła sama przez parkiet, słuchając postukiwania swoich obcasików. W sali wiało pustką. Chyba nikt tu nie tańczył co najmniej od siedemnastego wieku.

Weszła do pokoju. Ward był sam. Stał, opierając się o półkę nad kominkiem. Ogień oświetlał od dołu jego wyraziste rysy. Przypominał średniowiecznego wojownika, który zadumał się nad ogniskiem o bitwie, którą stoczy następnego dnia rano.

Dobrze, że nie spotkała Warda, gdy była debiutantką. Andrew był uroczym beniaminkiem, ale Ward – prawdziwym mężczyzną, i to nie tylko dlatego, że wydawał się tak potężnie zbudowany w porównaniu z jej byłym mężem.

– O czym myślisz? – spytała.

Wyprostował się.

– O tobie.

Odpowiedziała uśmiechem.

– I co, dobrze o mnie myślałeś?

Rzucił okiem na otwarte drzwi.

– Rozpustnie.

Uśmiechnęli się do siebie, jak dwa koty nad miseczką kradzionej śmietany.

– Zastanawiałem się też, czy starczy mi kondomów do końca tych dwóch tygodni – dodał, wyjaśniając. – Czy życzysz sobie wina?

Podszedł do karafek na kredensie.

– Przegoniłem Gumwatera. Chyba nie jest przyzwyczajony do kobiet w domu.
Kieliszczyk sherry?

– Nie, dziękuję. Wolałabym czerwone wino.

Damy zwykle pijały sherry przed posiłkiem, ale Eugenia uważała, że nie jest to obowiązkowe.

– Naturalnie.

– Co będziesz teraz robił, kiedy przestałeś wykładać w Oksfordzie? – spytała.

– Przystosowuję moją prasę papierniczą do napędu parowego – odpowiedział, podając jej kieliszek rubinowego wina.

– Jakiego spodziewasz się wzrostu wydajności?

Zamrugnął oczami z zaskoczenia.

– Czy to nie jest oczywiste pytanie?

– Owszem, gdybym usłyszał je od innego przedsiębiorcy.

Pociągnęła łyk wina, spoglądając na niego znad okularów.

– Interesowałyby mnie również rozmiary tej maszyny w wersji parowej. Czy taka maszyna zmieści się w drukarniach na Fleet Street?

Błysnął oczami.

– Kwestia rozmiarów prasy to tylko jedno z ograniczeń, z którymi muszę się uporać...

Przerwał, bo Ruby wprowadziła dzieci.

Lizzie złożyła głęboki ukłon. Eugenia uświadomiła sobie, że mała ma na sobie welon, ale upięła go z tyłu, więc nadawał jej wygląd poważnej zakonnicy.

Eugenia przywitała się z nią i zwróciła się do Otisa, który miał na ramieniu skórzaną torbę obszytą czarną satyną. Złożył jej nie najgorszy ukłon, zważywszy, że w torbie coś się wyraźnie poruszało.

Zamiast oficjalnego powitania Ward pociągnął Lizzie za pasemko włosów i dziubnął Jarvisa wyciągniętym palcem.

– Nie rób tak! – pisnął Otis, ale w jego głosie nie było urazy.

– Jarvisowi nie wolno wychodzić z torby, dopóki nie wrócicie do pokoju – ostrzegła go Ruby i wyszła.

Ward położył ciepłą dłoń na ramieniu Eugenie.

– A oto i Gumwater z naszym jedzeniem.

Dzięki Bogu posiłek podano przy okrągłym stole, bo Eugenia dziwnie by się czuła, siedząc na jednym końcu, podczas gdy Ward rezydowałby na drugim. Po wyjściu lokaja zaczęła uważnie obserwować Lizzie i Otisa, żeby sprawdzić, czy wybierają odpowiednie sztuce.

Monsieur Marcel zdecydowanie potraktował jej obecność jako wyzwanie: Gumwater zapowiedział na pierwsze danie *la poularde à la Montmorencie* z ragoût à l'Allemande, po którym miało nastąpić drugie, z trzema przystawkami.

Otis z łatwością przyswoił lekcje, jakich udzieliła im po południu. Za to Lizzie ciągle o czymś zapominała i używała niewłaściwego widelca albo mówiła z otwartymi ustami, bo była tak zemocjonowana, opowiadając Wardowi o pieczeniu ciasta, że szkoda jej było czasu na przełykanie.

– Monsieur Marcel jest cudem nad cudami – skomentował Otis, wypróbowując zwrot, którego się niedawno nauczył.

– Owszem – zgodziła się Eugenia. – Ale może niedługo zrezygnować z posady, panie Reeve, jeśli nie zatrudni pan kuchcika, dwóch podkuchennych i kilku pomywaczek.

Ward był wyraźnie zaskoczony.

– Czy poinformował Gumwata, że potrzebuje pomocy?

– Pan Gumwater nie chce żadnych kobiet w domu – odparła Lizzie, podskakując na krześle. – Ruby powiada że ona i naturalnie pani Snowe z jej pokojówką – to jedyne kobiety, które mogą spać pod dachem pana Gumwata.

Ward uniósł brew.

– Zdaje się, że przestałem być właścicielem tego domu.

– Oprócz kucharza i podkuchennych warto też zastanowić się nad zatrudnieniem gospodyni – dodała Eugenia. – Pomogłaby w wyposażeniu tego domu. Lizzie, nie wolno podskakiwać na krześle.

– Ale ja mam ochotę – upierała się mała.

– Proszę cię, nie mów z pełnymi ustami – dodała cierpliwie Eugenia.

Mała zmrużyła oczy i zasłoniła twarz woalką.

– Nie musisz na mnie patrzeć.

– Dama nigdy nie nosi woalki podczas oficjalnych kolacji w towarzystwie – wygłosił Ward.

Lizzie odsunęła welon na bok i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Lady Lisette zawsze robiła, co chciała!

– Nasza matka nie był damą – odpowiedział. – A ty jesteś, co oznacza, że nie możesz podskakiwać na krześle, rozmawiać z jedzeniem w buzi ani wkładać woalki przy jedzeniu.

Eugenia wtrąciła się, by ich pogodzić.

– Zawsze byłam ciekawa, jak mieszka się w furgonie, wędrując razem z trupą teatralną. Podobało wam się to?

– Nie – odpowiedziała Lizzie, odsłaniając twarz.

– Nie było tak źle – łagodził Otis.

– Było dziadowsko – zirytowała się siostra. – Wóz był mały i śmierdział, kiedy padało. Nie było miejsca na książki ani ubrania. I nie mogliśmy chodzić do szkoły.

Ward poczuł, jak ścisnęło go w dołku. Im więcej dowiadywał się o życiu swojego rodzeństwa, tym bardziej pogardzał matką. Nie czuł się z tym najlepiej.

– Jak myślicie, dlaczego waszym rodzicom podobało się w teatrze? – spytała Eugenia.

– Gra – odpowiedziała Lizzie. – Lady Lisette uwielbiała grać.

– Matka była bardzo dobra – wtrącił Otis, wyraźnie urażony wcześniejszymi pogardliwymi słowami siostry.

– Wcale nie była dobra – poprawiła Lizzie. – Lubiała wygłaszać monologi i być sama na scenie. A w teatrze nie o to chodzi. Zespół powinien grać razem. Właśnie dlatego... – przerwała i nabrała porcję szpinaku w śmietanie.

– A ojciec był dobrym aktorem? – spytał Ward.

– Był beznadziejny – odparł Otis z promiennym uśmiechem, który starszy brat widział u niego tylko kilka razy. – Dlatego zajmował się kurtyną.

– Poza tym nie chciał, żeby go rozpoznano – dodała jego siostra napiętym głosem. – Lady Lisette byłaby wściekła.

Ward dostrzegł kątem oka, że Otis ukradkiem wyjął Jarvisa z torby, posadził go sobie na kolanach i zaczął głaskać. Pewnie powinien go skarcić, ale nie miał serca. Każda wzmianka o lady Lisette sprawiała, że pragnął porwać Eugenię w ramiona i całować tak długo, że zapomniałby o swojej matce.

– Wiesz, co ja robię, jak się złoścę? – spytała Eugenia ni z tego, ni z owego.

– Co? – zaciekawiała się Lizzie.

– Krzyczę wniebogłosy. Żeby nie zamykać gniewu w sobie.

Ward spochmurniał. Lizzie miała się nauczyć, jak być damą, a nie jak wrzeszczeć na cały głos. I tak robiła to już zbyt często, jeśli brat ją zanadto zirytował.

– Może już czas, by damy oddaliły się na herbatę? – spytał z naciskiem.

Eugenia nie zaszczyciła go spojrzeniem.

– Krzyk jest czymś w rodzaju katharsis. Wyrzuca się gniew z siebie za pomocą głosu.

– Moje rodzeństwo nie potrzebuje uczyć się krzyczeć – stwierdził Ward.

– Tu nie chodzi o krzyk jako taki – odparła Eugenia i spojrzała na niego. W jej wzroku malowało się współczucie, jakby myślała, że jego rodzeństwo to jakieś zaniedbane biedactwa. Że nieraz zaznało głodu.

Ta myśl go zmroziła.

– Czy mieliście zawsze dość jedzenia?

Otis nie podniósł głowy, ale jego plecy wyraźnie zeszywniały. Szlag by to trafił.

– Dopóki tata żył, to nie – wyjaśniła Lizzie.

– Niech to diabli porwą – warknął Ward.

– To jest męska wersja krzyku, Lizzie – wytłumaczyła jej Eugenia.

– Czy wyrzuciłeś z siebie gniew? – spytał Otis z miną dziecka, które nauczyło się nowego zwrotu i doskonale wie, że w żadnym razie nie powinno go powtarzać w towarzystwie.

Ale natychmiast to zrobi, gdy zostanie samo.

– Nigdy tak nie mów w obecności dam – ostrzegł go Ward.

– Przecież sam tak zrobiłeś – stwierdziła Lizzie.

– To był wyjątek. Przepraszam cię, Lizzie, i panią Snowe też. – Udało mu się unieść kąciki ust, zmuszając się do uśmiechu.

– Wolę kląć niż krzyczeć – zwierzyła się Lizzie. – Znam już mnóstwo słów.

– W porządku – odparła Eugenia ku przerażeniu Warda. – Ale nigdy publicznie. Nigdy. Obiecujesz, Lizzie?

– Tak!

– A ja mogę publicznie – uradował się Otis.

– Ale dopiero jak skończysz osiemnaście lat – oświadczyła Eugenia. – I nigdy w eleganckim towarzystwie. A teraz chciałabym, żebyście pomyśleli o czymś, co was bardzo rozgniewało. O czymś, co chcielibyście zapomnieć.

Ward zeszywniał z irytacji. Oto skutki oddawania dzieci pod opiekę kobiecie, która nie urodziła się damą i nie odebrała odpowiedniego wychowania. Nie miała pojęcia, że reputacja Lizzie będzie zrujnowana, jeśli mała wypowie słowo „diabli” w sali balowej, nawet najcichszym szeptem.

– Gotowi? – zapytała Eugenia.

– Czy pani też to zrobi? – spytała Lizzie. Wokół jej oczu malowało się napięcie, jak u konia, którego dręczą muchy.

– Nie jestem teraz zła – odparła Eugenia. – To czas dla was.

Lizzie zamknęła oczy i wzięła tak głęboki oddech, że jej wąska pierś wyraźnie się powiększyła.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – syknął Ward.

Spojrzała na niego spokojnie.

– Z przyjemnością ci to wyjaśnię, ale później.

Lizzie wytrzeszczyła oczy:

– Jestem gotowa.

Eugenia uśmiechnęła się.

– Zaczynaj, Lizzie.

Ward jęknął w duchu. Nie miał pojęcia o wychowywaniu dzieci, ale był pewny, że zachęcanie młodej damy do przeklinania nie było w dobrym tonie.

Jego siostrzyczka wyprostowała się, napięła ramionka, otworzyła usta i wyrzuciła z siebie stek przekleństw wysokim, przenikliwym i bardzo donośnym głosem. Po pierwszych trzech Wardowi zaczęło dzwonić w uszach. Po siedmiu lub ośmiu do jadalni wpadł zdyszany Gumwater.

Eugenia pochyliła się, skinęła głową i Lizzie ucichła. Zapadła cisza tak kryształowo czysta, jak to się zdarza przed świtem.

– Uszy mnie teraz bolą! – wykrzyknął Otis. Pochylił się i opiekuńczo osłaniał uszy szczura dłońmi. – Jarvisa też!

Gumwater mruknął coś pod nosem i wyszedł.

– Lepiej się teraz czuję – stwierdziła zaskoczona Lizzie.

– A ja gorzej – rzucił Ward. – Gdzie ty się nauczyłaś takich obrzydliwych słów, Lizzie?

Wpatrywała się w Eugenię z taką uwagą, że chyba go w ogóle nie słyszała.

– Dobrze to zrobiłam?

– Dokładnie tak, jak trzeba – odparła Eugenia i wstała. – Cieszę się, że ci ulżyło. A teraz już czas, by damy udały się do salonu.

– Dziś nie musimy przestrzegać tej zasady – powiedział Ward, wstając.

Lizzie skakała wokół stołu, a potem złapała Eugenię za rękę, jakby przyjaźniły się od lat.

– Pomyślałam o czymś jeszcze, co mnie złości.

– Zajmiemy się tym jutro – odpowiedziała Eugenia. – Masz niesamowity zasób słów. Gumwater chyba bardzo ciężko to przeżył. Spojrzała na Warda i dodała: – Twój brat też.

– Głównie ze sztuk Middletona – przyznała Lizzie.

– Dżentelmeni zostają teraz przy stole i palą cygara, prawda? – spytał Otis Warda. Potem wsadził Jarvisa z powrotem do torby.

– Nie. Jesteś za młody. Jeśli w Eton ktoś ci będzie mówił, że to nieprawda, nie zwracaj na niego uwagi.

– Eton... – szepnął Otis.

Twarzyczka chłopca była kompletnie oszołomiona. Ward nie potrafił odgadnąć, czy to z radości, czy ze strachu. Do diabła, niepotrzebnie mu się to wymknęło. Chciał powiedzieć Otisowi o Eton, kiedy mały już się trochę zadomowi.

Teraz nie było sensu ukrywać, o co chodzi.

– Za kilka miesięcy pojedziesz tam do szkoły, na jesienny semestr – oznajmił.

– Ja też uczyłem się w Eton. Podobnie jak twój ojciec.

– Ojciec obiecał mi, że pójdę do Eton – pisnął Otis głosem łamiącym się z entuzjazmu.

Dzięki Bogu: to radość, nie przerażenie.

– Znam jednego chłopca, który nazywa się Marmaduke, lord Pibble. On też

będzie nowy w Eton – powiedziała Eugenia. – Twój brat może załatwić, żebyście byli w jednym pokoju.

– Marmaduke? – Otis zmarszczył nos.

– Założę się z tobą o szylinga, że zanim skończy się semestr, będziecie najlepszymi przyjaciółmi.

Damy się nie zakładają, pomyślał Ward. Ale nie odezwał się ani słowem.

– To niesprawiedliwe, że dziewczyny nie mogą iść do Eton! – wykrzyknęła Lizzie.

Ward spostrzegł z lekkim przerażeniem, że w dalszym ciągu ścisnęła dłoń Eugonii.

Jego siostra nie może przecież przyjaźnić się z jego kochanką. To nie uchodzi. To naprawdę nie uchodzi.

– Marmaduke ma oswojoną ropuchę imieniem Fred, którą wszędzie ze sobą zabiera – opowiadała Eugenia Otisowi. – Pewnie nie będziecie mogli zabierać Freda ani Jarvisa do klasy, ale nie będą się razem nudzić w sypialni.

– Muszę cię przed wyjazdem nauczyć pływać – dodał Ward. – Niedaleko szkoły jest rzeka i jeden z chłopców tam się utopił, kiedy byłem w szkole.

Kątem oka dostrzegł, że Eugenia zadygotała. Do diabła, znowu zapomniał o jej mężu.

– Umie pani pływać? – spytała Lizzie, spoglądając jej w oczy.

– Nie – odpowiedziała, a potem dodała cicho: – To wspaniała umiejętność. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że sporty wodne mogą być bardzo niebezpieczne.

– Nie wejdę do tego jeziora – sprzeciwiła się Lizzie. – Pełno tam zdechłych ryb, mogłyby mnie pogryźć.

– Phi! – wykrzyknął Otis. – Ty bez przerwy myślisz o śmierci. Jeśli nie nauczysz się pływać, to sama możesz kiedyś umrzeć. Zastanawiałaś się nad tym?

– Wejdę do wody, ale tylko z panią Snowe – odpowiedziała Lizzie.

– Ja raczej nie będę miała ochoty – stwierdziła Eugenia.

– To ja też nie – rozpogodziła się Lizzie.

Ward posłał Eugonii spojrzenie, które miało jej przypomnieć, że w przeszłości

sama się przekonała, jak ważna jest nauka pływania.

– Zmieniłam zdanie – oświadczyła z wyraźną niechęcią. – Chętnie nauczę się pływać.

– Doskonale – rzucił. – Jutro rano zaczynamy lekcje pływania, pani Snowe. A teraz myślę, że panie zamiast na herbatkę, udadzą się do łóżka.

Lizzie w dalszym ciągu trzymała Eugenię za rękę.

– Jeszcze jestem zła.

Eugenia pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

– Teraz boli mnie głowa, kochanie, ale obiecuję ci, że jutro wypijemy razem herbatę, a ty nauczysz mnie kilku obrazowych zwrotów pana Middletona.

– Wiesz, dlaczego panią Snowe boli głowa? – wtrącił Otis. – Twój wrzask. Mam szczęście, że nie ogłuchłem.

Lizzie puściła rękę Eugonii i wymierzyła bratu solidnego kuksańca w zębra.

– Jesteś najbardziej...

W zamieszaniu, jakie wybuchło, Ward otworzył drzwi.

– Przepraszam za moje rodzeństwo.

Eugenia odpowiedziała uśmiechem i nagle zorientował się, że jego głowa sama się ku niej pochyla. Wyprostował się gwałtownie. Jakże on pragnął tych ust. Chciał zbadać je językiem, żeby spojrzała na niego tak jak ostatniej nocy, jakby potrzebowała go bardziej niż powietrza.

– To była jedna z najbardziej interesujących kolacji w moim życiu – zauważyła.

– Musimy porozmawiać o tym, czego właśnie nauczyłaś moją siostrę.

Jej uśmiech nawet nie drgnął.

– Agencja Snowe zawsze służy swoim klientom. To nasza dewiza.

Pochylił się ku niej nieco bliżej; dzieci kłóciły się ze sobą i nie zwracały na nich uwagi.

– Czy próbujesz mi w ten sposób powiedzieć, że lepiej znasz się na wychowywaniu dzieci niż ja?

– Owszem. – W jej oczach błyszczało pożądanie.

Mógł jej powiedzieć, że za to on lepiej zna się na manierach arystokracji, ale dał sobie spokój.

– Pragnę cię – mruknął, przysuwając się tak blisko, że oddychali tym samym powietrzem.

– Będziesz całować panią Snowe? – rozległ się zaciekawiony głosik Otisa.

– Nie! – Ward wyprostował się natychmiast.

– Oczywiście, że się nie będą całować – wyjaśniła Lizzie z wyższością. – Przy całowaniu się ludzie przechylają głowy w ten sposób. – Pochyliła główkę na bok jak przywiędły mlecch.

– To sceniczna maniera – poprawiła ją Eugenia. – W życiu jest inaczej, Lizzie. Poza tym ani mnie, ani twojego brata nie interesują pocałunki.

– Mówiłam ci. – Lizzie trąciła brata łokciem. – Przecież nie są małżeństwem.

– Uważaj! O mało co nie trafiłaś Jarvisa – przestraszył się chłopiec. – Poza tym do całowania się nie trzeba być małżeństwem.

– Tylko mąż z żoną mogą się całować – upierała się Lizzie.

– Racja – potwierdził Ward, uznawszy, że czas wykazać się rodzicielskim autorytetem.

– Mama cały czas całowała się z panem Burgerem, a przecież nie byli po ślubie – stwierdził Otis.

– To są osobiste sprawy! – warknęła Lizzie. – Miałaś tego nigdy nikomu nie mówić! – Wybuchnęła płaczem.

Ward jakimś cudem zachował kamienną twarz na wieść, że ich matka ewidentnie miała kochanka Burgera. Wziął na ręce zapłakaną siostrę.

– Czas do łóżka. Chodź, Otis.

– Chce pani powiedzieć dobranoc Jarvisowi? – spytał chłopiec Eugenię.

– Oczywiście – skłamała jak z nut.

Ward obserwował, jak Otis wyjmuje z torby szczura, który wyraźnie miał ochotę wziąć udział w imprezie, i sadza go sobie na ramieniu.

Jarvis trącił Otisa noskiem w policzek w szczurzym pocałunku, a potem zaczął czesać sobie futerko.

Eugenia z wahaniem wyciągnęła rękę i podrapała szczura palcem po łebku.

Ward odwrócił się, posadził sobie zapłakaną siostrę na ramionach i poszedł na górę.

Pprzed pójściem do łóżka Eugenia nie mogła się zdecydować, czy rozpleść warkocz zrobiony przez Clothilde po kąpieli, czy nie. Była pewna, że upadłe kobiety witały swoich kochanków w przeświecających koszulkach nocnych i rozpuszczonych włosach.

Jej nocna koszula była z solidnej bawełny, w rodzaju tych, jakie szacowne wdowy noszą w swych samotnych łóżnicach.

W końcu rozpuściła je i wsunęła się do pościeli, czekając na dyskretne pukanie do drzwi. Zanim oprzytomniała, włosy miała kompletnie zwichrzone i wcale nie była sama w łóżku.

Ward leżał obok niej na plecach, z odwróconą głową. Obejmował ją mocnym ramieniem. Przytuliła się doń z całych sił, jakby byli mężem i żoną.

Naturalnie kochankowie byli ze sobą blisko. Wydawało jej się jednak, że nie zostawali ze sobą w łóżku na noc, tylko oddawali się grzesznym rozkoszom łoża, a potem rozchodzili się do swoich sypialni.

Przez okna sączyło się perłowe światło świtu. Jakimś sposobem przespali te długie godziny grzesznych rozkoszy, a teraz nadszedł czas, by jej kochanek udał się dosiebie.

– Ward – szepnęła, gładząc palcami jego nagie ramię, a potem szyję i szczękę. Jak na mężczyznę miał delikatne kości policzkowe, ale w jego wyglądzie nie było ani śladu zniewieściałości.

Był przeciwieństwem jej ojca chrzestnego, księcia Villiers. Villiers świetnie się czuł w błyszczących ubraniach. Poza tym nosił buty na obcasie, choć ten zwyczaj, popularny wśród części dworu pochodzącej z Hesji, nie przyjął się

wśród brytyjskiej młodzieży.

Naturalnie Villiers był modelem dla arystokratów, więc czerwone obcasy stały się częstym widokiem od salonów królowej po Vauxhall.

Ward rozchylił usta i jej palec wsunął się w ich wilgotne ciepło, co wywołało reakcję, jakiej nie zdołał obudzić jej szept.

– Dzień dobry – powiedziała gardłowo, odsuwając dłoń. – Co pan właściwie robi w moim łóżku, panie Reeve?

Zamrugął sennie i przeczesał swobodną dłonią włosy. Kasztanowe loki same ułożyły się we fryzurę, nad którą lokaj spędziłby co najmniej godzinę.

– Nigdy nie lubiłem spać sam. Ojciec mi opowiadał, że wędrowałem nocą po domu i wchodziłem ludziom do łóżek.

– Czyli komu?

– Głównie krewnym. Choć raz zabłądziłem do sypialni mojej przyszłej macochy, a potem zmoczyłem się w jej łóżku.

– Cieszę się, że ci przeszedł ten nawyk – stwierdziła z przekonaniem.

Rozbudził się całkiem. Oczy mu błyszcząły. Ujął jej dłoń i położył sobie na piersi.

– Proszę, rób dalej to, co przed chwilą.

Eugenia zsunęła palce w dół umięśnionego brzucha.

– Wieczorem z trudem powstrzymałem się, by nie sięgnąć przez stół, nie złapać cię i nie posadzić sobie na kolanach – wyznał.

– Nie przy dzieciach.

– Trzymałem ręce przy sobie – przypomniał i nagle jego głos przeszedł w jęk.
– Nie przerywaj.

Spełniła jego żądanie.

W dwie godziny później Ward uniósł się znad niej i przeciągnął. Ogarnęło go niezmierne zadowolenie.

Eugenia leżała wyciągnięta na łóżku, a rozpuszczone włosy okrywały jej plecy i ramiona.

– Czas wstawać. – Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Mruknęła coś niechętnie.

– Dziś rano mamy lekcję pływania – zachęcił ją. – Chyba nie zapomniałaś?

Słyszając to, usiadła tak gwałtownie, że się zderzyli.

– Nic z tego.

Uśmiechnął się, słysząc chrypkę w jej głosie. Na szczęście ściany były grube, więc mogła swobodnie się wypowiedzieć.

Innymi słowy, wykrzyzczyć do woli.

– Lizzie nie wejdzie bez ciebie do wody. Wyrzucam sobie, że zabierałem ich na ryby, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Jęknęła i przewróciła się na bok. Trącił ją łokciem, usiadł, odsunął włosy z jej twarzy i pocałował kusząco.

– Uciekaj. – Odepchnęła go. – Nie mogę przez cały dzień leżeć w łóżku. Musisz się stąd wynieść przed przyjściem mojej pokojówki.

– Twoja pokojówka nie wejdzie na górę, dopóki nie usłyszysz od mojego lokaja, że droga wolna.

– Och. – Patrzył, jak do Eugenie dociera znaczenie jego słów – mianowicie to, że wszyscy w domu doskonale wiedzą, jaka jest sytuacja. W końcu dotarło i okazało się, że nie ma to dla niej znaczenia.

– Wiem, że obiecałam to Lizzie, ale nie interesuje mnie nauka pływania.

Jeśli teraz popełni błąd, Eugenia może przez resztę życia nie zbliżyć się nawet do wody.

– Twój mąż nie chciałby, żebyś bała się wody – odezwał się najbardziej taktownie, jak potrafił.

Westchnęła.

– Jedyną rzeczą, jaka dotarła do mnie w ostatnich tygodniach to to, że nie mogę się już dłużej kierować życzeniami Andrew.

– Nie znałem go – zaczął, obejmując ją ramieniem – ale podejrzewam, że nie chciałby, żebyś do końca życia była po nim w żałobie.

– Trudno powiedzieć, że jestem w żałobie, zważywszy twoją obecność w tym łóżku!

Ward pchnął ją do tyłu i przygniótł do materaca. Ich ciała idealnie pasowały do siebie.

– Jestem zazdrosny o Andrew. Czy mnie też podarowałybyś siedem lat żałoby? – mruknął, skubiąc zębami jej ucho.

– Tobie wystarczyłby miesiąc albo dwa – odparła ze śmiechem w głosie. – Najwyżej pół roku.

Dlaczego rozmawiali o żałobie?

Ward otrząsnął się jak skąpany w zimnej wodzie. Nie mógł przecież ożenić się z Eugenią, a udawanie, że jest to możliwe, byłoby nieuczciwością.

Niewątpliwie była bardzo pomocna w opiece nad dziećmi – pomijając ten wieczorny koncert przekleństw – ale jego ewentualna żona powinna mieć status, który ugasiłby wszystkie plotki o jego pochodzeniu. Jego dom – i jego żona – powinny być poza wszelkimi podejrzeniami.

– Świetnie – stwierdził energicznie i wstał z łóżka. – Czas na lekcję pływania.

– Naprawdę nie...

– Owszem, tak. – Włożył szlafrok. Niech diabli porwą finezję: to trzeba było powiedzieć szczerze. – Andrew oddał za ciebie życie.

Skrzywiła się.

– Czy to nie byłoby straszne, gdybyś kiedyś utonęła, mimo że poświęcił się, by utrzymać twoją głowę nad wodą?

– To nie fair.

– Bycie fair nie ma tu nic do rzeczy. Chciałbym, żeby Lizzie potrafiła sobie poradzić w wodzie, a ona do niej nie wejdzie bez ciebie. Mało brakowało, a obawa przed śniętymi rybami pływającymi na powierzchni wody zepsułaby nam wycieczkę na ryby, zanim jeszcze się zaczęła.

Eugenia wstała i objęła go za szyję, przytulając się doń swoim cudownym, delikatnym ciałem.

– A nie moglibyśmy odbyć tej lekcji jutro rano?

Ward odchrząknął.

– To jest jeszcze bardziej nie fair.

Roześmiała się.

– Nie miałam pojęcia, że nieprzyzwoite zachowanie jest takie zabawne.

– Obiecuję, że dam ci jeszcze wiele okazji, żebyś mogła się tym cieszyć – powiedział z przekonaniem.

– Nie chodzi mi tylko o sypialnię. Jestem przekonana, że Lizzie bardzo pomogło to, że mogła wyrazić swój gniew, choć może w ekscentryczny sposób.

Ward zawahał się, niepewny jak sformułować swoją opinię.

– W pełni aprobuję nieprzyzwoitość w twoim wykonaniu, ale mojej siostrze to nie przystoi.

Eugenia pocałowała go w policzek.

– Doskonale wyczuwam twoją pełną aprobatę. – Otarła się o niego.

– Proszę cię, nie ucz Lizzie takich zachowań.

Ściągnęła brwi i odsunęła się od niego.

– Jak ci w ogóle przyszło do głowy, że mogłabym nauczyć ją czegoś takiego!

– Nie, chodzi mi o przeklinanie – wyjaśnił. – Jeśli powie choć jedno takie słowo w salonie hrabiny, będzie zrujnowana.

– Wątpię – odpowiedziała. – Smutek w jej oczach ustąpił miejsca chłodnemu opanowaniu. – Zdziwiłbyś się, wiedząc, jakie przyziemne potrafią być kobiety w rozmowie między sobą. – Odwróciła się, żeby wziąć szlafrok z oparcia krzesła i włożyć go na siebie.

– Damy, które królują u Almacka, są kapryśne, a nawet okrutne. Lizzie nie może jedną pomyłką zaprzepaścić szans na małżeństwo.

– Jeśli twoja siostra nie wyrazi teraz swojego gniewu, to będzie stale odgrywać gniew innych osób, a zważywszy na jej umiejętności aktorskie, nie będzie to mile widziane.

– Lizzie powinna myśleć jak prawdziwa dama – powiedział. Do diabła, właśnie prowadził z kochanką rozmowę o swojej siostrze.

To było nie do pomyślenia.

– Lizzie przede wszystkim musi wyrazić cierpienie, jakie przeżyła z powodu matki – oświadczyła Eugenia.

– Ale można je wyrażać bez wulgarnych słów – odparł. – Damy muszą zachowywać się odpowiednio przez cały czas, Eugenio. Ty...

Przerwał, żeby nie powiedzieć czegoś, co mogłoby ją obrazić.

Eugenia poczekała, czy zechce skończyć zdanie, a potem odpowiedziała:

– Lady Lisette nie żyje, a Lizzie próbowała ukryć swoją twarz, czyli swój gniew, ale na nic się to zdało.

– Nie dlatego ukrywa twarz – upierał się. – Damy, choćby nawet przyziemne, nie wyrzucają z siebie przekleństw. To ja odpowiadam za dobro tych dzieci.

Ścisnęło go w dołku, gdy nakreślił między nimi tę linię podziału, ale nie miał wyboru.

Od chwili, gdy postanowił, że będzie walczył z babką o opiekę nad nimi, Lizzie i Otis stali się jego oczkiem w głowie.

– Muszę chronić moją siostrę przed wulgarnością i ukryć fakt, że zna wulgarne słowa.

Eugenia usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na niego. W jej jasnych oczach lśniła powaga, ale nie była urażona.

– Czy chcesz, żebym wyjechała, Ward?

– Nie! – wyrwało mu się tak gwałtownie, że nie mogła powątpiewać w jego szczerość. – Boże, za nic, Eugenio. Dzięki tobie... dzięki tobie mogę jakoś wytrzymać ten koszmar. Proszę cię.

– Chciałabym jasno zrozumieć, o co mnie prosisz. Chciałbyś uchronić swoją siostrę przed wszystkim, co można by interpretować jako zachowanie niegodne damy.

– Tak.

– W związku z tym jesteś wstrząśnięty, że pozwoliłam Lizzie przeklinać. Czy masz podobne zdanie na temat naszej wycieczki do kuchni? – Jej twarz była doskonale opanowana, ale palce bawiły się tasiemką szlafroka.

– Eugenio – zaczął. – Źle to rozegrałem. Nie chciałem cię rozgniewać ani zranić twoich uczuć.

– Nie gniewam się – odparła. Kiedy chciała, była idealnym odwzorowaniem damy.

Tylko że żadna dama nie była tak pełna życia i prostoty jak ona – kiedy chciała.

Zauważył, że nie wspomniała o urażonych uczuciach. Pewnie często ją rani szorstkość i wyniosłość arystokracji – na przykład niegrzeczne zachowanie ciotki i pogarda lady Hyacinth, których był świadkiem.

– Debiut Lizzie będzie wyzwaniem – spróbował jeszcze raz. – Trzeba będzie zatrzeć pamięć o okropnych wyczynach naszej matki oraz sprawić, by zapomnieli o moim urodzeniu. Nie zgadzając się, by wychowywała ją księżna, zmniejszyłem jej szanse na małżeństwo.

– Księżna nie byłaby dobrą opiekunką dla twojej siostry.

– Chodzi mi o to, że Lizzie musi być większą damą niż... niż sama królowa. Kobiety w typie lady Hyacinth muszą uwierzyć, że jej zachowanie jest bez skazy. Choć będzie ją wychowywał bękart, ona sama musi być damą w każdym calu.

– Zapewniam cię, że moja reputacja jako właścicielki Agencji Snowe będzie dla Lizzie korzystna. Przecież właśnie dlatego mnie porwałś, prawda?

Eugenia siedziała na płamie słońca. Rozczochrane włosy sprawiały, że wyglądała swobodnie i uwodzicielsko, zupełnie nie jak dama. W życiu nie spotkał tak silniej i inteligentnej kobiety.

A ona myślała, że porwał ją z innych powodów niż ten, który teraz doprowadzał jego krew do wrzenia: ze ślepego, szalonego pożądania.

Mruknął gardłowo, objął ją i przyciągnął do siebie, a potem pocałował żarłocznie. Przez chwilę nie reagowała, ale potem jej ciało zmiękło, przytuliło się od niego, a ramiona objęły go za szyję.

Odsunął się i spojrzał w jej zamglone oczy.

– Nie powiesz chyba, że trzymam cię w ramionach z jakichkolwiek innych powodów niż te najbardziej oczywiste. No, chyba że chcesz usłyszeć prawdziwą litanię przekleństw, która znacznie przekracza repertuar mojej siostry.

– A co to są te oczywiste powody?

Podciągnął ją wyżej, aż objęła go udami w talii.

– Kiedy patrzę, jak próbujesz deserów Marcela, muszę się pilnować, by nie spuścić się w spodnie.

Uwielbiał jej chłodną logikę i szalone chwile zapomnienia. Ale przede wszystkim kochał jej śmiech. Napał na nią swoją męskością.

– Wybaczysz mi? – szepnął chrapliwie. – Mam po prostu straszne poczucie winy wobec Lizzie. Nie tylko dlatego, że jestem bękartem, ale że jesteśmy kochankami. A w domu są dzieci.

Skinęła głową, a jej ciało przeszył dreszcz, kiedy otarł się o nią.

– Tak, to bardzo nieprzyzwoite – szepnęła.

– Ale nie potrafię się powstrzymać. – W jego głosie brzmiało szczere uczucie.

– Niech to szlag.

Gdyby księżna dowiedziała się, że zabawia się z Eugenią – albo, co gorsza, zastanawia, czyby się z nią nie ożenić – użyłaby tego argumentu, by odebrać mu opiekę nad dziećmi.

– Nikt się nie dowie – odpowiedziała, całując go w szyję.

Jej oczy miały taki wyraz, że serce mu zadrżało.

– Będziemy strzec tego sekretu – obiecała. – Nikt się nie domyśli, bo szczerze mówiąc, pani Eugenia Snowe z Agencji Snowe jest dokładnie taką osobą, jakiej ci potrzeba. Będą się tylko zastanawiać, ile musiałeś mi zapłacić. Co więcej, gdy tylko przyjedzie nowa guwernantka, wyjadę do ojca, nawet jeśli to się stanie przed upływem dwóch tygodni.

Na myśl o jej odjeździe żelazna obręcz ścisnęła mu pierś. Nigdy się nią nie nasyci.

Eugenia wyprostowała nogi, wstała i pociągnęła taśmę dzwonka.

– Nie – wypowiedział chrapliwie, ale się spóźnił.

– Nie mamy już czasu na miłość! – Oparła ręce na biodrach. Spod szlafroka zalśniło miękkie ciało – kontur doskonałej piersi.

Ostatni cień zniknął z jej twarzy i zastąpił go radosny uśmiech. Chciał ją chwycić w ramiona, ale odsunęła go od siebie.

– Najpierw lekcja pływania. Jeśli będziesz miał szczęście, może zanurzę w wodzie czubek palca.

W jej oczach lśniło rozbawienie.

Żelazna obręcz ściskająca jego pierś zelżała. Udało się.

Wybaczyła mu.

Zrozumiała.

31

Eugenia potrzebowała całej godziny, by zmusić się do pójścia nad jezioro. Szczerze mówiąc, zrobiła to tylko dlatego, że Ward przesłał jej ostry liścik, a do tego parę spodni i koszulę – strój pożyczony od stajennego.

Clothilde była zgorszona tymi spodniami, szczególnie widzianymi od tyłu. Ale ponieważ koszula opadała dużo poniżej talii, Eugenia uznała, że o wiele poważniejszym problemem będzie sama woda.

Kiedy przyszła, Lizzie siedziała na dużym kamieniu i patrzyła, jak Otis z Wardem chlapią się w wodzie.

Dziewczynka podskoczyła i dygnęła.

– Dzień dobry, pani Snowe! Już się bałam, że pani nie przyjdzie.

– Przepraszam – odparła Eugenia. – Damy nie powinny się spóźniać.

– Po tej stronie jest głębia – ostrzegła ją Lizzie, wskazując ciemniejszą wodę po lewej. – Tam nie wolno nam nigdy wchodzić. Ale po drugiej stronie jest płytko.

Ward ruszył w ich stronę. Pod płócienną koszulą malowała się umięśniona pierś. Choć targał nią strach, nie omieszkała zauważyć, jaki był pełen wigoru. Piękny, mokry od wody mężczyzna.

– Widziała pani, że mam na sobie spodnie, tak samo jak pani? – spytała Lizzie, gdy Eugenia weszła na kamień. – Są Otisa, ale na mnie pasują. A to jedna z jego koszul.

– Owszem, zauważyłam – powiedziała i usiadła. Poczowała tkaninę spodni na udach i wydało jej się to trochę nieprzyzwoite. Ułożyła nogi bokiem i zasłoniła je skrajem koszuli.

Podszedł Ward.

– Dzień dobry, pani Snowe – przywitał się z powagą, jakby nie wyszedł z jej sypialni przed niespełną godziną. – Woda jest zdumiewająco ciepła jak na maj. Czy mogę podprowadzić panią do brzegu?

– Wolałabym najpierw parę minut posiedzieć i popatrzeć – odpowiedziała, zmuszając się, by jej głos brzmiał spokojnie. Za żadne skarby nie mogła okazać strachu przy Lizzie. – Otisowi wyraźnie podoba się w wodzie.

Rzeczywiście, nauczył się już unosić na jej powierzchni. Przypominał rzeczną wydrę, którą kiedyś widziała. Tak samo jak ona płynął na plecach i przebierał łapkami.

– Twoja kolej, Lizzie – ponaglił Ward. – Pani Snowe przyszła, możemy zaczynać.

Paluszki Lizzie wbiły się w jej rękę jak szpony.

– Jesteś pewny, że w jeziorze nie ma żadnych trupów?

– Ani jednego – odparł i wyciągnął ramiona. – Chodź, moja dziewczynko. Teraz albo nigdy.

Odszedł, nie nalegając, by Eugenia się do nich przyłączyła, więc znowu opadła na nagrany słońcem kamień.

Małe falki błyszczały w południowym słońcu, zamieniając powierzchnię jeziora w płynne złoto. Ślicznie to wyglądało, ale nie mogła zapomnieć o tym strasznym dniu, kiedy znalazła się pod powierzchnią wody. O tym, jak krzyczała, gdy Andrew nie wypłynął. Echo tego krzyku wciąż dźwięczało jej w uszach.

Ward właśnie namówił Lizzie, by weszła do wody po kostki. Eugenia oparła głowę na kolanach.

Co ona tu właściwie robiła?

Nie nad jeziorem, ale w tej posiadłości.

W sumie była z siebie dumna, że nawiązała ten romans. Susan będzie zadowolona: Ward może sobie myśleć, że sam wymyślił to porwanie, ale ona rozpoznała machiaweliczny talent swej przyjaciółki.

Intymny związek z mężczyzną, który nie był Andrew, wymagał niemałej odwagi. Nauka pływania była kolejnym wyzwaniem, kolejnym aktem

życiowego męstwa.

Kamień, na którym siedziała, był szaro-biały, pokryty tu i ówdzie porostami. Gdy zamykała oczy, mocniej czuła słodki zapach dzikich róż, które rosły po drugiej stronie, nad głębiną. Ich truskawkowy aromat przykrywał odór mułu i zapach skoszonej trawy.

Ta woda nie miała związku z tą potężną falą, która niegdyś zamknęła się nad jej głową i zabrała Andrew życie. Jezioro nie pachniało solą jak ocean.

W dzieciństwie była odważna. Nie przypuszczała, że wyrośnie na tchórza.

Odwróciła głowę opartą wciąż na kolanach i zaczęła obserwować motyla, który wylądował tuż obok na szarym kamieniu. Miał kremowe skrzydła, ząbkowane jak liście leśnej trybulki.

Powiedziała sobie, że kiedy odleci ten motyl, podejdzie do jeziora i zacznie brodzić po płyciźnie, nie za głęboko. Dziś wystarczy zanurzyć się do kolan.

Nikt nie pływa pierwszego dnia nauki. No, może z wyjątkiem rozentuzjasmowanych małych chłopców.

Skrzydła motyla zadrżały na wietrze jak koronkowa firanka i zniknął. Eugenia podniosła głowę.

Ward stał zanurzony po uda, prawą ręką trzymając dłoń Lizzie, a lewą Otisa. Dzieci unosiły się na plecach, jakby były z ostowego puchu. Włosy Warda lśniły od słońca, a drobne falki igrały wokół całej trójki.

Spotkali się wzrokiem i Ward uśmiechnął się szeroko i radośnie. Włosy przykleiły mu się do głowy, uwydatniając jej kształt.

Taka piękna głowa. Niedawno głaskała ją, ujmowała w dłonie i całowała ze szczerą namiętnością.

Ta prawda uderzyła ją jak grom: zakochała się.

Eugenia nigdy w życiu nie zemdląca. Nawet kiedy Andrew nie wynurzył się z wody, nawet kiedy wyłowili jego ciało, nawet kiedy trumnę opuszczano do grobu.

Nie... zawrót głowy, poczucie nieważkości w głowie, czarne plamy przed oczami zachowała na później – na chwilę, gdy w tafli wody ujrzęła twarz kochanka, który się do niej uśmiechał.

Oprzytomniała, czując zimną wodę na twarzy.

- Eugenio – powtarzał Ward cicho, z naciskiem.
- Co się stało? – szepnęła, ocierając policzki.
- Zemdląłeś – powiedział, nie wypuszczając jej z ramion. Patrzyłaś na nas, a potem w jednej chwili upadłaś na ziemię.
- Myślałam, że umarłaś – dodała Lizzie. – Więc zaczęłam krzyczeć.
- Ja nie krzychałem – pochwalił się Otis z godnością. – Wiedziałem, że żyjesz, bo nie wyglądałaś jak martwa.
- Ward spojrział na brata, rejestrując, że Otis wiedział, jak wyglądają zwłoki.
- Chyba wystarczy jak na pierwszą lekcję. Wracajmy do domu na herbatę. – Pomógł wstać Eugenie, która siedziała na kamieniu.
- Jarvis za mną tęskni! – wykrzyknął Otis i pobiegł w stronę domu.
- Nawet nie zauważył, że cię nie ma – odparła Lizzie, ale ruszyła w ślad za nim.

Eugenia czuła, jak drżą jej kolana, gdy próbowała zrozumieć, co się stało. Ona zemdlą? Przecież to niemożliwe. Nigdy w życiu...

Ale przecież wiedziała, co się stało. Przeżyła szok, bo zrozumiała, że zakochała się drugi raz w życiu. Zemdlą jak w kiepskim melodramacie, którego heroina pada w ramiona swego wybranka.

Serce biło jej teraz spokojnie, jakby nic się nie zdarzyło, ale cały świat stał się jasny i wyraźny.

Czuła, jak od Warda bije zapach wody z jeziora. Czuła też jego zapach. Kochała tego mężczyznę. Choć pachniał mułem, mężczyzną, świeżą trawą z lekką nutą śniętychryb.

Tylko nie wolno jej tego powiedzieć na głos, szczególnie gdy Lizzie jest w zasięgu słuchu.

Zanim dotarli do domu, ta świadomość przeniknęła ją do szpiku kości.

Zakochała się.

Zakochała się w bękarcie earla, który był wynalazcą. Zakochała się w mężczyźnie, który zaadoptował swoje urocze osierocone rodzeństwo i oswojonego szczura do kompletu.

Zakochała się w mężczyźnie, który sam zbił majątek, zrezygnował z prestiżowego stanowiska na uniwersytecie dla dwójki sierot i był boskim

kochankiem.

– Kręci ci się jeszcze w głowie? – spytał boski kochanek. Wziął płaszcz od lokaja i okrył nim jej ramiona, ignorując wodę kapiącą na marmurową posadzkę.

Był wyraźnie zirytowany. Wiedziała z doświadczenia, że właśnie tak zachowują się mężczyźni, kiedy ukochane przez nich osoby chorują.

Ta myśl przemknęła przez jej umysł bez ostrzeżenia, ale była prawdziwa. Ward także się w niej zakochał, choć pewnie będzie potrzebował więcej czasu, żeby sobie uświadomić, ile szczęścia mają oboje.

Przecież żyli.

Ward ujął jej twarz w dłonie.

– Nie miałem pojęcia, że woda przeraża cię tak bardzo, że mdlejesz. Wybacz mi proszę, Eugenio.

Nie potrafiła powstrzymać serdecznego uśmiechu.

– Nauczę się pływać, Ward. Zdecydowałam się już.

– Ale zemdlałaś, zanim jeszcze doszłaś do wody!

– Jutro znowu spróbuję. To tylko nerwy, bo od chwili wypadku nie byłam nad wodą. Pewnie powinnam odpocząć. – Spojrzała na niego spod rzęs. – Byłoby miło, gdyby ktoś odprowadził mnie do sypialni.

Napięcie malujące się wokół jego ust zelzało.

– Rozumiem.

– Muszę się wykapać, bo ktoś oblał mnie wodą z jeziora – dodała. Pochyliła się bliżej, choć nie było takiej potrzeby, bo lokaj pobiegł po szmaty, by wytrzeć mokłą podłogę.

– Ktoś powinien umyć mi plecy. Najlepiej ktoś, kto i tak jest już mokry.

Ward podał jej ramię.

– Jak zawsze jestem posłusznym sługą, pani Snowe.

Piątek, 29 maja 1801

Następnego ranka Eugenia obudziła się pełna sprzecznych uczuć: leniwego, zmysłowego szczęścia płynącego z bliskości mężczyzny, który spał obok niej, oraz lodowatego przerażenia, jakie budziła w niej nieunikniona lekcja pływania.

Cicho wstała z łóżka. Wejdzie do tego jeziora, bo postanowiła nigdy więcej nie narażać czyjegoś życia, by ratować własne. Od chwili tamtego wypadku unikała wody – tak samo jak unikała towarzystwa. To było niepokojące.

Nie była przecież tchórzem.

Pogoda była cudowna. Stojąc w oknie, usłyszała odległy turkot i urwany fragment jakiejś piosenki: znak, że nowe służące w kuchni wzięły się już do pracy. Zadbany trawnik przed domem opadał ku brzegowi jeziora, które wyglądało podejrzanie łagodnie w świetle poranka.

Gdyby wymknęła się bocznymi drzwiami, nikt by jej nie zauważył: kuchnia i warzywnik były po drugiej stronie domu. Mogłaby przekraść się nad wodę, wejść po kolana, a potem wrócić do domu, tak by nikt jej nie widział.

Wczorajszy strój był skromny, ze względu na dzieci, ale tym razem mogła pójść tylko w koszulce, bo przecież była sama. Szybko podjęła decyzję, złapała szlafrok i wyszła po cichu.

Kiedy dotarła na kamienisty brzeg, zrzuciła kaptcie, pochyliła się i zaczęła przyglądać się stynkom śmigającym między wodorostami na skraju wody. Jej odbicie drgało na drobnych falach, ale czuła, że palce drżą jej naprawdę.

Przecież to było śmieszne! Skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Założyła agencję, która odniosła sukces. Nie była przecież tchórzem.

Nie bała się nieżywych stworzeń, ryb i tym podobnych, które mogły się kryć pod gładką taflą wody. Przerazało ją wspomnienie wody zamykającej się nad jej twarzą, strach że oto znalazła się w płynnym grobie.

Dość tego!

Złożyła szlafrok, położyła go na kapciach i postąpiła pół kroku naprzód. Palce dotknęły najpierw suchych, nagranych od słońca kamyków, a potem tych, które już były pod wodą. Niemal zapomniała o oddychaniu, tak bardzo musiała się powstrzymać przed ucieczką na suchy ląd.

Dzięki Bogu była sama, bo zaczęła się bać, że zwymiotuje.

Ward, Lizzie i Otis czuli się w wodzie jak w domu. Szczególnie Otis, który stwierdził, że chce pływać codziennie. Jeśli ona się zgodzi...

Przełknęła ślinę.

Czy chciała być matką dla Otisa? I dla Lizzie?

Kościste kolanka, szczerą buzią, w której widać było tylko oczy i podbródek. Oswojony szczur imieniem Jarvis... zupełnie jak kosmata, wąsata wersja tego dzieciaka. Niepokonana odwaga Lizzie i jej pełna dramatyzmu duszyczka. Czarny welon, który teraz nosiła upięty z tyłu, zamiast osłaniać się nim od świata.

Eugenia знаła odpowiedź. Naprawdę chciała być matką dla tych dzieci.

Z całego serca.

Nabrawszy odwagi, zrobiła kolejny krok, zanurzając palce stóp, i zamarła. Woda była strasznie zimna i lekko pachniała śniętymi rybami, pomimo wszelkich obietnic Warda.

Stała jak skamieniała, chyba przez cały wiek, przeklinając swoje tchórzostwo, które nie pozwalało jej wejść głębiej.

Już miała się przyznać do klęski, gdy zaskoczyły ją mocne ramiona, obejmujące ją od tyłu.

– Ward! – pisnęła.

– Dzień dobry, aniołku – mruknął głosem stłumionym przez jej włosy.

– Przestań się wygłupiać – powiedziała. – Nie znoszę tego przezwiska.

Pewnie pomyślał, że jest kompletną fujarą, widząc ją na tej płyciźnie.

Ward obszedł ją i stanął z przodu. Woda pluskała wokół jego kostek. Miał na

sobie spodnie i luźną koszulę, ale był bosy.

– A jeśli ktoś nas zobaczy?

Pochylił się i pocałował ją, rozpalony i namiętny, jakby tej nocy nie budził jej dwukrotnie.

Umysł Eugenii przestał zajmować się jeziorem i przeniósł się w to szczególnie miejsce, gdzie był, kiedy dzieliła się z Wardem oddechem i czuła otaczające ją mocne ramiona.

– Jasna cholera – jęknął w chwilę później. – Przy tobie kompletnie nie mogę się opanować. Wariuję z pożądania.

– Możemy wrócić do sypialni – zaproponowała. – Tam jest ciepło i sucho.

– Chcę się z tobą całować.

Zrobił krok wstecz, ale nie pociągnął jej za sobą, tylko uściśnął jej dłonie, jakby chciał powiedzieć: *jesteś bezpieczna*.

Spojrzała na ich stopy. Choć odsunął się zaledwie na odległość ramienia, jego kostki były całe w wodzie.

– Próbujesz mnie przekupić?

– Przecież i tak cię pocałuję – zapewnił ją.

Ale mruknął cicho z zadowoleniem, kiedy mimo wahania zrobiła krok w jego stronę.

Przycisnął ją do siebie, kładąc jej ręce na pośladkach. Wzmocnił uchwyt. A potem zrobił kolejny krok, zabierając ją ze sobą. Zacisnęła dłonie na jego ramionach.

– Jak tam? – mruknął.

Woda sięgała jej teraz do łydek, ale czuła się tak rozpalona, że z przyjemnością powitała jej chłodną pieśczętę.

– Jesteś pewny, że nikt nas nie widzi? – Westchnęła urywanie, bo jego ręka zakradła się na jej pierś.

– Oczywiście – obiecał chropawym głosem, a potem pochylił się nad tą pierś.

– Stoisz tyłem do domu. Zamknij oczy.

Koszulka nie stanowiła żadnej przeszkody dla jego ust. Pod Eugenią ugięły się kolana, ale Ward ją przytrzymał.

Nawet nie zauważyła, że wprowadził ją głębiej do wody, aż po uda. Błyskawicznie otworzyła oczy.

– Ty mnie uwodzisz, w dosłownym sensie! – wykrzyknęła, wyrwała mu się i stanęła na własnych nogach.

Odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Przez moment zachwycała się pięknem jego twarzy i wygiętej szyi. Cieniem powiek na policzku, słońcem, które wyłączało mu włosy.

Znowu wziął ją w objęcia i unióśł do góry. Otoczyła jego biodra udami jak wtedy, gdy leżała pod nim w łóżku. Koszulka wydeła się od wody i unosiła się tuż pod powierzchnią.

Zrobił kolejny krok w tył, aż jej siedzenie znalazło się niebezpiecznie blisko wody. Objęła go za szyję.

– Chyba nie przypuszczasz, że moglibyśmy tu... no...

– Owszem, moglibyśmy – odparł ze śmiechem w głosie. – Ale może nie podczas twojej pierwszej próby pływania?

– Chyba sobie żartujesz! – wykrzyknęła i przez to nie zauważyła, że zrobił kolejny krok, a woda sięgnęła jej do talii.

– Zimna! – pisnęła, przyciskając się do niego.

– Zaraz się rozgrzejesz – zapewnił, skubiąc jej ucho.

Wzięła rozdygotany oddech.

– Dobrze, wejdz jeszcze głębiej.

Uśmiechnął się psotnie.

– Szkoda, że w łóżku mi tego nie mówisz.

Uszczypnęła go w odpowiedzi i poleciała:

– Głębiej, i to szybko, zanim zmienię zdanie.

Kiedy woda sięgała jej do ramion, zrobiła dwa odkrycia: Po pierwsze, pod wodą jej piersi wyglądały świetnie, jak u syreny. Po drugie, w zimnej wodzie da się wytrzymać, jeśli się jest blisko ciepłego męskiego ciała.

– Tylko nie chcę zanurzać głowy – poprosiła. Wprawdzie czuła się z nim bezpiecznie, ale wiedziała, że tej granicy nie przekroczy.

– Na dziś wystarczy – uspokoił ją. – Teraz wyprostuj nogi, a ja wsunę pod nie rękę.

Udało jej się to zrobić. Ufała Wardowi każdą cząstką swego ciała. Wiedziała, że nie pozwoli, by utonęła.

– Zmieniasz całe moje życie – szepnęła, podnosząc na niego wzrok, gdy zaczęła się unosić na wodzie. Naprawdę się unosiła! On tylko podtrzymywał jej plecy.

– Robię z ciebie pływaczkę – oznajmił. Wziął ją w ramiona i przytulił. – Starczy na dzisiaj.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Pływałam! – Otworzył dla niej drzwi... drzwi, których istnienia w ogóle nie podejrzewała.

– To prawda – rzucił i pocałował ją w nos. – Ani się obejrzymy, a pokonasz kanał La Manche.

– Ktoś to zrobił?

– Nawet jeśli, to nic o tym nie wiem – odpowiedział wesoło. – Ale ty zawsze zapuszczasz się tam, gdzie inni nie mają odwagi, Eugenio.

– Podoba mi się to unoszenie na wodzie – stwierdziła, opierając podbródek o jego pierś.

Ward bez wysiłku wyniósł ją z wody na kamienie.

– Uważam, że powinniśmy z tego zrobić codzienny rytuał. – W jego głosie brzmiała mroczna namiętność.

Powiodła za jego wzrokiem, w dół. Jej mokra koszulka przywierała do ciała. Była tak cienka, że widać było przez nią nawet kępkę włosów na jej łonie.

– Poranny rytuał – poprawił się. Wyraźnie planował ich wspólne życie. Połączyło ich nowe uczucie: czułość zrodzona z namiętności.

Eugenię przeniknęło szczęście, które ogrzało nawet zmarznięte palce u nóg.

– Łączy nas coś więcej niż pożądanie – powiedziała. Nie mogła wykrzyknąć, że go kocha i wie, że z wzajemnością. Choć to była prawda.

Damy się tak nie zachowywały. To było nie do pomyślenia, nawet w romantycznym związku.

Ward nic nie odpowiedział. Zanim zdążyła przemyśleć, co godzi się prawdziwym damom, a co nie, byli już w domu, na górze.

W sypialni postawił ją na ziemi. Mimo wszystko postanowiła wyjaśnić jedną

rzecz, zanim zadzwoni po pokojówkę.

– Ward, wiesz, że jestem damą, prawda?

Ward wpatrywał się w nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

O co jej właściwie chodziło? Bez oporów opowiadała mu o prostytutkach, które знаła w dzieciństwie, o tym, że ciotka założyła i prowadzi Dom Magdalenek, o tym, że wuj należy do londyńskiej policji...

Z drugiej strony, mieszkała w eleganckim domu, w najlepszej dzielnicy miasta.

Co czyni kobietę damą? Sam przecież był z nieprawego łoża, ale nigdy nie uważał, że to go określa albo ogranicza. Wystarczało, że urodził się w arystokratycznej rodzinie.

Jeśli sam siebie w ten sposób nie określał, nie wolno mu też postrzegać Eugeniei przez pryzmat jej urodzenia. Zresztą własnej matki też nie, bo pomimo pochodzenia i przywilejów lady Lisette nie była damą.

Na to pytanie była więc tylko jedna odpowiedź:

– Oczywiście. Widzę przed sobą bardzo zmarzniętą, dygocącą damę. – Pociągnął taśmę dzwonka, by przywołać pokojówkę i dodał: – Która teraz weźmie ciepłą kąpiel, a potem napije się szampana.

Na jej ustach zaigrał uśmiech.

– Przecież nie codziennie przełamuje się najgorsze lęki swego życia. – Musnął jej wargi w pocałunku. – Jesteś niezwykłą kobietą, Eugenio.

Po wyjściu z jej pokoju potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, dlaczego ma poczucie, jakby wokół niego zamykały się ściany. Zanim spytała go o swój status jako damy, powiedziała: „Łączy nas coś więcej niż pożądanie”. Niepokój ścisnął go w dołku.

Wiedział, że nie ma żadnego „my”.

Była cudownym objawieniem i czystą rozkoszą. Zachowywała się jak dama, ale nią nie była – przecież poniżały ją takie kobiety jak jego babka i lady Hyacinth.

Trzeba stworzyć między nimi dystans. Nie może przecież zranić jej serca. Straciła już w życiu jednego mężczyznę.

Zresztą pewnie wszystko to sobie wyobraził. Eugenia Snowe była obdarzona

niezwykłą dozą zdrowego rozsądku. Cieszyli się sobą nawzajem ze swobodną radością, która jest naturalna u ludzi pozbawionych przez dłuższy czas łóżkowych igraszek.

Zawsze będzie ich łączyć ta czułość.

I tyle na ten temat, stwierdził, ściągając spodnie.

Oswobodzony z mokrej odzieży penis stuknął go w brzuch. Jego ciało miało w głębokim poważaniu plany, jakie snuł na przyszłość.

Pragnęło jej, chciało być z nią, chciało ją mieć.

Na zawsze.

Niech to szlag trafi.

Piątek, 5 czerwca 1801

Eugenia spędziła poranek w kuchni – pracowała z monsieur Marcelem nad cytrynowym biszkoptem – a po południu razem z Wardem uczyli Lizzie i Otisa sekretów gry w krykieta. Żadne z dzieci nie miało pojęcia o zasadach szlachetnej sportowej rywalizacji. Oboje uważali, że oszukiwanie to najprostsza droga do wygranej.

– Dziś w nocy nie będą biegać po domu – stwierdził Ward. – Lizzie zasnęła w bibliotece i zaniósłem ją do łóżka.

Eugenia nagle zobaczyła w wyobraźni Warda niosącego w ramionach śpiącą dziewczynkę. Tylko że w jej wyobraźni dziewczynka miała rude kędziory.

Na litość boską! Pośpiesznie pociągnęła łyk wina. Gumwater krążył wokół stołu z głęboką, choć milczącą niechęcią.

– Twój lokaj mnie nie znosi – zauważyła, gdy wyszedł. – Muszę przyznać, że nie zrobił nic, żebym go polubiła.

– Moja macocha też go nie znosiła – przyznał Ward. – Ale dobrze radzi sobie w pracy.

– Jakoś z nim wytrzymam przez ten tydzień – odpowiedziała, mając cichą nadzieję, że Ward zaprosi ją, by została dłużej niż te dwa tygodnie, które wcześniej ustalili.

Jeszcze jeden tydzień.

Albo na zawsze.

– Cieszę się – odparł spokojnie.

Eugenia z całych sił starała się nie wyrzucić z siebie wyznania miłości, której

być może nie odwzajemniał. Miała wrażenie, że jej skóra zaraz pęknie, jakby ona sama była dojrzałym winogronem, słodkim i pełnym soku. Miłość i pożądanie stały się dla niej jednym.

Poprawiła się na krześle. Ward zmrużył oczy, ale w tym momencie Gumwater znowu otworzył drzwi i wniósł kolejne naczynie z przykrywką. Przez cały posiłek wchodził i wychodził, komentował pochodzenie wina, smak zielonej fasolki, szokujące ceny ananasów.

Ward chyba tego nie zauważał. I chyba wcale nie chciał być z nią sam na sam, bez towarzystwa swojego lokaja. Prowadził z nim na boku rozmowę, a ona zachowywała się jak dama. Nawet nie drgnęła na krześle, choć tak pragnęła Warda, że nie była w stanie myśleć.

Ani składać sensownych zdań.

Czuła się, jakby ją torturował, upierał się przy tak wielu daniach, obierał pomarańcze tak metodycznie, że skórka spadała spiralą na stół. Patrzyła na jego ręce i przywoływała ich dotyk na swojej skórze.

Własny oddech parzył ją w pierś, ale Ward spokojnie rozmawiał z Gumwaterem o sherry.

– A co pani o tym sądzi, pani Snowe?

Dopiero po chwili zorientowała się, że Ward zwraca się do niej. Przyzwyczaiła się, że mówił po prostu „Eugenio”, choć starał się nigdy nie robić tego przy dzieciach ani przy służbie. Skupiła się na tym, co powiedział, i udało jej się udzielić odpowiedzi.

– Nuta orzecha włoskiego jest cudowna.

Jakimś sposobem wypowiedziała ostatnie słowo o oktawę niżej i Ward znieruchomiał.

– Monsieur Marcel zrobił deser z brzoskwiniovym *crème anglaise* według pani przepisu, pani Snowe – oświadczył Gumwater, unosząc brwi, jakby spostrzegł szczura.

Nie Jarvisa, ale szkodnika.

– Przynieść?

– Tak, poproszę – odparł Ward, unikając wzroku Eugeniei.

– Chyba jesteś zmęczony, Gumwater – wtrąciła Eugenia, biorąc sprawy we

własne ręce. – Panie Reeve, czy pański lokaj mógłby się udać na spoczynek, gdy przyniesie ostatnie danie? Jeden ze służących może później sprzątnąć ze stołu.

Gumwater odchrząknął, wydając oddech jak konająca ropucha, więc Eugenia bez słowa ostrzegła go, żeby się nie odzywał, posyłając mu uśmiech, który odsłaniał wszystkie zęby. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi nieco mocniej, niż potrzeba.

– Nie chciałbym, żebyś kiedyś zwróciła się przeciwko mnie – skomentował Ward z szacunkiem. – Biedny stary Gumwater poszedł jak zmyty.

W kilka minut później lokaj wsunął się przez drzwi bez słowa, niosąc wielką kryształową misę, którą z hałasem postawił na środku stołu.

– Pani deser, milady – oświadczył, nawet nie próbując ukryć irytacji.

– Dlaczego tolerujesz taki brak szacunku? – spytała, gdy tylko wyszedł.

Ward wzruszył ramionami.

– Dziecko z nieprawego łóża szybko uczy się nie zwracać uwagi na opinię służby.

– Tolerujesz niesubordynację Gumwatera, bo w dzieciństwie służba źle cię traktowała? – Eugenia z trudem w to wierzyła. – Ojciec powinien wyrzucić z pracy każdego, kto tak się zachowywał!

– Kiedy urosłem na tyle, by zrozumieć ich zachowanie, dojrzałem wystarczająco, by uznać, że takie bzdury nie mają znaczenia. W Eton stoczyłem parę potyczek, ale kiedy chłopaki się zorientowali, że nie dbam o to, co myślą o moim pochodzeniu, dali mi spokój.

Ward rozsiadł się w krześle, zupełnie jak nie dżentelmen. Jego włosy nie były ani utrefione, ani upudrowane. Nie schował ich też pod staromodną peruką. Były gęste, falujące i tak miękkie, że Eugenia zacisnęła dłonie, pamiętając, że jeszcze niedawno chwyciła je kurczowo palcami.

– Eugenio – odezwał się do niej cicho. – Nie patrz tak na mnie. Nie tutaj.

– Ale wyglądasz tak kusząco – powiedziała rozsądnie.

Pochylił się ku niej, więc głodnym wzrokiem przesunęła po jego szerokich ramionach, mocnej szyi i zdobiącym ją fularze.

Pożądanie rozdzierało ją od wewnątrz jak dzikie zwierzę. Oddychała urywanie, a wargi jej poczerwieniły z gorąca. Zacisnęła nogi, by się opanować.

– Pozwól, że nałożę ci trochę deseru – zaproponował Ward.

Wstał, a jej zaschło w ustach. Te jedwabne pantalone nie ukrywały niczego... a do ukrycia było sporo. Ward zanurzył łyżkę w bitą śmietanę, biszkopt i brzoskwinie i nałożył im po porcji.

Damy nigdy nie oblizywały łyżeczki. Nie przymykały oczu i nie traciły zmysłów z zachwyty.

Eugenia zrobiła jedno i drugie.

– Jakie to dobre – jęknęła i otworzyła oczy.

Ward wpatrywał się w nią mrocznym wzrokiem, zaciskając dłonie na krawędzi stołu.

– Jezu – warknął mrocznie. – Spróbuj jeszcze, Eugenio.

Znowu uniosła łyżeczkę do ust i zamknęła oczy. Czuła autentyczną rozkosz. Jedwabisty, chłodny krem zaprawiany armagnakiem przeniósł ją w inny świat... podobnie jak nuta anyżku, która była jej pomysłem.

Usłyszała odgłos odsuwanej krzesła i kroki. Ale nie otworzyła oczu, nawet kiedy wyjął łyżeczkę z jej ręki, a potem chłodne srebro dotknęło jej ust, by wzięła kolejną łyżeczkę przysmaku.

– Grzeczna dziewczynka – zachrypiał Ward.

Poczuła jego dłonie na ramionach, palce na rękach. Przełknęła ślinę i odetchnęła urywanie.

– Można by położyć cię na stole, posmarować tym deserem – nawet tam, gdzie jesteś tak ślicznie różowa... a szczególnie tam – a potem zlizać tę przepyszną śmietankę – mruknął.

Pieścił dłońmi jej pierś.

Siedziała jak skamieniała, niezdolna, by się ruszyć. Ledwie mogła oddychać.

– Ale nie tego chcesz, prawda? – zapytał.

Pokręciła głową, zaciskając powieki.

– Wiem, czego chcesz – zamruczał. – Dobrze wiem.

Westchnęła urywanie, ale nic nie powiedziała, bo właśnie postawił ją na nogi i uniósł suknię, nie dbając o to, że są w jadalni. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby udawać, że to wszystko przydarza się komuś innemu.

To inna dama drżała, bezwolna w uchwycie dużych męskich dłoni, które

rozniecały ogień w jej ciele... nie, ogień już tam płonął.

Ward odwrócił ją tyłem.

– Pochyl się, Eugenio – polecił. Usłuchałaby nawet sugestii, myśli, gestu, wszystkiego. Dygocąc, oparła się o stół.

Przesunął dłońmi po jej nogach, aż do pośladków.

– Chcesz mnie? – Duże ciepłe ciało przygniotło ją od tyłu. Jedna jego część, gorąca i jedwabista, pulsowała tuż przy jej pośladkach.

– Tak – szepnęła, dysząc.

Naturalnie w jadalni nie było kondomów, więc tym razem nic ich nie dzieliło. Każdy centymetr pulsował, gdy wsuwał się do środka. Razem wydali cichy okrzyk, a wstrząs przeniknął Eugenię aż po czubki palców.

Zacisnęła dłonie na serwecie i usłyszała stłumiony brzęk przewracanego szkła. Ward wycofał się i pchnął znowu.

– Z nikim się tak nie czułem. – Chyba mówił przez zęby, bo ostatnie słowo zmieniło się w jęk, kiedy wbił się w nią głęboko.

– Jeszcze – błagała dziko. A może to była modlitwa? Czuła się bezwstydną, w szponach przemożnego głodu. Od lat nie zwracała uwagi na swoje ciało, poza chwilami, gdy czuła się głodna lub zmęczona. Teraz wszystko się zmieniło.

Chwycił dłońmi jej biodra tak mocno, że pewnie je posiniaczył.

– Chcesz, żebym cię wziął, Eugenio?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Słowa nie chciały wychodzić z jej ust... Ale zrozumiał i zaczął napierać na nią coraz mocniej. Kiedyś w dzieciństwie była na dzwonnicy katedry Świętego Pawła, kiedy dzwoniły wszystkie dzwony. Ich głęboki ton wibrował w całym jej ciele, odbierając słuch na długą chwilę.

Teraz czuła się podobnie. Biały żar przenikał całe jej ciało, z rykiem dążąc ku palcom rąk i nóg.

Kiedy przestała dygotać, uświadomiła sobie, że leży bezwolnie na stole, a spocone ciało Warda obejmuje ją od góry, jakby ją ochraniał. Oboje dyszeli spazmatycznie. Drżenie spowodowane niesłychaną rozkoszą, tym oszałamiającym hukiem, wciąż pulsowało w jej nogach.

– Nigdy w życiu nie przeżyłem czegoś takiego – powiedział Ward szorstko.

Eugenia też nigdy nie doświadczyła tak prymitywnych, zwierzęcych i

przyjemnych doznań. Stała się inną kobietą.

Kobietą, która wstaje, opuszcza suknię, bez słowa ujmuje kochanka za rękę i prowadzi go ku drzwiom.

A potem na górę.

34

Środa, 10 czerwca 1801

Pływali całą czwórką co rano. Eugenia nauczyła się unosić na wodzie bez pomocy, choć wciąż bała się zanurzyć z głową. Często grali w krokieta i w końcu Otis z Lizzie udoskonalił swe oszustwa do tego stopnia, że przeciwnicy od razu schodzili z pola.

W nocy – każdej nocy – Ward kochał się z nią umiejętnie, namiętnie i wytrwale jak jakiś prymitywny bożek, którego z pewnością nie czczono w miejscowej parafii. Z pewnością nieznany pastorowi Howsonowi.

Po wyjeździe Howsona parafia stała pustką przez jakiś tydzień, a potem wprowadził się do niej młody człowiek o blond włosach i niebieskich oczach. Stały się one głównym tematem rozmów na wsi.

W końcu nadszedł list od Susan. Nowa guwernantka miała przyjechać w środę. Z błogosławieństwem Eugenie Ruby, oczarowana Lizzie i Otisem, postanowiła zostać jako ich pokojówka.

– Te dzieci są inne niż wszystkie – powiedziała do Eugenie.

– Wiem – odparła jej pani. – Och, wiem.

Dwa tygodnie minęły niby gorączkowy sen.

Któregoś wieczoru Gumwater nakrył stół jak do królewskiego bankietu i Eugenia nauczyła dzieci, jak się zachować na takiej kolacji. Wymyślała różne trudne sytuacje i pytała je, jak należy się w nich zachować.

– Co zrobicie, jeśli gospodyni rozleje wodę na obrus? Co zrobić, jeśli osoba po prawej upije się i zacznie śpiewać?

Tylko dlatego, że Ward był milczącym obserwatorem tej lekcji, uświadomiła

sobie, jak wiele zasad dobrego wychowania nakazuje ignorować prawdę lub ewidentne prostactwo – na przykład każe odwrócić wzrok, jeśli któryś z gości sika pod ścianą, robi komuś wyrzuty albo po prostu obgaduje sąsiada.

Ward wymieniał z prawnikami listy, przygotowując się do żywiołowej bitwy o opiekę nad Otisem. Od czasu do czasu o tym wspominał, ale nie zagłębiał się w szczegóły. Nie było po temu powodu.

Eugenia nie wiedziała, dlaczego ani w jaki sposób, ale jej cudowna pewność, że się w niej zakochał, jakoś się rozwiła.

Owszem, ona była zakochana. A Ward? Chyba już nie.

Pewnej nocy wspomniawszy przelotnie o jej powrocie do Londynu, jakby to było dla niego bez znaczenia. Poprzedniego dnia słyszała, jak mówił Otisowi, że jesienią odwiozą go z Lizzie do Eton.

Nie powiedział nic o niej. Nawet na nią nie spojrzął. Nie dał milcząco do zrozumienia, że jesienią ich romans mógłby zostać usankcjonowany.

Za każdym razem, gdy czuła palący ból w piersi, szukała ukojenia w kuchni. Razem monsieur Marcellem doprowadzili jej biszkopt do perfekcji. Sprawilo jej to ogromną satysfakcję, a poza tym okazało się, że kolejnym wyzwaniem w jej życiu będzie otwarcie herbaciarni.

Niezwykłej herbaciarni, w której dzieci będą mile widziane, a porcje deserów będą malutkie, żeby maluch taki jak Otis mógł zjeść pięć albo sześć różnych smakołyków. Albo nawet dwanaście.

Kiedy Ward opowiedział jej, jaki głodny bywał nieraz w Eton, postanowiła oferować specjalne kosze i wysyłać je bezpośrednio do internatów. Zawierałyby słodczyki i wypieki, ale przede wszystkim pożywne zapiekanki.

Przesiadwała w kuchni godzinami, próbując przepis za przepisem z pomocą monsieur Marcela. Lizzie często przyłączała się do niej popołudniami, podkradając rodzynki i oceniając nowe dania. Wieczorami Eugenia spisywała przepisy i wyobrażała sobie nowe kombinacje smaków.

– Może jutro nie powinnaś schodzić do kuchni – poprosił ją Ward pewnego popołudnia, gdy Gumwater przyniósł tacę z pięcioma różnymi wypiekami.

– Masz rację – odparła smętnie. – Ale wiesz, jak to jest – jedno ciasto prowadzi do następnego. Mam nowy pomysł, albo Monsieur Marcel na coś

wpadnie, potem dopasujemy ilość masła i innych składników i zanim się zorientuję, mamy już cztery różne wersje.

– Do diabła, co w tym jest przyjemnego? – zdziwił się. – Brzmi jak męcząca praca w strasznym gorącu.

– Pieczenie jest jak arytmetyka – wyjaśniła. – Lubię kombinacje liczbowe, a to zajęcie wymaga precyzji. W każdym razie nic się nie zmarnuje. Jeśli jutro zrobimy piknik, Otis zje wszystko, do ostatniej okruszyny.

Zrobili piknik, rozkładając płócienną serwetę pod wierzbą, w pobliżu wody. Po posiłku rozłożyli się na trawie, czytając książki, aż Lizzie zasnęła, z głową na zwiniętym welonie zamiast poduszki. Otis plótł z gałęzi szalasa dla Jarvisa.

Eugenia sennie obserwowała chmury wędrujące po niebie spod ronda kapelusza, kiedy długie źdźbło trawy połaskotało ją w nos.

– Witam, pani Snowe – szepnął Ward. Przy dzieciach traktowali się bardzo oficjalnie, nawet podczas pływania.

– Panie Reeve – rzekła cicho.

– Jesteś obłędnie piękna. – Żdźbło przesunęło się w tę i z powrotem po jej dolnej wardze.

– Dziękuję – odpowiedziała, ogarnięta nagłą nieśmiałością. Rzadko spędzali razem czas w środku dnia. Ward zwykle przesiadywał w bibliotece, pracując nad silnikiem parowym, a ona uczyła Lizzie i Otisa albo kręciła się po kuchni.

– Żałuję, że nie spędzamy więcej czasu ze sobą – oznajmił miękko.

Eugenia nie odważyła się odpowiedzieć. Obawiała się, że jej uczucie wyszłoby wtedy na jaw.

– Wczoraj dostałem list od księżnej.

Strach zacisnął jej wnętrzności.

– Píše, że chce nas odwiedzić – dodał Ward, a jego oczy pociemniały z żalu.

– Pewnie będzie węszyć, żeby znaleźć jakieś argumenty na poparcie swojej sprawy.

Eugenia rozejrzała się spokojnie, by upewnić się, czy żadne z dzieci nie podsłuchuje.

– Na kiedy się zapowiedziała?

– Na wtorek.

– Za trzy dni. – Eugenia była zdumiona, z jakim spokojem to powiedziała.

– Dzieci będą za tobą tęsknić – zaczął. – Ja będę tęsknił. Do diabła, ja...

Zamilkł. Słyszała bicie własnego serca, pewna, że coś zaraz doda, poprosi ją, by została, albo powie, że później zacznie formalne zaloty. Kiedy w nocy nie mogła zasnąć, przychodziły jej do głowy setki możliwych rozwiązań.

– Jutro we wsi jest jarmark – odezwał się niespodziewanie.

To nie miało nic do rzeczy.

– Moglibyśmy zabrać tam dzieci.

– Oczywiście – odpowiedziała. Serce biło jej jak młotem, bo wiedziała, że Ward nic więcej nie powie. Nie poprosi ją, żeby została, ani nawet nie obieca, że zacznie formalne zaloty, gdy uzyska oficjalną opiekę nad dziećmi.

Chciał się z nią rozstać.

Dzięki długim latom samokontroli odparła spokojnie:

– Uwielbiam wiejskie jarmarki.

W jego oczach coś zalśniło i nagle zorientowała się, o co mu chodzi: chciałby, żeby wyjechała zaraz po jarmarku.

Nieznośną cieszę przerwał przenikliwy wrzask:

– Jak śmiesz!

Twarz Warda zniknęła jej z widoku, więc usiadła, by sprawdzić, co się dzieje. Lizzie goniła Otisa po trawniku z książką w ręce.

– Co wy wyprawiacie?! – krzyknął Ward.

– Pozwolił, żeby Jarvis pogryzł mi książkę!

– Wcale nie – bronił się Otis.

Lizzie zatrzymała się i oparła ręce na biodrach. Wyglądała jak miniatura księżnej Gilner. Podobieństwo rodzinne było niezaprzeczalne.

– Wątpię, by inny szczur przywędrował tu tylko po to, żeby ją pogryźć!

– Zjedzmy kawałek ciasta – zaproponował Ward. – Oprawimy twoją książkę na nowo, Lizzie. Może nawet w specjalną okładkę z twoim imieniem.

Eugenia otarła niechcianą łzę i zaczęła wypakowywać z kosza wybór ciast Marcela. Otis rzucił się jak jastrząb na kawałek piernika, ale Lizzie tylko westchnęła.

– Mam już dość słodczy – oświadczyła ponuro.

– A czemuż to? – zapytał Ward, biorąc od Eugenie talerz z kawałkami czekoladowego ciasta i pomarańczowego biszkoptu (nie do końca udanego) i ze słodką bułeczką do kompletu.

– Patrzyłam, jak się piecze ten piernik – wyjaśniła Lizzie. – I nie chce mi się go już jeść.

– Na pewno jest przy nim mniej pracy niż przy biszkopcie – stwierdził Otis. – Myślałem, że monsieur Marcelowi odpadną ręce, jak ubijał te białka.

Podobnie jak Lizzie, Ward nie miał ochoty na ciasto. Szczerze mówiąc, dość miał też tych wszystkich deserów, choć nigdy by tego nie powiedział Eugenie.

Niedługo nie będzie miał komu o tym mówić.

Na tę myśl ogarnęła go fala emocji tak silnych, że o mało nie skoczył na równe nogi. Najchętniej złapałby ją na ręce, zaniósł do sypialni i kochałby się z nią tyle razy, że nigdy by...

Nie. Wyczuwał, że gdyby dał jej choć cień nadziei, czekałaby na niego, choćby do czasu, aż Otis dorośnie. To byłoby niemożliwe i nieuczciwe w stosunku do niej.

Zasługiwała, by mieć własne dzieci, a nie zostać kochanką mężczyzny, który nie może się ożenić, dopóki nie dorośnie jego młodsze rodzeństwo.

– Myślałem, że guwernantki z twojej agencji uczą dzieci piec biszkopt, a nie piernik – powiedział, próbując zapanować nad swoimi uczuciami.

– Nie tylko biszkopt – pochwaliła się Lizzie i zaczęła wyliczać na palcach: – Umiem już biszkopt, ciasto pomarańczowe, roladę z galaretką, bułeczki i cytrynową tartę.

Ward spochmurniał i spojrzał na Eugenię.

– Tłumaczyłaś mi wcześniej, że dzieci uczą się piec tylko jedno ciasto.

– Ja umiem tylko jedno – zapewnił go Otis z pełnymi ustami.

Eugenia spojrzała na niego, więc przełknął jedzenie.

– Przepraszam – wygłosił smętnie.

– Prawie codziennie jestem w kuchni – pochwaliła się Lizzie. – Poprosiłam panią Snowe, żeby nazwała swoją herbaciarnię U Lizzie, ale się nie zgodziła. Jak dorosnę, sama otworzę sklep i go tak nazwę.

– Jaką herbaciarnię? – zirytował się Ward.

– Zastanawiam się nad otwarciem herbaciarni – oznajmiła Eugenia. – Nie mówiłam panu o tym?

Nie, do jasnej cholery. Może jeszcze będzie sama podawać ludziom herbatę? I prowadzić lady Hyacinth do stolika?

Bardzo się starał, by mówić spokojnym głosem.

– Pani Snowe, może chciałaby się pani przejść nad jezioro?

– Jarvisa trzeba wsadzić do skrzynki, bo mu się chce spać – odezwał się Otis. Zjadł trzy kawałki ciasta i sam wyglądał na śpiącego.

– Jest wykończony, bo pożarł całą historię wojen punickich – stwierdziła kwaśno Lizzie.

– Dzieci, to może wróćcie do siebie? – spytała Eugenia, wstając. – Przekażcie po drodze panu Gumwaterowi, że piknik skończony, dobrze?

Jak wszystkie dobre guwernantki posiadała umiejętność formułowania poleceń, jakby to były pytania. Otis od razu skierował się w stronę domu.

– Otis – powstrzymała go.

Zatrzymał się.

– Ojej. – Wrócił i skłonił się w miarę prawidłowo. – Dziękuję za uroczy piknik, pani Snowe.

Skinęła głową.

– Cała przyjemność po mojej stronie, lordzie Darcy.

Lizzie złożyła elegancki ukłon.

– Przepelnia mnie słodki smutek rozstania po tym uroczym interludium.

– Przesadziłaś – osadziła ją Eugenia, ale jednocześnie uśmiechnęła się i pogładziła ją po włosach. Dziewczynka odbiegła w stronę domu.

Ward obserwował, jak uklękła i zaczęła zbierać naczynia, wkładając je z powrotem do koszyka. Żadna dama nie zniżyłaby się do takich przyziemnych czynności. To po prostu nie uchodziło.

– Przestań, proszę – rzucił ostrzej, niż zamierzał. – Od tego są służące i lokaj, a nie ty.

Wstała i spojrzała mu w oczy.

– Rozumiem, że twoim zdaniem Lizzie spędza za dużo czasu w kuchni?

– Powiedziałaś mi kiedyś, że dzieci pod opieką Agencji Snowe poza tymi

lekcjami nigdy więcej nie dotykają kuchennych utensyliów. Mimo to wyraźnie zachęciłaś Lizzie do otwarcia sklepu, jakby była dzieckiem piekarza i miała spędzić całe życie w kuchni. – Nie podniósł głosu, ale też nie próbował ukryć irytacji. – Wyjaśniałem ci, jak ważne jest, by wychować Lizzie na prawdziwą damę. Zaufałem ci, a ty zamiast tego nauczyłaś ją rzemiosła.

Nastąpił moment pełnej napięcia ciszy.

– Przepraszam – odparła w końcu. – Nie miałam zamiaru sprzeciwić się twoim intencjom. Zapewniam cię, że Lizzie jest damą i że nią pozostanie.

– Nie, jeśli będzie kląć w sali balowej i opowie wszystkim, że chce otworzyć piekarnię. Do cholery, Eugenio, uważam, że twoja agencja jest wspaniała. Jestem pewien, że twoja cukiernia przewyższy nawet Guntera, choć to najmodniejsze miejsce w całym Londynie. Ale Lizzie nie będzie prowadzić takiego życia jak ty, nie rozumiesz tego?

Eugenia rozumiała.

Ward nigdy nie wypowiadał swojej opinii o jej pracy, ale nie musiał, prawda? Po prostu jej potrzebował. Zawiodły go dwie guwernantki. Potrzebował kogoś, kto zająłby się Lizzie i Otisem.

Nie, to było niesprawiedliwe. Pełne gorczy i niezgodne z rzeczywistością.

Ward ją szanował. Po prostu nie zrozumiała, że jego zdaniem posiadanie agencji bardziej wpływało na jej status niż pochodzenie. Zgadzał się więc zasadniczo z księżną Gilmore, że Eugenia przestała być damą.

– Co będzie, jeśli Lizzie opowie babce o swoich planach? – zirytował się Ward, jakby czytał jej w myślach. – Członkowie Izby Lordów nie będą zachwyceni wiadomością, że moja utrzymanka zabierała moją siostrę do kuchni, żeby zrobić z niej *pâtissiere*!^[12]

Eugenia poczuła ostre ukłucie w okolicy serca.

– Nie jestem twoją utrzymanką – wykrztusiła.

– A więc kochanką, jeśli wolisz – poprawił.

Wyraźnie nie miało to dla niego znaczenia. Eugenia uważała inaczej. Kochankowie byli sobie równi i nikt nikomu nie płacił. Natomiast utrzymanka była zależna od swego patrona.

A ona nie zamierzała zostać niczyją utrzymanką.

– Możemy poprosić Lizzie o dyskrecję – odparła, zmuszając się, by mówić spokojnie. – Dodam jeszcze, że twojej siostrze wydaje się, że przebywanie w kuchni podczas pieczenia jest równoznaczne z wiedzą, jak to się robi. Zapewniam cię, że nie nauczyliśmy ją pieczenia.

– To rozróżnienie jest bez znaczenia – warknął. Przeczesał palcami włosy.

Boże, jaka ona była głupia. Myślała, że kiedy odda mu ciało, powie w ten sposób, że nie należy do nikogo innego, ale on wyraźnie widział ją w innym świetle.

Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. Nikt nie może jej zawstydzić, jeśli sama się na to nie zgodzi. Nauczyła się tej twardej lekcji, gdy jedna z kręgu bogatych wdów – takich jak księżna Gilner – próbowała ją poniżyć z powodu otwarcia agencji.

– Niepokój z powodu cudzego statusu nie przystoi damie. Nie zapominaj o tym, gdy będziesz uczył Lizzie, co jej wolno powiedzieć księżnej, a co nie.

Zagryzł zęby.

– Prawdziwa dama może upiec ciasto, jeśli ma takie życzenie. Między innymi dlatego guwernantki z Agencji Snowe uczą dzieci tej umiejętności. Dama może ułożyć rzeczy w piknikowym koszu, jeśli wie, że lokaj jest leniwy i zanim przyjdzie, na talerzach zaroi się od mrówek. Prawdziwa dama może robić praktycznie wszystko, co zechce, i nie ma to wpływu na jej status. No, może z wyjątkiem romansu z kompletnym idiotą!

Kolejna chwila ciszy, w której odzywało się tylko ćwierkanie wróbla.

– Rozumiem – rzucił Ward. – Ogólnie rzecz biorąc, masz rację, ale dla tych na marginesie socjety zasady są bardziej ścisłe. Sama o tym dobrze wiesz, Eugenio.

Zmrużyła oczy.

– Rozumiem, że według ciebie fakt założenia Agencji Snowe spycha mnie na margines.

– Nie – zaprzeczył z nieprzeniknioną twarzą. – Mówię tylko, że jeśli wszyscy dowiedzą się o tym, jak panna Lizzie Darcy w dzieciństwie podróżowała cygańskim wozem z lady Lisette, będą ją obserwować jak jastrzębie, szukając oznak, że nie pasuje do towarzystwa.

Eugenia z trudem hamowała wybuch. Ward był niezwykle opiekuńczy i walczył o tych, których kochał. Kompletnie się mylił w wielu sprawach, bo był bastardenem i od małego dokuczała mu służba, a potem chłopcy w Eton.

Tylko że on o to nie dbał, więc go to nie bolało.

Tak samo powinna postępować Lizzie. Jeśli podczas debiutu będzie emanować doskonałą pewnością siebie i opanowaniem, to ona będzie ustalać reguły i nie będzie musiała się do nich stosować. Ale jeśli okaże niepewność, zlecą się sępy, czekając, aż popełni błąd.

Poza tym jeśli ona, Eugenia, zaopiekuje się debutantką, wszystko pójdzie dobrze. Nawet jeśli nie będzie miała żadnych powiązań z Wardem.

Zrobił krok ku niej. Ujął ją za rękę i ucałował wewnątrz dłoni.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Cofnęła rękę.

– Owszem, chcesz i masz rację. Jeśli księżna dowie się o naszym romansie, wykorzysta go, żeby pozbawić cię opieki.

– Gumwater jest lojalny do szpiku kości. Nigdy nie powiedziała by o tym nikomu obcemu i doskonale panuje nad służbą.

Miejmy nadzieję, że tak było.

– Wyjadę jutro rano – stwierdziła.

Wyraźnie się skrzywił.

– Nie chcę, żeby to była nasza ostatnia noc.

– List księżnej dostałeś wczoraj, więc wiedziałeś o tym wcześniej – zauważyła Eugenia, wysoko unosząc głowę. – Będę się lepiej czuła, jeśli wyjadę od razu.

Napiął mięśnie szczęki.

– Właśnie ustaliliśmy, że zabierzemy dzieci na jarmark.

Zagryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Z jednej strony najchętniej by uciekła, ale druga, większa część jej natury nie mogła znieść myśli o rozstaniu. Nie tylko z Wardem, ale również z Lizzie i Otisem.

– W takim razie wyjadę pojutrze rano – odpowiedziała, starając się, by w jej głosie nie było słychać bólu.

Tego wieczoru zasnęła, czekając na ciche stuknięcie otwieranych drzwi,

szelest odsuwanej kołdry, dotyk szorstkich palców na policzku. Obudziła się zdyszana, dygocąca z pożądania.

– Mogę? – Jego głos w ciemności był miękki i czuły. Mogłaby z łatwością udać, że słyszy w nim miłość.

Zamiast odpowiedzi pocałowała go w usta. Wbiła palce w twarde jak skała pośladki, gdy ją przytrzymywał mocnymi dłońmi za biodra i napierał, doprowadzając ją do szczytu, pozwalając odpocząć, a potem znowu wprowadzając ją na ten szczyt. Raz za razem.

Doszedł ostatni raz z rozpaczliwym jękiem, wpatrując się w jej twarz w bladym świetle poranka.

Potem wstał i wyszedł bez słowa. Może nie miał co powiedzieć? Przecież jej uczucia już się nie liczyły.

Następnego dnia poszli w czwórkę pływać, jakby nic się nie zmieniło, a po lunchu wybrali się na jarmark do Wheatley. Ku zdziwieniu Eugeniei rozdzielili się tuż po wejściu między stragany. Lizzie chciała obejrzeć zwierzęta, a Otisa zainteresowała – choć nieco uraziła – gra zwana „walnij szczura”.

Eugenia wolałaby, żeby chodzili wszędzie razem. Była zrozpaczona nadchodzącym wyjazdem. Ale Ward tylko skłonił się i odszedł ze swym bratem.

Poszły więc razem z Lizzie oglądać kury na sprzedaż. Lizzie zauważyła, że krew dochodzi im do nóg. U niektórych odmian po prostu było widać żyły, a u innych nie.

– Niektórzy ludzie jedzą kurze łapki – wyjaśniła jej Eugenia. – A inni uważają je za talizman na szczęście. Mój ojciec ma spory zbiór ciekawych rzeczy, między innymi naszyjnik z kurzych łapek, który należał do wodza jednego z amerykańskich plemion.

– Bardzo chciałabym to zobaczyć – oznajmiła Lizzie, ciągnąc ją do następnego namiotu.

Eugenia już miała powiedzieć „kiedyś zobaczysz”, ale się powstrzymała.

– Chodźmy na odczyt – zaproponowała Lizzie.

Plakat przed namiotem głosił: „Wykład chemiczny z racji naukowej sublimacji – znanego profesora, użytecznej wiedzy dyfuzora”.

– Dyfuzora? – zdziwiła się Eugenia.

– Szybko. – Lizzie pociągnęła ją za rękę. – Bo już się zaczęło!

Eugenia rozejrzała się za Wardem, ale nigdzie go nie było widać.

Namiot był mały i zatłoczony mężczyznami, którzy spoglądali na nie niechętnie, ale wyniosłe spojrzenie Eugenie sprawiło, że szybko opróżniły się dla nich dwa krzesła w ostatnim rzędzie.

Tych rzędów było z dziesięć, ustawiono je w ciasnym półkolu otaczającym mężczyznę o dzikich, czarnych brwiach.

– To pan Gumwater! – wykrzyknęła Lizzie.

Wyglądało na to, że niesympatyczny lokaj Warda wiódł sekretne życie, w którym dyfundował pożyteczną wiedzę za królewskie wynagrodzenie dwóch pensów od osoby. Znany profesor, też mi coś!

– W domu mogę się nauczyć jego mądrości za darmo – szepnęła Lizzie. – Chodźmy stąd.

Eugenia odpowiedziała szeptem:

– Niegrzecznie byłoby wyjść, bo spowodowałybyśmy zamieszanie. Dama nigdy nie powinna ranić niczyich uczuć. Już lepiej znieść trochę niewygody.

Lizzie uległa z westchnieniem.

– Bycie damą jest meczące. Poza tym nic nie widzę.

Eugenia posadziła ją sobie na kolanach.

– Teraz lepiej?

– Lepiej – odparła dziewczynka i oparła się o jej ramię. Ruby upięła welon z tyłu, jakby był płaszczem, i schowała go pod pelisą, więc sylwetka dziewczynki wydawała się wyjątkowo drobna.

Na szczęście ostatnio welon był wprawdzie stale na widoku, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Podobnie było z Jarvisem.

Gumwater rozwodził się nad składem wody i głądził coś o związkach tlenu z pierwiastkami innymi niż wodór.

Eugenia puściła myśli swobodnie. Zastanawiała się, czy powinna szczerze porozmawiać z Wardem przed wyjazdem.

Ale co mogłaby powiedzieć? Zapytać, dlaczego on nie chce, by została? To byłoby błagalne i ponizające. Nie, nie może o to zapytać.

Ward jej pragnął. Kochał się z nią coraz bardziej namiętnie, jeśli to w ogóle

było możliwe. Prawie w ogóle nie spali. Poprzedniej nocy obudziła się i poczuła, że ją pieści, a jej zaspane ciało za chwilę będzie szczytowało.

Nie wiedziała tylko, czy ją kochał.

Nagle Lizzie zatrzęsa się ze śmiechu. Cała publiczność się śmiała. Eugenia zmarszczyła brwi i próbowała skupić się na temacie, ale jej umysł nie był w stanie przyswajać faktów o rozkładzie wody.

A już na pewno nie pojąłby, co w tym jest takiego zabawnego. Nie usłyszała żartu, a zresztą Gumwater przeszedł już do zjawiska podobieństw chemicznych.

Ewidentnie jej uczucia były silniejsze niż Warda. Czuła, że czerwieni się ze wstydu na samą myśl.

Jeśli tak było, nie chciała tego usłyszeć na głos. Umarłaby z upokorzenia.

Lizzie znowu wybuchnęła śmiechem. Eugenia objęła ją ramionami. Ogarnął ją nieznośny smutek na myśl o wyjeździe. Byłaby dobrą matką dla tych dzieci. Polubiły ją już i obdarzyły zaufaniem.

Eugenia lepiej niż ktokolwiek inny przeprowadziłaby Lizzie przez kłopotliwy okres debiutu, tworząc sytuację, w której pochodzenie panny Darcy stałoby się mało istotne, zważywszy na jej urodę, maniery i fortunę.

Oparła podbródek na głowie małej, zastanawiając się, czy Ward odsyła ją dlatego, że prowadzi swoją agencję. Jeśli on nie poruszy tego tematu, sama będzie musiała coś powiedzieć. Choćby po to, by zapewnić go, że zniechęci Lizzie do pomysłu herbaciarni, jeśli jego zdaniem zagrozi to przyszłości dziewczynki.

Jeśli nic nie powie, będzie tego żałować przez całe życie.

35

Eugenia ubierała się na kolację, gdy służący przyniósł jej karteczkę.

Czekamy na ciebie z dziećmi w salonie.

To nie był liścik od kochanka.

Wybrała wieczorową suknię w malinowe paski, z obszernym dekoltem. Choć Ward udawał niewzruszonego, wiedziała, że w dalszym ciągu jej pragnął, choć być może nie kochał. Żeby dodać sobie pewności, włożyła rubinowe kolczyki i uróżowała usta.

W salonie Lizzie podskakiwała do góry i na dół, gawędząc z Wardem, a Otis siedział na podłodze z Jarvisem.

Ward miał na sobie szary jak dym surdut, który tak podkreślał jego ramiona i urodę, że poczuła bolesne ukłucie pożądania. Upokarzające, bo w sumie właśnie ją wyrzucano z tego domu.

Skinęła Wardowi głową i przykucnęła przy Otisie, a potem podrapała szczura między uszami.

– Pan Jarvis bardzo elegancko ubrał się na wieczór.

Ciemnozielone ubranko Jarvisa było obszyte złotą tasiemką.

– To jego ulubione – zapewnił ją Otis.

Trzeba przyznać, że Jarvis miał sporo uroku jak na wąsate, inteligentne stworzenie. Mimo wszystko.

Nie mogła dłużej ignorować Warda, więc wyprostowała się i odwróciła. Lizzie gadała w szaleńczym tempie, słowa płynęły jak rzeka.

W pewnej chwili Ward ściągnął brwi i powiedział coś nieprzyjemnego. Lizzie natychmiast się skrzywiła.

Eugenia uśmiechnęła się lekko. Kiedy Lizzie dorośnie, będzie doprowadzać Warda do szaleństwa. Była zbyt niezależna i oryginalna, by przestrzegać zawitych zasad życia towarzyskiego, choćby Ward z nie wiem jakim uporem to na niej wymuszał.

Ward spojrział w jej oczy. Zdziwiła się, widząc, że wcale nie gniewał się na swoją siostrę, tylko na nią.

– Dowiedziałem się, że zabrała pani moją siostrę na prelekcję, pani Snowe – oświadczył. – Wolałbym, żeby pytała mnie pani o pozwolenie na takie rzeczy.

Eugenia podeszła do nich i najpierw pocałowała Lizzie w policzek, a potem odpowiedziała:

– O pozwolenie na wykład o składzie wody? Rzadko kto pyta o pozwolenie na takie nudy.

– Wcale się nie nudziłam! – wykrzyknęła Lizzie. – Ta przemowa była bardzo zabawna, choć wygłaszał ją pan Gumwater! Dowiedziałam się...

– Nie ma potrzeby powtarzać, czego się tam nauczyłaś – uciął Ward.

– Jesteś przesadnie opiekuńczy – stwierdziła Eugenia. – Wykład był na temat chemii. Niektórzy uważają, że młode damy nie są w stanie pojąć naukowych koncepcji, ale mam nadzieję, że ty, jako naukowiec, masz inne zdanie.

– Szczerze mówiąc, Lizzie i tak rozumie za dużo – odparł ponuro. Odwrócił się, jakby nie mógł na nią dłużej patrzeć. – Otis, myślę, że byłoby najlepiej, gdybyście się pożegnali z panią Snowe i wrócili do sypialni. Możecie tam zjeść kolację.

– Nie chcę! – sprzeciwiła się Lizzie.

Ward zacisnął szczęki.

– To nasz ostatni wspólny posiłek z panią Snowe – argumentowała dziewczynka, wysuwając podbródek w upartym grymasie.

Ewidencje ten wiejski wykład w namiocie był kroplą, która przepełniła czarę. Eugenię przepełniała czysta furia. Ward uznał jej grzechy za tak skandaliczne, że nie zgadzał się nawet, by dzieci zjadły z nią kolację. Nie powiedziała jednak ani słowa.

– Będziemy się jeszcze widywać – obiecała Lizzie. – Poproszę pana Reeve’a, żeby pozwolił ci odwiedzić mnie w Londynie. Chciałabyś?

– Bardzo! – wykrzyknęła dziewczynka. – Naprawdę musi pani już jechać? – Wargi jej drgały.

– Naprawdę. – Eugenię zabołały policzki od sztucznego uśmiechu. – Ojciec na mnie czeka.

Zobaczyła ból na jej twarzyczce i wzięła ją objęcia.

– Przepraszam – szepnęła. – Naprawdę mi przykro z powodu twojego ojca, Lizzie.

– Panna Midge powiedziała, że wszystko ma swój czas. I że mój ojciec jest w niebie.

Może jednak panna Midge, pomimo kłopotów z wieczornymi modlitwami, nieco pocieszyła dziewczynkę w cierpieniu. Eugenia objęła Lizzie jeszcze raz, a potem podeszła do Otisa. Jego też objęła, a potem pogłaskała Jarvisa.

– Myślałem, że zjemy z panią kolację – poskarżył się chłopiec.

– Ruby zanieś wam kolację do pokoju – oświadczył Ward. Oczy miał zimne jak gład.

Lokaj otworzył drzwi przed dziećmi i już miał wyjść, kiedy Ward go zatrzymał.

– Gumwater – zaczął. Czy mógłbyś uprzejmie streścić nam swoją prelekcję? O ile wiem, pani Snowe była na niej razem z Lizzie, ale pani Snowe wyraźnie nie rozumiała, o co w niej chodziło.

– Bardzo mi przykro, że nie zauważyłem obecności kobiet. – W głosie Gumwatera brzmiała ledwie ukrywana pogarda. – Dopiero później się o niej dowiedziałem. Niektórzy uważali, że na takie prelekcje mogą przyjść tylko kobiety z pewnej szczególnej grupy, ale podałem im pani nazwisko i zapewnilem, że jest pani przyzwoitą wdową.

– Nie wyobraża pan sobie, jak niezmiernie martwi mnie niekorzystna opinia pana znajomych – odparła Eugenia.

– To nie był występ dla dam – stwierdził Gumwater, rzucając jej spojrzenie pełne niechęci. – Na jarmarkach się takich nie robi.

Eugenia przeszła go spojrzeniem, jakiego nauczyła się, siedząc na kolanach swego ojca. Mówiło ono o pochodzeniu ze starożytnego rodu arystokratów. A także o tym, że w ostateczności przywoła straż i rozkaże skrócić nieposłusznego

plebejusza o głowę.

W każdym razie mogłaby tak rozkazać trzysta lat temu.

– Co to właściwie jest prelekcja? – Na plakacie zapowiedziano: „Wykład chemiczny z racji naukowej sublimacji”. Poza tym nikt nie przestrzegł ani mnie, ani panny Darcy, żebyśmy tam nie wchodziły.

Gumwater odchrząknął.

– Opowiadałem miejscowym mieszkańcom o korzyściach płynących z chemii. Uczyłem ich, z czego składa się woda.

– Na plakacie przedstawiono pana jako „dyfuzora użytecznej wiedzy”. Co to ma wspólnego ze składem wody?

– Mam poczucie humoru – odparł lokaj, poruszając żwawo krzaczastymi brwiami. – I to było moje wolne popołudnie.

– Poproszę o streszczenie – przynaglił go Ward.

– Chodzi o to, że uczę tych rzeczy tak, żeby zostały mężczyznom w głowie, a to straszni prostacy.

– Doskonale wiem, że większość mężczyzn to prostacy – zgodziła się Eugenia.

– Przedstawiam to pod postacią związków. Wodór lubi azot, który jest przyjacielem tlenu, ale ciągle go zostawia, szukając nowych przyjaciół.

Eugenia miała dziwne poczucie, że gra w komicznym przedstawieniu marionetek, ale nie zna tekstu. Jakim cudem wodór może być nieprzyzwoity?

– Do rzeczy, Gumwater – przynaglił Ward, zakładając ramiona na piersi.

Eugenia nagle przypomniała sobie pewien zwrot, który wywołał wybuch męskiego śmiechu. Drobne ciało Lizzie zadygotało wtedy od chichotu. Jej wydało się to wtedy zupełnie niewinne, ale...

– Rozumiem, że wyjaśniał pan związki chemiczne przez analogię do intymnych sytuacji – stwierdziła.

Gumwater skinął głową.

– Związek między tlenem a wodorem jest o wiele korzystniejszy w stanie płynnym. – Odkaslnął. – Trzeba dwóch atomów wodoru, żeby zadowolić jeden atom tlenu.

Ojciec pewnie powiedziałby, że Gumwater to zwykły kutas. I to kutas

uprzedzony do kobiet, który pewnie nie wie nawet, że to słowo wywodzi się z czasów Szekspira.

– Innymi słowy, zrobił pan z chemicznego składu wody dowcip na temat trudności z zadowoleniem kobiety?

– Mężczyźni zawsze się śmieją, kiedy opowiadam, czego by było potrzeba, żeby rozszczepić wodę – dodał Gumwater. – To nie była przemowa przeznaczona dla młodych dam. Nigdy przedtem żadna kobieta nie wchodziła do tego namiotu. A już na pewno żadna guwernantka nie przyprowadziłaby swojej podopiecznej na jarmarczną prelekcję nieprzeznaczoną dla kobiet.

Ward słuchał tego wszystkiego bez słowa. Potem ruchem głowy wskazał lokajowi drzwi.

Począł w milczeniu, aż za lokajem zamkną się drzwi, a potem odwrócił się do niej:

– Na litość boską, po co ty wchodziłaś do tego namiotu? Nawet jeśli nie wiedziałaś, co to za prelekcja, zauważyłaś chyba, że na widowni są sami mężczyźni?

– Gdyby nauki nie traktowano jak dziedziny dostępnej wyłącznie mężczyznom – warknęła – być może więcej kobiet nieopatrznie zagłądałoby do tego namiotu, gdzie zamiast naukowego wykładu raczono się niewybrednymi dowcipami.

– Pomijając kwestie naukowe, chciałbym wiedzieć, dlaczego naraziłaś moją siostrę na słuchanie takich wulgarnych albo nawet wręcz rozwiązłych występów.

– Nie miałam takiego zamiaru – powiedziała, otaczając się opanowaniem jak zbroją. – Naprawdę mi przykro, że nie zrozumiałam, o co chodziło w tym tak zwanym wykładzie twojego lokaja. To jasne, że głód wiedzy Lizzie należy zaspokajać, ale ja wybrałam niewłaściwe miejsce.

– Jak ci już wielokrotnie powtarzałem, Lizzie jest młodą damą – podkreślił, krzyżując ramiona na piersi.

Ogarnął ją gniew z taką samą siłą i żarem jak namiętność, której doświadczyła poprzedniej nocy.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, jakie miejsce zajmuje Lizzie w towarzystwie – odparła, z trudem opanowując się, by nie podnosić głosu. – Ale nie widzę

powodu, dlaczego jej status miałby stać w sprzeczności z naukową wiedzą. Ja na przykład w dzieciństwie lubiłam się uczyć matematyki.

– Wybacz mi szczerość, Eugenio, ale to nie ma nic do rzeczy. Lizzie będzie się wychowywać w domu bez ladacznic oraz innych pożałowania godnych sytuacji, na jakie ty byłaś narażona w dzieciństwie. Właśnie dlatego zwróciłem się do Agencji Snowe.

Eugenia skrzywiła się. Nie spodziewała się, że jej zwierzenia zostaną użyte przeciwko niej. Nikomu poza Andrew nie mówiła o kurtyzanach przebywających w domu jej ojca.

– Zgadzam się z tym – odparła, starając się opanować.

– Więc dlaczego, do jasnej cholery, zabrałaś moją siostrę do namiotu pełnego mężczyzn śmiejących się z oblesnych dowcipów? Podobno szkolisz guwernantki, a moją siostrę zabrałaś na nieprzyzwoitą prelekcję.

Ward był wściekły – i miał rację.

Popełniła błąd. Wiele lat temu nauczyła się, że do błędów należy się przyznawać. Przeprasi więc jeszcze raz.

– Arystokratyczne towarzystwo rządzi się niepisanymi regułami. – Sfrustrowany, przeczesał włosy palcami. – Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

Skąd mu przyszło do głowy, że ona nie zna zasad obowiązujących w towarzystwie? Źródłem powodzenia jej agencji była właśnie umiejętność wychowania dzieci tak, by z powodzeniem zawierały związki małżeńskie. Zachowywał się, jakby w dalszym ciągu uważał ją za byłą guwernantkę. Ale przecież wyjaśniła mu swoją pozycję. Była tego pewna.

– Prawdziwej damie do głowy by nie przyszło, by wejść do tego namiotu, a jeśli przez pomyłkę by się w nim znalazła i zobaczyła, co za publiczność tam siedzi, natychmiast by wyszła – tłumaczył. – A ty siedziałaś tam niewzruszenie, podczas gdy moja mała siostra zaśmiewała się z aluzji do ludzi, którzy śpią ze sobą. Nie wspominając już o nowych dla niej informacjach o „wodnistej pianie”, pani Snowe. Krótko mówiąc, moja siostra interesuje się teraz składem nasienia oraz różnymi erotycznymi kombinacjami!

Eugenia zapomniała o pokorze, którą sobie obiecywała.

– Pańska siostra, panie Reeve, już wcześniej była w posiadaniu dużo większej

ilości informacji o dorosłym życiu niż inne dzieci w jej wieku – stwierdziła. – Czy mam panu przypomnieć o związku waszej matki z panem o uroczym nazwisku Burger? I o tym, że zabroniła dzieciom komukolwiek wspominać o tej znajomości?

– Chcę, żeby zapomniały o swoim nieszczęsnym dzieciństwie, zamiast pogłębiać ich wiedzę o niemoralnych zachowaniach.

– Nie miałam zamiaru uczyć twojej siostry takich rzeczy!

– Powtarzam: to co robiłaś w tym cholernym namiocie, podczas gdy ona się ich właśnie uczyła?

– Już cię za to przeprosiłam i przepraszam jeszcze raz – odparła, zbierając siły. – Popęłiłam błąd, wchodząc do tego namiotu. Nie zwracałam uwagi na ten obrzydły wykład twojego lokaja, a powinnam i przyznaję się do winy.

– Więc co tam robiłaś, do cholery?! – Teraz już krzyczał.

Odpowiedziała, również podnosząc głos:

– Myślałam o tobie, o nas!

Jego twarz dosłownie skamieniała.

– O nas?

– Tak, o nas! – wykrzyknęła. – Zastanawiałam się, dlaczego odszedłeś z Otisem, dlaczego zacząłeś się tak dziwnie zachowywać, dlaczego powiedziałeś... – Przerwała.

– Co powiedziałem?

Oddychała urywanie.

– Nic nie powiedziałeś – odparła, uspokajając się. – Myślałam o tym, dlaczego nic nie powiedziałeś. O nas.

36

W ciszy, jaka potem nastąpiła, Eugenia uświadomiła sobie, że kurczowo trzyma się oparcia krzesła. Ward opuścił ręce, zacisnął wargi w cieką kreskę i podszedł do niej.

– Przepraszam – powiedział, spoglądając jej w oczy. – To moja wina, że nie postawiłem sprawy jasno już na początku naszego związku. Naszej *affaire*.

Affaire. Miłostki. Więc tak o tym myślał.

Tylko tak.

Nie mogła się oszukiwać, że o tym nie wiedziała. Zawsze wiedziała.

– Ależ postawiłeś – odparła, unosząc podbródek. Za nic nie okazałaby swojej rozpacz. Tylko drżenia nie mogła ukryć: dygotała na całym ciele, od stóp do głów. – Błagałeś, żebym została dwa tygodnie.

– Owszem, tak jak zrobiłby to każdy inny mężczyzna wiedziony namiętnością.

To było niewybaczalne.

Tylko że jednocześnie pochwyciła w jego oczach błysk czegoś innego. To nie był ten sam mężczyzna, który zwabił ją do wody i który świętował miłosną noc jedzeniem deseru o północy. To był ktoś inny.

Ta myśl ją uspokoiła.

Naprawdę kochali się ze sobą.

– Nasza bliskość nie była wyłącznie namiętnością – zauważyła zdecydowanie. Była pionierem, pierwszą kobietą, która założyła własną firmę. Równie dobrze mogła przecierać szlaki w innej dziedzinie – zburzyć przekonania, że kobieta nie może mówić o miłości, zanim mężczyzna się jej nie oświadczy. Po prostu powie

mu prawdę.

Ward milczał.

– Owszem, jestem w tobie zakochana – oświadczyła, spoglądając mu w oczy.

– I wiem, że ty we mnie też.

Zanim milczenie stało się nieznośne, wyrzucił:

– Bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować, Eugenio.

Zupełnie jakby wyjął pistolet i postrzelił ją w nogę. Rana nie była śmiertelna, ale ból przenikał na wylot. Najgorszy był ten ton autentycznego żalu w jego głosie.

– Rozumiem – wykrztusiła z trudem.

Odwrócił się, pewnie, żeby dać jej ochłonąć. Zaciśnęła dłoń na oparciu krzesła z taką siłą, że kciuki jej pobielaly.

Ward stanął tyłem do niej. I wyglądał przez okno. Odchrząknął i mówił dalej:

– Nawet, gdybym czuł coś więcej, nie mógłbym mieć w domu utrzymanki, bo mieszkam razem z rodzeństwem. Te dwa tygodnie były wielkim błędem.

Powietrze paliło ją w płuca żywym ogniem.

Gdyby czuł coś więcej? A niech go szlag trafi!

– Nie jestem twoją utrzymanką – odparowała z furią. – To by sugerowało, że mi płacisz. Byłam tu jako gość i pomagałam w opiece nad dziećmi, nie oczekując rekompensaty.

Odwrócił się i przykrył jej dłoń swoją.

– Przepraszam. Kochanką.

Dopiero teraz zrozumiała, że nigdy nie myślał, by się z nią ożenić, i że określenie „kochanka” miało jedynie załagodzić jej uczucia. Wtedy, w powozie, kiedy po raz pierwszy ją pocałował, wspominał o miłych gestach, jakimi darzą się przyjaciele, i o tym, że nigdy się takich przyjaźni nie ujawnia publicznie. Dlaczego go wtedy nie słuchała?

– Czy chodzi ci o to, że nie myślałeś o mnie jako o osobie, którą mógłbyś poślubić? Czy też nie myślałeś, że jestem dziwką, choć ofiarowałam ci się z taką... – Głos ją zawiódł i ucichła.

– Z taką radością – dokończył, a w jego oczach znowu błysnęło to niepokojące uczucie. – Daliśmy sobie nawzajem wiele przyjemności i nie ma w

tym nic złego, Eugenio. Ale czas wrócić do rzeczywistości i pójść każde swoją drogą.

– Rozumiem.

Zawahał się.

– Nawet gdybym... gdybym chciał zaproponować ci małżeństwo, nie mógłbym tego zrobić.

Nie była w stanie nic odpowiedzieć.

– Muszę ożenić się z kimś, kto zrównoważy moje niepewne pochodzenie i wprowadzi Lizzie w towarzystwo. – Odchrząknął. – Moja żona musi być wzorem dobrego tonu. Z powodu mojego pochodzenia i pożałowania godnego zachowania naszej matki Lizzie może zostać odrzucona przez socjetę. Jeśli w ogóle wezmę ślub, moja żona musi być ideałem.

Przełknęła ślinę. Te słowa właściwie jej nie zaskoczyły.

– Żeby użyć starodawnego zwrotu, to musi być „urodzona dama” – ciągnął, mocniej ujmując jej dłoń. – Eugenio, naprawdę zachowujesz się jak dama, ale brak ci tej instynktownej, wrodzonej wiedzy, której nie da się wyuczyć. Moja macocha nigdy nie weszłaby do tego namiotu, a już na pewno nie usiadłaby wśród tłumu gapiących się na nią mężczyzn.

Do Eugenio zaczęły docierać jego słowa.

Urodzona dama? Przecież ona nie tylko znała się na manierach lepiej niż ktokolwiek inny, ale urodziła się w arystokratycznej rodzinie!

Widocznie Ward był w błędzie, kiedy zapewniał ją, że wie o jej pozycji społecznej. Mało brakowało, a wyrecytowałaby mu swoją genealogię, ale powstrzymała się, bo to nie miało nic do rzeczy.

Ward uważał, że ona nie zachowuje się jak dama. To znaczy, że nie kochał ani nie szanował Eugenio Snowe, założycielki agencji guwernantek.

Gdyby powiedziała mu o swoim pochodzeniu – o tym, że nie tylko należy do szlachty, ale jest też arystokratką, jedną z najlepiej urodzonych dam w całym kraju, może przekonałaby go, że dzięki swojej pozycji bez trudu wprowadzi Lizzie w towarzystwo i umożliwi małżeństwo z kimś ze swej sfery.

Ale nigdy nie przekona go, żeby pokochał ją taką, jaka jest naprawdę.

Dobrze. Trzeba teraz opanować cierpienie i gniew i zdobyć się na uprzejmość.

– Twoja siostra lubi nauki przyrodnicze – odezwała się spokojnie, cofając dłoń. – Myślę, że dobrze byłoby zachęcać ją zdobywania wiedzy, choć być może nie jest to konwencjonalna dziedzina.

Słuchał tego z kamienną twarzą, wypraną ze wszelkich uczuć.

– Wolałbym, żeby nikt jej nie zachęcał do ekscentrycznych zachowań. A ona od niedawna zaczyna przebąkiwać, że otworzy sklep... a do tego nauczyła się kląć na cały głos. Damy nie przeklinają.

Zabawne. Ona właśnie w tym momencie miała ochotę kląć jak szewc.

Wziął oddech, więc zebrała siły.

Chyba nie doda nic więcej?

Owszem, dodał.

– Czuję się winny – powiedział. – Nie powinienem sprowadzać kochanki do domu, w którym są dzieci. Odesłałem je dziś do pokoju, bo Lizzie za bardzo cię polubiła.

– Ja też lubiłam niektóre kurtyzany, które znałam w dzieciństwie – odpowiedziała. Skoro i tak uznał ją za beznadziejną, mogła równie dobrze go zaszokować. – Na przykład jedna z nich, imieniem Augusta, zamknęła swego kochanka w szafie i trzymała go tam tak długo, aż zgodził się położyć w jej powozie nową kanarkowożółtą tapicerkę.

Zamiast się zgorszyć, spojrział na nią współczująco. Jakby się litował.

To był najwyższy czas, by się stąd wynieść. Dzięki Bogu za wykszolenie, jakiego jej udzielono – bo niezależnie od tego, co Ward o niej myślał, była damą, która bywała u królowej. I to nie raz.

Miała wrażenie, że patrzy na samą siebie z daleka, obserwując, jak składa dyg, robi krok do przodu, całuje Warda w policzek i tłumaczy, że zje lekki posiłek u siebie. Potem przeprosza go jeszcze raz i wyraża nadzieję, że będzie obecna w życiu jego rodzeństwa.

Obiecała też, że jeśli powierzy swoją siostrę jej opiece w Londynie, na pewno nie zaprowadzi ją na żadną naukową prelekcję.

Ona odegrała swoją rolę, ale Ward nie. Stał w milczeniu i nie zareagował ani słowem na jej miłe uwagi o dzieciach.

Złożyła kolejny dyg. Przenikliwa, pewna siebie część jej umysłu wiedziała

doskonale, że Ward nie zdoła utrzymać Lizzie z dala od niej, kiedy nadejdzie czas debiutu dziewczynki.

Z tą myślą zatrzymała się w drzwiach.

– Kiedy się ożenisz, zapoznaj mnie proszę ze swoją żoną. Naturalnie, o tym – wykonała okrągły gest w powietrzu – nie będziemy więcej wspominać, tak jak sobie tego życzyłeś przed dwoma tygodniami. Upewnij się, proszę, że twoja służba nie będzie o niczym rozpowiadać.

Odczekała chwilę. Tym razem też nic nie powiedział.

– Porozmawiaj o tym w szczególności z Gumwaterem. – Nawet nie próbowała ukryć pogardy w głosie. – Zmierzam do tego, że chętnie pomogę twojej żonie, kiedy Lizzie będzie debiutować w towarzystwie.

W dalszym ciągu nie odzywał się ani słowem, więc wymknęła się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Poniedziałek, 15 czerwca 1801

Eugenia nie zmrużyła oka przez całą noc. Zalewała się palącymi łzami, by po chwili ulegać atakom nieprzepartego gniewu i wyobrazać sobie, jak rzuca w głowę Warda ciężkimi przedmiotami.

Kiedy w końcu wyperswadowała samej sobie, jak to świetnie, że ta udawana przyjaźń dobiegła końca, okazało się, że znowu leży zwinięta w kłębek i moczy łzami prześcieradło.

Prawda była prosta: kochała go równie mocno jak Andrew. To naprawdę straszne – utraciła ich obu. O świcie gardło miała całkiem obolałe, a oczy spuchnięte.

Nie mogła spać i nie miała już ochoty rozpaczać, leżąc w łóżku. Wstała i podeszła do okna.

Trawnik opadał ku tafli jeziora, znad którego powierzchni unosiły się kolumnienki pary. Wyglądało to bardzo pociągająco.

Clothilde zastukała do drzwi i weszła w momencie, gdy Eugenia wciągała spodnie.

– Postanowiłam wykąpać się, zanim wyjedziemy – oznajmiła Eugenia, nie próbując nawet ukryć zapuchniętych oczu. Gumwater na pewno wczoraj podsłuchiwał pod drzwiami salonu i z satysfakcją przekazał całej służbie każde słowo ich rozmowy.

– Skończę pakować kufer – powiedziała Clothilde, a potem dodała: – Reeve to łajdak, madame, i dobrze, że wyjeżdżamy już z tego domu.

Eugenia włożyła pantofelki i ruszyła w dół ku wodzie, starając się utrzymać

równowagę na śliskiej od rosy trawie. Kiedy dotarła na brzeg, wzięła głęboki oddech i rozejrzała się, pełna sprzecznych uczuć. Las wokół jeziora był senny, a światło poranka rozjaśniało jego zieleń. Ptaki już się budziły i wołały się śpiewem.

Pomimo całego bólu, że ich romans dobiegł końca, cieszyła się z nowo nabytej umiejętności pływania. To był bezcenny dar. Zdjęła pantofelki i starannie ustawiła je na płaskim kamieniu, a obok położyła ręcznik.

Gumwater jasno dał im do zrozumienia, że nie podoba im się, kiedy wracają mokrzy do domu. Ward koniecznie potrzebował prawdziwej gospodyni, choć teraz to już nie było jej zmartwienie.

Dziś postanowiła wejść do wody sama, a co więcej, wreszcie zanurzyć się z głową.

W sumie nie było to trudne. Weszła do wody, krzywiąc się, gdy z zimna zaczęły ją szczypać nogi. Gdy woda dotknęła piersi, wydała stłumiony okrzyk. Potem wzięła głęboki oddech, pochyliła się, błogosławiony chłód obmył jej oczy... i już unosiła się na powierzchni.

Twarzą w dół, tak jak dzieci.

Zaczęła przebierać rękami, napiła się trochę wody, a potem odwróciła się na plecy i przez chwilę leżała spokojnie. Niebo było bladoniebieskie i bardzo odległe. Przypomniała sobie lekki, dodający pewności dotyk Warda na plecach, ale wcale nie był jej potrzebny.

Sama unosiła się na wodzie.

Sama znajdzie sobie też męża. Posłała w niebo słowa podziękowań. Pożegnała się z Andrew.

Jeszcze jedno pożegnanie.

Poruszyła rękami, tak jak uczył ją Ward. Włosy wymknęły się z luźnego warkocza i ułożyły się w wodzie jak u syreny.

Chłód jeziora koił zaczerwienione oczy. Odwróciła się znowu, twarzą w dół, ale tylko na minutę. Udało się. Na razie wystarczy.

Dotknęła stopami dna, zanurzyła się, by włosy ułożyły się jej na plecach i ruszyła do brzegu, ale zatrzymała się zdziwiona.

– Pani Snowe! – zawołał Otis. – Niech się pani nie gniewa, że przyszedłem

nad wodę. Jarvis chciał się pożegnać.

Siedział na wielkim głazie, otaczając kolana dłońmi. Jarvis leżał obok niego na grzbiecie i wygrzewał się na słońcu.

Eugenia doszła do miejsca, gdzie wodę miała nieco powyżej piersi.

– Cieszę się, że cię widzę, Otis. Mam nadzieję, że odwiedzisz mnie w Londynie.

Spuścił wzrok i podrapał Jarvisa po brzuchu.

– Myślałem, że odwiedzi mnie pani w Eton.

– Oczywiście – obiecała. – I będę przysyłać wam obu z Marmadukiem kosze pełne dobrych rzeczy do jedzenia.

– Jeżeli rzeczywiście będę z nim mieszkał – odparł Otis. – Bo może dadzą mi innego współlokatora.

Jego dłoń zamknęła się na grzbiecie Jarvisa. Senny szczur zapiszczał z urazą, obudził się i zaczął się wyrywać.

– Postaram się, żebyście mieszkali razem – obiecała Eugenia. – Jeden z dyrektorów szkoły to bliski przyjaciel mojego ojca.

– Lizzie powiedziała, że biskup też był przyjacielem twojego ojca.

– To prawda. Nie boisz się, że Jarvis wpadnie do wody? – Tłusty szczur badał głaz od strony głębokiej wody, tam gdzie dzieciom nie wolno było pływać.

– Wcale – odparł Otis. – Jarvis jest mądry. Nie pakuje się w miejsca, gdzie mogłoby mu się stać coś złego. Czy pani ojciec zna wszystkich ważnych ludzi?

– To markiz, a arystokratów jest niewielu. Sam się o tym przekonasz, kiedy dorośniesz.

– Markiz jest lepszy od lorda, prawda?

– Nie chodzi o to, kto jest lepszy, tylko...

Rozległ się plusk i przenikliwy krzyk Otisa.

– Jarvis! Jarvis wpadł do wody!

– Nie przejmuj się – odpowiedziała, brodząc przez wodę ku kamieniowi.

– Idę po ciebie, Jarvis! – wykrzyknął Otis i rzucił się w głębinę.

Eugenia zaklęła pod nosem, zanurzyła twarz, odbiła się od dna i zaczęła poruszać rękami i nogami jak Ward. Ku swojemu zdziwieniu po niespełna minucie znalazła się z drugiej strony głazu.

Otis pluskał się w wodzie. Na szczęście nie poszedł na dno. Na jego widok przestała poruszać nogami i sama zaczęła opadać w głąb. Woda dostała się jej do ust, zrobiło się ciemniej i zimniej.

Ogarnęło ją przerażenie i odezwało się echem w całym ciele, aż po czubki palców.

Nie! Otis jej potrzebował. Wyrwała się na powierzchnię.

Wynurzyła się, plując i kaszłąc. Otis w dalszym ciągu krzyczał i pływał w kółko, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Jarvisa nigdzie nie było widać.

Eugenia upadła na duchu.

– Otis, uspokój się! – krzyknęła.

Był taki malutki, kiedy mokre włosy przywarły mu do głowy.

– Jarvis! Jarvis! – wykrzykiwał bez ustanku.

Ale przynajmniej nie tonął.

– Musisz wrócić na brzeg! – zawołała. Ruszyła ku niemu, ale przez to opadła w głąb i drugi raz dostała ataku paniki. Nie straciła jednak głowy i znowu wypłynęła na powierzchnię.

Zaczerpnęła powietrza i krzyknęła w najlepszym stylu guwernantki:

– Otis, natychmiast wyjdź z wody, żebym mogła uratować Jarvisa!

Jego krzyk urwał się nagle. Spojrzał na nią ze zdziwieniem, przestał się szarpać i w jednej chwili poszedł na dno.

Serce tłukło się w niej ze strachu, ale podpłynęła w miejsce, gdzie się zanurzył, zaczerpnęła powietrza i opadła na dno. Na głębinię woda była mętna, ciemniejsza i zimniejsza, bo rzadziej docierało tam słońce. Jest! Otis był tuż obok, po prawej stronie. Walczył, by się wynurzyć, a włosy unosiły się wokół jego twarzy.

Płuca ją bolały, ale dosięgnęła go, złapała za koszulę i z całej siły odbiła się do góry.

Wychynęli na powierzchnię, kaszłąc i łapiąc powietrze. Teraz trzeba było tylko dopłynąć do kamienia. Otis, uczepony jej ramienia, był zadziwiająco ciężki.

W chwili gdy wzięła oddech i zaczęła odpychać się nogami, usłyszała głośny krzyk. To Ward pędził przez trawnik.

– Twój brat do nas biegnie – sapnęła.

– Jarvis! – załkał Otis.

W chwilę później Ward złapał chłopca za rękę, a potem w tali. Kiedy wyciągał go z wody, pochwycił jej wzrok. Krzyknął coś, ale zanurzyła się, zanim zdążyła zrozumieć, o co chodzi. Ogarnęła ją ulga, że zdjęto z niej ciężar Otisa.

Nogi miała zmęczone, ale postanowiła przepłynąć na drugą stronę głazu. Wystarczyły cztery ruchy i już tam była. Kiedy w końcu stanęła na dnie, ogarnęła ją fala ulgi i radości.

Udało jej się!

Nie tylko pierwszy raz w życiu pływała, ale uratowała też Otisa, tak jak kiedyś Andrew uratował ją. Na samą myśl, co by się stało, gdyby nie dała rady, kolana ugięły się pod nią i zakręciło jej się w głowie.

Odsunęła włosy z oczu i wy dostała się na głaz. Otis siedział skulony po stronie głębin i wpatrywał się w wodę. Obok niego usadowił się Jarvis i wielce zadowolony z siebie cesał swoje futerko.

– Nic mi nie jest – powiedziała i dostała ataku kaszlu. Otis wstał, wydał głośny okrzyk i rzucił się jej w ramiona.

– Myśleliśmy, że pani utonęła!

Po drugiej stronie głazu widać było tylko bąbelki na wodzie. Właśnie zaczęła się zastanawiać, czyby tam nie wskoczyć, by upewnić Warda, że jest bezpieczna, gdy z wody wynurzyła się jego głowa.

Spostrzegł ją i na jego twarzy odmalowały się emocje, których nie potrafiła odczytać. Serce jej zabiło. Może teraz, kiedy o włos uniknęli tragedii, Ward zrozumie, jak bardzo mu na niej zależało.

– Nie potrzebuję ratunku! – zawołała. – Ale dzięki za twoje starania.

– Zostań tam! – odkrzyknął. – Muszę z panią porozmawiać, pani Snowe.

Zdecydowanie nie był to głos człowieka, który uświadomił sobie, jak bardzo kogoś kocha.

– Porozmawiamy później! – zawołała, włożyła pantofelki, odwróciła się i odeszła. Otis przez całą drogę coś gadał, głównie do Jarvisa, ale trochę też do niej.

Jakby miała oczy z tyłu głowy, wyczuwała, że Ward kilkoma szybkimi ruchami dopłynął do brzegu, podniósł zapomniany przez nią ręcznik, wytarł sobie włosy i ruszył przez trawnik ku domowi.

– Sama się uratowałam – szepnęła w powietrze, wchodząc przez próg do przedpokoju.

Czekał tam już Gumwater, poruszając brwiami, gdy razem z Otisem zachlapali wodą marmurową posadzkę.

– Pokojówka czeka na górze, pani Snowe – oświadczył. – Kufer jest już w powozie, ale zostawiła dla pani suchą suknię do przebrania.

– Dziękuję, Gumwater – odpowiedziała. Pochyliła się i pocałowała Otisa, a kiedy podsunął jej tłustego, mokrego szczura, też go ucałowała, gdzieś w okolicy wąsików.

– Odwiedzę cię w Eton – obiecała chłopcu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Ward.

– Chyba jasno dałem wszystkim do zrozumienia, że nie wolno pływać po drugiej stronie głazu – warknął do nich.

Był przekonany, że specjalnie naraziła dziecko na ryzyko. Cudownie.

Uśmiechnęła się z trudem.

– Mam wrażenie, że razem z Otisem przerobiliśmy już lekcję na temat głębokiej wody, panie Reeve. – Pochyliła się i mocno objęła chłopca, przez co na podłogę spłynęła kolejna kaskada wody. – Uważam, że byłeś bardzo dzielny – szepnęła, czując, jak obejmuje ją w tali.

Potem wyprostowała się, odwróciła do swojego gospodarza i podała mu rękę.

– Panie Reeve, wyjeżdżam, gdy tylko się przebiorę, więc już teraz chciałabym się z panem pożegnać.

Tylko spojrział na jej wyciągniętą dłoń.

– Nie mogę przecież dygnąć w tych mokrych spodniach – zirytowała się. Wyrażnie zależało mu, żeby do końca pozostała damą w każdym calu.

W końcu jakoś dygnęła i odwróciła się ku schodom. Przygniał ją smutek, równie ciężki jak mokra odzież. To się naprawdę skończyło. Kiedy następnym razem zobaczy Edwarda Reeve'a, będą po prostu znajomymi.

Jednocześnie była z siebie tak dumna jak nigdy. Uczyniła rysę – a właściwie

całkiem rozbiła – szklaną trumnę, w której tkwiła od śmierci Andrew.

Pokonała strach przed wodą, nauczyła się pływać i miała *affaire* z niezwykle przystojnym mężczyzną.

A potem się w nim zakochała.

Cierpiała, bo nie odwzajemniał jej uczuć, ale nawet to było dobre. Ból był dowodem, że wróciła do życia.

Andrew kochał ją całym sobą. To również szanował. Zasługiwała na taką miłość. Ale przestała już być ugrzecznioną młodą damą, którą niegdyś pokochał.

Kiedyś spotka mężczyznę, który doceni tę silną osobę, jaką się w końcu stała.

Eugenia odjechała.

Pod wieczór Ward w bibliotece opadł na fotel jak marionetka, której przecięto sznurki. Wyjechała.

Lizzie rozplakała się przy lunchu, co Gumwater złośliwie skomentował, więc Ward wyrzucił go z pracy. Nie chciał, żeby jego siostra spotykała się w domu z taką otwartą niechęcią.

Owszem, on sam wyrósł wśród niechętnych mu służących, ale dlaczego chciał, żeby jego siostrę traktowano z taką samą pogardą – choć przyczyną nie było jej urodzenie, ale płęć? Co w niego wstąpiło?

Wieczorem Otis zaczął płakać. Ruby traktowała Warda z zimną pogardą za każdym razem, gdy wchodził do sypialni dzieci. A monsieur Marcel? Ward nie odważyłby się zbliżyć do kuchni. Wystarczyło, że tego wieczoru po raz pierwszy podano mu przypalonego kurczaka.

A potem wyschnięte ciasto. Bez trudu zrozumiał aluzję. Ale i tak był przekonany, że postąpił słusznie.

Jednym haustem wychylił brandy. Pod każdym względem Lizzie i Otis byli jego dziećmi i troszczył się o ich przyszłość. Za każdym razem, gdy pomyślał o lepszej wyższości, z jaką lady Hyacinth traktowała Eugenię, uświadamiał sobie, że właściwie nie miał wyboru.

Nie mógł pozwolić, by wychowaniem Lizzie i Otisa zajęła się księżna, kobieta, która porzuciła go w dzieciństwie. Jego ojciec miał w tym czasie niewiele ponad osiemnaście lat, ale nie oddał swego syna na wychowanie wiejskim pastuchom. Codziennie zaglądał do pokoju dziecięcego, często po parę

razy.

Kiedy Ward nieco podrósł i wędrował nocami po domu, często lądował w łóżku ojca. Z perspektywy czasu podejrzewał, że hrabia miał kochanki, ale on sam nigdy na żadną z nich nie natrafił.

Z drugiej strony lady Lisette, jego matka, w żaden sposób nie poświęcała się dla dzieci. Ten smutny fakt stawał się coraz bardziej oczywisty z każdą opowieścią Otisa i Lizzie. Ani razu nie przedłożyła ich dobra nad własne; nie dbała też o ich bezpieczeństwo, wygody ani przyszłość.

Nie mógł ich oddać kobiecie, która z ich matki – która była także i jego matką – zrobiła prawdziwego potwora.

Następnego dnia rano obudził się z jękiem, bo lokaj, który przyszedł odsłonić okna, zaanonsował:

– Przybyła księżna Gilmore. Oczekuje pana w południowym salonie.

Przetoczył się na plecy, zasłonił ręką oczy.

– Kawy.

– Przykro mi, ale monsieur Marcel doniósł, że zużył resztki kawy, udoskonalając arabski suflet mocca pani Snowe. Czy podać zamiast tego herbatę?

Nienawidził herbaty i Marcel dobrze o tym wiedział.

Wstał, w duchu klnąc brandy, którą wypił poprzedniego wieczoru, i ruszył do łazienki.

– Woda jest trochę chłodna – ostrzegł go od razu pokojowiec. – Jeśli można, doleję nieco gorącej.

Wlał do wanny wrzątek z najmniejszego kociołka, jaki Ward widział w życiu, i wyszedł. Kolejny stronnik uroczej Eugenii.

Kiedy Ward przestał dygotać i ubrał się sam – pokojowiec nie wiedząc czemu nie wrócił, by mu pomóc – zajrzał do dziecinnego pokoju. Otis podskoczył, złapał w rękę Jarvisa i podbiegł ku niemu. Ward przykucnął i chwycił brata w ramiona, a potem podniósł do góry.

Otis pachniał bułeczką z rodzynekami i dzieciństwem.

– Miałem okropny sen, że Jarvis utonął – zwierzył się Otis, sadzając szczura na ramieniu Warda.

– Jarvis cieszy się znakomitym zdrowiem i dobrze pływa – pocieszył go Ward i postawił brata na podłodze. – Przyjrzyj się mu.

Rzeczywiście, czarne oczka szczura błyszcząły zdrowiem, gdy przeskakiwał na ramię Otisa.

– Jeśli kiedyś skoczy na mnie, zrzucę go na podłogę – stwierdziła Lizzie z irytacją, podchodząc do nich.

– Przyjechała nasza babka – powiadomił ich Ward. – Ruby, czy możesz sprowadzić dzieci do holu za pół godziny? Bez Jarvisa – dodał.

– Co za koszmar – jęknęła Lizzie. – Nienawidzę księżnej. To wstrętne zarobaczka pasztet co flaki wywraca^[13].

Eugenia pewnie by wiedziała, z której sztuki pochodzi ten soczysty zwrot.

– Proszę, nie mów na Jej Wysokość „pasztet”. Księżna Gilner zasługuje na nasz szacunek – pouczył ją.

– Dlaczego? – spytał Otis.

– To najstarsza osoba w naszej rodzinie.

– Mama powiedziała, że ona...

– Nasza matka nie żyje i chyba wszyscy zgodzimy się, że nie była dobrym modelem godnego zachowania.

Lizzie pociągnęła nosem.

– Pani Snowe mówi, że...

Ward przerwał jej znowu.

– Ruby, proszę, ubierz dzieci w najlepsze ubrania na powitanie księżnej.

– Włożę welon – zagroziła Lizzie.

Ward ujął jej zadarty buntowniczo podbródek.

– Obiecuję, że nie pozwolę, by ci go zabrała.

Podeszła bliżej i przytuliła się do niego. Podniósł wzrok i spostrzegł, że Ruby łaskawie obdarzyła go uśmiechem.

Na korytarzu uświadomił sobie, że oddałby prawie wszystko, byle nie schodzić do tego salonu. Słabo znał księżną wdowę Gilner. Po raz pierwszy skontaktował się z nią, pisząc list z informacją o dzieciach.

Od tej chwili ich relacje były coraz mniej przyjazne. Na przykład wtedy w herbaciarni, kiedy spojrzała na Eugenię i...

Potknął się i o mało nie wpadł na ścianę. Miał wrażenie, że próbował uszczelnić mur wokół zamku z piasku i właśnie wdarł się tam przypływ.

Prawda uderzyła go z siłą przypływu. Przecież wszystkie jego wyobrażenia o kobiecie, jaką powinien poślubić, o kobiecie, która będzie prawdziwą damą, były bzdurą. Głupotą.

Martwił się o to, czy Lizzie dobrze wyjdzie za mąż – ale czy naprawdę pragnął ją zmienić w odpowiednik księżnej albo lady Hyacinth? W osobę, która obgaduje i poniża innych. A Otisa w kogoś, kto ożeni się z bladą witką, taką jak córka lady Hyacinth?

Za żadne skarby tego nie chciał.

Wychowywać Lizzie i Otisa najlepiej pomogłaby mu kobieta, którą dzieci pokochały i która je również kochała: Eugenia.

Co ważniejsze, on ją kochał. Ponad życie.

To prawda, że ludzie pokroju księżnej traktowali ją z góry, ale tylko dlatego, że inteligencja pozwoliła jej przekroczyć ciasne ograniczenia ich sfery. Traktowali ją z góry, dręczyli ją...

Dokładnie tak samo jak on.

W jego sercu zapłonął żal, przenikając całe ciało. Tak właśnie odczuwa się rozpacz, chłodno podrzucił mózg.

Rozpacz. Miał wrażenie, że wszedł nagi prosto w zamieć i nabawił się odmrożeń, okrutnego bólu we wszystkich kończynach i przerażającej, rozpaczliwej pustki w sercu.

Z jego piersi wyrwało się zduszone łkanie. Do diabła, to było nie do wytrzymania.

Zranił Eugenię. Do szpiku kości. Przeczesał drżącą dłonią włosy i zmusił się, by iść dalej.

Nic, z tego co uważał za ważne, nie miało znaczenia. Wydawało mu się, że chce spokojną, szarą myszkę, ale wcale tak nie było. Eugenia łamała wszystkie zasady.

Zalecał się do Mii, poprosił ją o rękę, i dopiero teraz zrozumiał, że miała rację, odchodząc. Nie kochał jej wystarczająco.

Szczerze mówiąc, poczuł tylko lekką irytację na wieść, że podczas jego

nieobecności wyszła za księcia. Wtedy gratulował sobie dżentelmeńskiego zachowania i tego, że oddał narzeczoną innemu bez wybuchu przemocy.

Ale na samą myśl o Eugonii z innym mężczyzną ogarniały go nieopanowane emocje. Nigdy nie byłby w stanie zdobyć się na taką uprzejmość jak w stosunku do Mii i jej męża.

Musiał coś zrobić, znaleźć jakiś sposób, żeby to naprawić. Na pewno uda się wymyślić rozwiązanie, które pozwoli mu być z Eugenią, i jednocześnie nie narażać brata ani siostry na problemy w przyszłości.

Dotarł do szczytu schodów i ruszył w dół. Piękno, radość, inteligencja jarząca się płomieniem, zapach jeżyn, który należał wyłącznie do niej, okrzyki, które wydawała, gdy darzył ją rozkoszą...

Właśnie się przekonywał, że rozpacz przypomina trochę zapalenie płuc, na które chorował w dzieciństwie. Nogi ugięły się pod nim, a całą pierś przenikał ból.

Zmusił się, by skinąć głową lokajowi, czekającemu przy drzwiach salonu. Najpierw zobaczy się z księżną, a potem znajdzie sposób, żeby to wszystko naprawić. Tylko jeszcze nie wie jak.

Na pewno uda mu się być z ukochaną kobietą i zarazem nie stracić prawa do opieki nad dziećmi.

Babka przycupnęła na brzeżku krzesła, wpatrując się w zegar, który stał na kominku.

– Proszę wybaczyć, że nie od razu zszedłem powitać Waszą Wysokość.

– Czekałam godzinę i czterdzieści trzy minuty – odparła dama głosem, który mógł spokojnie służyć do mrożenia lodów u Guntera.

– Przepraszam – odpowiedział Ward. Usiadł bez zaproszenia, mając poczucie, że księżna chciała, by rozmawiał z nią na stojąco, jak karcony uczeń.

– Gdzie są dzieci? – zapytała z naciskiem, zaciskając dłonie na główce laski.

– Pokojówka za chwilę przyprowadzi je na dół.

Natychmiast to wykorzystała.

– Pokojówka! To nie zatrudnił pan guwernantki z Agencji Snowe?

– Panna Midge wyjechała, ale jutro przyjedzie nowa guwernantka.

– Kiedy wyjechała?

Miała takie same oczy jak Jarvis.

– Dwa tygodnie temu.

– Więc pan...

– Panna Midge odeszła bez wypowiedzenia i pani Snowe uprzejmie zgodziła się ją zastąpić, do chwili przybycia nowej guwernantki. Myślę, że zauważy pani wyraźną różnicę w zachowaniu dzieci.

– Będę zdumiona, jeśli pani Snowe udało się nauczyć Otisa ukłonów – odparła kwaśno dama. – To znaczy, że ona czasami pracuje jako guwernantka, tak? Hrabina Sefton będzie tym bardzo zainteresowana. – Pogarda w jej tonie ustąpiła satysfakcji, co Ward odczytał jako złą wróżbę na przyszłość. – Pewnie nie ma pan pojęcia, co chcę przez to powiedzieć.

– Muszę przyznać, że nie – odpowiedział. Babka uśmiechnęła się drapieżnie, jak rekin w kolidzie z perłą.

– Lady Sefton, jedna z patronek klubu Almacka, nie odebrała pani Snowe członkostwa, kiedy ta kobieta otworzyła swoją agencję, a powinna. Wszystkim wiadomo, że kobiety zajmujące się interesami nie są tam mile widziane.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę i delikatnie otarła nos.

Zanim zdążył obmyślić odpowiedź, która nie zawierałaby gróźb, do salonu weszli Lizzie z Otisem. No cóż, groźby i tak nie miałyby zastosowania, bo babka była osobą z rodziny i do tego starszą osobą. Mimo to do ostatniego oddechu broniły Eugenii i jej decyzji, by założyć agencję.

Podszedł przywitać się z dziećmi, co dało mu nieco czasu, by opanować gniew. Lizzie była bez woalki, a Otis bez Jarvisa.

Naturalnie oboje byli ubrani na czarno, ale blond włosy Lizzie błyszcząły, a buzia wyglądała zdrowiej niż przedtem. Miał wrażenie, że dzieci są czyściutkie, dobrze wychowane i nudne. Czyli, innymi słowy, doskonale wychowane.

– Panno Darcy, lordzie Darcy – powitała ich babka skinieniem głowy. – Wygląda na to, że pani Snowe jest zadowolającą guwernantką. Lordzie Darcy, twój ukłon był całkiem elegancki.

– Pani Snowe nie jest guwernantką – wtrąciła Lizzie.

Cienkie wargi księżnej napięły się jeszcze mocniej.

– Jest damą – wyjaśniła Lizzie.

– Dama powinna się zachowywać jak na damę przystało – odparła księżna pogardliwie. – Guwernantka uczy dzieci, jak się kłaniać, a dama tego nie robi. Poza tym dzieciom nie wolno się odzywać bez pozwolenia.

– Pani Snowe była tu w gościach – odpowiedział Otis, ignorując tę uwagę.

– Naprawdę? A kto to jest gość? Czy gość uczyłby was, jak się kłaniać?

Otis ściągnął brwi.

– Dama pozostaje damą, niezależnie od tego, co robi.

Ward uśmiechnął się. Otis miał rację.

– Ja mam inne zdanie – stwierdziła Jej Wysokość.

– Ojciec pani Snowe jest markizem, a zatem ona jest damą – odpowiedział Otis stanowczo.

Chwileczkę.

Ward uczepił się tego słowa myślami.

– Markizem? – powtórzył.

– Co więcej, dała mi pudełko, żeby Jarvis miał w czym spać – dodał chłopiec.

– A guwernantki nie dają prezentów.

Księżna spojrzała na Warda.

– Nie dziwię się pańskiemu niedowierzaniu. Rzadko się zdarza, by arystokratka stoczyła się tak nisko po drabinie społecznej. Zmarły mąż pani Snowe byłby oburzony. A jego ojciec, wicehrabia? Z pewnością przewróciłby się w grobie.

– Pokażę to pudełko! – wykrzyknął Otis. Odwrócił się ku drzwiom, zatrzymał, zwrócił się ku obecnym, skłonił i dopiero potem wybiegł.

– Żadna guwernantka nie dokona cudu w dwa tygodnie, ale pani Snowe jest kompetentna – orzekła Jej Wysokość. – Może zgodzi się przyjąć u mnie posadę, jeśli zaoferuję jej pensję trzykrotnie wyższą niż zwykle.

Ward ledwie zauważył, że Otis wybiegł z pokoju, bo w dalszym ciągu starał się uporządkować to, czego przed chwilą się dowiedział. Eugenia była córką markiza i wyszła za wicehrabiego. A może za syna wicehrabiego? Czy w związku z tym nosi tytuł lady? Może nie. Może jest tylko szanowną Eugenią Snowe.

Do diabła, sam nie wiedział. Nigdy nie zwracał uwagi na guwernantki, które

próbowały wbić mu do głowy te zasady.

Poza tym tytuł był bez znaczenia: wyraźnie postanowiła go nie używać. Ale dlaczego nic mu o tym nie powiedziała? Na przykład wtedy, gdy robił jej wyrzuty, że nie zachowuje się jak prawdziwa dama.

Nagle przypomniał sobie, że przecież spytała go, czy wie, że ona jest damą.

Odpowiedział, że tak, bo co miał wtedy powiedzieć?

Do jasnej cholery, dlaczego nie poszedł przez te lata choćby na parę spotkań towarzyskich? Może wtedy spotkałby Eugenię w jej środowisku. Znałby wtedy jej pozycję i nie zrobiłby z siebie durnia, zakładając, że jest byłą guwernantką.

– Nie zgadzam się – mówiła właśnie Lizzie w odpowiedzi na coś, co mu kompletnie umknęło.

Zmusił się, by ponownie skupić się na tej jadowej kobiecie, która nawet nie poprosiła jego siostrę, by usiadła. Próbowana zastraszyć Lizzie, ale Ward wiedział, że jej się to nie uda. Mała nie bała się niczego.

Oprócz śniętych ryb.

Była nieodrodną wnuczką swojej babki i doskonale potrafiła się jej przeciwstawić.

– Nie masz prawa mi się sprzeciwiać – wygłosiła księżna. – Jesteś dzieckiem, a zatem powinnaś milczeć i słuchać. – Uniosła rękę i dla podkreślenia stuknęła laską w podłogę.

Lizzie zmrużyła oczy.

– Teraz panią rozpoznaję!

– Mam taką nadzieję – odparła kwaśno jej babka.

Dziewczynka opadła na stojące naprzeciw krzesło. Jej drobne ciało zeszywniało, a na twarzy pojawił się gniewny grymas. Wyciągnęła rękę, zaciskając ją na gałce niewidzialnej laski.

Zanim ktoś zdążył jej przerwać, wydekłamała głosem niezwykle podobnym do arystokratycznego akcentu księżnej:

– „I niewinnego miej pozory kwiatka, ale bądź węzem, co się pod nim kryje”^[14].

Lizzie była o wiele lepszą aktorką, niż Ward myślał, choć to nie miało w tej chwili znaczenia. Twarz starszej pani wyrażała szok i chyba także ból...

– „...wiem, jak jest drogie przy matki łonie wiszące niemowlę” – recytowała dalej Lizzie. – „A przecie, gdy się uśmiechało do mnie, pierś bym wyrwała...”

Nagle uświadomił sobie, jaką postać odgrywa dziewczynka i z której to jest sztuki.

– Wystarczy – powiedział. – Lizzie, byłaś bardzo niegrzeczna. Natychmiast przeproś Jej Wysokość.

Lizzie skoczyła na nogi i dygnęła z wdziękiem.

– Przepraszam z całego serca, babciu.

– Czy to ma znaczyć, że Lisette odgrywała mnie na scenie? – spytała księżna głosem pełnym napięcia. – Swoją matkę?

Na szczęście w tym momencie wbiegł Otis i Lizzie nie zdążyła potwierdzić tej niemiłej prawdy. Ward nie za dobrze znał Szekspira, ale mimo to zorientował się, że to był fragment roli lady Makbet. Co więcej, kolejne wersy mówiły o tym, że lady wolała wybrać władzę niż życie własnego dziecka.

– Moja matka była niełatwą kobietą – usłyszał własny głos. – Wiem z doświadczenia, że lady Lisette często krzywdziła ludzi, a potem tego żałowała.

Księżna spojrzała mu w oczy, a potem odwróciła wzrok i po chwili ze zrozpaczonej, samotnej matki zmieniła się w wyniosłą, pełną pogardy arystokratkę.

– Mam to pudełko! – Otis wykorzystał chwilę ciszy, by podać babce legowisko Otisa.

Odsunęła się i zatrzepotała w powietrzu dłońmi odzianymi w rękawiczki.

– Podajesz mi przedmiot, którego przedtem dotykał szczur?

– Niech babcia patrzy, jakie jest ładne – powiedział Otis, otwierając wieczko.

– Pani Snowe dostała je od swojego taty, tego markiza, i dała mi je w prezencie. Guwernantki tak nie robią.

Nie do wiary! Wszyscy w tym cholernym domu wiedzieli o pochodzeniu Eugenii, tylko nie on. Sam był temu winny. Od początku zrobił założenie na temat jej wychowania i trzymał się go, zamiast dać wiarę własnym oczom i uszom.

W tym momencie zrozumiał, co oznacza informacja o pochodzeniu Eugenii.

Mogą spokojnie wziąć ślub. Przecież ona jest arystokratką. Już samo to

wystarczy, żeby zapewnić jego rodzeństwu przyszłość.

Jego serce zabiło radośnie i z trudem utrzymał powagę na twarzy.

– To pudełko jest okropne – zwróciła się księżna do Otisa. – Wyściółka cała w strzępach, a drewno chyba pogryzione. Stajenny dałby ci lepszy prezent.

– Tylko dlatego, że Jarvis ostrzy sobie na nim zęby – odpowiedział chłopiec niepewnie.

– A co to takiego? – zirytowała się Jej Wysokość, wskazując palcem na wnętrze wieczka. – Jakieś malowidło? – wyjęła pudełko z rąk chłopca i szarpnęła postrzępioną zieloną tkaninę.

– Odrywa babcia aksamit! – krzyknął Otis. – A dzięki niemu Jarvisowi jest tam dobrze i ciepło.

Księżna rzuciła skrawek tkaniny na podłogę.

– To obrzydliwe! Naprawdę dostałeś to pudełko od pani Snowe?

Wardowi udało się odciągnąć Otisa, żeby nie wyrwał babce pudełka.

– Nawet szczur nie powinien sypiać w pobliżu takiej zdeprawowanej sceny – stwierdziła dama. – Nie, nie pokażę ci jej.

Lizzie już stawała na paluszkach, żeby zajrzeć do środka, ale Jej Wysokość uniosła pudełko wysoko i podała je Wardowi.

– Mogę powiedzieć jedno na pana korzyść, panie Reeve – dodała. – Nie miał pan pojęcia, kogo pan przyjął pod swój dach. Wygląda na to, że pani Snowe jest o wiele bardziej wyrafinowana, niż to się wydawało większości z nas.

Oznajmiła to z taką zaciętą satysfakcją, że Ward zmrużył oczy. Spojrzał na wieczko i pośpiesznie zamknął je znowu, a potem zwrócił się do dzieci.

– Lizzie, Otis, pożegnajcie się proszę z babcią. Otis, znajdę ci nowe legowisko dla Jarvisa.

– Dobranoc, babciu – odezwała się Lizzie i dygnęła. Otis skłonił się, sztywny z urazy.

Odwrócili się, by odejść, ale księżna ich zatrzymała.

– Dzieci muszą się pożegnać ze wszystkimi dorosłymi w pomieszczeniu – stwierdziła zimno. – Włącznie z panem Reeve'em.

Otis odwrócił się, złapał Warda za rękę, ucałował ją i pobiegł do drzwi. Lizzie dygnęła.

– Dobranoc, najdroższy bracie – wydeklowała, lekko sepleniąc i przewracając oczami.

– Zmykaj, osiołku – odpowiedział Ward.

Kiedy upewnił się, że Lizzie odeszła, ponownie otworzył pudełko. Wewnątrz była barwna, doskonale oddana, pikantna erotyczna scena. Potrafił to ocenić, bo widział ich sporo. Nagi mężczyzna całował nagą damę poniżej pasa, podczas gdy ona pieściła się w tym miejscu. Zaokrąglone ciało damy oddano z wielkim upodobaniem, podobnie jak ogromny, zadarty fallus jej kochanka.

Eugenia na pewno byłaby wstrząśnięta, że nieświadomie dała Otisowi coś takiego. Szczerze mówiąc, mieli szczęście, że Jarvis dopiero teraz подарł ten aksamit, dzięki czemu chłopiec nie odebrał przedwcześnie lekcji sztuki miłosnej.

Zresztą to było mało ważne. Teraz należało jakimś sposobem postawić księżnę pod ścianą, tak by nie mogła zrujnować reputacji Eugenie ani złożyć skargi, gdy przyprowadzi ją na przesłuchanie jako swą narzeczoną.

– To było odrażające – stwierdziła Jej Wysokość i wstała, opierając się na lasce. – Słabo mi się zrobiło.

– Zapewniam księżnę, że pani Snowe nie miała pojęcia o tym, co kryje się pod wyściółką – powiedział. – Proszę, żeby to zostało w rodzinie, Wasza Wysokość.

– Odważa się pan bronić...

– Zawsze będę ze wszystkich sił bronił brata i siostry. Wiedza o tym obrazku wywoła komentarze najgorszego rodzaju. Nie zdziwiłbym się, gdyby te plotki skierowały się przeciw pani córce, a nie przeciw pani Snowe.

– Bzdura! Ma pan dowód w rękach!

– Rysunek przedstawiający erotyczną scenę w rękach bardzo młodego mężczyzny – powiedział Ward, mierząc ją twardym spojrzeniem. – Czy Wasza Wysokość rozumie, co mówię? Żadne z nas nie chce przypominać światu o seksualnych upodobaniach lady Lisette. Mój ojciec był od niej o wiele młodszy, jak księżna być może wie. Choć nie tak młody jak zmarły lord Darcy.

Księżna gwałtownie usiadła. Nastąpiła chwila milczenia, podczas której ostre linie wokół jej ust wyraźnie się pogłębiły.

– Nikt nie odważy się oskarżyć mojej córki o rozwiązłość, jaką pan sugeruje.

Ten chłopiec jest jej synem.

– Miejmy nadzieję, że księżna ma rację.

Pozwolił, by cisza przeciągnęła się znacząco.

– Nie ma żadnej potrzeby, żebyśmy na nowo poruszali ten odrażający incydent – oświadczyła księżna. – Fakt, że pani Snowe pracowała jako guwernantka, wystarczy, by wyłączyć ją poza nawias socjety. Powinno się to stać dawno temu.

– Nie – rzucił twardo i bezwzględnie. – Nie wolno pani wykorzystywać wiedzy o uprzejmości pani Snowe, żeby osłabić jej opinię u Almacka ani gdziekolwiek indziej.

Prychnęła.

– A jak zamierza mnie pan powstrzymać, panie Reeve?

– Kiedy skończyłem czternaście lat, odwiedziłem pani córkę. Podejrzewam, że lady Lisette nie opowiedziała pani o tej wizycie. A szczególnie o powodach mojego nagłego powrotu do Londynu, do domu mojego ojca. Prawda?

Skrzywiła się. Ledwie dostrzegalnie, ale pochwycił to drgnienie.

– Nie.

Ward posłał jej uśmiech, który wyćwiczył w najbardziej niebezpiecznym z brytyjskich więzień.

– Nie powiem nic na ten temat przed Izbą Lordów, Wasza Wysokość. Ale jeśli się dowiem, że księżna rozpuściła choć jedną plotkę na temat zajęcia mojej matki, dzieciństwa mojego rodzeństwa albo bezcennej pomocy pani Snowe, ujawnię szczegóły tej wizyty. – Przerwał. Księżna zacisnęła kościste dłonie na lasce, alemilczała.

– Pozwolę sobie streścić fakty – dodał. – Moje rodzeństwo wychowało się we Francji. Po tragicznej śmierci rodziców dzieci przebywały w Fawkes House pod opieką guwernantki z Agencji Snowe. Jeśli sąd dojdzie do wniosku, że lepiej byłoby, aby wychowywała ich babka ze strony matki, podważając w ten sposób życzenie lorda Darcy’ego, niech tak się stanie.

W salonie zapanowała taka cisza, że skrzywienie stawów w kolanach wstającej księżnej rozległo się jak strzał z pistoletu.

– Pożegnam się już.

– Czy to oznacza zgodę?

– Nigdy nie zniżyłabym się do plotek – stwierdziła, choć wszystkie fakty świadczyły inaczej.

Ward skłonił się. Czy tego chciał, czy nie chciał – a ona na pewno tego nie chciała – ta dama była jego babką.

– Następnym razem zobaczymy się w Izbie Lordów, panie Reeve.

Skłonił się po raz kolejny.

Księżna zatrzymała się w progu i spojrzała na niego z napięciem. Przez chwilę myślała, że zrezygnuje z walki o opiekę nad dziećmi.

– Kochała cię – powiedziała księżna.

Eugenia? Skąd ona mogła wiedzieć o uczuciach Eugonii?

– Moja córka nie panowała nad swoją naturą. – Pod eleganckimi sformułowaniami damy kryło się cierpienie. – Ale naprawdę cię kochała. Nigdy mi nie wybaczyła, że w niemowlęctwie oddałam cię ojcu.

Kompletnie zeszywniał, zaskoczony ukłuciem bólu, jakie wywołały jej słowa. Poznał lady Lisette, kiedy miał czternaście lat. Była zmienna: to urocza, to przerażająca.

– Rozumiem – odparł w końcu.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale chciałam ci uratować życie.

Przez moment czekała na odpowiedź, a potem uniosła podbródek i wyszła.

39

*Czwartek, 18 czerwca 1801
Fonthill, wiejska rezydencja Jema Strange'a,
markiza Broadham, i Harriet Strange,
lady Broadham, poprzednio księżnej Berrow*

Po drodze do rezydencji swego ojca Eugenia zajęła się pisaniem listów do Susan i wysyłaniem ich z miasteczek, które mijali po drodze. W pierwszym poinformowała ją, że mianuje ją szefową agencji. W drugim przełamywała opory Susan; znały się tak długo, że potrafiła sobie wyobrazić wszystkie jej argumenty. W trzecim sugerowała, żeby nowe szkolenie dla guwernantek obejmowało naukę podstaw pływania dla dzieci.

Naturalnie nie skupiała się wyłącznie na pracy; atrament okropnie się rozmazywał od łez. Dwie noce nie spała, wpatrując się w nieociosane belki sufitów przydrożnych oberży. Jej wzrok był pusty, podobnie jak serce.

Późnym popołudniem trzeciego dnia dotarła wreszcie do Fonthill. Okazało się, że w rezydencji bawi sporo gości. Nie było w tym nic dziwnego: przecież podczas jej dzieciństwa przyjęciom w domu nie było końca.

Harriet, jej macosze, udało się trochę ograniczyć entuzjazm ojca, który zapraszał do Fonthill tłumy inteligentnych, ciekawych ludzi, żeby całymi dniami, a nawet tygodniami cieszyć się ich towarzystwem. Po wielu latach udało jej się przekonać go do cichego, pogodnego, spokojnego rodzinnego życia.

Ale w dobrym małżeństwie zawsze idzie się na kompromis. Choć w Fonthill nie było już ani kurtyzan, ani szczurów, wciąż można tam było natrafić na ekscentrycznych, inteligentnych oryginałów, którzy cieszyli się przyjaźnią

markiza.

– Dziś będą dwadzieścia dwie osoby na kolacji – powiedział majordomo, zdejmując z niej pelisę. – Rodzice wielce się ucieszą na pani widok, pani Snowe. Jeszcze nie poszli się przebierać do kolacji. Znajdzie ich pani w małym salonie, jeśli chciałaby się pani z nimi przywitać.

– Dziękuję – odparła, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Kobieta, która na nią spoglądała, była wyraźnie zmęczona, ale nie zrozpaczona.

Mały salon był pełen powietrza i słońca, a za otwartymi drzwiami balkonowymi rozpościerał się trawnik. Niedokończona partia szachów na stole, robótka rzucona na krzesło i stosy książek dopełniały obrazu.

Gdy weszła, odwróciły się ku niej trzy osoby: Harriet, ojciec i ojciec chrzestny, ksiązę Villiers.

– Co się stało? – zapytał od razu ojciec, a ona podbiegła i padła w jego ramiona, wtulając twarz w koszulę.

– Nic – odpowiedziała w chwilę później, gdy trochę się pozbierała.

Po chwili tonęła w ramionach Harriet. Macocha zajrzała w jej oczy i szepnęła:

– Porozmawiamy o tym później, kochanie.

– Wasza Wysokość. – Eugenia złożyła dyg przed Villiersem.

– Eugenio – odpowiedział, pochylając się i całując jej dłoń.

Akcent miał tak samo uwodzicielski jak w młodości, choć gęste włosy pokryły się już siwizną, tym bielszą, że kontrastującą z ciemnymi brwiami.

– Kochana, wyglądasz po prostu cudownie. Moja księżna ucieszy się na twój widok jeszcze bardziej niż ja.

– Bardzo mi miło – rzuciła z uśmiechem.

Przyjaźnili się od czasów, gdy była przedwcześnie dojrzałą nastolatką, bez żadnych znajomych rówieśników.

Kiedys Villiers przywiózł do Fonthill Harriet, w męskim przebraniu. I tak go uwielbiała, ale gdyby nawet było inaczej, pokochałaby go za to, że w ich życiu zagościła jej przyszła macocha.

Ojciec otoczył ją ramieniem. Przytuliła się do niego, czując, jak serdeczne ciepło przenika ją aż do kości.

– Jak tam dzieci? – spytała.

– Koszmarnie – odpowiedział Villiers, na próżno usiłując ukryć dumę pod pozorem obojętności. – Mam nadzieję, że twój przyjazd oznacza, że postanowiłaś zrezygnować z nieustannej pracy w tej twojej agencji?

– Ja również – dodała Harriet.

– Już czas na nowe wyzwania – przytaknęła Eugenia. – Oddałam szefostwo mojej asystentce.

– Jesteśmy dumni z tego, że założyłaś tę agencję, ale już czas, żebyś zaczęła żyć własnym życiem – stwierdziła Harriet.

Ojciec objął ją mocniej.

– A konkretnie sami chcielibyśmy zajmować więcej miejsca w twoim życiu.

– A jeśli już mowa o agencji – wtrąciła Harriet – to zanim zajrzesz do pokoju dzieciennego, uprzedzę cię, że nasze dzieci ciągle tłuką się z dziećmi Jego Wysokości i nawet nasza wspaniała guwernantka z twojej agencji nie potrafi uciszyć burzy. Za każdym razem, gdy zbliżam się do pokoju dzieciennego, słyszę wrzaski.

– Mój najmłodszy syn czuje się osamotniony od czasu, gdy pastor uwiódł pannę Bennifer – wyjaśnił książę. – Wszystko odbyło się jak w wiejskiej komedii. Kiedy wreszcie dostaliśmy guwernantkę z twojej agencji, w okamgnieniu zabrał nam ją sługa boży.

– Chętnie zajrzę na pole bitwy – obiecała Eugenia.

Najpierw jednak musiała się przebrać na wieczór. Nikt nie wytrzymałby długo w towarzystwie księcia Villiers mając na sobie pogniecioną podróżną suknię.

W dodatku gorąco pragnęła udowodnić panu Edwardowi Reeve’owi, że jest największą damą w całej Anglii. Nieważne, że on był teraz w Wheatley.

„Z urodzenia”? Och, pokaże mu...

Myśl odpłynęła w niebyt. Ward przecież nie bywał na żadnych towarzyskich spotkaniach i pewnie nie będzie tego robił do czasu debiutu Lizzie, czyli przez kilka następnych lat.

Mimo wszystko i tak mu pokaże, co stracił. Znajdzie na to jakiś sposób.

W chwili gdy weszła do sypialni, Clothilde klasnęła w dłonie.

– Przyszły książę też przyjechał w gości!

– Kto taki? – spytała ostrożnie, gdy pokojówka zaczęła rozpinać suknię.

Przecież nie mogło jej chodzić o spadkobierców Villiersa, bo jeden był w Eton, a drugi w pokoju dzieciennym na górze.

– Wicehrabia Herries, najstarszy syn księcia Beaumont.

Dopiero po chwili zorientowała się, o kogo chodzi.

– Evan? Przecież on jest młodszy ode mnie!

Clothilde wzruszyła ramionami.

– Jest dorosły. Mężczyźni nie dojrzewają jak dobre wino. – Zgięła palec wskazujący. – Po czterdziestce do niczego się nie nadają.

Wykapana, odziana w jedwabie i dużo pewniejsza siebie, Eugenia zeszła na dół. W głównym salonie był tylko Villiers, odziany we wspaniały, popielatorudy surdut z beżowymi guzikami i czarnym obszyciem.

– Gdzie są wszyscy? – spytała.

– Utkwili w kuchni – odparł Jego Wysokość. – To wyłącznie twoja wina, jeśli chcesz wiedzieć.

– Ktoś upiekł ciasto! – wykrzyknęła radośnie.

– Moje dziecko przy kuchni – zadumał się Villiers. – To kompletnie niepojęte. Miejmy nadzieję, że ten wyrób da się strawić. Przejdziemy się trochę, moja miła?

Ruszyli powoli przez salę. Księżę wziął ją pod rękę.

– Kim jest ten szczęściarz, córeczko chrzestna? – zapytał.

Zaśmiała się, zaskoczona.

Villiers odwrócił się ku niej. W mądrych, grzesznych oczach też czaił się śmiech.

– Jak mógłbym nie zauważyć, że moja ukochana córka chrzestna odrzuciła żałobne szatki i znowu stała się kobietą?

Eugenia poczuła, że się czerwieni.

– To wyjątkowo nieodpowiedni temat do rozmowy.

– Tylko takie mnie interesują – odparł Villiers.

– Nazwisko nie ma znaczenia. Już się rozstaliśmy.

– Nazwiska zawsze mają znaczenie.

Do pokoju wszedł ojciec z Harriet, a za nimi grupka gości, razem z dziećmi.

Villiers szybko poprowadził ją w stronę kanapy.

– Chyba nie zamierzasz mnie obrazić, pytając, czy dotrzymam tajemnicy.

– Edward Reeve – odpowiedziała z westchnieniem.

– Ward Reeve? – Villiers uniósł brew. – Miał ciężki rok.

– Powiedziano ci o dzieciach?

Cisza. A potem Eugenia ciągnęła:

– Nic o nich nie wiem. Młody człowiek musi być bardzo pracowity, skoro zdążył już spłodzić nieślubne dzieci. Czy stało się to przez zaręczynami z tą młodą damą, która niedawno została księżną Pindar?

– Nie wyraziłam się wystarczająco jasno. Lizzie i Otis nie są jego dziećmi.

Opowiedziała mu o małżeństwie lady Lisette.

– Ta kobieta ciągle mnie zaskakuje – skomentował z dezaprobatą. – Czy dobrze rozumiem, że dzieci pojawiły się na jego progu, więc poprosił cię o guwernantkę?

Opowiedziała mu wszystko... no, prawie wszystko.

– Porządny chłop z tego Chatty’ego – powiedział, kiedy skończyła. – Ale mieliście szczęście, że właśnie gościł w parafii. Ta mała wygląda na nieodrodną córkę swej matki, choć miejmy nadzieję, że będzie mniej ekstrawagancka. Mówili ci, że o mało co nie ożeniłem się z Lisette?

Eugenia szeroko otworzyła oczy.

– To byłby koszmarny błąd.

– I to z wielu powodów.

– Lady Lisette zamiast Eleanor. To niewiarygodne. Nigdy bym na to nie wpadła.

Villiers zauważalnie zadygotał.

– Nie do pomyślenia. Czy to dzieci zniechęciły cię do Warda? Z trudem znoszę własne, więc współczuję ci z całego serca, jeśli załamałaś się na myśl, że będziesz wychowywać sieroty po Lisette.

– Doskonale wiem, jak kochasz tę swoją czeredę – odpowiedziała, biorąc go pod rękę. – Mnie nie oszukasz.

– Owszem, kocham – potwierdził księżę, jakby przyznawał się do grzechu. – Ale ciągle się brudzą, często cuchną, marudzą i nie okazują starszym szacunku.

– Bo w ich żyłach płynie krew Villiersa – odparowała, wybuchając perlistym

śmiechem. – To wszystko wyjaśnia, a nawet usprawiedliwia.

– W żadnym wypadku – odpalił Jego Wysokość. – Wiesz, co powiedział mi w zeszłym tygodniu mój potomek?

Rzeczony potomek, czyli panicz Theodore, miał jedenaście lat i wyglądał jak miniatura swego ojca, włącznie z aroganckim noskiem i kaśliwą inteligencją.

– Powiedział, że jestem za stary, żeby nosić fioletowo-brązowe stroje – wyjaśnił smętnie ksiązę. – Od kiedy to pewne kolory stały się wyłączną domeną młodzieży? Ten smarkacz ubiera się zresztą jak osiemdziesięcioletek. Wszystko ma czarne albo białe i wygląda jak szachownica.

– Rozumiem, że natychmiast zamówiłeś dla niego fioletowo-brązowe rękawiczki? I może jeszcze surdut do kompletu?

Kiedy Villiers się uśmiechał, zmieniała się cała jego twarz. Dopiero wtedy widać było wyraźnie, dlaczego męska część towarzystwa powinna się cieszyć, że był tak bardzo zakochany w swojej żonie.

– Moja droga Eugenio, jesteś geniuszem. Każę wziąć z niego miarę pod pozorem zamówienia kolejnego czarnego surduta.

– Szczerze mówiąc, byłabym szczęśliwa, mogąc matkować Lizzie i Otisowi – zwierzyła się.

– Więc co takiego zrobił ten dureń, że od niego odeszłaś?

– Nie chciał mnie – wykrztusiła.

Ksiązę spojrzał na nią z powagą.

– Zaczniemy od podstaw, moja droga. Jeżeli Ward nie ma upodobania do mężczyzn – w co wątpię – to musi cię pożądać.

– Spędziliśmy razem bardzo miłe chwile – odparła, siląc się na bez troskę. – Ale on teraz ma nowe obowiązki jako opiekun Lizzie i Otisa.

Przerwała. Dalsze wyznania były zbyt poniżające.

– Chodzi o tę cholerną hierarchię, prawda? – odgadł Villiers ze smutkiem w głosie. – Dopiero gdy moje dzieci zamieszkały ze mną, zrozumiałem, co to znaczy być bastarden. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z synów powiedział mi w gniewie, że wolałby się nie urodzić.

– Przykro mi to słyszeć.

– Mylił się – rzucił ostro Villiers. – Stare rody się sypią, a pieniądze zaczynają

budować nową hierarchię społeczną. Weźmy na przykład mojego najstarszego syna: Tobiasz zrobił fortunę i ożenił się z lady Xenobią. Ward też przecież zrobił fortunę na tej swojej prasie do papieru, prawda? Przypominam sobie, że jego ojciec był z tego dumny jak paw.

Eugenia skinęła głową.

– Nawet jeśli nie chce ożenić się z kobietą o wyższej pozycji niż on – rzekł książe ostro – powinien zrobić to ze względu na dzieci. Ten chłopak ma przecież tytuł.

– Szczerze mówiąc, jest odwrotnie. Ward uważa, że Agencja Snowe zniszczyła moją pozycję towarzyską. Uważa też, że utrata statusu damy zaszkodzi dzieciom, szczególnie Lizzie, kiedy przyjdzie czas, by ją wydać za mąż.

Villiers milczał chwilę, a potem ryknął śmiechem.

– Chyba sobie żartujesz.

– Zapewniam cię, że nie. Oczywiście, nie zna mojej pozycji. Myśli, że jestem byłą guwernantką, i oświadczył, że musi się ożenić z „damą z urodzenia”. Co ważniejsze, nie podoba mu się, że otworzyłam agencję. A ja popełniłam parę błędów, które utwierdziły go w tej opinii – dodała z desperacją. – Najgorsze było chyba to, że zabrałam Lizzie na jarmarczną prelekcję.

– Naprawdę? – Książe był zafascynowany. – Nie byłem na takim podejrzanym spotkanku od czasu dzieciństwa, kiedy fascynowało mnie, że mówią tam na głos „fiutach”.

– Nie słuchałam, o czym mówią – wyznała. – Nie miałam pojęcia, o czym to było aż do chwili, kiedy w domu Lizzie spytała Warda, co jest śmiesznego w tym, że w łóżku może się zmieścić dwóch mężczyzn i kobieta. Śmieję się do woli – rzuciła w odpowiedzi na parsknięcie księcia. – Ale Ward był wstrząśnięty. Pogadankę reklamowano jako wykład o chemicznym składzie wody, ale po jego wysłuchaniu Lizzie pytała tylko o „męską pianę”.

– Też bym się nieco rozgniewał – przyznał Jego Wysokość. – Ale mimo wszystko oznacza to, że Ward zmienił się w nadętego kutasa.

– Wcale nie! – odparła z przejęciem. Zaskoczyła ją własna gwałtowna reakcja. – Bardzo stara się utrzymać opiekę nad dziećmi w tej okropnej sytuacji.

Jest zdeterminowany, żeby zapewnić im życie w dobrym tonie.

– Jest synem lady Lisette – odezwał się Villiers po chwili zastanowienia. – Pewnie dlatego wymyślił, że powinien się ożenić z osobą o nieposzlakowanej opinii.

– Co za ironia – stwierdziła smętnie Eugenia. – Do chwili otwarcia agencji byłam najbardziej konwencjonalną osobą w towarzystwie.

Otarła spływającą po policzku łzę.

– Przez takie absurdalne rozumowanie o mało co nie zrobiłbym piramidalnego głupstwa, żeniąc się z Lisette. – Jego Wysokość westchnął. – Pomógł jej wstać i podał ramię. – Twój ojciec będzie się niepokoił, że daję ci jakieś szatańskie rady.

– A masz takie na zbyciu? – spytała, gdy ruszyli w stronę reszty towarzystwa.

– Oczywiście – przytaknął z przewrotnym błyskiem w oku.

– To powiedz mi, co mam robić – poprosiła, pragnąc usłyszeć, że ma wrócić do Warda i walczyć o swoją miłość.

Choć i tak by tego nie zrobiła.

– Przyjrzyj się bliżej młodemu Evanowi, synowi Beaumonta – poradził. – To ten przy drzwiach. Nudzi się, bo jeszcze nie wie o twoim przyjeździe.

Eugenia westchnęła.

– Jest młodszy ode mnie. Chcę mieć męża, który będzie przynajmniej w moim wieku.

– Nie rozmawiamy przecież o ślubie – sprostował spokojnie. – Jeszcze nie jesteś gotowa do małżeństwa.

Eugenia wydała lekki okrzyk.

– To niemoralne, Wasza Wysokość!

– Miałaś trochę pecha, moja miła, ale szczerze mówiąc, pierwszy mężczyzna w życiu wdowy powinien być antidotum na żalobę. Z tego, co mi powiedziałaś, Ward nieźle wywiązał się z tego zadania. Natomiast drugi powinien dać ci wyłącznie przyjemność. Dlatego proponuję Evana. Dopiero potem weź sobie trzeciego i wyjdź za niego za męża. W odpowiednim momencie podsunę ci kilku kandydatów pod rozwagę.

– Więc nie powinnam jeszcze szukać męża?

Villiers posłał jej uśmiech godny prawdziwie niemoralnego kawalera.

– I tak jesteś wdową, więc zostań przynajmniej wesołą wdówką.

– Jak to dobrze, że jesteś szczęśliwy w małżeństwie – zauważyła, ściskając jego ramię. – Gdyby nie to, natychmiast uległabym takiej perswazji, gdybyś tylko zechciał.

Prychnął pod nosem.

– Jesteś dla mnie za młoda, kochanie. Dziesięć lat między tobą a Evanem to pestka, ale nas dzieli przepaść nie do pokonania. Wiesz, że Evan doskonale jeździ konno?

– Nie – odparła.

– Zastanów się nad korzyściami płynącymi z regularnego, intensywnego wysiłku fizycznego – ciągnął z powagą, chociaż w oczach błyszczała mu wesołość. – Dzięki niemu ciało rozwija się w bardzo atrakcyjny sposób. Naturalnie jest też inteligentny. Grać w szachy nie umie za cholere, ale o medycynie wie aż za dużo.

– Skorzystam z zalecanej kuracji – powiedziała i pochyliła się, by pocałować go w policzek. – Jesteś najlepszym ojcem chrzestnym na świecie.

– Strasznie cię lubię, moja miła – odpowiedział Villiers. – Wszyscy pragniemy twojego szczęścia.

– Na pewno mi się uda – obiecała.

Zanim zbliżyli się do grupki gości po drugiej stronie salonu, Villiers zapytał:

– Rozumiem, że Ward zapoznał cię z zaletami kondomów?

– Owszem, tych z tasiemkami we wszystkich kolorach tęczy – odparła z uśmiechem na drżących wargach.

– W takim razie jesteś gotowa na poszukiwanie przygód – oznajmił z zadowoleniem, prowadząc ją prosto ku synowi Beaumonta.

Evan w niczym nie przypominał Warda.

Tamten był potężny, muskularny i pochmurny, a Evan wysoki, szczupły, o pogodnym, błękitnym spojrzeniu. Wstał na ich powitanie, pełen arystokratycznego, chłopięcego uroku, jak niegdyś Andrew.

Eugenia podała mu dłoń, którą ucałował. W jego oczach błyszczał niekłamany zachwyt.

Można było tylko mieć nadzieję, że przyszedł książę Beaumont będzie

przygodą, jaką pragnęła przeżyć.

Ward myślał tylko o jednym: musi zabrać Eugenię do domu, zanim ona spotka kogoś innego.

Potrzebował powozu. Natychmiast.

Szkoda, że rozstał się ze swoją wyścigową dwukółką, bo w niej na pewno dogoniłby Eugenię, która podróżowała jego wygodnym, obszernym powozem. W tej sytuacji musi mu wystarczyć stary powóz, który kupił razem z majątkiem.

Przecież powiedziała, że go kocha. Ale to spojrzenie w jej oczach, kiedy ją odesłał. To zrozpaczone spojrzenie...

Może już ją ktoś pociesza? Ktoś, kto nie jest bękartem z urodzenia i z zachowania?

Zacisnął zęby. Eugenia była jego. Zranił ją, ale zrobi wszystko, by uleczyć jej cierpienie. Trzeba tylko...

Jak bardzo trzeba zranić kobietę, żeby odwróciła się od kogoś na dobre?

Czy są rzeczy niewybaczalne?

Poszedł do pokoju dzieciennego pożegnać się z rodzeństwem.

Otis z zadowoleniem przyjął wyjaśnienie, że Ward jedzie po Eugenię.

– Zostanie z wami Ruby, a jutro albo pojutrze przyjedzie nowa guwernantka.

Ale aż nazbyt dojrzałe oczy Lizzie spoglądały na niego z powątpiewaniem, które mocno go otrzeźwiło.

– Jesteś pewny, że zechce z tobą wrócić?

Usiadł.

– Nie. Ale mam taką nadzieję.

Otis zrobił dla Jarvisa tunel z kołdry i wabił go tam kromką chleba.

– Dlaczego pozwoliłeś jej odejść?

– Bo nie byłem pewny, czy będzie dla was najlepszą matką.

– To głupie – odparł Otis, a Lizzie w tej samej chwili zdziwiła się: – Jak to: dla nas?

– Pomyliłem się.

– Uratowała mi życie – ciągnął Otis. – Jak na matkę przystało.

– Słucham?

– Kiedy skoczyłem do wody, przypląnęła po mnie i zanurkowała w te wszystkie wodorosty, chociaż nie lubi zanurzać głowy. To była wina Jarvisa.

Ward przełknął ślinę. A on oskarżył Eugenię, że pozwoliła Otisowi pływać na głębinie, co było równie absurdalne jak wszystko inne, co jej mówił.

– Jarvis sam się uratował – wyjaśnił Otis. – Przecież ci opowiadałem.

Ward nigdy nie pytał go o szczegóły tej niedozwolonej kąpieli, bo przez cały dzień walczył ze sobą, by nie myśleć o Eugenii. Nie chciał więc nawet wymieniać jej imienia.

– Uratowała ci życie – powtórzył.

– To nie znaczy, że będzie chciała tu wrócić, Otis – powiedziała Lizzie. – Tata też ci uratował życie, a potem...

Zamilkła.

Ward westchnął. Trzeba czasu, żeby te wszystkie historie wyszły na jaw. Tak mówiła Eugenia.

– Dajcie mi po buziaku, dzieci. I życcie mi szczęścia.

Otis podskoczył i objął go w pasie.

– Powodzenia! – zawołał.

Lizzie tak się nie spieszyła.

– Jeśli wróci, to czy zostanie naszą mamą? – zapytała.

Ward skinął głową.

– Mam taką nadzieję.

– Daj jej to. – Odwróciła się gwałtownie i wyciągnęła spod poduszki zwinięty w kłębek welon.

– Będę jechał przez całą noc, Lizzie, i wrócę dopiero za parę dni. Nie chcę ci

odbierać welonu.

– To mój prezent dla pani Snowe. – Zadarła uparcie podbródek i zacisnęła ząbki.

– Chcesz już skończyć żałobę po matce? – spytał łagodnie, bo uznał, że takie rzeczy należy mówić na głos.

– Coś ty. To nie jest żałoba po lady Lisette – odpowiedziała rzeczowo.

Nie odrywając wzroku od Jarvisa, który właśnie wychynął z tunelu i z triumfem zajadał chleb, Otis powiedział spokojnie:

– Zaczęła go nosić zaraz po śmierci taty.

Ward skrzywił się.

– Nie wiedziałem.

– Bo ci o tym nie mówiłam – odparła.

I podała mu welon.

Poniedziałek, 22 czerwca 1801

Fonthill

Następnego ranka po przyjeździe Eugenii zaczęły napływać odpowiedzi Susan. Pierwszy list był pełen przygnębienia, ale już w czwartym z radością przyjęła propozycję przejęcia agencji.

„Zawsze będę ci służyć wsparciem w potrzebie, ale muszę sobie znaleźć jakieś nowe wyzwanie” – odpisała Eugenia. Postanowiła wykraść monsieur Marcela i zostać jego sekretną współpracowniczką, otwierając elegancką cukiernię w Mayfair.

Wiedziała, że w ten sposób skomplikuje Wardowi życie, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

Jeśli chodzi o sprawy osobiste, Evan okazywał zainteresowanie, które jej niezwykle pochlebiało. Jego towarzystwo było całkiem interesujące i w innych okolicznościach może by ją to nawet skusiło.

Co tam romans, o którym wspominał Villiers... Miała poczucie, że jeśli choć trochę zachęci Evana, ten padnie na kolana i zapyta, czy zechciałaby zostać jego księżną!

Co więcej, udało jej się przetrwać cały dzień bez płaczu. Mogła to spokojnie zapisać na liście rzeczy, które jej się ostatnio udały. Nauczyła się pływać, miała romans, powstrzymała się od płaczu przez cały dzień.

Właśnie oczy ją znowu zapiekły, podważając ten ostatni sukces, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do sypialni weszła Harriet z naręczem migotliwego, różowego jedwabiu.

– Zobacz, co dla ciebie mam, kochanie – powiedziała, kładąc tkaninę na łóżku.

– Jaka cudowna! – wykrzyknęła Eugenia, mrugając, by odpędzić łzy.

– To paryski jedwab. Chcieliśmy ci ją dać na urodziny jako niespodziankę – ciągnęła macocha, siadając obok niej. – Ale stwierdziłam, że teraz jest lepszy moment na ten prezent.

– Jak, u licha, udało się wam ją uszyć bez przymiarek? – Suknia była zrobiona z ciężkiego jedwabiu, skrojonego tak, że opinał sylwetkę i był lekko rozkloszowany przy kostkach. Wierzchnia warstwa gazy była wyszywana w liście, które zwijały się jak gałązki winorośli w wiekowej, ręcznie ilustrowanej przez mnichów Biblii, którą ojciec przechowywał w bibliotece.

– Clothilde dała mojej krawcowej jedną z twoich ulubionych sukni na wzór. Kończyła ją w szalonym tempie przez ostatnie dwa dni. – Harriet podniosła suknię i przytrzymała obok włosów Eugeniei. – Idealnie pasuje do twojego kolorytu.

Weszła uśmiechnięta Clothilde.

– Czyż nie jest *délicieuse*, madame?

– Owszem – zgodziła się Eugenia. Gdyby Ward ją w niej zobaczył, zrozumiałby... Odrzuciła tę myśl od siebie. – Z czego są te drobne koraliki? – Przyjrzała się bliżej. – Ze srebra? Z czystego srebra?

Clothilde roześmiała się wesoło.

– Są jeszcze pantofelki, madame. Proszę spojrzeć!

Były całe mglistosrebrzyste, na obcasie, wyszywane w skomplikowany roślinny wzór z wierzchu.

Przeszywane takimi samymi srebrnymi koralikami.

– Ta suknia będzie świetnie pasować do diamentowego naszyjnika, który dostałaś od ojca na osiemnaste urodziny – stwierdziła Harriet z satysfakcją.

– Pewnie zaraz mi powiesz, kiedy mam ją pierwszy raz włożyć, prawda?

– Dziś wieczór! Wynajęłam niewielki zespół muzyczny i zaprosiłam sąsiadów – powiedziała Harriet i dodała z przekornym uśmiechem: – Evan nie będzie mógł oczu od ciebie oderwać.

– Ja wcale... – zaczęła Eugenia, ale Harriet już zmierzała ku drzwiom.

– Lokaje za moment przyniosą ci kąpiel, kochanie. Ja też muszę się przygotować.

– Nie uważasz, że diamenty na domowym przyjęciu to przesada? – spytała.

– Ten naszyjnik należał kiedyś do twojej prababki. Nie jest szczególnie wyszukany, ale ma wartość sentymentalną – odparła Harriet. – Twój ojciec będzie szczęśliwy, jeśli go założysz.

Eugenia wykąpała się i pozwoliła, żeby Clothilde uczesała jej włosy i lekko uróżowała twarz.

Co robili teraz Lizzie i Otis? Był już wieczór, więc pewnie siedzieli w pokoju dzieciennym i grali w warcaby z nową guwernantką. Może Ruby kąpała Otisa, a Jarvis chlapał się obok w miednicy.

Och, jakie to było koszmarnie głupie, takie głupie... Czuła pustkę w sercu, jakby straciła rodzinę, a nie kochankę.

A właściwie tylko znajomego.

Poczuła się lepiej, gdy włożyła suknię i jedwab zawirował wokół jej nóg, a diamenty zabłyśły na szyi i we włosach, bo Clothilde wpięła w nie diamentowe szpilki.

Wróciła do życia po śmierci Andrew, wróci do życia po rozstaniu z Wardem.

Evan czekał na nią na dole schodów. Zachwyt oraz zaskoczenie w jego oczach były całkiem satysfakcjonujące.

– Niesłychanie pięknie pani wygląda, pani Snowe – szepnął, całując jej dłoń w ukłonie.

– Proszę nazywać mnie Eugenią – zaproponowała i pozwoliła się poprowadzić do salonu.

– Moja kochana dziewczynko – powiedział ojciec. – Mam dla ciebie prezent, śliczna. – Wyciągnął coś z kieszeni.

– Och, jej – westchnęła, patrząc na migotliwe diamenty w jego dłoni.

– Kolczyki pasujące do naszyjnika – oznajmił, całując ją w czoło.

– Tato... – szepnęła, przełykając łzy, bo kto płacze, kiedy dają mu w prezencie diamenty?

Harriet stanęła u jej boku, śmiejąc się z radości i zachwytu, a potem pomogła je włożyć.

– Będą rzucać iskry w tańcu – powiedziała, a potem pochyliła się i szepnęła: – Uważaj, bo Evan zaraz padnie na kolana i zaproponuje ci pierścioneł do kompletu.

Ward miał zamiar dojechać do Fonthill o połowę szybciej niż Eugenia i dotrzeć tam w kilka godzin po niej.

Niestety, jego wiekowy powóz trzy razy utkwiał w błocie, a potem na stromym podjeździe złamała się ośka. Zostawił go w zajeździe pocztowym i wynajął drugi, który natychmiast pokrył się błotem.

Ward był już wtedy tak wykończony brakiem snu, że ledwie zaklął, kiedy dyliżans Royal Mail przetoczył się obok nich, trąbiąc donośnie.

Kiedy dotarł do majątku markiza Broadham, bolało go całe ciało. Drzwi otworzyły się natychmiast i majordomo o inteligentnej twarzy otaksował go wzrokiem od stóp do głów, a potem powiedział:

– Pan Reeve? Jestem Branson, sługa markiza.

– Czy my się znamy?

– Książę Villiers spodziewał się pana wczoraj. – Branson przepuścił go w drzwiach i dodał: – Markiza wydaje dziś wieczór bal. Czy będzie pan chciał przyłączyć się do towarzystwa, gdy odświeży się pan po podróży?

Ward wszedł do marmurowego holu oświetlonego kandelabrem z mnóstwem świec. Z lewej, przez duże podwójne drzwi, napływała skrzypcowa muzyka, światło i wysoki, kobiecy śmiech. To nie była Eugenia. Jej śmiech rozpoznałby wszędzie.

Tańczyli walca, co oznaczało, że jakiś mężczyzna obejmuje Eugenię... trzyma dłoń na jej talii.

– Chciałbym się zobaczyć z panią Snowe – powiedział z irytacją.

– Niestety, nie jest pan odpowiednio ubrany. – Wzrok lokaja prześliznął się po jego brudnym podróżnym ubraniu. – Natychmiast przygotuję dla pana kąpiel.

Ward zdjął płaszcz podróżny i podał go lokajowi. Buty miał całe oblepione błotem, bo kiedy powóz utkwiał w głębokiej kałuży, pomógł służbie go wypchnąć.

Pewnie czuć go było potem, albo i gorzej. Na spodniach miał ślady błota, którym ochlapały go koła ruszającego powozu.

– Proszę jej powiedzieć, że muszę się z nią natychmiast rozmówić.

– Jak pan sobie życzy. – Branson skinieniem głowy przywołał lokaja. – Roberts zaprowadzi pana do salonu.

– Zaczekam tutaj. – Całe jego ciało wibrowało z napięcia. Skrzyżował ramiona na piersi i zmierzył majordoma wzrokiem, w którym czaiła się przemoc.

Branson spoglądał czujnie, jak człowiek, który spotkał w życiu wielu szaleńców.

– Poinformuję jego lordowską mość, że życzy pan sobie rozmawiać z jego córką.

– Sam mu to powiem – odparł Ward i zanim majordomo zdążył go zatrzymać, otworzył na oścież drzwi do sali balowej i wszedł do środka.

Tańczyło tam ze dwadzieścia par.

– Spokojnie, Branson – odezwał się ktoś z tyłu. – Zaopiekuję się naszym gościem.

Majordomo się wycofał, ale Ward nawet jednym spojrzeniem nie zaszczyił księcia Villiers. Patrzył tylko na Eugenię.

Suknia spowijała ją migotliwym blaskiem od stóp do głów. Te cudowne kędziory, które nieraz rozrzucał na poduszkach, upięto w wysoką fryzurę, przetykaną błyszczącymi klejnotami.

Diamenty.

Oczywiście, że to były diamenty. Podobnie jak te, które iskrzyły się w jej naszyjniku.

Ale wszystkie te klejnoty blakły przy jej urodzie. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, przywiodła mu na myśl płomień: energia, inteligencja i uroda tworzyły ognistą kombinację, z którą nie mógł się równać żaden diament.

– Piękna kobieta, prawda? – odezwał się obok niego książę Villiers.

Akurat tego księcia lepiej było traktować uprzejmie, więc Ward skłonił się tylko, powitał go grzecznie i dalej obserwował tańczących.

– Edwardzie – powiedział Jego Wysokość z westchnieniem. – Szkoda, że twojego ojca nie ma w Anglii. Chociaż twoja macocha bardziej by się przydała.

Ward zignorował go, założył ręce na piersi i dalej patrzył na ich taniec.

Muzyka ciągnęła się w nieskończoność, ale kiedy tylko ucichnie, podejdzie do Eugenii, chwyci ją w ramiona i wyniesie na rękach z tej sali.

Nie, to byłoby zbyt prostackie.

Ale czuł się jak prymityw. Jakiś mężczyzna tańczył z jego kobietą, jego przyszłą żoną... jego całym światem...

– Ten człowiek, któremu posyłasz mordercze spojrzenia, to wicehrabia Herries, przyszedł książę Beaumont – powiadomił go Villiers sardonicznym, rozbawionym głosem. – Tańczy ze swoją przyszłą żoną.

Jego słowa trafiły Warda jak grom. Prędzej zginie, niż Eugenia wyjdzie za księcia, przyszłego księcia albo kogokolwiek innego niż on sam.

– Myli się książę.

– Pasują do siebie inteligencją. Pewnie słyszał pan, że młody wicehrabia studiuje medycynę pomimo swej pozycji? A ich rodzice serdecznie się przyjaźnią ze sobą.

Ward przyglądał się partnerowi Eugenii. Był równie przystojny jak jego ojciec, książę Beaumont. Miał regularne rysy, w odróżnieniu od mocnej szczęki i złamanego nosa, jakimi on sam mógł się poszczycić. Pewnie jest starszy, niż na to wygląda, nawet jeśli studiuje medycynę.

Ward patrzył, jak wicehrabia mocniej objął ją w talii i zawierowali w walcu. Odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. Widać było wyraźnie, że partner jest nią zauroczony. Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

Kilka młodych dziewcząt stojących pod ścianą chichotało w kułak, obserwując ten taniec.

Do diabła, instynkt dobrze mu podpowiadał.

Przyszły książę zatoczył kolejny krąg. Eugenia śmiała się serdecznie. Wirowali dalej, o mało co nie wpadając na jedną z dziewcząt. Pisnęła, a Eugenia rzuciła jej przez ramię żartobliwe przeprosiny.

– To i tak się nie liczy – warknął Ward do Villiersa.

– Arystokraci z urodzenia – odparł marzycielsko książę.

Ward skojarzył ten zwrot i wybuchnął:

– Powiedziała to księciu?

– Przecież jestem jej ojcem chrzestnym – odparł Villiers ostro. – Dlaczego

miałaby przemilczeć obelgę, którą zranił ją zadufany w sobie półgłówek? – Villiers nie złagodniał z biegiem lat. W dalszym ciągu był drapieżnikiem.

Choć Ward nigdy...

– Można powiedzieć, że jestem również twoim ojcem chrzestnym – dodał Jego Wysokość. – Mało brakowało, a ożeniłbym się z twoją matką. Twój ojciec o mało co nie zabił mnie w pojedynku, więc w sumie można to uznać za więzi rodzinne.

Muzyka wreszcie zaczęła zwalniać.

– A ponieważ łączą nas więzi rodzinne, to mogę ci otwarcie powiedzieć, że Eugenia znajdzie w Evanie mężczyznę, który będzie ją szanował i podziwiał. Mężczyznę, którego matka, księżna Beaumont, jest powszechnie kochana i ceniona za swój urok, inteligencję i kulturę.

– Nie zawsze tak było – odpowiedział. To był mizerny argument: fakt, że Beaumontowie przez wiele lat żyli osobno, był niczym w porównaniu z wyczynami jego matki.

– Księżna Beaumont w niczym nie przypomina lady Lisette – odpalił Villiers i miał rację. – Co więcej, gdyby Jem, czyli markiz Broadham, a zarazem gospodarz tego domu, wiedział, że jakiś mężczyzna odrzucił jego córkę, zarzucając jej, że jest bezwartościowa, po prostu by go zabił. Eugenia przezornie nie ujawniła mu tego szczegółu.

– Czy księżę radzi mi, żebym wyjechał? – Ward nawet nie spojrział na swego rozmówcę. Eugenia właśnie składała dworski dyg swemu partnerowi, który ucałował jej dłoń.

– Zauważyłeś, że Evan zgiął nogę pod idealnym kątem? To urodzony księżę – zadumał się Villiers. – A jak tam twoje ukłony? O ile się nie mylę, rzadko bywasz.

Ward zacisnął pięści. Miał tego dość.

Ruszył naprzód, aż dwie dziewczyny rozstały się spłoszone. Obszedł ustawione w półkole krzesła i wszedł na jasno oświetlony parkiet.

Wicehrabia nie puścił jej ręki po pocałunku. Ward poczuł się, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody, gdy spostrzegł, że chłopak jest raczej za młody na męża dla Eugonii, ale z pewnością może być przyjacielem – takim, z którym

dzieli się intymne chwile, jak sam to bezczelnie tłumaczył Eugenii parę tygodni temu.

Jego buty łomotały po parkiecie. Wszyscy zwrócili się ku niemu. Bez wyjątku.

Eugenia również. Wydawała się jakby trochę bledsza, ale nie odezwała się ani słowem. I nie puściła ręki Evana.

– Edward Reeve? – Przy jego ramieniu pojawił się markiz Broadham. Spozregł jego nieporządny wygląd i zapytał z niepokojem: – Czy coś złego stało się z twoimi rodzicami?

Pokręcił głową.

– Przyjechałem zobaczyć się z Eugenią.

Markiz ściągnął brwi, gdy Ward nazwał jego córkę po imieniu. Ward dostrzegł kątem oka, że markiza kładzie dłoń na ramieniu swego męża.

Nikt się nie odzywał.

Słyszał oddech Eugenii, która spoglądała wprost na niego. Szukał słów i nie mógł ich znaleźć, patrząc, jak jej pełne wargi zaciskają się w cienką kreskę. W końcu to ona się odezwała, niezwykle uprzejmym tonem. Tak jak obiecywała podczas jej ostatniej okropnej rozmowy.

– Czym mogę panu służyć, panie Reeve? Mam nadzieję, że dzieci dobrze się czują?

Zignorował konwencjonalne uprzejmości, które zresztą nigdy nie miały dla niego znaczenia.

– Przepraszam – powiedział. – Tak bardzo mi przykro, Eugenio.

Eugenia w jednej chwili zrzuciła maskę uprzejmości – i jednocześnie puściła dłoń Evana. Skrzyżowała ręce na piersiach, a policzki jej poróżwiały.

– Naprawdę? Za co mianowicie mnie przepraszasz? – spytała groźnie.

Z tyłu jakaś kobieta zaczęła wyprowadzać wszystkich z sali, włącznie z przyszłym księciem. Ward poczekał, aż zostaną jedynie Eugenia, jej ojciec i macocha. I oczywiście Villiers, który oparł się o ścianę i czał się jak jakiś cholerny jastrząb.

– Przepraszam za wszystko, co powiedziałem.

– Włącznie z sugestią, że nie jestem w wystarczającym stopniu damą, żeby

wychowywać Lizzie i Otisa?

Markiz drgnął gwałtownie.

– Tak – potwierdził Ward. – Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

– Nie moglibyście – warknął jej ojciec. – Daję panu trzy minuty, i to tylko z szacunku dla pańskich rodziców.

– Nic się przecież nie zmieniło – odparła Eugenia, wbijając wzrok w jego twarz. – W dalszym ciągu prowadzę Agencję Snowe i to ja zabrałam twoją siostrę na jarmarczną prelekcję, nie wspominając o tym, że uczyłam ją kłąć.

– Myliłem się, i to strasznie. Byłabyś cudowną matką dla tych dzieci – odpowiedział, ignorując tę wyliczankę. Widział jednak, że te słowa niczego nie zmieniły.

– Lizzie ci to przysłała. – Wyciągnął z kieszeni pomięty kłęb czarnej koronki i włożył jej do rąk. – Otis chciał przysłać ci Jarvisa, ale mu to wyperswadowałem. One cię potrzebują, Eugenio. – Zawahał się, a potem spojrzał jej prosto w oczy, wyrażając spojrzeniem całą swoją miłość i namiętność. – Ja też cię potrzebuję.

Spojrzała na welon i jej wzrok nieco zmiękł.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Księżna Gilner...

Eugenia przerwała mu, a jej wzrok stwardniał jak stal.

– Powiedziała ci.

– Co takiego mu powiedziała? – spytał markiz lodowatym tonem.

– Pani Snowe, właścicielka agencji, nie była dość dobra, by zostać żoną Warda – wyjaśniła Eugenia. – Brakowało mi instynktownego obycia, aby wprowadzić jego podopiecznych w towarzystwo.

Markiz postąpił o krok i wybuchnął:

– Czyś ty zwariowała, do cholery?!

– Kiedy tylko Ward dowiedział się, kim jestem, zmienił zdanie – ciągnęła, mierząc go płonącym spojrzeniem. – Nagle nadaję się, by matkować dzieciom, które Lisette tak bardzo zaniedbywała.

Ward ledwie zarejestrował, że markiza odciągnęła swego męża w drugi kąt sali.

– To nie tak, Eugenio. Nie mogę bez ciebie żyć.

– Jakoś ci się to udawało do chwili, gdy zorientowałeś się, że moje pochodzenie może pomóc Lizzie i Otisowi. I podczas posłuchania w Izbie Lordów w sprawie opieki nad nimi. – Jej głos rozchodził się echem po pustej sali.

Nienawidziła go.

Przewidywał, że trzeba będzie pokonać różne trudności, ale jednego się nie spodziewał.

Jej nienawiści.

Mimo wszystko słowa popłynęły same, przez pustkę, która otwarła się w jego sercu:

– Kocham cię, i to nie ma nic wspólnego z twoim pochodzeniem.

– Ale moją miłość rzuciłeś mi w twarz, bo nie zachowywałam się jak dama i nie okazywałam posłuszeństwa. I to też nie ma nic wspólnego z moim pochodzeniem. Ja taka jestem. Na pewno coś do mnie czujesz, ale to nie jest prawdziwa miłość.

– Nieprawda. Kocham w tobie wszystko, to wszystko co nagle zniknęło z mojego życia, kiedy tylko przeszedłeś przez próg – powiedział chrapliwie. – Twoją radość życia, energię, umiłowanie życia: całą siebie.

Przez chwilę zaczął mieć nadzieję, bo dostrzegł, że się zawahała. Przymknęła oczy, więc ruszył ku niej. Ale potem spojrzała na niego twardo, zdecydowanie.

– Wiem, że miałaś jakieś powody, ale nie ma to już znaczenia. Oceniałeś mnie, uznałeś, że się nie nadaję, i odesłałeś mnie precz jak uliczną żebraczkę, która błaga o ćwierć pensa. Nigdy nie zapomnę tej pogardy i tego, że mnie przegnałeś – odpowiedziała. – A teraz odejdz, proszę.

Była królową, od stóp do głów. Od tych roziskrzonych diamentów po fantazyjne pantofelki.

– Mimo wszystko pomogę ci przy debiucie Lizzie, kiedy nadejdzie czas.

Otworzył usta, ale uciszyła go uniesieniem ręki.

– Przyjechałeś tutaj, bo dowiedziałeś się, jaką zajmuję pozycję, Ward. Dlaczego mam się wiązać z kimś, kto ceni mnie tylko ze względu na pochodzenie? Nie mogę tego zaakceptować – tak samo, jak ty nie akceptujesz osób, które pogardzają tobą ze względu na twój status.

Wcale tak nie było. Ale on – człowiek, którego nigdy nie zawiodła elokwencja – teraz nie umiał znaleźć słów wyjaśnienia.

– Zbyt łatwo oddałam ci serce – mówiła dalej. – Ale odzyskam je równie szybko. Następnym razem wybiorę kogoś, kto doceni moją wartość – i wcale nie chodzi mi tu o pozycję.

W głowie huczały mu usprawiedliwienia i wyjaśnienia. Lizzie i Otis byli tacy mali i tacy udręczeni. Oddałby wszystko, byle tylko odbudować ich dzieciństwo.

Tylko że jak ostatni dureń oddał jedną, jedyną rzecz, która mogłaby dać im szczęście.

Nie było sensu się jej sprzeciwiać. Miała rację. Mówiąc, że szuka damy z urodzenia, rzeczywiście miał na myśli, że nie jest dość dobra.

Dla niego. A także dla Lizzie i Otisa.

– Zabierz go z powrotem – powiedziała, podając mu welon, jakby nie miał żadnego znaczenia.

– Zatrzymaj go, proszę – odparł zgrubiałym głosem. – Lizzie dała ci go w prezencie.

Pokręciła głową

– Dzieci często zmieniają zdanie, gdy utracą przedmiot, który jest dla nich ważny. Lizzie ucieszy się, kiedy go jej oddasz, bo ten welon przypomina jej tatę.

– Wiedziałaś, że nosiła go ze względu na ojca?

Zmieszał się. Otis wiedział, że Eugenia jest córką markiza. Eugenia wiedziała, że Lizzie nosi żałobę po ojcu, a nie po matce.

Jakim cudem spodziewał się, że mu się uda ją odzyskać pomimo wszystkich błędów, jakie popełnił?

Diamenty na szyi Eugeniei przesuwały się po nagiej skórze do wtóru jej ruchom.

– Po prostu zacznij zadawać pytania – odpowiedziała, odgadując, co go dręczy. Ona zawsze znała jego myśli, jak nikt na świecie. – Wtedy wszystko ci sama powie.

Ward skinął głową.

Potem przekroczył próg i odszedł w ciemność.

42

Eugenia zmusiła się do uśmiechu.

– Pamiętam takie dramaty z dzieciństwa.

Żadne z trójki jej rozmówców nie odpowiedziało uśmiechem. Książę Villiers był rozczarowany, macocha zaniepokojona, a ojciec wściekły.

– Miałaś romans z Edwardem Reeve'em? – warknął.

Znowu ogarnęła ją wściekłość. Krzyknęła:

– A co cię w tym szokuje?! Nic dziwnego, że osoba wychowana w tym domu wzięła sobie kochanka!

Cierpienie w jego wzroku, jej gniew, który targał całym ciałem... nie mogła już tego znieść.

Wybuchnęła płaczem.

– Wcale tak nie myślę – łkała w ramię swojej macochy. Jej uścisk był ciepły i kojący.

– Wiem – szepnęła jej do ucha. – Wszyscy cię dobrze rozumiemy, kochanie.

– Ja nie – wtrącił uparcie jej ojciec, ale zamknął usta, gdy żona posłała mu znaczące spojrzenie.

– Chcę już iść do siebie – powiedziała Eugenia po chwili.

– Zobaczmy się z Eugenią jutro rano – powiedziała Harriet do mężczyzn. – Wtedy opowie nam o swojej przygodzie. Tyle ile zechce, jeśli w ogóle zechce.

W sypialni udało jej się zachować spokój do chwili, gdy Clothilde zdjęła z niej diamenty, zwiewny jedwab, pantofelki i bieliznę. Cały czas miała wrażenie, że własny oddech pali jej płuca. Dlaczego oddychanie nagle stało się takie bolesne?

Kiedy Clothilde wreszcie wyszła, Eugenia padła na łóżko i zalała się łzami.

Czasami życie nie daje nam tego, co byśmy chcieli. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie każdemu było dane dzielić życie ze swą prawdziwą miłością. Nie każdy był otoczony troską, podziwem i opieką.

Wszystko było skończone.

Nie dlatego, że Ward chronił Lizzie i Otisa, ale dlatego, że ona musiała to zrobić. Nigdy nie byłaby z nim szczęśliwa, pamiętając, że kiedyś uważał ją za niegodną siebie. Dopóki nie dowiedział się prawdy o jej pochodzeniu.

Ostatnią rzeczą, której potrzebowały te dzieci, był kolejny nieszczęśliwy dom. Podejrzewała, że małżeństwo Lisette szybko się posypało.

Ward nie kochał prawdziwej Eugenie – tej, która otworzyła agencję, planowała otworzyć cukiernię, myślała o wydaniu książki kucharskiej.

Choćby obdarzyła go nie wiem jaką miłością, w końcu złamałby jej serce. W czasie małżeństwa z Andrew dostosowała się do jego wymagań, ale wtedy była młoda. Tu nie chodziło o barwne suknie. Nikt nie mógł zmienić faktu, że założyła swoją agencję. Zresztą wcale tego niechciała.

Uczucie samotności przeniknęło ją do szpiku kości. A przecież Ward wszedł w jej życie ledwie przed miesiącem czy też dwoma.

Przecież ludzie się tak szybko nie zakochują.

Z wyjątkiem jej samej. Najpierw w Andrew, a potem w Wardzie.

Ktoś cicho zastukał do drzwi i rozległ się głos jej ojca.

– Mogę wejść, Eugenio?

– Oczywiście – odpowiedziała. Wstała i włożyła szlafrok, a potem podeszła do drzwi, by go wpuścić.

Ojciec wziął ją w ramiona. Przez osiem lat mieli tylko siebie i choć całym sercem kochała Harriet, ojciec był dla niej prawdziwym oparciem.

Po śmierci Andrew ojciec przywiózł ją do domu prosto z pogrzebu i zajmował się nią przez długie tygodnie. Zmuszał ją, by wstawała z łóżka, karmił ją grzankami, bo nie chciała jeść nic innego. Harriet i przyrodnie rodzeństwo odwiedzali ją czasami, ale on zawsze był przy niej.

– Ten człowiek to szmata – powiedział gniewnie, dotykając policzkiem jej włosów.

– Zapomniałeś już, że kiedyś też nie uważałeś Harriet za damę? – spytała.

– Moja przyszła dama przyjechała w męskiej odzieży i doskonale się czuła w tej roli. Żadna znana mi księżna nie potrafi tak przekonywająco wyglądać w spodniach jak ona.

– Bo żadna księżna nie chodzi w spodniach – wytknęła mu Eugenia.

– Moja żona czasem je wkłada – z satysfakcją wyprowadził ją z błędu. Potem objął ją mocniej i zaczął kołysać. – Po prostu chcę, żebyś była równie szczęśliwa jak my. Pewnie spotkam się z jego ojcem podczas debaty nad tym wnioskiem księżnej pod koniec miesiąca. Powiem mu wtedy, jakiego durnia się dochował.

– Hrabia z hrabiną są teraz w Szwecji na misji dyplomatycznej – wyjaśniła Eugenia, nieelegancko pociągając nosem. – Tato, naprawdę musisz pojechać do Londynu i zagłosować przeciwko jej petycji. Proszę cię. Księżna Gilner to wiedźma i chce wychowywać dzieci tylko dlatego, że urodziły się w małżeństwie, a Warda pozbyła się z domu, kiedy tylko się urodził.

– Oczywiście, że pojedę. – Podał jej śnieżnobiałą chusteczkę.

– Będą wstrząśnięci twoim widokiem, prawda?

– Kto?

– Ci wszyscy lordowie... Rzadko bywasz w Izbie, prawda?

– Wcale nie – odpowiedział z urazą. – Zawsze tam bywam, kiedy nie mam nic lepszego do roboty.

Eugenia odsunęła się od niego.

– Kocham cię, tatku,

Ujął jej twarz w dłonie.

– Jesteś najpiękniejsza i najmądrzejsza ze wszystkich swoich rówieśniczek w całej Brytanii. Jeśli ten młody dureń tego nie widzi, nie jest wart jednej twojej łzy.

– Dziękuję – odpowiedziała ze smętnym uśmiechem.

Poniedziałek, 29 czerwca 1801
Beaumont House
Londyńska rezydencja książąt Beaumont
Kensington

Ward zawsze wiedział, że jego ojciec jest wpływowy, ale nie zdawał sobie sprawy, ilu przyjaciół ma hrabia, dopóki nie rozejrzał się po sali balowej Beaumont House. Z powodu nieobecności jego rodziców dowództwo batalii przeciwko petycji księżnej objął brat jego macochy, książę Beaumont.

W sali było trzech książąt. A nawet czterech, bo właśnie wszedł książę Pindar, prowadząc pod ramię swoją żonę, czyli byłą narzeczoną Warda. Trzech z nich było przyjaciółmi ojca, jeden jego własnym.

W drugim końcu sali grał kwartet i kilka par tańczyło kadryla. Książę i księżna Fletcher tańczyli skandalicznie blisko siebie. Gdyby Jego Wysokość choć odrobinę opuścił głowę, pocałowałby swoją żonę.

Za to książę Cosway, jeden z najbliższych przyjaciół ojca, wyraźnie sprzeczał się ze swoją żoną. Ward znał ich wystarczająco długo, by wiedzieć, że ich spory są jak pocałunki, czyli preludium do intymnych chwil.

Wizja przyszłości wraz z Eugenią przemknęła mu przez głowę. Marzenie o tym, by za dwadzieścia lat tańczyć z nią i sprzeczać się tak jak kiedyś, paliło go żywym ogniem. A jednocześnie ogarnął go martwy spokój.

W tym momencie najważniejsze były dzieci.

Kiedy skończy się sprawa w Izbie Lordów, przyjdzie czas na Eugenię.

Te cztery słowa huczały mu w głowie, w ich rytmie spał i jadł. Pragnienie, by

być wreszcie z Eugenią, dręczyło go nieustannie i tylko żelazna wola nie pozwoliła mu wrócić na wieś, by porwać ją z jej sypialni.

Powtarzał sobie, że gdy zostanie mu ostatecznie przyznana opieka nad dziećmi, przekona ją o swej miłości i szacunku. Ponieważ opiekę tę zdobędzie bez jej poparcia, nie będzie myślała, że Ward chce być z nią wyłącznie ze względu na dzieci.

Stale przypominał sobie puste, zrozpaczone spojrzenie jej oczu i za każdym razem przeszywał go taki ból, jakby ktoś postrzelił go z pistoletu.

Na myśl o tym, jak tańczyła z młodym Beaumontem, a może nawet z nim spała, w jego głowie rozlegał się ryk desperacji. Nomen omen, w momencie gdy pomyślał o młodym księciu, jego ojciec pojawił się przy nim.

– Panie Reeve, chciałbym przedstawić panu lorda Bishella, który właśnie niedawno uzyskał tytuł...

Ward skłonił się i uśmiechnął, gdy przedstawiono go kolejnemu człowiekowi, któremu dano do wyboru – albo zagłosuje przeciwko petycji księżnej, albo ściągnie na siebie furię Beaumonta. A księżę Beaumont był najpotężniejszym członkiem Izby Lordów.

Ward zaczął sobie uświadamiać, że jego babka była w wielkim błędzie, myśląc, że uda jej się zebrać wystarczająco dużo głosów, by wygrać. Mimo że wiedziała, jak funkcjonuje społeczeństwo, mimo że życie napełniło ją goryczą, postanowiła rzucić wyzwanie najpotężniejszemu stronnictwu arystokracji w całej Anglii.

Wardowi zrobiło się autentycznie przykro. Dożyła chwili, gdy jej córką gardziła całą Anglią. Lady Lisette ani razu nie odwiedziła jej przed śmiercią. A teraz jedyni członkowie jej rodziny będą wychowywani przez swego przyrodniego brata – bękarta.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny. Choć Ward wiedział, że to niemożliwe, odwrócił się ku nim, mając nadzieję, że pojawią się markiz i markiza Broadham wraz z córką Eugenią.

Ale lokaj Beaumontów zapowiedział:

– Jej Wysokość, księżna Villiers. Jego Wysokość, księżę Villiers.

Villiers był zbyt wyrafinowany, by zatrzymać się w drzwiach, tym bardziej że

nigdy nie musiał tego robić. Jego nazwisko przykuwało powszechną uwagę. Był znany z barwnych strojów, ale tego wieczoru włożył ciemnośliwkowy surdut bez żadnych haftów.

– Leo, co ty wyprawiasz, do licha? – spytała gospodyni. – Wyglądasz, jakbyś przyszedł na pogrzeb.

Księżę skłonił się zamasyście.

– Wszystko przez moje włosy – wyjaśnił. – Siwe włosy i czarne brwi. Zapewniam cię, Gemmo, że w tej sytuacji wkładanie barwnego surduta przypomina przyodziewanie stracha na wróble w atłasy.

Jej Wysokość ucałowała księżną Villiers.

– Jak się czujesz, kochana? Słyszałam, że Theo spadł z konia i złamał rękę.

– Do wsi przyjechał Wędrowny Cyrk Taggerty’ego – stwierdziła księżna z rozbawieniem. – Naturalnie po przedstawieniu Theo uznał, że też uda mu się stanąć na grzbiecie swego wierzchowca.

Ward podszedł do nich.

– Wasza Wysokość – powiedział, całując dłoń księżnej Villiers. Potem skłonił się jej mężowi. – Jestem wdzięczny za wasze poparcie.

– To brzmi, jakbyś prowadził kampanię wyborczą – zauważył księżę, unosząc brew. – Czy rozdajesz też kubeczki na pamiątkę?

– Nie – odparł spokojnie Ward.

– Można by na nich wypisać jakiś slogan. Na przykład „Każdy dureń jest mądry, póki się nie odezwie” – stwierdził księżę.

Trudno byłoby powiedzieć to z większą urazą.

– Przestań marudzić – odparła gospodyni, biorąc Villiersa pod ramię. – Muszę pokazać ci ofensywną kombinację, której się właśnie nauczyłam: wymaga poświęcenia zaledwie trzech pionków.

Uśmiechnęła się do żony Villiersa i odciągnęła go w stronę szachownicy, czekającej w rogu sali. Tylko u niej – i być może także u Villiersów – można się było spodziewać takich atrakcji w salonie.

Ward odwrócił się do księżnej Villiers, niezwykle pięknej kobiety, której włosy wciąż mieniły się złotem, mimo że wychowała ósemkę dzieci, z czego sześcioro było bękartami jej męża. Oboje z mężem wzięli całą gromadkę na

wychowanie pod swój dach.

– To oznacza, że dzisiaj już nie zobaczę mojego męża – oznajmiła ze śmiechem. – Kiedy się spotkają, interesują ich tylko szachy. Szkoda, że w ostatnich latach nie widywaliśmy się częściej, Ward.

– Mieszkałem przez jakiś czas za granicą, zanim zacząłem wykładać w Oksfordzie.

– Jesteś bardzo skromny. Twój ojciec nieustannie chwali się, że zrobiłeś fortunę na prasie do papieru.

Ward skinął głową.

– Przepraszam, jeśli księżę Beaumont wymusił na mężu księżnej obecność w Izbie Lordów.

– Villiers jest ojcem chrzestnym Eugenii, więc czuje do ciebie urazę – odparła wprost. – Ale w sądzie będzie walczył po twojej stronie. Mamy szóstkę nieślubnych dzieci, Ward. Izba Lordów nie może się oszukiwać, że nieślubne pochodzenie stanowi argument podważający testamentowy zapis tego młodego człowieka.

– Dziękuję – odparł Ward.

Uśmiechnęła się do niego.

– Villiers uważa, że uszczęśliwisz Eugenię.

Ward skrzywił się.

– Mnie dał co innego do zrozumienia.

– Bo on uważa, że tylko opór może sprawić, by mężczyzna zrozumiał własną głupotę. – Poklepała go po ramieniu wachlarzem. – Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, ma do ciebie pretensję, bo założył się, że wejdiesz do niej przez okno po tej aferze w Fonthill... a ty wtedy wróciłeś do Oksfordu.

– Mąż księżnej założył się, że zrujnuję reputację Eugenii, zaskakując ją w jej sypialni?

– Ward – zaczęła księżna z westchnieniem. – Nie zapominaj, że znamy cię prawie od urodzenia, dobrze? Możesz mnie nazywać Eleanor. Oczywiście, że się założył. Jest aż nazbyt przekonany, że wie wszystko o naturze ludzkiej. Dobrze mu zrobi ta pomyłka.

– W sumie nie do końca się pomylił – przyznał Ward.

– Kiedy przepędziłam Villiersa – powiedziała księżna – mój przyszły mąż włożył prosty czarny płaszcz, co do dzisiaj mu wypominam, jak łatwo zauważyć, i napisał liścik, prosząc mnie o przejażdżkę po Hyde Parku. Tyle że podpisał się innym nazwiskiem. Dopiero w powozie zorientowałam się, kto się do mnie zaleca.

– Czyli mam udawać, że jestem kimś innym? Na przykład kimś z legalnego związku? Albo arystokratą?

Księżna złagodniała.

– Ward, przecież ty jesteś arystokratą. Podobnie jak wszystkie moje dzieci. Villiers chciał przez to pokazać, że zakochał się we mnie jak zwykły, nieznany nikomu mężczyzna, a nie jak najbardziej ekstrawagancki oczajdusza w całym Londynie.

– Kocham Eugenię – przyznał się Ward.

– Wszyscy ją kochają. – Błękitne oczy księżnej spojrzały bystro. – Lepiej się pośpiesz, bo Evan zwierzył się matce, że chce się z nią żenić.

W piersi Warda wezbrał dźwięk, który podejrzenie przypominał warkot.

– Mam wrażenie, że jutro będzie obecna i zasiądzie w łoży dla arystokratek.

Do głowy mu nie przyszła ta ewentualność. W gruncie rzeczy nie miał bladego pojęcia o Izbie Lordów i zamkniętych sesjach, które, jak widać, wcale nie były takie niedostępne.

Nagle pojawiła się Mia. Uśmiechnęła się do księżnej i wymierzyła Wardowi kuksańca.

– Zaproś mnie do tańca, dobrze?

– Miło widzieć kogoś tak przyjaznego – stwierdziła księżna Villiers. – Kiedy ja się dowiedziałam, że Roberta była kiedyś zaręczona z Villiersem, mroziłam ją spojrzeniem przy każdej okazji.

– Naprawdę się lubimy. Poza tym chcę, żeby mój mąż był zazdrosny – odparła Mia, puszczając oczko do księżnej.

– Wszystko w porządku? – spytała w minutę później, kiedy zaczęli krążyć po parkiecie.

– Nie – odpowiedział.

– Nie przejmuj się – odparła. – Rozejrzyj się po tej sali. Gdyby ktoś rzucił tu

dynamit, jak to niegdyś planował Guy Fawkes, połowa brytyjskiej arystokracji zniknęłaby z powierzchni ziemi.

– Jesteś pisarką do szpiku kości, Mio – skomentował z uśmiechem.

Zapiekły go ramiona, więc spojrzął w bok i napotkał gniewny wzrok męża Mii. To spojrzenie zdecydowanie poprawiło mu humor.

– Chyba udało ci się wzbudzić zazdrość księcia.

– Doskonale – odpowiedziała, zupełnie niewzruszona. – W jaki sposób zamierzasz odzyskać uczucie pani Snowe?

– Porwę ją.

Planował zajechać powozem do Fonthill, pokonać opór majordoma i porwać ją ze sobą. Ale jeśli jutro zobaczy ją w Izbie Lordów, porwie ją stamtąd.

Mia ściągnęła brwi.

– Dwa razy napisałam powieść z tym wątkiem, Ward, i okazało się, że w rzeczywistości to wcale nie jest romantyczne. Zawsze muszę na przykład przemilczać, że moja bohaterka nie ma ze sobą szczoteczki do zębów ani bielizny na zmianę.

– Ostatnim razem zabrałam też jej pokojówkę.

– Ostatnim razem? – wykrztusiła.

– Twój mąż zaraz użyje wobec mnie siły fizycznej – stwierdził Ward, zatrzymując się przed księciem. Pindar pośpiesznie ujął żonę pod rękę i ucałował ją w czoło.

– Przestań się zachowywać jak niedźwiedź – powiedziała, spoglądając mu w oczy. – Sama wyciągnęłam Warda na parkiet.

– Dlaczego? – mruknął rzeczywiście jak niedźwiedź.

Ward uśmiechnął się doń z przekąsem.

– Zdaje się, że wszystkie kobiety mają zwyczaj sterować życiem uczuciowym swoich byłych narzeczonych.

Mia wymierzyła kuksańca swemu mężowi.

– Poza tym nie należy boczyć na moich byłych narzeczonych, słyszysz?

– Miałaś więcej niż jednego?

– Nie, i dlatego darzę Warda szczególną sympatią. – Pokręciła głową, widząc, że księżę zmrużył oczy.

Mia była drobna, ale wyraźnie nie dała się zastraszyć mężowi. Ward chciał ją za to pocałować, ale księżę mógłby nie wytrzymać takiej poufałości.

– Koniecznie chcę, by Ward zdobył rękę Eugeniei Snowe – mówiła dalej. – Rozmawiałam z nią tylko dwukrotnie, ale uważam, że jest czarująca.

– Wszyscy to mówią – potwierdził Ward.

No, może z wyjątkiem jego babki.

– Musisz zaskoczyć ją jakimś niezwykłym gestem – radziła szczerze Mia. – Zrobić coś, czego pani Snowe nigdy by się nie spodziewała. Coś, co jasno da jej do zrozumienia, że kochasz ją bardziej niż wszystkie inne kobiety, i cenisz ją sobie taką, jaka jest.

– Ja tak zrobiłem – potwierdził księżę. Obejmował teraz żonę obiema rękami.

– Co to było? – zapytał Ward.

– Napisałem wiersz.

– Napisałeś wiersz miłosny, bo ja piszę powieści o miłości – zauważyła jego żona. – W ten sposób wyraziłeś swój szacunek dla mojego zajęcia.

Mina księcia powiedziała Wardowi, że wcale nie myślał o powieściach, pisząc swój wiersz.

Przywołał na wargi cień sardonicznego uśmiechu, by księżę nie miał złudzeń, że odgadł jego sekret.

Pindar zmrużył oczy.

– Musisz zrobić to samo – zawyrokowała Mia, kompletnie nieświadoma milczącej konwersacji, która toczyła się ponad jej głową. – Twój wielki gest musi przekonać Eugenię, że ją cenisz i szanujesz nie tylko dlatego, że jest piękną kobietą, lecz także za jej inteligencję.

– To co ma zrobić? – spytał księżę. – Zatrudnić kolejną guwernantkę? Z tego co wiem, jedną wyrzucił, a druga odeszła sama. Po czymś takim trudno mu będzie okazać szacunek dla Agencji Snowe.

– Ward musi zrobić coś wielkiego – upierała się Mia. Nagle zaczęła machać ręką. – Jest India! Ona nam pomoże.

Ward odwrócił się ku lady Xenobii Indii, która rzeczywiście się do nich przyłączyła.

– Witaj, kochana Mio – powiedziała, składając płytki dyg, gdyż była w

widocznej ciąży. – Miło pana widzieć, panie Reeve. – Stała na palcach, żeby pocałować księcia. – Vander, jesteś dziś chyba nie w sosie.

– Gdzie Thorn? – mruknął Jego Wysokość zamiast powitania.

– Tutaj – odpowiedział lakoniczny głos.

Ward widział ostatnio Thorna Dautry, kiedy wraz z Vanderem pomogli mu zdemaskować wuja Mii, potwora, który wtrącił go do więzienia.

W sumie szkoda, że ten łajdak nie żyje, bo mógłby mu podziękować za to, że przeszkodził w małżeństwie z Mią. Tylko że musiałyby go w tym celu odwiedzić w więzieniu.

– Indio! – wykrzyknęła Mia. – Ward potrzebuje naszej pomocy. Musi wykonać jakiś wielki gest, żeby przekonać Eugenię Snowe o swej prawdziwej miłości.

– Tylko czy to jest prawdziwa miłość? – India uważnie spojrzała na Warda. To, co dostrzegła w jego oczach, wyraźnie ją zadowoliło, bo odwróciła się z powrotem do Mii i spytała: – Kwiaty?

– Nie – odparł Ward.

Mia popatrzyła na niego.

– Wspaniale! – wykrzyknęła, składając dłonie.

– Co takiego? – spytał jej mąż.

– Ward ma już pomysł. To widać.

Zdaje się, że właśnie wymyślił, co to będzie za niezwykły gest.

Wtorek, 30 czerwca 1801

Izba Lordów

Pałac Westminster

Ward ledwie zdążył zająć miejsce obok prawnika, kiedy do sali wszedł pochód niemal stu brytyjskich parów. Wszyscy byli odziani w szkarłatne szaty zdobne gronostajami i kierowali się do ław po prawej i lewej stronie Lorda Kanclerza, który prezydował zgromadzeniu.

Jego ojciec zawsze narzekał, że większość tych miejsc stoi pustką nawet podczas najważniejszych debat, ale dziś było inaczej. Przecież po mieście rozeszła się ekscytująca plotka, że ta skandalistka, lady Lisette, urodziła dwoje dzieci, i to z legalnego związku ze zmarłym lordem Darcym. I jakby to było mało, w dodatku jej matka złożyła petycję do Izby Lordów, domagając się opieki nad sierotami!

Lordowie tłoczyli się w ławach jak ziarna grochu w strączkach.

Babka Warda zasiadła ze swymi prawnikami po jego prawej stronie. Nie zaszczyliła go ani jednym spojrzeniem.

Posiedzenie jak zwykle rozpoczęło się od ceremonialnego bełkotu. Po zobowiązaniu do poufności zaczęto długo i mętnie wymieniać jakieś tam artykuły, okoliczności i inne bzdury, aż wreszcie odczytano prywatną petycję Jej Wysokości Księżnej, wdowy Gilner z hrabstwa Surrey.

Nieznośnie długą petycję kończył stanowczy wniosek: młodego lorda Darcy'ego i jego siostry nie może wychowywać człowiek, który wprawdzie czerpie podziwu godne zyski z inwestycji w maszyny, ale w niedalekiej

przeszłości przebywał w więzieniu.

Gdy padło słowo „więzienie”, w ławach rozległo się brzęczenie, jakby przeleciał rój rozdrażnionych szerszeni. Ani Ward, ani Mia nigdy nie ujawnili powodu, dlaczego nie pojawił się na ślubie.

Uczony prawnik księżnej zakończył przemowę, potrząsając dumnie swoją ogromną peruką.

– Jej Wysokość uważa, że nie ma żadnego porównania między nią a panem Reeve'em, jeśli chodzi o zdolność wychowania młodego para i dziedzica włości, sieroty, którego matka odumarała w tragicznych okolicznościach.

Wyglądało, że Lizzie została wyrzucona z obrazka.

Główny prawnik Warda skoczył na równe nogi z gotowością, jakiej można się było spodziewać. Doskonale wiedział, jaką renomę zyskuje mu ta sprawa. Błyskając erudycją, zaczął dowodzić, że lord Darcy przekazał Wardowi opiekę nad dziećmi w testamencie, co potwierdził Sąd Kanclerski.

Owszem, ale wszyscy w sali wiedzieli, że to nie ma nic do rzeczy. Zatwierdzona przez Izbę Lordów petycja mogła unieważnić zapis testamentu, jak to już nierazbywało.

Ten przypadek sprowadzał się do próby sił między stronami. Księżna Gilner postanowiła wykorzystać fakty, by zaatakować Warda osobiście.

Ward postanowił wykorzystać ludzi.

Jego prawnicy zaczęli wzywać na świadków jednego lorda po drugim. Niektórzy czekali w ławach dla świadków, inni schodzili ze swoich stałych miejsc w Izbie. Książę Pindar opowiedział o okolicznościach bezprawnego uwięzienia Warda, co wywołało prawdziwą burzę na widowni. Książę Villiers odpowiadał na pytania z przekąsem, przypominając publice o własnych nieślubnych dzieciach. Ciekawe, czy ktokolwiek uznałby moich potomków za nieodpowiednich rodziców, zdawał się mówić.

Mało kto w Londynie miałby dość odwagi, by wystąpić przeciwko księciu Villiersowi, szczególnie gdy stawał ramię w ramię z jednym ze swoich najstarszych przyjaciół, księciem Beaumont.

– Szczerze mówiąc, marnujemy tu tylko czas i wreszcie ktoś powinien powiedzieć na głos to, co jest oczywiste dla wszystkich. Bardzo dobrze

poznałem lady Lisette, kiedy się do niej zalecałem. Naturalnie było to, zanim uciekła z młodym, bardzo młodym dżentelmenem.

Księżna Gilner, która wpatrywała się w swoje rękawiczki podczas przesłuchań kolejnych świadków, teraz podniosła wzrok.

Ward skrzywił się. Przewidywał, że już za moment Villiers spokojnie i bezlitośnie zniszczy jego babkę. Lady Lisette w żadnym razie nie była ideałem rodzica i za chwilę wszystkie jej winy zostaną rzucone księżnej do stóp.

Tylko że Ward nie chciał jej ostatecznej klęski.

Zanim pomyślał, już skoczył na równe nogi.

Villiers przerwał w pół zdania.

– Przekazuję głos bezpośrednio zainteresowanej osobie – oświadczył i zszedł z podium ze swym zwykłym wdziękiem.

Ward podszedł i zajął jego miejsce.

– To bardzo nietypowe – oświadczył Lord Kanclerz, a jego wielka biała peruka zachwiała się niebezpiecznie, gdy obserwował, jak Villiers wraca na swoje miejsc obok księcia Beaumont.

– Moi prawnicy planują wezwać jeszcze wielu świadków przed oblicze ławy, ale księżę Villiers powiedział coś niezwykle ważnego – zaczął Ward.

– Rozumiem, że chce pan złożyć oświadczenie – odezwał się sucho Lord Kanclerz.

Ward zwrócił się do publiczności. Nie patrzył przedtem na ławę, w której siedziały damy. Teraz też tego nie zrobił, ale wiedział, że Eugenia tam jest. Być może go znienawidziła, ale kochała Lizzie i Otisa.

– Znałem Darcy’ego wiele lat temu i wiem, że był to niezwykle młody człowiek – zaczął. – Może właśnie te cechy sprawiły, że uległ zalotom mojej matki, jeśli można to tak określić. Moje przyrodnie rodzeństwo powiedziało mi, że stał się wspaniałym ojcem.

W ławach zaszumiało.

– Lord Darcy wychował swoje dzieci na myślące, szczerze osoby, takie jak on sam. Na przykład, choć mają braki w edukacji, płynnie mówią po łacinie i po francusku. Był lepszym ojcem niż wielu z nas. Chronił swoje dzieci i troszczył się o nie w wyjątkowo niesprzyjających okolicznościach.

Szum w ławach ustąpił miejsca kompletniej ciszy.

– Zaufanie lorda Darcy’ego to zaszczyt dla mnie – powiedział spokojnie Ward. – Choć nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mój kolega z Eton będzie kiedyś moim ojczymem, jestem zaszczycony, że stałem się częścią jego rodziny, i pragnę spełnić jego ostatnie życzenie najlepiej, jak tylko potrafię. Księżna wdowa Gilner pytała, czy nieżonatemu mężczyźnie można pozwolić na wychowywanie dzieci, więc ujawnię Waszym Wysokościom, że bardzo pragnę się ożenić.

Ucichł nawet szelest koronek i szmer wachlarzy dam.

– Jestem zakochany w pani Eugonii Snowe i oświadczyłem się jej – wyznał, podnosząc wzrok ku najwyższym ławom. – A ona odmówiła. Będę znowu prosił ją o rękę. Jeśli odmówi po raz kolejny, sam wychowam Lizzie i Otisa, ponieważ nie zamierzam poślubić żadnej innej kobiety.

Te słowa zawisły w powietrzu i Ward w końcu pozwolił sobie spojrzeć na ławę arystokratek tylko po to, by dostrzec plecy wychodzącej Eugonii.

Westchnął głęboko, aż zaboląły go płuca. Odrzuciła go. Napiął mięśnie, a dłonie same zacisnęły mu się w pięści. Powinien ruszyć za nią...

Ale nie mógł.

– Moje przyrodnie rodzeństwo jest w żałobie po matce i ojcu – powiedział zamiast tego. – Lizzie, która ma dziewięć lat, postanowiła nosić żałobny welon, by ukryć swój smutek przed światem.

W sali rozległ się zbiorowy pomruk współczucia.

– Proszę, nie odbierajcie mi rodzeństwa – mówił, starając się panować nad głosem. – To było nie tylko życzeniem lorda Darcy’ego, ale również ich matki. Gdy lady Lisette rozchorowała się na płuca i zrozumiała, że umiera, poleciła, by zawięzić dzieci do mojego domu.

Babka patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

– Wiem, że wielu z was gardzi moją matką – a raczej naszą matką – i doskonale rozumiem tego powody. Lady Lisette była głęboko udręczoną duszą. Na ile znam jej charakter, jestem przekonany, że moje rodzeństwo było bardzo zaniedbywane. Z radością zapewniam was jednak, że mimo swojego wyjątkowo nietypowego dzieciństwa, oboje cieszyli się miłością matki i ojca. Dam wam

przykład. Młody lord Darcy ma oswojonego szczura imieniem Jarvis.

Z łoży dam rozległ się chóralny, choć stłumiony okrzyk.

– Nasza matka uszyła Jarvisowi aksamitny płaszczyk do opery i satynowy – na wypadek gdyby kiedyś zaproszono go na bal. Kochała Lizzie i Otisa w miarę swoich możliwości. Powinno się wziąć pod uwagę jej życzenie.

Babka zachnęła się w ławie.

Spojrzał na nią, a potem przeniósł wzrok na resztę sali.

– Miałem szczęście, że mój ojciec lord Gryffyn i moja macocha lady Gryffyn postanowili wychować mnie jak jedno ze swoich dzieci. Gdyby byli w Anglii, staliby dziś tu u mego boku. Mam nadzieję wychować Lizzie i Otisa z taką samą troską i szacunkiem, jakim oni mnie darzyli.

Z tymi słowy otworzył drzwi łoży i wrócił na swoje miejsce na ławie, nie patrząc ani na księżną, ani na swych prawników. Po prostu usiadł i czekał, mając absolutną pewność, że Izba przychyli się do jego prośby.

Ale Eugenia wyszła. Odrzuciła go. Miał wrażenie, że w jego piersi wyrwano ogromną dziurę, ale musiał usiąść i czekać, wykrwawiając się bez słowa.

Dlaczego wszystko przybrało taki straszny obrót? Dlaczego był takim durniem? Przecież mu powiedziała, że go kocha... a on nie wziął jej wtedy w ramiona.

Jeżeli naprawdę go kochała, to dlaczego nie uśmiechnęła się, gdy oświadczył jej się przed całą angielską arystokracją?

Księżna wdowa Gilner podniosła się z miejsca. Nie podeszła do ławy świadków, nie zaszczyliła Warda spojrzeniem. Zamiast tego, zwróciła się do Lorda Kanclerza stanowczym, płynnym, arystokratycznym głosem:

– Wycofuję moją petycję.

Cała sala westchnęła ze zdziwienia. Starsza pani patrzyła prosto przed siebie, więc Ward widział jej profil. Doskonale znał ten kształt nosa: widywał go co dzień w lustrze.

– Doskonale – stwierdził sucho lord, wstał i nie tracąc czasu, ogłosił: – Posiedzenie Izby Lordów uważam za zamknięte.

45

Eugenia wyszła z ogromnej sali, a potem ruszyła biegiem w głąb korytarza prowadzącego do wyjścia z Izby Lordów. W chwili gdy Ward wypowiedział jej imię, wszystkie oczy w sali zwróciły się na nią.

Po śmierci Andrew nigdy nie okazywała publicznie rozpaczy. W domu zalewała się łzami, ale poza nim nosiła głowę wysoko, a jej oczy pozostały suche. Tego oczekiwaby po niej Andrew.

Ale teraz nie potrafiła pohamować łez spływających jej po policzkach. Skręciła więc do sali, która okazała się biblioteką, padła na fotel i próbowała odzyskać oddech.

W wyobraźni ciągle widziała postać Warda, stojącego przed rzędami parów. Nie wyglądał jak jeden z nich. W niczym nie przypominał dżentelmena.

Był jak król, który bez cienia uległości spogląda na przyodzianych w aksamity lordów. W chwili gdy wstał, zdominował całą salę: jego twarz była tak pełna emocji... skupiona i rozkazująca. Niby prosił o powierzenie mu opieki nad dziećmi, ale w rzeczywistości po prostu jej żądał.

Odmowa nie wchodziła w grę, bo przecież królowi się nie odmawia. Dzieci należały teraz do niego. Jej niepokój o Lizzie i Otisa rozwiązał się, gdy tylko Ward wypowiedział pierwsze słowa.

Zachwycała się jego wyglądem. Serce wyrywało się ku niemu. Mogła sobie na to pozwolić, pewna, że on nie ma pojęcia o jej obecności.

I nagle...

Nagle wyznał, że chce się z nią ożenić. Jego wzrok stał się władczy i dziki, gdy ogłosił wszem wobec, że ona należy do niego, tak jak Lizzie i Otis, które są

jegodziećmi.

Tłum dobrze odżywionych, układnych lordów był niczym w porównaniu z Wardem, w którym płonął mroczny płomień, który miał siłę woli tak potężną, że mógł zachowywać spokój na zewnątrz. Jediną oznaką napięcia były zaciśnięte zęby w chwili, gdy mówił o niej.

O tym, że go odrzuciła.

Nagle ktoś otworzył drzwi. Poderwała głowę i zacisnęła w dłoni wilgotną chusteczkę.

W progu stał Ward. Kiedy przemawiał do Izby Lordów był uosobieniem spokoju, ale teraz oczy mu błyszczały, a szczęka się napięła, podkreślając mocne rysy twarzy.

– Co się stało?! – wykrzyknęła, stając na równe nogi.

– Dzieci są moje – powiedział i już był przy niej. Bez słowa odchylił jej głowę i dotknął jej warg swoimi. Jego pocałunek był odpowiednikiem przemowy do lordów: stanowił stwierdzenie faktu.

Tyle że lordom powiedział to na głos, a jej milcząco. Jego pocałunki były wyznaniem miłości.

Podobnie jak wyprawa do jeziora.

I budzenie jej miłością po cztery razy w nocy, a piąty przed świtem.

Oddała mu się tym pocałunkiem. Należała do niego, a on do niej, aż do śmierci. Jak mogła zapomnieć, że najważniejsza na świecie jest miłość? Ona, która najlepiej ze wszystkich wiedziała, że jeden okrutny moment może ją zakończyć na zawsze?

Ward odsunął się w końcu i bez słowa wsunął jedną rękę pod jej nogi, drugą pod ramiona i wziął ją na ręce. Wyniósł ją przez drzwi, korytarzem, prosto do czekającego powozu. Znalazła się na siedzeniu, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Słowa zresztą nie były potrzebne. Objął ją znowu, głodny i stęskniony, a potem wziął na kolana. Eugenia oddała się pocałunkom, uznając, że to wystarczająca odpowiedź. Pieścił ją, aż włosy opadły jej na ramiona, a usta spuchły, jak pokąsane przez pszczoły.

Kiedy powóz się zatrzymał, Ward pomógł jej wysiąść. Znalazła się na ulicy

pełnej eleganckich rezydencji.

– Mój londyński dom – powiedział Ward, prowadząc ją ścieżką ku sporemu budynkowi.

– Nie wiedziałam, że masz rezydencję w Londynie! – wykrzyknęła.

– Kupiłem ją, zanim przyjąłem posadę w Oksfordzie.

– Przed zaręczynami z Mią – domyśliła się.

Frontowe drzwi otworzyły się przed nimi, a starszawy lokaj zgiął się w ukłonie. Eugenia zdążyła tylko pochwycić wzrokiem kremowe ściany i lśniąca drewnianą posadzkę, gdy Ward uchylił ramieniem drzwi do jednego z pokoi i wszedł tam tyłem, prowadząc ją za sobą.

– Zamknij oczy, Eugenio – poprosił ją z szacunkiem.

Z uśmiechem spełniła polecenie. Pewnie przywiózł do Londynu dzieci i chce jej zrobić niespodziankę. Lizzie i Otis byli niezwykle cicho, bo przysięgłaby, że w salonie nikogo nie ma.

Na jej wargach rozkwitł szeroki uśmiech, gdy poprowadził ją dalej.

– Otwórz oczy, ukochana – szepnął.

Zrobiła to powoli, smakując dźwięk słowa „ukochana” wypowiedzianego tym szczerym, absolutnie wiarygodnym głosem.

Musnął pocałunkiem jej wargi.

– Wszystko, co wtedy powiedziałem, to prawda, Eugenio. Kocham w tobie wszystko. Wszystko.

Zamrugła oczyma, zbita z tropu, gdy odsunął się o krok. Była w uroczym urządzonym salonie z fioletowymi zasłonami, krzesłami o mieniącej się błękitnej tapicerce i dywanem z Aubusson... ale nic z tego nie miało znaczenia.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, były marmurowe podstawki i stoliki, a na każdym z nich pyszniła się elegancka patera i tort.

Torty i ciasta były wszędzie, gdzie tylko dało się zmieścić choćby najmniejszy talerzyk. A na nich wabiły oko dekoracje z waty cukrowej. Dwa przepięknie oddane łabędzie rozpościerały skrzydła powyżej jej głowy. W finezyjnej kryształowej misie czekał smakowity deser czekoladowy, którego strzegły miseczki pełne delikatnych makaroników.

W powietrzu pachniało pieczonym ciastem, imbirem, czekoladą i cytryną.

Oniemiała Eugenia odwróciła się do Warda. Jej oczy były całkiem okrągłe ze zdumienia.

– Szanuję wszystko, co robisz, i wszystko, czym jesteś – powiedział. – Chciałbym, żeby twoja *pâtisserie* stała się najsłynniejszą firmą w Anglii i Francji. Chcę, żeby przyćmiła Guntera. Chcę, żeby Lizzie się temu przyglądała i uczyła się od ciebie.

Eugenia wpatrywała się w niego oszołomiona, gdy dotarły do niej te słowa.

– Wcześniej... wcześniej mówiłeś co innego.

– Myliłem się. Lizzie i Otis nie potrzebują zasad ani konwenansów. Oni potrzebują ciebie. A przede wszystkim ja cię potrzebuję.

Eugenia nie była w stanie wydusić ani słowa.

– Kocham cię, Eugenio Snowe – oświadczył. – Kocham wszystkie Eugenie: nieskazitelną, idealną damę, utalentowaną matematyczkę, radosną, cudowną kochankę, właścicielkę agencji i przyszłą właścicielkę najlepszej cukierni w Londynie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Otworzyła ramiona. Ich wargi znowu się spotkały, ciepłe i namiętne... idealne.

W jakiś czas później obróciła się w jego ramionach i ze zdumieniem rozejrzała po pokoju.

– Skąd wzięłeś te wszystkie ciasta, do licha?

– Powiedziałem, że mój nadzwyczajny gest to będzie ciasto, więc razem z Rafe'em i Thornem przemierzyliśmy cały Londyn, na rozkaz ich żon.

Eugenia podeszła, żeby bliżej się przyjrzeć ciastu ozdobionemu złotymi amorkami. Wszystkie torty były po prostu wspaniałe i umieszczone na paterach, które doskonale je eksponowały.

– To musiała ustawić lady India – szepnęła. – Ona ma niepowtarzalny gust.

– Mia też tu była – odparł Ward, czując się trochę nieswojo, kiedy wspominał o swej byłej narzeczonej.

– Nie mogę się doczekać, kiedy podziękuję im osobiście! – wykrzyknęła, ani trochę nie zwarzona wzmianką o Mii. – Och, spójrz na to! – Wyciągnęła rękę ku ciastku z piórkami z waty cukrowej na wierzchu.

Mocna ręka objęła jej ramiona.

– Mia jest powieściopisarką – powiedział. – Uznała, że muszę wykonać jakiś niezwykły gest.

Eugenia oparła się o niego, czując, jak ogarnia ją niewysłowione szczęście.

– To jest po prostu cudowne. Muszę jak najszybciej podziękować Mii, że cię zostawiła i dzięki temu mogliśmy się spotkać.

Ward obrócił ją w swoich objęciach i spojrzał jej w oczy.

– Mam dla ciebie coś jeszcze, wyłącznie od siebie.

– Mmm – szepnęła. Wszędzie wokół były ciastka, ale jakoś nie miała na nie apetytu. Pragnęła tylko Warda.

Pocałunek, którym ją obdarzył, był jak bicie ich serc: powolny i długi. Kiedy wreszcie się odsunął, myśli zawirowały jej w głowie.

– To jest mój osobisty gest – mruknął gardłowo.

– Och – wykrztusiła.

Wsunął rękę do kieszeni i podał jej...

Ciastko.

Było małe, zapadnięte na środku i popękane z wierzchu. Wyglądało smętnie, jak każdy wypiek, który przetrzymano w piekarniku godzinę z długo.

Lekko pachniało czekoladą. Przypaloną.

– Lizzie je dla mnie upiekła? – odgadła, dotykając wierzchu ciastka. Serce w niej śpiewało. Te cudowne, ekscentryczne, inteligentne dzieci będą w końcu jej: Lizzie o zbyt dorosłych, ale pełnych nadziei oczach i Otis, dzielny odkrywca kochający z całego serca małego szczura.

– Nie.

– Otis? Jestem pod wrażeniem.

– Nie.

Podniosła wzrok. Otworzyła usta ze zdziwienia.

– Nie wiedziałem, jak inaczej ci powiedzieć, że naprawdę czuję wszystko to, o czym mówiłem przy twoim ojcu. Szanuję cię i podziwiam: ciebie całą i wszystko, czym jesteś, Eugenio.

– Upiekłeś mi ciasto – szepnęła. Czas się zatrzymał, a świat skurczył i byli tylko we dwoje: mężczyzna, kobieta i mały, przypalony czekoladowy biszkopt.

– Szczerze mówiąc, to druga próba – powiedział z taką desperacją, że

wybuchnęła śmiechem. – Pierwszy skurczył się do rozmiarów włoskiego orzecha. Zostawiłem Marcela w Fawkes House, bo przestał się do mnie odzywać, więc nie miałem nikogo do pomocy.

– Kocham ten biszkopt – powiedziała, zamykając dłonie na ciastku. – I ciebie też. – Stała na palcach i pocałowała go w usta. Objął ją dużymi dłońmi w talii i przytrzymał.

Pocałowali się szczerze i otwarcie, jak dwoje ludzi, którzy przestali się przed sobą kryć i otworzyli dla siebie serca.

– Jesteś najmądrzejszą, najpiękniejszą i najserdeczniejszą osobą, jaką znam – powiedział prosto z serca. – Lizzie oddała ci welon, a Otis oddałby Jarvisa. Kochamy cię, Eugenio. Cała nasza trójka kocha cię gorąco. Bez ciebie jesteśmy rodziną, której braknie serca.

Pokręcił głową tak mocno, aż włosy zafalowały.

– Muszę cię tylko ostrzec: jeśli nie zgodzisz się na małżeństwo, jutro zapytam cię znowu, a pojutrze przyjadę z Lizzie i Otisem, a do tego z Jarvisem. Jarvisowi też będziesz musiała odmówić.

– Jarvisowi? Nigdy! – Przesunęła palcami po bardzo męskiej szczęce.

– Wyjdiesz za mnie Eugenio? Zostaniesz moją żoną?

– Tak – odpowiedziała nieco drżącym szeptem. – Wyjdę.

– I obiecasz, że nie będziesz się zachowywać jak dama? – Obejmował ją mocno, wtulając twarz w jej włosy.

– Z małymi wyjątkami – odparła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Epilog

Eugenia zmusiła się, by przybrać minę wyrażającą uprzejme zainteresowanie, które każdy okazałby stadku dalmatyńczyków biegnących na dwóch łapach. Czyli, innymi słowy, czwórce pokrytych plamkami dzieci w wieku od trzech do czternastu lat.

– Domyślam się, że plamy zrobiliście atramentem Indii – powiedziała do Marmaduke’a, najlepszego przyjaciela Otisa – ale skąd ta śmiertelna biel na twarzach?

– Krochmal z wodą różaną – wyjaśnił. – Tak maluje się Anna, nasza młodsza gosposia, kiedy ma wolny wieczór.

– Mamo! – Poppy była tak pulchna i urocza, że Eugenia natychmiast wzięła ją na rękę, choć była już w wieczorowej sukni.

Poppy zachichotała i potarła noskiem o jej nos.

Eugenia posadziła ją sobie na biodrze i odwróciła się z powrotem do Lizzie, Otisa i Marmaduke’a. Poppy opuściła główkę i zaczęła ssać kciuk.

– Lizzie, podejrzewam, że to twoja genialna robota.

– Ćwiczymy na wypadek, gdyby w Londynie wybuchła zakaźna epidemia – odpowiedziała Lizzie. – Anglię od wieków nawiedzają takie fale. Jeśli będziemy nieprzygotowani, może nas ogarnąć.

– Nie do końca rozumiem, w jaki sposób malowanie kropek na twarzy może was uchronić przed odrą.

Otis i Marmaduke usiedli na podłodze i zaczęli grać w bierki. Śpiąca Poppy zamruwała oczkami. Buzię miała już czystą, bo wytarła ją w suknię Eugonii.

– Chodzi o coś groźniejszego od odrą. – Lizzie zaczęła się rozkręcać. – Na

przykład czarna śmierć, która była epidemią. Tak się mówi na chorobę, która wywołuje dużo zgonów.

Poppy westchnęła cichutko i przytuliła się mocniej.

Geniusz, który uczynił Warda jednym z największych angielskich wynalazców, objawił się u Lizzie w zupełnie innej postaci.

Drzwi do pokoju dziecięcego otworzyły się i pojawił się w nich Ward, jakby usłyszał jej myśli. Spojrzał na nią z uśmiechem w oczach. Pewnie wspominał ich wspólny poranek.

Poppy urodziła się wkrótce po ich ślubie, co oznaczało, że kondomy są jednak nie do końca skuteczne, pomimo tych wszystkich kolorowych tasiemek.

– To cudownie – ucieszył się jej mąż na wieść, że jest w ciąży.

– Miałabym spory kłopoty, gdybyśmy jednak nie wzięli ślubu! – odparowała.

– I tak planowałem cię porwać – odparł niewzruszony. – Gdyby te wszystkie ciasta cię jednak nie przekonały, zamierzałem wrzucić je do powozu, żebyś miała co jeść w drodze do Gretna Green.

Teraz podszedł do nich i pocałował Poppy w policzek.

– Moja córka zwykle bywa czyściutka jak z obrazka. Ale nie teraz. – Przesunął wzrokiem po kropkowanej bandzie.

– Które z was to wykombinowało?

Eugenia usiadła w bujanym fotelu. Drobne ciało Poppy dalej się w nią wtulało. Poprzedniej nocy Ward obudził ją dwa razy. Nie, to nie było fair: jeden raz to ona się do niego przytuliła, obudzona głodem tak wielkim, że aż dygotała.

Zamknęła oczy, pozwalając, by śmiech Warda i wyjaśnienia Lizzie na temat epidemii w dzieciennym pokoju otoczyły ją jak ciepły koc.

Musiała mu powiedzieć dwie rzeczy, ale postanowiła poczekać, aż wieczorem usiądą do kolacji. Dostała list od swego głównego *pâtissiera*, Goddarda Ramseya. Pierwszy kwartał ich firmy zamknął się zyskiem.

Druga wiadomość była jeszcze lepsza. Pomimo wszystkich marzeń o spokojnym, uporządkowanym domu była teraz panią domostwa, które rozbrzmiewało śmiechem i królowało w nim chaos, intelektualne poszukiwania i eksperymenty, urągające porządkowi, który niegdyś tak wielbiła.

Za nic by go jednak nie zamieniła, choć wiedziała, że dzieciątko, które nosi w

sobie, znacznie przyczyni się do panującego wszędzie zamętu.

Lizzie zakończyła wykład o epidemiach i zaczęła opowiadać Wardowi o ptasim gnieździe, które znalazła rano, ale nagle przerwała i położyła palec na wargach.

Ward odwrócił się i spostrzegł, że jego żona i córka zasnęły. Poppy ssała kciuk jak niegdyś on, opierając policzek na ramieniu matki. Serce zabiło mu mocniej na myśl, jaki jest z nimi szczęśliwy.

Eugenia myślała, że nie wyczuł, że ona jest w ciąży, ale przecież stale ją obserwował, pragnąc jej szczęścia i spokoju. Jej piersi znowu cudownie urosły i łatwiej się męczyła.

Jeszcze mu o tym nie powiedziała, ale nie chciał psuć tej niespodzianki.

– Będzie miała dziecko, prawda? – spytała Lizzie.

Spojrzał na nią zaskoczony, a siostra wzięła go za rękę.

– Prawda? – powtórzyła.

– Tak sądzę. A dlaczego ty tak uważasz?

– Bo zasnęła. Normalnie stale jest w ruchu.

– To prawda.

– Domyśliłam się już wczoraj, kiedy nie chciała deseru. Normalnie go uwielbia, ale kiedy była w ciąży z Poppy, też go nie mogła jeść.

Ward rozczochrał jej włosy.

– Czasem aż się ciebie boję, panno Lizzie.

– Oj tam – mruknęła. Trąciła nogą Otisa. – Chodź do stajni, obejrzymy sobie przed snem te nowo narodzone szczeniaki.

Marmaduke skoczył na równe nogi, ale Otis odpowiedział upartym spojrzeniem.

– Chodźmy, Marmaduke – powiedziała, łapiąc chłopca za ramię.

Ward miał wrażenie, że ten wzorzec będzie się powtarzał przez następnych pięćdziesiąt lat.

Wyjął uszpioną Poppy z ramion matki i podał ją Ruby, a potem wziął Eugenię na ręce i zaniósł do sypialni pomimo jej sennych protestów.

Otworzyła oczy z uśmiechem.

– Będzie miał na imię Felix – powiedziała i odpłynęła w sen.

Felix? – prychnął Ward w myśli. Nigdy w życiu, jeśli on będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

Ale kiedy ją pocałował, wiedział już, że i tak się podda, bo dla niego liczy się tylko bezpieczeństwo rodziny i to, żeby byli razem. Oraz to, że spełniał dla niej swoją obietnicę siedmiu minut szczęścia, siedmiu minut w niebie. Spełniał ją codziennie i będzie ją wypełniał do końca ich dni.

I nigdy nie będzie miał dość.

Przypisy

- [1] *strange* (ang.) – dziwny.
- [2] Gretna Green – wieś w Szkocji tuż nad granicą angielską sławna dawniej z tego, że udzielane tam przez sędziego pokoju śluby, które według prawa szkockiego nie wymagały zgody rodziców, były ważne również w Anglii (przyp. tłum.).
- [3] Aluzja do *Alicji w krainie czarów* L.S. Carrolla (przyp. tłum.).
- [4] William Congreve *Światowe sposoby*, akt IV, scena 9, przeł. T. Sinko.
- [5] Cockwood – dosł. „drewniany fiutek”. Sceniczne postaci z tej epoki często nosiły nazwiska ujawniające lub dopełniające ich cechy (przyp. tłum.).
- [6] William Wycherley *Żona wiejska*, akt IV, scena 1, przeł. T. Sinko.
- [7] William Szekspir *Wiele hałasu o nic*, akt V, scena 2, przeł. L. Ulrich.
- [8] Aluzja do sabatu czarownic z *Makbeta* W. Szekspira (przyp. tłum.).
- [9] Thomas Heywood *Kobieta zabita dobrocią*, akt I, scena 17 – cytat sparafrazowany – (przyp. tłum.).
- [10] William Szekspir *Cymbelin*, akt IV, 2. W oryginale: „Jasna dziewczica, kominiarz czarny, wszystko się w popiół obróci marny”, przeł. L. Ulrich (przyp. tłum.).
- [11] William Szekspir *Romeo i Julia*, akt IV, scena 4.
- [12] Cukierniczka (fr).
- [13] Mieszanka wybranych wulgaryzmów z różnych sztuk Szekspira (przyp. tłum.).
- [14] William Szekspir *Makbet*, akt I, scena 5, przeł. J. Paszkowski.